



Nie ma  
tego  
złego

KATARZYNA  
ŻAK



seria z babeczką



*Nie ma  
tego  
złego*



KATARZYNA ŻAK

*Nie ma  
tego  
złego*





– Biedny Rzewuski... – westchnęła Honorata składając gazetę. Sięgnęła po porcelanową filiżankę w kwiatki i upiła łyk herbaty. W pokoju unosił się aromat domowego ciasta, nie mogła więc sobie odmówić kolejnego kawałka. O figurę nie musiała dbać, męża już dawno pochowała, a wdowieństwo z odpowiednią tuszą nadawało jej powagi. A przynajmniej tak lubiła tłumaczyć własną słabość do słodyczy.

– Dlaczego biedny? – zainteresowała się panna Krystyna. Nie odrywając oczu od swego odbicia w lustrze, poprawiła siwy kok. Gładko zaczesane włosy nadawały jej twarzy surowy wygląd i tylko lekko przymrużone oczy zdradzały ukryte głęboko poczucie humoru. Jednak większość osób najzwyczajniej w świecie bała się jej ciętego języka. Ona sama była tego świadoma i nawet chlubiła się postrachem, jaki czasem wzbudzała. Zwłaszcza wśród tych, którzy mieli coś do ukrycia.

W końcu, zadowolona z fryzury, zerknęła na przyjaciółkę.

– Dlaczego biedny? – powtórzyła.

– No, jak to? Nie czytałaś? Przecież nie żyje. A taki był z niego miglanc. Pamiętam, jak kradł jabłka w sadzie u Konopki...

– To było ze dwadzieścia lat temu! – Panna Krystyna ni to z oburzeniem, ni to ze śmiechem sięgnęła po laskę. Jak przystało na gospodynię, dyskretnie zlustrowała wnętrze, czy aby na pewno nadaje się do przyjmowania gości. Co prawda Honorata była prawie jak domownik, ale jednak... Porządek musiał być. Szybka inspekcja pozwoliła odetchnąć. Jej pomoc domowa, Irenka, znała się na swej pracy.

Południowy pokój z wykuszem pełnił obecnie rolę saloniku. Kiedyś był to gabinet brata Krystyny, jednak trzy lata po jego śmierci zdecydowała się w końcu go uporządkować. Zamiast monstrualnego biurka stał tu teraz niski stolik do kawy, przykryty sięgającą parkietu szydełkowaną serwetą. Dwa wygodne fotele i kolekcja orchidei dopełniały całości. Oczywiście był też, zajmujący całą ścianę regał z książkami, jednak zniknęły tomy, zalegające kiedyś podłogę. Wszystkie egzemplarze, które po gruntownej selekcji nie zmieściły się na półkach, panna Krystyna oddała do miejskiej biblioteki.

Teraz, wsparta na lasce, westchnęła i przykuśtykała do fotela. Rozsiadła się wygodnie, a przynajmniej na tyle, na ile pozwalała jej włożona w gips noga. Nie ma co. Nie te lata, by skakać po drabinie.

– Dwadzieścia lat temu..., może, ale chłopak się niewiele zmienił. – Honorata trwała przy swoim. – A zresztą, co ja ci będę mówić. Przecież to zawsze takiego młodego szkoda. I kary boskiej się nie bał...

– Jaki młody człowiek? Grubo po trzydziestce był. I jakiej kary, na miłość boską?

– No, jak to jakiej?! Boskiej, dokładnie! – Honorata aż się zatchnęła. – Przecież samobójca.

– Jaki samobójca? – Coraz bardziej irytowała się panna Krystyna. – Jaki samobójca?

– No przecież tak piszą. – Honorata sięgnęła po gazetę. – „W sobotę wieczorem znaleziono zwłoki znanego działacza sportowego Adama R.” I dalej: „Policja wstępnie wykluczyła działanie osób trzecich...”

– A skąd wiadomo, że to Rzewuski?

Honorata sapnęła.

– No przecież całe miasto o tym huczy!

Panna Krystyna przymknęła oczy i policzyła do dziesięciu. Niewiele to pomogło. Ot, takie nowomodne sposoby, zupełnie nieskuteczne. Rzuciła więc w myślach kilka przekleństw, które nie przystoją statecznej damie, i od razu poczuła się lepiej.

– Gdybyś była łaskawa zauważyć, od prawie tygodnia nie ruszam się z domu, a moja gosposia raczej nie przynosi mi plotek z miasta.

– Zmień gosposię – poradziła bez zastanowienia Honorata.

– Gdyby to było możliwe... To już nie te czasy. Nie ma zbyt wielu chętnych do takiej pracy. Chociaż i tak nie ma co narzekać. Irenka przychodzi regularnie, zakupy robi, dobrze gotuje, dokładnie sprząta... A że nie jest gadatliwa... Poza tym ona nie jest stąd – znacząco zawiesiła głos.

– Aaaa... – Honorata ze zrozumieniem pokiwała głową. – Element napływowy. A to biedaczka nie ma tu łatwo.

– No nie. I dlatego właśnie dorywczo przychodzi do mnie, bo nic innego nie mogła tu znaleźć. Mąż pracuje w jakiejś stolarni, synek jest w podstawówce, a ona rano dorabia sobie na godziny. Ale niestety, tutejszych układów nie zna.

– Biedaczka... – powtórzyła Honorata. – A wracając do Rzewuskiego...

– To nie mogło być samobójstwo – stanowcze stwierdzenie Krystyny wykluczało wszelkie wątpliwości. – No..., chyba, że to nie Rzewuski.

– Rzewuski na pewno. A czemu nie samobójstwo?

Gospodyni wyprostowała się w fotelu.

– Moja droga. Nie po to przez czterdzieści lat redagowałam kryminały, żeby teraz nie umieć wyciągnąć podstawowych wniosków.

Honorata, niczym mała dziewczynka, klasnęła z uciechy.

– W końcu coś ciekawego! Więc...?

– Rzewuski był wielkim tchórzem. Był cwany, tak, to na pewno. W końcu nie bez powodu zasiadał na tym stołku działacza klubu. A przy okazji miał udziały w innych biznesach. Tyle przekrętów, o jakie go podejrzewano... Ale zawsze śliski był i nigdy mu nic nie udowodniono. Ostrożny drań. Ale samobójstwa by nie popełnił. Gdyby mu jakiś przekręt nie wyszedł, to już szybciej bym się spodziewała, że spakuje torbę i zniknie z horyzontu, zaszyje się gdzieś...

– Na Kajmanach? – wpadła jej w słowo Honorata.

– Dlaczego na Kajmanach?

– Bo w filmach przestępcy zawsze mają tajne konta na Kajmanach, to może też tam się zaszywają – odparła z miną znawcy.

– No dobrze – zgodziła się łaskawie Krystyna. – Niech będzie na Kajmanach.

W ciszy, która na chwilę zaległa w pokoju słyhać było tykanie starego sprężynowego zegara. Panna Krystyna machinalnie wyglądała serwetę na stoliku. Nie mogła oprzeć się wrażeniu, że to rzekome samobójstwo Rzewuskiego nie ma żadnych podstaw. Znała go o tyle o ile, więcej z plotek niż z osobistych wrażeń, jednak opinię o ludziach umiała sobie szybko wyrobić. I szczyliła się tym, że zazwyczaj jej pierwsze wrażenia były jak najbardziej trafne. A Rzewuskiego lata temu sklasyfikowała jako oślizgłego węgorza. Ot, takie rybie skojarzenie. Śliski, niepewny... Zawsze uśmiechnięty, czaruś taki, kobiety mu z ręki jadły, mężczyźni raczej go unikali, no, chyba że mieli do niego jakiś interes. Facet był uniżenie grzeczny, jeśli mu na tym zależało i zupełnie nieczuły w stosunku do całej reszty.

– Ot, gnojek jeden! – wyrwało jej się mimochodem.

Honorata, przyzwyczajona do niepartykularnych komentarzy przyjaciółki, zbyła to milczeniem. Zresztą panna Krystyna tylko przy Honorci mogła sobie pozwolić na swoje drobne szaleństwa i mówić tak, jak jej się podobało, nie zważając zbyttnio, czy kogoś zszokuje, czy nie. Poza tym dzisiejsza polszczyzna jej

przekleństwa traktowała jako urocze archaizmy. Gładziła serwetę i coraz wyraźniej klarował jej się pierwszy i oczywisty wniosek.

– Mowy nie ma, by Rzewuski się zabił.

– Skoro to nie samobójstwo, to kto go zabił?

– Pojęcia nie mam. Zresztą..., co mogę? Siedzę w domu. Nawet nie wiedziałam, że to o Rzewuskiego chodzi. Nic nie wiem! Starzeję się!

– Ależ nie przesadzaj – przyjaciółka próbowała oponować. – Przecież nie masz jeszcze osiemdziesiątki.

– Starzeję się jak nic – rzeczowe stwierdzenie urwało wszelki sprzeciw. – Jeszcze chwila, a zupełnie wypadnę z obiegu. Taka kolej rzeczy... Ale zanim przejdę do lamusa coś trzeba zrobić z tym Rzewuskim. Zostawić tak tego nie mogę...

– Co więc chcesz zrobić? Złapiesz zabójcę ?

– No przecież nie będę latać po mieście z tym gipsem na nodze! A właśnie – panna Krystyna jakby sobie raptem o czymś przypomniała... – Czy ty nie powinnaś być właśnie u fryzjera?

Ten drobny wybieg pozwolił na zmianę tematu. Honorata westchnęła teatralnie.

– Bo widzisz... To jest taka tragiczna historia.

– Tragiczna? W jakim sensie?

– W dosłownym niestety. Cokolwiek by wybrać i tak będzie źle.

– A tak konkretniej?

– A mogę zacząć od początku? Wiesz jak nie lubię skróconych wersji wydarzeń. Nic z takich streszczeń nie wynika. Nie mają charakteru!

Panna Krystyna zaśmiała się w myślach. Słabością jej przyjaciółki były rozwlekłe relacje z zasłyszanych plotek i spotkań ze znajomymi. Według Honoraty każdy, nawet najdrobniejszy szczegół miał kolosalne znaczenie. Jednak słuchając jej relacji trudno było nadążyć za chaotycznym sprawozdaniem pełnym dygresji i nieustannego przeskakiwania z jednej myśli na drugą. Honorata swoją paplaniną mogła zagadać nawet zawodowych polityków, a to już stanowiło o mierze jej talentu. Widząc jednak zaaferowanie na wpatrzony w nią twarzy Krystyna nie miała serca, by zaoponować. Poprawiła się wygodnie na fotelu i przygotowała na pełną wersję wydarzeń.

– A więc...?

– A więc ślubu nie będzie! – rzuciła swoją bombę Honorata. – Wszystko odwołane! Ślub, wesele, podróż poślubna. No, po prostu wszystko!

– Wiesz czemu?

– Przecież! Rozmawiałam z matką niedoszłej panny młodej. To w końcu rodzina. Wiesz, że Janinka, siostra moja, świeć Panie nad jej duszą, doczekała się trójki wnucząt, w tym Zuzi. Więc jestem jej jakby cioteczną babką, czy jakoś tak..., chyba. No, w każdym razie Zuzia miała właśnie wychodzić za mąż, ale wszystko się posypało... Może to i dobrze, że teraz wyszło sztydło z worka, a nie po ślubie. To by dopiero była tragedia dla dziewczyny. I takie upokorzenie. A tak, popłacze trochę, pocierpi i przeklnie tego swojego byłego. I ma szansę ułożyć sobie życie, bo przecież jeszcze taka stara nie jest. Chociaż, doprawdy, mogłaby się już wydać za mąż. No, ale to przecież nie jej wina, że nie wyszło. Bidulka miała jak najlepsze chęci i się starała, nie ma co. Z tego co Ania, jej matka, wiesz, opowiadała, to miał być ślub jak z bajki. Kościół przygotowywała florystyka, tort zamawiali w Krakowie, w jakiejś modnej cukierni, suknia szyta na zamówienie, materiał sprowadzany sama już nie wiem skąd, koronki na pewno z Belgii... Chociaż chyba bardziej wolę ich czekoladki... No, ale mniejsza z tym. No i fotograf zamówiony, i plener. A wesele to mieli mieć w takim dworcu pod Krakowem, co to kiedyś syn Wejterowej się tam za menadżera załapał. Nie na długo zresztą, bo to ekskluzywny lokal, a on na



ekskluzywnego faceta nigdy nie wyglądał. No i tyle pieniędzy w to poszło. Ania rozpacza, że przepadły wszystkie zaliczki. Kilkanaście tysięcy ich to kosztowało. Ale powtórzę raz jeszcze, lepiej że teraz, a nie po.

– Ale w zasadzie co się stało? – Krystynie udało się w końcu wtrącić.

– No jak to co?! Zdradził ją, podlec jeden. Dwa miesiące przed ślubem oświadczył, że znalazł w końcu miłość swego życia, i że to, niestety, nie jest Zuzia. Cóż za perfidia! I zerwał zaręczyny. A biedna dziewczyna została z tym całym bajzłem, bo to ona od początku zajmowała się organizacją i podpisywała wszystkie umowy. I musiała to odkręcać. A wiesz, jakie to przykre tłumaczyć się na każdym kroku, że ślubu nie będzie. Udało jej się przynajmniej odsprzedać termin w tym dworku, bo znalazła się jakaś chętna para. Ale z resztą... Poszły pieniądze w las... I jeszcze, bidulka, pracy nie ma. No mówię ci, zupełna tragedia!

– A co z jej pracą? – zaniepokoiła się Krystyna.

Zuzannę kojarzyła piąte przez dziesiąte. Dziewczę zaraz po maturze przeniosło się do Krakowa na studia, zamieszkało u jakiejś krewnej i tam już osiadło na stałe. A to oznaczało, że wyszło poza krąg zainteresowań panny Krystyny. Nie zamierzała być światową damą, z tego już dawno temu zrezygnowała. Gdy jeszcze brat jej miał zapędy, by przenosić się do królewskiego miasta, bo to prestiż dla pisarza i w ogóle – skutecznie wybiła mu to z głowy. Lepiej być osobistością na prowincji, niż anonimową osobą w Krakowie. Co prawda w tej argumentacji bardziej chodziło o nią samą, niż o brata, który przecież był dość znany nawet za granicą, ale cóż... Gustaw, licząc się z jej opinią, kupił przedwojenną willę na wzgórzu nad miastem i osiadł tu na stałe. A ona wciąż dziękowała Bogu za ten wybór. Dzieliła czas pomiędzy redagowanie książek brata i obserwowanie małomiasteczkowej mentalności. I w obu tych dziedzinach urosła do miana eksperta. A to głównie dzięki temu, że umiała się skupić na tym, co najważniejsze i nie dawała się rozpraszać przez zbędne informacje. Tak więc Zuza, która jako nastolatka często odwiedzała Honoratę, z chwilą, gdy przeniosła się do Krakowa – wypadła poza krąg jej zainteresowań. Teraz jednak, jak się okazało, wróciła do miasta.

– No nie ma pracy. Przecież pracowała w agencji reklamowej swojego byłego. I jak narzeczony puścił ją kantem, to odeszła. Przecież nie wyobrażasz sobie, że mogłaby zostać tam i znosić te drwiny, uśmieшки i nieszczerze wyrazy współczucia. Zwłaszcza że nowa donna też tam pracuje. Więc Zuzia odeszła.

– Rzeczywiście, nie do pozazdroszczenia... I co chce teraz robić?

– Pojęcia nie mam. Ona sama chyba też nie wie, co dalej. No, musi się dziewczyna jakoś pozbierać. Im szybciej, tym lepiej. A wracając do tematu – Honorata wygładziła spódnice na kolanach i z powagą spojrzała na gospodynię. – Znajdziesz zabójcę Rzewuskiego? Bo chyba nie pozwolisz mu biegać sobie, ot tak, po mieście?



To miał być najwspanialszy dzień w jej życiu. Miał być... Zuza Krukowska, niedoszła Zuzanna Matysik, siedziała na podłodze w pustym mieszkaniu i ważyła w dłoni biały talerz. Krucha porcelana kusiła, by ją roztrzaskać w drobny mak. Oj..., bardzo kusiła. Wzięła próbny zamach i wyobraziła sobie, jak talerz szybuje łagodnym łukiem w stronę przeciwległej ściany, z hukiem pęka i w kilku kawałkach opada na podłogę. Białe skorupy przez pewien czas jeszcze drgają, by po chwili zastygnąć w niemej rozpacz.

A potem dołączają do nich następne i następne... Talerze, jeden za drugim, szybują równo w kierunku wspólnego łądowiska.

Jednak nie uczyniła najmniejszego ruchu, by te wyobrażenia wprowadzić w czyn. Siedziała oparta o ścianę i rozmyślała.

Po raz kolejny analizowała ostatni rok. Dzień po dniu, spotkanie po spotkaniu. Każdą rozmowę, najdrobniejszy gest... Próbowała ustalić, gdzie popełniła błąd. W którym momencie nie zauważyła, że jej związek to fikcja. Czy w ogóle były jakieś sygnały, czy też była tak naiwna, że niczego nie widziała? Nie umiała odpowiedzieć na to pytanie i wciąż na nowo się zdręczała wizją niedoszęłego wesela.

Kochała Mirka. Kochała go od pierwszego dnia, gdy na rozmowie kwalifikacyjnej, przeglądając jej teksty podsumował, że miło będzie mieć w końcu koło siebie kogoś, kto ma podobne poczucie humoru. Kochała go przez ostatnie cztery lata. To na pamiątkę pierwszego spotkania postanowili, nietypowo, wziąć ślub w czwartek. I właśnie ten majowy czwartek nadszedł. A ona, na przekór pięknej pogodzie, pogrążyła się w żalu i rozpacz.

W końcu ostrożnie odłożyła talerz do stojącego obok kartonowego pudła. Górę wzięła jej rozsądna strona. Nie ma po co tłuc zastawy. Nic to nie zmieni, a dodatkowo będzie musiała później jeszcze posprzątać. Ale jakże by jej to ulżyło...

Czuła się zdradzona i oszukana. Od pół roku miał romans. Ona przygotowywała każdy szczegół ich ślubu i planowała wspólne życie, a on tymczasem spędzał weekendy w górskim domku ze swą kochanką. Czy inni pracownicy wiedzieli? W końcu w plotkarskiej agencji reklamowej zawsze szydło wyjdzie z worka, a cudze tajemnice to był ulubiony temat rozmów przy lunchu. Na pewno wiedzieli. I cieszyli się z jej nieszczęścia. I z pewnością obgadywali ją za plecami. Przecież pracowała razem z Sylwią przy dwóch ostatnich kampaniach, a ta wdzięczną się żmija spała z jej narzeczonym.

Złapała stojącą obok szklankę i cisnęła nią o ścianę.

Może efekt nie był spektakularny, ale zawsze to jakaś ulga, choćby pozorna i chwilowa.

Rozejrzała się za kolejną ofiarą, lecz w zasięgu ręki nie było niczego poza stołową zastawą, której przecież postanowiła nie ruszać. Szkoda. Szklanki, tanie i kruche, idealnie nadawały się do jej celów. Nie miała jednak siły podnieść się z podłogi. Zmęczona oparła się o ścianę i zlustrowała mieszkanie.

Jej mieszkanie.

Jej własne.

Miało być „ich wspólne”.

Nie wyszło.

Gdy postanowili się pobrać, zdecydowali, że najlepszym wyjściem będzie wyprowadzić się z Krakowa. Firma oczywiście zostawała w mieście, oni natomiast chcieli się oderwać od tego pośpiechu i hałasu. Chcieli mieć wieczory dla siebie. I przede wszystkim stwierdzili, że małe miasto jest lepsze do wychowywania dzieci. A ona marzyła o dziecku. Najlepiej dwójce. Więc powstał plan przeprowadzki. Mirek miał własne mieszkanie w Krakowie, które zamierzali wynająć. W czasie studiów mieszkała z ciotką Ziutką, potem wynajęła kawalerkę i nawet w okresie narzeczeństwa nie przeprowadziła się do Mirka. Jakoś nigdy nie było na to czasu. Zawsze czuła się u niego jak chwilowy gość, nie odpowiadał jej wystrój mieszkania, utrzymany w ciemnych, ponurych barwach. Przyłączała ją czerń i głębokie brązy, mroziła bezosobowa nowoczesność. Dlatego nowe, wspólne mieszkanie mieli urządzić pod jej dyktando.

Wzięli kredyt i kupili dwupoziomowy apartament z pięknym widokiem na zielone wzgórza. To miało być ich miejsce na ziemi.

Co zostało z tych marzeń? Puste mieszkanie z wycyklinowaną podłogą, kuchnia na zamówienie w tonacji pastelowego turkusu i materac w sypialni. Ach, i jeszcze jedno – astronomiczny kredyt do spłacenia.

Zuza wpatrywała się w otaczające ją kartonowe pudła. Nie miała nawet jak rozpakować swoich rzeczy, w mieszkaniu nie było mebli. Od miesiąca tkwiła w tym prowizorycznym lokum, mimo nalegań matki, by się do nich przeniosła. Oczywiście, mogła wrócić do rodziców, ale niczego by to nie rozwiązało. Musiała się sama uporać z sytuacją. Na razie wciąż była na etapie rozpaczania i wyrzutów, i dobrze jej szło.

Wreszcie niechętnie podniosła się z podłogi i poszła na piętro. Pudła z ubraniami piętrzyły się w narożniku, a funkcję szafy pełnił dwumetrowy drążek. W ścisku wisały na nim równo opakowane w foliowe pokrowce jej robocze ubrania. Rząd szarych, beżowych i czarnych kostiumów. W sumie siedemnaście. I co teraz z nimi zrobi? Jedyna opcja to zatrudnić się w banku lub na jakimś biurokratycznym stanowisku, na przykład w urzędzie miasta...? Może wówczas na coś przyda się jej ta garderoba. Na szczęście były też kolorowe bluzki na przełamanie tej monotonnej kolekcji. I apaszki. Całe dwa pudła. I wśród nich jej perełki: trzy oryginalne egzemplarze od Hermesa, przywiezione z Rzymu. Byli tam z Mirkiem...

Zuza opadła na materac i wbiła pięści w poduszkę. Prezenty od Mirka! Jej ulubione apaszki to prezenty od Mirka!

I w końcu tama puściła. Od dwóch miesięcy robiła dobrą minę do tej tragifarsy i przekonywała wszystkich, i samą siebie też, że w zasadzie dobrze się złożyło, że prawda wyszła na jaw przed ślubem. I naprawdę wierzyła, że tak jest dla niej lepiej. Tylko dlaczego musiało ją to spotkać? Czym sobie na to zasłużyła? Dzielnie się trzymała, znosiła współczujące spojrzenia i pocieszenia rodziny. Jakoś to wytrzymawała, choć humor jej oscylował między furią a depresją.

Jednak apaszki – to było za wiele. Rozplakała się na dobre. Cholera! Jej ukochane apaszki!



Otworzyła raptownie oczy i usiadła. Miała nieprzyjemne wrażenie, że coś nie gra. Rzuciła okiem na zegarek, było już po trzeciej, a to znaczy, że przespała ponad cztery godziny. Cholera jasna! Dzień jej uciekał.

Stukot filiżanek na dole postawił ją do pionu. Podeszła cicho do barierki otaczającej antresolę i zerknęła na dół do salonu. Wstrzymała oddech, w zasięgu wzroku nikogo nie było. Istniały więc dwie opcje. Pierwsza – ktoś z rodziny postanowił spełnić uczynek miłosierdzia i ją pocieszyć. Zupełnie jej to nie pasowało. Miała obolałe powieki i podły humor. Jeśli ktoś spróbuje teraz wskazywać dobre strony życia, to chyba zacznie wyć. Opcja druga – na dole buszuje Ola. Od tygodnia pomagała jej przynosić pudła z dobytkiem i miała zapasowe klucze do mieszkania.

Boże, spraw, żeby to była Ola. Przynajmniej obejdzie się bez załamywania rąk.

– Mogę wiedzieć, czego tak wypatrujesz?

Pytanie rozległo się od strony schodów. Zuza odwróciła się z niemrawym uśmiechem.

– Modlę się.

– Oooo... Mam nie przeszkadzać? – figlarny uśmiech Oli odmłodził ją o dobrych kilka lat. W tej chwili nikt by nie podejrzewał, że jest matką dwójki ośmiolatków.

– Daj spokój... Moje modlitwy zostały właśnie wysłuchane.

– A co? Wygrałaś w lotka, czy twój eks wpadł pod pociąg?

– Coś jesteś dziś bardzo krwiożercza.

– To przez szkołę i całą resztę. Miśki zaczęły chodzić na zajęcia z judo, o to oznacza dodatkowy punkt w tygodniowym planie zajęć. Czuję się jak szofer. Zawieź, przywieź, pozamiataj. Kurcze. Prowadzenie domu to jak zarządzanie małą firmą. Wszystko na głowie i jeszcze nikt się nie czuje w obowiązku, by po sobie pozmywać talerze. Chociaż może to i dobrze – stwierdziła schodząc na dół do kuchni. – Jeszcze by mi wytlukli całą zastawę. Albo musiałabym kupić plastikową w takich neonowych kolorkach.

Zuza na wspomnienie zastawy westchnęła.

Trzeba jeszcze uprzątnąć szkło... Wzięła zmiotkę i ruszyła do salonu.

– Widzę małe nieszczęście. Wypadek czy furia?

Ola podeszła do kuchenki i zdjęła parujący dzbanuszek z kawą. Aromat rozchodzący się po pustym mieszkaniu był wręcz niezemski.

– Furia kontrolowana. Poszła tylko szklanka, choć miałam ochotę na więcej...

– I rozsądnie nic innego nie stłukłaś? Głupia jesteś. Trzeba było sobie ulżyć.

– Właśnie dopiero co broniłaś swojej zastawy przed chłopakami, a teraz mi radzisz rozbić moją własną?

– Dla mnie byłby to kłopot. Dla ciebie zajęcia terapeutyczne. Ale skoro nie doszły do skutku, to zaczniemy od kawy.

Zuza wrzuciła odłamki do pojemnika i przysiadła na barowym stołku. Kuchnia była jedynym pomieszczeniem w mieszkaniu, które zostało urządzane na błysk, od „a” do „zet”. No, może nie do „zet”, ale przynajmniej do „pe”, co w jej pojęciu oznaczało praktyczne i piękne. Istna perfekcyjna pani domu... Kuchnię zrobiono na zamówienie, według ściśle określonych wytycznych. To miało być jej niepodzielne królestwo. Jej azyl i odskocznia. Tak było zawsze: gdy miała chandrę, brała się za odważenie odpowiedniej ilości mąki, a potem już samo szło. A przynajmniej tak było jeszcze dwa miesiące temu. Teraz nawet pieczenie sernika straciło swój magiczny urok recepty na wszystkie smutki. Ale kuchnię miała pasteloturkusową, w tym morskim, magnetyzującym odcieniu, po prostu idealną...

– Co zamierzasz dziś robić? Użalać się nad sobą? – Ola jak zawsze z prostotą przeszła do sedna.

– Taki mniej więcej był plan...

– I nic innego do zrobienia?

– Nic.

– To dobrze – stwierdziła i zajęła się swoją kawą.

Zuza zaskoczona wpatrywała się w Olę. Nie takiej reakcji się spodziewała. Przywykła do serii pocieszających frazesów, które może szczerze, ale niczego nie zmieniały. Chociaż przyjaciółka ze szkolnej ławki miała to do siebie, że nawet po dwudziestu latach znajomości potrafiła ją zaskoczyć. Rzadki i cenny dar.

Teraz, nie zwracając uwagi na zastygłą w bezruchu Zużę, piła spokojnie kawę i podjadała znalezione w szafce ciastka.

Niedoszła panna młoda w końcu się otrząsnęła.

– Czyli dobrze jest się nad sobą użalać?

– Nie. Dobrze, że nie masz na dzisiaj innych planów. Użalać się możesz kiedy indziej, a teraz ubierz się jakoś, pomaluj i idziemy na miasto.

– Po co?

– Boże, kobieto! Jak to po co? A po co się chodzi na miasto? Aby pooglądać sobie innych, poplotkować, obgadać tę i ową... Aby się zabawić i rozerwać. Iść do fryzjera, kupić sobie nową kieckę.

– Nie chcę fryzjera i kiecki!

– Ależ chcesz. Tylko może jeszcze o tym nie wiesz – Ola była nieustępliwa. – Poza tym za dwa dni

mamy imprezę i trzeba się przygotować. Bo jak nie, to nas obgadają i suchej nitki nie zostawią, a ja nie zamierzam dać tym flądom takiej satysfakcji. Już sobie to wyobrażam, jak Natalia tą swoją wymanikiowaną łapką macha mi przed nosem, by pokazać nową złotą bransoletkę od kochanego mężusia. Szans nie ma! Chcę wyglądać tak, jakbym zeszła z wybiegu. No, a przynajmniej być w zbliżonej wersji.

– Boziu... – jęknęła Zuza i oparła czoło o blat. – W życiu! Na żadną imprezę nie idę!

– Idziesz, idziesz. Przecież sama tam się nie pojawię.

– Będzie Julka.

– Będzie Julka, będziesz ty i ja. Stara paczka znowu górą. I wszystkie mamy wyglądać perfekcyjnie, by innym szczeny opadły. Taki jest plan, no, a teraz się zbieraj. Ruchy! – Ola zaczęła ją spychać ze stołka.

– Kiedy z ciebie zrobiła się despotka? Jakoś wcześniej taka nie byłaś. – Zuza marudziła, idąc po schodach na antresolę.

– Jak się ma dwoje dzieci w domu, to albo jesteś szczęśliwą despotką, albo zdesperowaną idiotką. Trzeciej wersji nie ma.

I zadowolona z riposty podkrađła z talerza jeszcze jedno ciastko.



– Co my tu, do diabła, robimy? – panika w głosie Zuzanny była aż nazbyt wyraźna. Próbowwała wziąć głębszy oddech, ale ściśnięta krtań skutecznie ją przyduszała.

– Przygotowujemy się do wielkiego, sobotniego występu – beztrioskie stwierdzenie Oli spotęgowało jeszcze popłoch. Było wręcz podejrzan.

Weszły do zakładu fryzjerskiego, który szczycił się prawie czterdziestoletnią tradycją i wymyślną nazwą, której i tak nikt nie pamiętał. Wszystkie emerytki z osiedla, zasiedziałe tu od wieków, zawsze biegały do pani Lonii na trwałą. W efekcie siedemdziesięcioletnie elegantki, jak jeden mąż, miały poskręcane włosy w odcieniach popielu z pobłyskami fioletu lub pomarańczu. Czasem, od święta, siedziały w szeregu pod suszarkami, by w efekcie wyjść stąd szczęśliwie natapirowane i wylakierowane. To był szczyt osiedlowej mody.

– Chyba oszalałaś. – Zuza tyłem wycofywała się w kierunku drzwi czując na sobie jastrzębie spojrzenia rzucane przez stałe klientki.

Samo wewnątrz też sprawiało wrażenie jak z głębokiego PRL-u. Zielonkawe linoleum na podłodze, rząd ogromnych suszarek pod ścianą, nad lustrami zdjęcia z dawnych wydań „Przyjaciółki”. Wszystko w spłowiałych barwach.

– Bez paniki – rzuciła Ola i zwróciła się z uśmiechem do starszych pań. – Mamy umówioną wizytę.

Te od razu się uspokoiły i wróciły do czytania gazet.

– Nie rób scen – szepnęła, popychając Zuze na brązową kanapę. – Wiesz jak ciężko się tu dostać?

– No nie wyobrażam sobie...

Szum suszarki uniemożliwił dalszą rozmowę. Zrezygnowana Zuza obserwowała, jak powstaje misterna konstrukcja sztywnych loczków. Gdy minął pierwszy szok, jakoś trudno było jej uwierzyć, by Ola na poprawę humoru zafundowała jej wizytę u pani Lonii. Gdyby wszystko poszło tak, jak miało być, siedziałyby teraz w domu rodziców przed dużym lustrem w sypialni, a spod rąk stylisty wylaniałyby się

elegancki, prosty kok. Matka biegałaby wkoło zaaferowana, ojciec próbowałby opanować sytuację, brat skakałby z aparatem i przeszkadzał fotografom, których wynajęła, makijażystka nałożyłaby jeszcze odrobinę różu na policzki... I byłaby gotowa do wyjścia do kościoła.

Mogło tak być. Zanurzona w niewesołych rozmyślaniach nie zauważyła młodej dziewczyny, która przed nimi stanęła.

– Przepraszam za spóźnienie. Trochę zajęła mi ta wizyta domowa. No, ale teraz jestem do waszej wyłącznej dyspozycji. Na co macie ochotę?

Ola poderwała się z fotela.

– Na wszystko. Farbujemy, strzyżemy, szalejemy!

– No, to mi się podoba – fryzjerka zapraszającym gestem wskazała wolny fotel.

Zuza została poderwana przez przyjaciółkę i posadzona na miejscu. Poczowała się jak lalka, nad której nowym strojem sprzeczą się dwie dziewczynki. Ona sama, zafascynowana, obserwowała w lustrze dwie gestykulujące nad jej głową kobiety.

Widząc lekko spanikowane spojrzenie fryzjerka uśmiechnęła się uspokajająco. Mogła mieć jakieś dwadzieścia, dwadzieścia jeden lat, była dość drobna, energiczna i miała świetną fryzurę. A to chyba wystarczająca rekomendacja.

– Jestem Nina. Wnuczka pani Lonii.

– I następczyni – rzuciła z drugiego stanowiska właścicielka. – Jeszcze trochę i Tosia zrobi tu salon. Ale oczywiście ja dalej będę przyjmować moje wieloletnie klientki.

– Właśnie... – starsza pani energicznie przytaknęła. – Bo nikt nie umie tak zająć się włosami jak pani Lonia. Klasycznie i elegancko, bez tych nowomodnych bzdur.

– Tosia? – Zuzanna nie skojarzyła.

Tymczasem wnuczka szybko rozczesywała jej włosy.

– W zasadzie Antonina – rzuciła w lustrze rozbawione spojrzenie. – Babcia uparcie zdrabnia to na Tosię, ale wolę Ninę.

– Aha...

– Kolor na pewno, przynajmniej odświeżyć. Ale ja bym proponowała małą zmianę...

– Zmianę?

– Właśnie. Coś w kierunku wiśniowego połysku. I koniecznie skrócić...

– Skrócić? – znów powtórzyła. – Chyba nie...

– Ależ tak – wtrąciła się Ola. – Od kiedy nosisz tę długość? Odkąd pamiętam. Już w liceum miałaś włosy do ramion.

– Tak jest wygodnie. Można łatwo i szybko je upiąć.

– Wygodnie? Może. I, wybaczyć, nudno. Ciebie w sobotę mają zobaczyć zupełnie nową, odmienioną. Tniemy, bez dwóch zdań – rzuciła groźne spojrzenie. – Jeszcze mi podziękujesz.

Zuza wpatrywała się we własne odbicie i toczyła wewnętrzną walkę. To miał być pierwszy dzień jej nowego życia. Skoro życie się zawaliło, to może chociaż zostanie coś z tego „nowego”.

– Dobra, tniemy – zdecydowała i zamknęła oczy, by nie widzieć egzekucji.

– Świetnie.

Fryzjerka zabrała się do pracy.

– Na razie zrobimy ostre cięcie, potem kolor i podcinanie. Będzie idealnie.

Po dwudziestu minutach Zuzanna siedziała z folią na głowie i próbowała się przekonać, że podjęła słuszną decyzję. A co tam! Nowa fryzura, nowa ja. Jednak nie do końca udawało jej się skupić na tym swoim wizerunku. Mam być silna, pewna siebie, seksowna, powtarzała sobie w myślach. Tak mają mnie widzieć inni. Nie mogą się nawet domyślić, że się nad sobą uzalam. Jestem silna, zaradna, wszystko mam

pod kontrolą...

– A słyszała pani o tym biednym Rzewuskim? – siedząca obok staruszka zagadywała do pani Lonii. – I kto by pomyślał...

Zuza jęknęła w duchu. Znow się zaczynało. Lokalne plotki i skandale. Ona tu nie wytrzyma. Nic się nie dzieje, a wszyscy mają tyle do powiedzenia. Boże!

– No... Jakoś nigdy bym go nie podejrzewała... Ale skąd możemy wiedzieć, co to takiemu w głowie siedzi? Wydaje się, że człowieka znasz, a on robi coś takiego...

Co racja, to racja. Jej też się wydawało, że zna Mirka. Głową by ręczyła za jego wierność. Świetnie się rozumieli, mieli podobne zainteresowania i pogląd na życie... Jak się jednak okazało, nie taki znow podobny, skoro w jego kategoriach zdrada narzeczonej była do usprawiedliwienia. Jak sam tłumaczył, szukał tylko własnego szczęścia. A niech się tym szczęściem udławi!

Czas płynął niezauważenie. Nina co kilka minut odrywała się od Oli, podważała folię i sprawdzała farbę u Zuzy.

– Idziemy do mycia – zarządziła wreszcie zadowolona z efektu i przesadziła ją na sąsiedni fotel. – Kolor powinien już być dobry. I tak częściowo się wypłucze, ale zawsze tak jest z czerwieniami. I koniecznie szampon do farbowanych włosów, wtedy kolor się dłużej utrzyma. Za miesiąc i tak trzeba będzie odświeżyć – instruowała. – A teraz podetniemy...

Ola z sąsiedniego krzesła przyglądała się z aprobatą, jak Nina szybko i wprawnie odcina kolejne kosmyki. Zuza co jakiś czas zerknęła w lustro i czuła przechodzące po plecach ciarki. Potem w ruch poszły szczotki. Fryzjerka nakręciła jej włosy i szybko suszyła. Wreszcie głowę otoczyła chmura lakieru. Przymknęła oczy i starała się przez chwilę nie oddychać.

– I gotowe – zadowolony głos Niny przedarł się przez szum sąsiedniej suszarki.

Zuza niepewnie otworzyła oczy, zerknęła w lustro i oniemiała.

Jeszcze pół godziny później, siedząc z Olą w kawiarni, wciąż zerknęła do lustra na ścianie i nie mogła się nadziwić, że spoglądająca na nią kobieta to ona sama.

Włosy były o wiele krótsze, niż się spodziewała, jednak na tyle długie, że układały się miękkimi falami wokół głowy. Wiśniowy połysk nadawał twarzy ciekawe obramowanie. Wyglądała zupełnie inaczej...

– Widzę, że wciąż jesteś w szoku – Ola zerknęła na nią z uśmiechem. – I co? Podziękujesz mi?

– Zdecydowanie. Choć muszę ochłonać. Skąd wytrzasnęłaś taką fryzjerkę? Jest genialna!

– To moje odkrycie roku. Zupełnie przez przypadek, szczerze mówiąc. Wiesz sama, jaką opinią cieszy się zakład pani Lonii.

– Od wieków zasłużoną.

– Właśnie. Więc wszystkie kobitki poniżej pięćdziesiątki starają się go omijać szerokim łukiem. Wiesz co... – przerwała spoglądając na szklaną gablotę z ciastami. – Jedno tiramisu mnie nie zabije. Ciebie też nie.

Wróciła z dwoma talerzykami.

– A więc, jakieś pół roku temu – kontynuowała – wypadło mi nagłe wyjście. Mariusz zadzwonił z pracy, że za dwa dni ma w Krakowie jakiś bankiet organizowany przez bank. Nikt się właściwie nie wybierał, a w ostatniej chwili okazało się, że ktoś musi iść. I padło na niego. Miałam dwa dni, by umówić się do fryzjerki. A w zasadzie to jeden dzień, bo powiedział mi to dopiero wieczorem. Zadanie niemożliwe. Obleciałam chyba wszystkie salony. Nie było szans, nawet na czesanie bez mycia. W końcu, bo już nic innego nie zostało, poszłam na osiedle. A tu zamiast pani Lonii młode dziewczę czesze jakąś koleżankę i to uczesanie wygląda nadzwyczaj współcześnie. I tak poznałam się z Niną, która życie mi uratowała i mogłam się na tym bankiecie odpowiednio zaprezentować. Jak już Ninę poznałam, to zostałam jej stałą klientką i sprowadzam inne znajome. Wszystkie są zadowolone, więc miałam pewność,

że oddaję cię w dobre ręce. A twoja fryzura... Pierwsza klasa. W dziesięciopunktowej skali skoczyłaś przynajmniej dwa punkty w górę.

Zuza zaczęła się tak śmiać, że łzy pociekły jej z kącików oczu.

– Bo się rozmażę...

Próbowała chusteczką ratować tusz.

Ola odchyliła się w fotelu i też chichotała.

– Dawno się tak nie bawiłam... A to jeszcze nie koniec.

– Masz na to jeszcze czas? Dwójka dzieci i mąż w domu.

– Dwójka dzieci u dziadków, mąż u kolegów na meczu, więc jak widać dom dziś pusty.

– W środku tygodnia? Jak ty to robisz? Wydajesz się taka zorganizowana i panująca nad wszystkim.

– Kochanie – przyjaciółka machnęła niedbale ręką. – Cała sztuka polega na umiejętności stwarzania odpowiednich pozorów. I pozwoleniu innym, by ci pomagali. Ja mam tylko tym wszystkim zarządzać. Nie bez powodu skończyłam ekonomię. Teraz chociaż przydaje się w prowadzeniu domu – rzekła z niejakim smutkiem w głosie.

– Nie chcesz wrócić do pracy?

– To temat na inną pogodę. Teraz mamy czas, by dobrze się bawić. Idziemy na zakupy!

I poderwała się z miejsca.

Pierwszym punktem było obejście sklepów w rynku. Dokładnie nie wiedziały, czego szukają, ale przecież najlepsze zakupy robi się przez przypadek i na to właśnie liczyły. Jak im coś wpadnie w oko – to załatwione. Jak nie, to mają jeszcze piątek i sobotni ranek.

Do zamknięcia sklepów pozostała prawie godzina, choć niektóre, dziwnym zwyczajem, już o siedemnastej miały założone kraty i kłódki. Jeśli ktoś kończył pracę o szesnastej – nie miał raczej większych szans na shopping. Zawsze wtedy pozostawał wypad do Krakowa.

– I dziwić się, że narzekają na marne obroty – irytowała się Zuza. – Skoro nie można nic kupić, bo albo same duże rozmiary, albo po prostu zamknięte... Taktyka odstraszenia klienta, czy co?

– Przywykniesz... – Ola wzruszyła ramionami. – Nic na to nie poradzisz. Po prostu trzeba wiedzieć, do której sklepy są otwarte. I tyle. Skupmy się na tych, które jeszcze będą miały coś w stylu sukienek wizytowych.

W czwartym sklepie obie prawie pisnęły z zachwytu. Ola pobiegła w prawo, Zuza w lewo i każda złapała swą zdobycz.

– Patrz! Idealna!

Zuza przyglądała się przyjaciółce dzierżącej krwistoczerwoną sukienkę.

– Odpowiedni fason, długość nad kolano, mały rozmiar i rozsądna cena! I mam do niej buty i torebkę! Muszę przymierzyć.

I zniknęła za zasłoną.

Zuza miała w ręce dwukolorową wersję z lat pięćdziesiątych. Czarna, szeroka, postawiona na tiulu spódnica, wszyty gruby pasek i biała, prosta góra. Jeśli założy do tego czarne korale i czerwoną bransoletkę, to będzie retro. Zadowolona weszła do sąsiedniej przymierzalni.

Sukienka leżała idealnie. Zbyt idealnie, bo przeraziła ją cena.

Stała wpatrując się w swoje odbicie, bijąc się z myślami. Nie miała pieniędzy. Z drugiej strony nowa fryzura, świetna sukienka. Zaczyna nowe życie. Tylko dlaczego łatwiej powiedzieć, a trudniej w to uwierzyć? A więc jeszcze raz. Zaczyna nowe życie i jest warta tego, by mieć świetną fryzurę, kupić sobie świetną kieckę i świetnie się bawić na zlocie absolwentów. Nawet jeśli nie ma męża, dzieci i pracy.

Zasłonka odchyliła się nieznacznie i kuknęła Ola.

– No, no... Wyglądasz tak, że faceci powinni paść trupem. Kobiety też, z zazdrości, a przecież na tym



nam najbardziej zależy. I jak? Bierzesz?

– A co mi tam. Biorę!



Do domu rodziców poszła na piechotę. Po pierwsze – nie było daleko, a spacer był jak najbardziej wskazany, bo sukienka leżała jak ulał, w związku z czym nie mogła przytyć nawet grama. A kolacja u rodziców raczej zapowiadała przynajmniej kilogram nadwagi. Więc profilaktycznie można trochę zrzucić przed. Po drugie – i tak nie miała samochodu, bo własny sprzedała zaraz po przeprowadzce do Grodowa, by spłacić kolejne raty kredytu.

Nie za bardzo wiedziała, czego się spodziewać. Nie życzyła sobie w tym momencie rodzinnego zlotu w ramach rekompensaty za nieodbyte wesele. Wystarczyła jej świadomość, że wszyscy krewni od dwóch miesięcy mają ją na językach i ze szczegółami rozprawiają o jej nieudanym związku. Mieć to jeszcze przy kolacji w dzień niedoszłego ślubu...

Rodzinny dom mieścił się na tak zwanym zachodnim przedmieściu. Postawiony jeszcze przed wojną przez pradziadków pełnił rolę rodowej siedziby. Wysokie piwnice mieściły obficie zaopatrzoną spiżarnię, polana drewna kominkowego i składzik ogrodniczy. Parter przeznaczono na część otwartą, jak mawiał ojciec: „do wizytacji”, na poddaszu, zaadaptowanym w latach osiemdziesiątych, zmieściły się cztery sypialnie. Dom miał ten niezwykły klimat wspomnień lat dziecińczych, czasu beztroski i zabawy. Tysiące zakamarków, które przesiąkły urokiem tajemnic. Zuza uwielbiała rodzinne lokum, czując jednocześnie przed nim jakiś dziwny respekt. Tak, jakby posiadał swą osobowość i gromadził wspomnienia wszelkich przeszłych dni...

Przekraczając próg czuła już zapach szarlotki. A więc mama postanowiła zaserwować ciasto na pocieszenie. Można się było tego domyślić. Według uświęconej rodzinnej tradycji – szarlotka nadawała się na wszelkie domowe kłopoty. W wersji Zuzy pocieszanką był sernik, ale ciastkiem z jabłkami też nie zamierzała pogardzić.

Cicho zajrzała do kuchni, próbując wybadać sytuację. Na kuchence podgrzewało się coś w garnkach, na blacie obok poodkręcane słoiki, jeszcze z zeszłorocznych zapasów sałatek.

– Ach! Jesteś wreszcie.

Mama szybko cmoknęła ją w policzek i dała do rąk półmisek.

– Zanieś na stół. Piotrek już się zabrał za ciasto, a przecież jeszcze nie podałam kolacji! Co za maniery?! I jeszcze mi wmawia, że ja go tak wychowałam.

Fuknęła coś pod nosem, zagarnęła z kuchni salaterkę z ogórkami i popędziła córkę do jadalni.

Nie było tak źle, stwierdziła Zuza wchodząc do sąsiedniego pokoju. Tylko rodzice i brat z żoną. Więc zlot rodzinny został jej oszczędzony.

– To już można jeść ten placek? – Piotrek, nie czekając na odpowiedź, sięgnął po kolejną porcję ciasta.

Do Zuzy podeszła bratowa. Szczupła, wysoka blondynka w pięknym, własnoręcznie wydzierganym szalu. Objęła ją serdecznie.

– Nie wiem, czy składać ci wyrazy współczucia, czy gratulacje. Chyba to drugie, choć pewnie nie czujesz teraz, jakie miałaś szczęście. Poza tym, świetna fryzura.

Matka dopiero teraz spojrzała uważnie.

– O! Mój Boże! Coś ty zrobiła z włosami?!

– Wygląda fantastycznie – zachwyciła się Renia. – Zupełnie odmieniona. I ten kolor! Piotrek, co sądzisz?

Brat zerknął znad talerzyka.

– Zwraca uwagę. To chyba dobrze. Choć głęboki dekolt da ten sam efekt. A raczej lepszy. Faceci to wzrokowcy.

– Oj, ty! – Renata pacnęła go w głowę. – Tu nie chodzi o zwracanie uwagi, ale o dobre samopoczucie, matołku.

– Na to wystarczy piwo.

– Nie słuchaj go – Renata zwróciła się do Zuzy. – Faceci to obcy gatunek. Wyglądasz rewelacyjnie i to jest najważniejsze.

– Dzięki.

– Ale coś ty zrobiła z włosami? – matka nie mogła tego przeboleć. – Zawsze miałaś takie ładne, długie...

– I dlatego je ścięłam. Musiałam coś zmienić.

– Ale włosy...? Nie mogłaś sobie po prostu kupić nowej sukienki?

Zuza zgrzytnęła zębami. Zaczynało się...

– Sukienkę też kupiłam. Na sobotę. A włosy ścięłam i koniec.

– Na szczęście za jakiś czas odrosną.

Wygłosiwszy to pocieszenie matka zabrała się za nakładanie ziemniaczków na talerze.

Zuza odliczała w myślach do dziesięciu. Potem do dwudziestu. Kochała rodziców, tylko czasami wolałaby być gdzieś indziej. Na nic zdały się rozmowy, że jest dorosła. Miała w końcu dwadzieścia dziewięć lat, a w rodzinnym domu wciąż czuła się jak nastolatka pod ścisłą kontrolą. Przynajmniej ma oddzielne mieszkanie.

– Mnie się podoba – ojciec zdecydował się w końcu wygłosić swoją opinię. – Przypominają kolorem starego burgunda.

– No to toast – Piotr wzniosł kieliszek. – Za siostrę, która uniknęła największego błędu w życiu, czyli małżeństwa, i podjęła dobrą decyzję co do koloru włosów.

Rodzina wypła jej zdrowie.

Gdy na stole pojawił się półmisek z zimnymi mięsami, przyszła pora na poważne dyskusje. Zuzanna właśnie tego się obawiała: że chcąc jej pomóc rodzina będzie próbowała wymusić na niej jakieś działania. A ona zupełnie nie czuła się na siłach, by w tym momencie decydować o przyszłości. Na razie liczyło się tylko to, by jakoś przetrwać kolejne dni i nie zwariować. A tu zanosilo się na przełomowe rozstrzygnięcia.

– Co zamierzasz zrobić z mieszkaniem? – pytanie matki zawisło nad stołem i cztery pary oczu wpatrywały się w nią wyczekująco.

Zuza z premedytacją odczekała chwilę, jakby się zastanawiając. Sięgnęła po kieliszek i zaczęła się nim bawić...

– Zatrzymam je – oświadczyła w końcu.

– Ale cię nie stać. Masz kredyt i nie masz pracy. Jak ty sobie to wyobrażasz?

– Jeszcze nie wiem. Coś wymyślę. Na pewno.

– Możesz je wynająć i wprowadzić się do nas. Twój pokój jest wolny.

I stało się. Wiedziała, że wcześniej czy później matka zacznie naciskać. A mimo to nie zdołała przygotować sobie jakiejś w miarę dyplomatycznej odpowiedzi. Ale jednego była pewna: nie było takiej siły, która zmusiłaby ją do powtórnego zamieszkania z rodzicami. Nawet, gdyby musiała pozbyć się

mieszkania, czego bardzo, ale to bardzo nie chciała.

Złożona propozycja wymagała odpowiedzi.

– Na razie jakoś sobie poradzę. Mieszkanie zostaje, a ja w nim. Nigdzie nie zamierzam się przenieść. Coś na pewno wymyślę – powtórzyła.

– No cóż, skoro tak uważasz – pełne powątpiewania stwierdzenie sugerowało, że najdalej za miesiąc spodziewała się zastać córkę na progu domu.

– A tymczasem... – ojciec podniósł się zza stołu i podszedł do kredensu. Spomiędzy wykrochmalonych na sztywno białych obrusów wyciągnął kopertę i wręczył ją córce.

– Miał to być prezent ślubny na nowe mieszkanie – wyjaśnił. – A teraz to po prostu prezent na nowe mieszkanie. Prawie na spłatę kolejnej raty. Dzięki temu zyskasz jeszcze trochę czasu na zastanawianie się co dalej.

Zuza serdecznie uściskała ojca.

Renata szturchnęła Piotra.

– No dobra... – rzekł brat. – My też coś dla ciebie mamy.

Poszedł do przedpokoju i wrócił z kolejną kopertą.

– To też taki prezent na nowe mieszkanie – rzekł i rozczochrał jej nową fryzurę.

– Nie wiem, co powiedzieć... – Zuza obracała w dłoniach niespodziewane prezenty.

– Mówi się: dziękuję.

– Dziękuję.

– No i sprawa załatwiona. Można wrócić do szarlotki.

Co też od razu uczynił.

Zuzanna spojrzała na zgromadzoną przy stole rodzinę.

– Najgorsze jest to, że tu się nic nie dzieje... – zaczęła.

– Jak to nic? – nastroszyła się matka.

– Przecież sama chciałaś się tu przeprowadzić – równocześnie stwierdził ojciec.

– Tak – przyznała. – Ale gdy kupowałam mieszkanie to miałam na widoku męża i dziecko.

– Jesteś w ciąży?! – matka aż poderwała się z miejsca.

– Nie jestem. Mówiłam ogólnie. Grodów wydawał się dobrym miejscem na zakładanie rodziny.

– Dziecko miałoby krewnych wokół siebie, a nic tak nie wzmacnia jak poczucie przynależności do klanu – przytaknął Piotr, a Zuzanna udała, że nie dostrzega sarkazmu w jego głosie.

– W każdym razie muszę znaleźć sobie jakieś zajęcie, bo inaczej zanudzę się na śmierć. Może zacznę biegać...? – zastanawiała się na głos.

– Już to widzę – szepnął Piotr.

– Nie cuduj – matka zgromiła go wzrokiem. – Poza tym – zwróciła się do córki – jak możesz twierdzić, że nic się nie dzieje. Wystarczy tylko wyjść z domu, a masz aferę jak z telewizji. Rzewuskiego przecież zabili.

– Tego działacza sportowego?

– Właśnie. W sobotę go znaleźli, a w niedzielę całe miasto wybrało się na popołudniowy spacer pod halę sportową, oczywiście przypadkiem. Sępy chciały zobaczyć co i jak, ale oczywiście nikogo do środka nie wpuszczali.

– Ty też poszłaś? – zaciekawiała się Zuza.

– No co też ci strzeliło do głowy? – Oburzyła się matka. – Żebym miała tam chodzić, jak jakaś żądna krwi matrona? Posłałam ojca.

Siedząca obok Renata próbowała powstrzymać parsknięcie. Zuza zagryzła wargi, by przypadkiem nic jej się nie wyrwało. Tylko Piotr, niewzruszony, z pełną powagą zwrócił się do ojca:

– I czego się dowiedziałeś?

– Że Jarzębski rano na stawach złowił karpia.

Zuza z Renatą śmiały się już otwarcie.

– Ech, wy... Nic tylko ryby... – matka machnęła ręką.

Piotr zabrał talerz z ciastem i razem z ojcem przenieśli się do salonu przed telewizor. Kobiety zgarnęły naczynia ze stołu i poszły do kuchni. To tu, wśród bukietów suszonych kwiatów i kolekcji mosiężnych form do ciasta, biło serce domu. Widok starego drzewnego pieca, który rozpalany był tylko raz w roku, przy okazji Wigilii, działał kojąco.

Renata zabrała się za zmywanie, więc Zuza wzięła do rąk ścierkę. Matka nastawiła wodę i wsypała herbatę do pękatego imbryka.

– Rozmawiałam w tym tygodniu z wujkiem Ryśkiem – zaczęła tonem pogawędki.

Oho, coś się szykuje...

– Wiem, że nie chcesz przyznawać się do rodziny...

– Oj, mammo... – jęknęła Zuza.

– Wiem. Ale tutaj bez rodziny niczego nie załatwisz. To nie Kraków. Chcesz zatrzymać mieszkanie. Dobrze, zrób tak. Choć nie do końca popieram ten pomysł. Ale nie masz męża, za to po tym całym związku z Mirkiem masz kredyt na głowie i musisz znaleźć pracę.

– I właśnie o tym rozmawiałaś z wujkiem Ryśkiem?! – Zuza ze zgrozą wpatrywała się w matkę. Ostrożnie odłożyła wytarty talerz i oparła się o szafkę.

Że tutaj wszyscy żyją plotkami – wie. Że sama po tym odwołanym ślubie jest tematem tych plotek – też wie. Ale żeby jeszcze podsycać je własna matka? I to rozmawiając z największym plotkarzem w mieście? Wujek Rysiek żył z tego, że był dobrze poinformowany. Dosłownie. Był redaktorem naczelnym i przy okazji właścicielem lokalnej gazety.

– Niezupełnie z nim. Rozmawiałam o tym z Basią.

Coraz lepiej... Ciotka Basia, siostra mamy, gospodyni domowa z zamiłowania, na zakupach schodziły jej średnio cztery godziny dziennie. Według ustalonego grafiku wyruszała po chleb przed ósmą, wracała gotować obiad koło południa. Po drodze spotykała multum znajomych, a z każdym miała coś do omówienia. Udzielała się w dwóch klubach zainteresowań i wspierała jedno z miejskich stowarzyszeń. Zawsze w biegu, zawsze z jakąś sprawą do załatwienia.

– Powiedziałaś ciotce, że szukam pracy?

– Nie. Stwierdziłam tylko, że jej nie masz. I to ona zaproponowała, że porozmawia z Ryśkiem. Co w tym dziwnego? Rodzina jest od tego, by sobie wzajemnie pomagać. Przecież redakcję znasz, już tam pracowałaś.

– To było w ogólniaku! – Zuza zaczęła nerwowo wycierać salaterkę.

W liceum, podczas ostatnich wakacji, przez miesiąc pomagała w redakcji, żeby zarobić na wyjazd. Rodzice, choć niechętnie, zgodzili się wówczas na taki układ – jeśli sama uzbiera pieniądze, to może pojechać ze znajomymi. Również w czasie prawie czteromiesięcznej przerwy przed rozpoczęciem pierwszego roku studiów – zaczęła się w gazecie. Już wówczas miała małe scysje z wujkiem.

– A co takiego złego jest w tej pracy? – chciała wiedzieć Renata.

– Czytasz tę gazetę?

– Niespecjalnie – przyznała się bratowa z przepraszającym uśmiechem.

– A dlaczego?

– Niewiele w niej jest...

– Właśnie! – stwierdziła Zuza tryumfalnie. – Jak w każdym numerze można pisać o przedszkolakach odwiedzających zoo i strażakach oddających krew? Ach, i oczywiście o posiedzeniach rady miasta

i zebraniach wójtów?! Ciągle to samo. Wiadomości zawsze spóźnione o tydzień, dwa, czasami o miesiąc.

– Przesadzasz... – matka próbowała oponować. Przetarła ściereczką stary młynek do kawy i zadowolona z efektu wróciła do przerwanej dyskusji – Rysiek prowadzi gazetę najlepiej, jak umie.

– Sęk w tym, mammo, że nie umie.

– Bzdura. Gazeta ma już ponad dwadzieścia lat i patrz, jak dobrze na niej zarabia!

Wytoczywszy koronny argument, pani Anna uznała dyskusję za skończoną.

Zuza wiedziała, że na upór matki nie ma lekarstwa. Za jej plecami spojrzała na bratową i teatralnie przewróciła oczami.

Gdy dwie godziny później wchodziła do swojego mieszkania, wciąż dźwięczały jej w uszach ostatnie słowa matki:

– Umówiłam cię jutro, na jedenastą. I pamiętaj, nie spóźnij się.

Rzuciła klucze na kuchenny blat. Złapała stojącą obok szklankę i z całych sił cisnęła nią o ścianę. Trochę pomogło.



Otworzyła oczy i spojrzała na zegarek. Szósta. Jak zawsze. Nawet bez budzika, którego ostatnio w ogóle nie włączała, zawsze budziła się o tej samej porze. Wieloletniego przyzwyczajenia nie dało się wykorzenić w ciągu tych dwóch beczynnych miesięcy. Zresztą, Zuza wcale nie starała się tego zrobić. Wiedziała, że powinna, na przykład, poświęcić poranek na ćwiczenia. Tak właśnie robiła, gdy pracowała. Wstawała o szóstej, ćwiczyła pół godziny, potem szybki prysznic, kawa i do pracy. Teraz nic jej nie goniło i co gorsza, odpuściła sobie też ćwiczenia. Nie musiała już wyglądać idealnie w swych garsonkach.

Garsonki. Boże. I dzisiejsza rozmowa o pracę.

W swoim życiu przeprowadziła niewiele rozmów kwalifikacyjnych. Miała to niebywałe szczęście, że w drugiej firmie, w której podjęła pracę po studiach, została na cztery lata. Cztery wspaniałe lata zakończone totalną katastrofą i upokorzeniem.

Jęknęła i wtuliła głowę w poduszkę. Czeką ją rozmowa kwalifikacyjna z wujkiem Ryśkiem. Boże, uchronij od rodzinnych koneksji.

Choć niechętnie, musiała przyznać, że matka oddała jej przysługę. Sama pewnie nigdy nie zdecydowałaby się na podjęcie pracy w gazecie wujka. Teraz, postawiona przed faktem dokonanym, nie miała innego wyjścia, jak iść dziś do redakcji i ustalić warunki. Skoro zapowiedziano jej przybycie, nie mogła się wycofać bez narażania na wyrzuty i potępienie ze strony rodziny. No bo jak to, oni chcą jej pomóc w trudnej sytuacji a ona tego nie docenia? Nie... Lepiej oszczędzić sobie tych wszystkich komentarzy i iść.

Z ociąganiem wstała z położonego na podłodze materaca. Nie zawracała sobie głowy ścieleniem – i tak nie spodziewa się gości, a pedantyczne podejście do porządku na razie sobie odpuściła. Zawiązała szlafrok i zeszła do kuchni.

Kawa. To po pierwsze.

Marzyła o ekspresie ciśnieniowym. Wpisała go na listę prezentów ślubnych i miała przeciek, że takowy dostanie od kuzyna. Jednak ślubu nie ma, nie ma więc ekspresu. Jak na razie musiała się zadowolić

tradycyjną kawiarką. Nalała do dzbanuszką wody, wsypała kawę i cynamon i postawiła na kuchence.

Przysiadła na stołku i zapatrzyła się w widok za oknem. Może to właśnie punkt zwrotny? Nowa praca, nowe perspektywy, nowi ludzie...? Zahaczy się na jakiś czas, a gdy będzie na siłach – poszuka czegoś innego. Na pewno lepiej płatnego, gdyż znając wujka Ryśka raczej kokosów nie zarobi. A ma jeszcze kredyt na głowie. Więc dwa, góra trzy miesiące. Tyle powinno jej wystarczyć, by jako tako się pozbierać i zrobić nowy plan na dalsze życie.

Kawiarka zaczęła wydawać syczące dźwięki. Zuza zdjęła ją z płyty i przelała aromatyczny płyn do dużego kubka. Dolała mleka i znów popadła w zadumę.

Skoro na razie nie ma innego pomysłu na najbliższe tygodnie, postara się zadowolić tym, co jest. Nie była zachwycona pomysłem pracy w gazecie, w stosunku do której mogłaby wytoczyć całą listę zarzutów, ale darowanemu koniowi nie zagłada się w zęby, choćby nawet szkapa miała wybrakowane i szerniałe uzębienie. Oby tylko miała tyle cierpliwości, by nie wyskoczyć z jawnie wrogim tekstem w stosunku do wujka. Tego, niestety, najbardziej się obawiała. A obrazić wujka Ryśka... Cóż, to byłoby przewinienie, które mogłaby mocno odczuć. Lepiej więc mieć się na baczności.

Zerknęła na zegarek. Raptem wpół do siódmej. Miała jeszcze przed sobą ponad cztery godziny. Rozejrzała się wokoło. Jej wzrok padł na pleksę, oddzielającą górny i dolny poziom szafek. Zgodnie z własnym pomysłem zamówiła nadruk, zawierający najczęściej używane przez nią przepisy. Taka ściągą kucharska. Rzucił jej się w oczy przepis na muffinki. A..., co tam. Czasu miała aż nadto. Poza tym przed wyjściem potrzebowała czegoś na wzmocnienie. Zdecydowanie. I na znieczulenie. Tak, bez porządnego znieczulenia się nie obejdzie. Muffinki nadają się w sam raz, a od jednej czy dwóch przecież nie przytyje.

Z szafek wyciągnęła miski. Odmierzyła składniki. Mąka, więcej niż w przepisie cukru, tak dla zasady, odrobina kakao... Przejrzała szafki w poszukiwaniu jakiegoś ekstra składnika. W koszyku znalazła suszone daktyle. Też pasują. Dodała mleko, jajka i olej, szybko wszystko wymieszała. Mirek zwykł mawiać, że czarowała – przypomniawszy sobie niechętnie. Jednak na nic się zdały te jej czary i popisy kulinarne. Na nic starania i organizacja firmowych imprez. Niech to szlag trafi!

Nie. Nie będzie znów się użalać. Nie teraz, gdy ma w planie nową pracę. Nie może przecież stawić się w redakcji z zapuchniętymi oczami, wyglądając jak siedem nieszczęść. Mowy nie ma.

Wypełniła papilotki ciastem i wstawiła do piekarnika. Pół godziny czekania. Niech i tak będzie. Usiadła na podłodze naprzeciwko piekarnika i zaczęła odliczać minuty. Trzydzieści... Dwadzieścia dziewięć...



To był jeden z tych dni, gdy pogoda, na przekór samopoczuciu, usposabia człowieka życzliwie do świata i ludzi. Zuza szła wolno na spotkanie w redakcji, chcąc się nacieszyć słonecznym porankiem zwolniła jeszcze kroku. W zasadzie bliżej było już do południa, na mieście codzienna krzątania trwała w najlepsze, jednak ona dopiero się rozbudzała. Po kawie i świeżych babeczkach pozwoliła sobie jeszcze na małą drzemkę, więc teraz oddychała głęboko, próbując wygnać z myśli resztki snu. A nie był to sen przyjemny.

W pełnym słońcu zdawał się on tylko odległym wspomnieniem, jednak czający się gdzieś lęk wciąż pozostawał. Miała niepokojące uczucie, że czegoś nie dopatrzyła, że zapomniała..., w porę nie

zareagowała, a teraz ją obarczano winą. O co chodziło? Nie wiedziała. Panika zaraz po przebudzeniu była na tyle realna, że kazała jej sięgnąć po kalendarz i przejrzeć plany tego tygodnia. Jednak nie znalazła żadnych zaległych spotkań, czy niezakończonych spraw. W ostatnim czasie jej terminarz świecił pustkami. Poza dzisiejszą wizytą w redakcji i jutrzejszym zlotem absolwentów były tylko powykreślane terminy: kosmetyczka, próbna fryzura, ostatnie przymiarki, kwiaty...

Zegar na ratuszu wskazywał dopiero za dwadzieścia jedenastą. Multum czasu. Jak zwykle, nienawidząc spóźnień, wyszła za wcześnie. Z westchnieniem opadła na najbliższą ławkę, przymknęła oczy i wystawiła twarz do słońca. Słyszała wokół siebie głosy dzieci goniących gołębie, rodziców dyskutujących o nowych zajęciach baletowych dla sześciolatek, sąsiadek, które omawiały kolor ścian na klatce schodowej... Życie toczyło się według znanych, utartych schematów. Zuzanna, przywykła do tempa wielkiego miasta, teraz z trudnością odnajdywała się w tym sielskim krajobrazie.

– A wie pani, znów poszłam do tego doktora – usłyszała tuż za sobą. – Kolejna recepta i ponad sto złotych zostawiłam w aptece. A czy to co da? Doktor, młody człowiek, to czy taki umie pomóc?

Lamentujące kobiety oddaliły się niespiesznie w stronę warzywniaka.

Nad rynkiem rozległy się trzy uderzenia zegara. Kwadrans pozostał do jedenastej. Gołębie, pobudzone hałasem, poderwały się do lotu. Z głośnym szelestem skrzydeł kilkakrotnie okrążyły rynek. Część na powrót wylądowała przy fontannie, inne znalazły nowe miejsce na dachach okolicznych kamienic.

Jest coś krzepiącego w tym poczuciu niezmienności i stałości, stwierdziła Zuza, oglądając fasadę rynku. Nie przypominała sobie, by w ciągu ostatnich lat, gdy przeprowadziła się do Krakowa, znajdowała czas na takie leniwe kontemplowanie otoczenia. Dopiero teraz mogła sobie pozwolić na to, by spokojnie przyjrzeć się otaczającym ją budynkom.

Większość dziewiętnastowiecznych domostw, z okazji niedawnych obchodów jubileuszu miasta, została odnowiona i połyskiwała jasnymi kolorami świeżej farby. Jedno- i dwupiętrowe kamienice otaczały rynek zwartym szeregiem, tylko wyłomy narożnych ulic zaburzały ten ciąg. Partery, prawie bez wyjątku, zajmowały sklepy, punkty usługowe i kawiarnie. Najmodniejsza była „Mona”, której klimatyczne piwnice przyciągały mieszkańców Grodowa. Jednak i w tym krajobrazie dało się zauważyć drobne rysy. Dwa lokale straszyły brudnymi szybami i pustym wnętrzem. Od dłuższego czasu musiały stać puste, bo przy schodkach wyrosły już kępy trawy, której nie miał kto usunąć. Zapewne właściciele kamienicy nie mogli się ze sobą zgodzić w kwestii prawa własności. W innym przypadku nie pozwoliliby sobie na takie marnotrawstwo, gdyż czynsze, jakich tu żądano, były nie do pogardzenia. To przecież było jedno z głównych źródeł dochodu – jeśli dziadkowie byli zapobiegliwi i zostawili w spadku kamienicę lub ziemię, to rodzina była ustawiona na kilka pokoleń. Ziemię po kawałku sprzedawano, lokale w kamienicy wynajmowano, a czynsz starczał na utrzymanie aż z nawiązką. Stare, zasiedziałe rodziny, dzierżyły władzę. I taki porządek rzeczy ani nikogo nie dziwił, ani nie oburzał. Zuza nigdy nie mogła tego pojąć. Jako nastolatka czasami się buntowała, irytowała, że tu wszyscy wszystko o niej wiedzą, że nie ma poczucia prywatności, że żadna tajemnica nie ma racji bytu. A teraz...

Teraz sama musiała skorzystać z rodzinnych układów. Podpisać pakt z diabłem i dać się wciągnąć w sieć zależności. Wiedziała, że demonizuje, jednak w ten słoneczny dzień jej myśli skakały z tematu na temat, a humor podążał za nimi. Z jednej strony powinna być wdzięczna i może, w jakichś przebłyskach, nawet tak się czuła, z drugiej: miała wrażenie, że niewidzialne pęta zaciskają się na jej rękach.

Odetchnęła głęboko. Musi przegnać te złowieszcze głosy. To ten sen, który swymi oślizgłymi mackami wciąż wkrada się do jej myśli. Koniec z tym, postanowiła. To nie pora na czarnowidztwo. Wręcz odwrotnie. Musi znaleźć w sobie tyle siły, by stawić czoło nowym wyzwaniom. Najwyższy czas. Powinna w końcu odciąć się od rozpamiętywania przeszłości, od nieszczerých lub zdawkowych wyrazów współczucia...

– A kogo ja widzę?! – radosny pisk rozległ się tuż obok.

Zuza podniosła głowę i zmrużyła oczy oślepią słończnym blaskiem.

– No nie mów, że nie poznajesz – kobieta przysiadła obok i przyjęła elegancką pozę.

Cokolwiek by nie mówić o Kindze Król, zawsze umiała się odpowiednio zaprezentować. Zuzie wystarczył rzut oka, by się przekonać, że nic się nie zmieniło.

– Kinga, co za spotkanie! Nie widziałyśmy się od matury...

– No tak. Nie było mnie na poprzednim zjeździe, bo wiesz..., ciąża i te sprawy. Ale teraz na pewno będę. Bez obaw. Ale jakże się cieszę, że cię widzę! Z początku nie poznałam, słowo daję. Te włosy... Zawsze miałaś długie. Nareszcie zrezygnowałaś z tego mysiego koloru. Taki był nijaki. No, a teraz, zupełnie nowa twarz. Prawie nie poznałam – paplała dalej.

Zuza uśmiechała się zdawkowo, nie mogąc wtrącić ani słowa.

– A wiesz, że zastanawiałam się, czy w ogóle będziesz? Ale będziesz jutro, prawda? Musisz być! Wiem, że ta cała sprawa z twoim narzeczonym to taki przykry incydent, ale nie ma co rozpaczać i chować się w domu... Ciekawe, ile osób uda się zebrać. Może nawet będzie wychowawczynie, obiecała, że jak da radę to na moment wpadnie. Za to nie będzie naszej klasowej pary, Iza z Bartkiem właśnie się rozwodzą i od pół roku nigdzie nie pokazują się razem, więc teraz też żadne z nich nie przyjdzie. Na szczęście ty nie będziesz się rozwodzić. O wiele łatwiej zerwać z narzeczonym, niż się ciągać po sądach i kłócić o podział majątku. No więc i tak masz szczęście. Szkoda tylko białej sukni i ślubu, to takie wzniosłe przeżycie. Pewnie miałaś nie lada zachodu z odwoływaniem wszystkiego. No i to tłumaczenie się, że narzeczony puścił cię kantem i znalazł sobie młodszą. Okropieństwo! A wiesz, jacy ludzie potrafią być wścibscy i nieczuli. Wszystko chcą wiedzieć i nie mają najmniejszych oporów, by to przy tobie komentować. A ty pewnie chciałaś mieć chwilę spokoju od tej całej sytuacji. Musiałaś się fatalnie czuć ze świadomością, że narzeczony i koleżanka z pracy robią to za twoimi plecami i jeszcze pewnie się dziwią, jak możesz być tak naiwna i niczego się nie domyślać. Dobrze, że wróciłaś do rodzinnego miasta. Tu wszyscy są życzliwi i nikt nie pozwoli cię skrzywdzić. Tu jesteś wśród przyjaciół. I nikt z butami nie wchodzi do twojego życia, nie to co w dużych miastach, gdzie nie ma żadnego poszanowania dla prywatnych uczuć. Ale, ale! Jak ten czas leci – rzuciła zerkając na zegarek. – O jedenastej mam kosmetyczkę, a nie mogę się spóźnić.

Poderwała się z ławki i machnęła na pożegnanie.

– Więc do jutra, kochana. I koniecznie zarezerwuj sobie dla mnie chwilkę. Pokażę ci moje wiersze!

I już jej nie było.

Zuza jeszcze przez chwilę trwała w oszołomieniu. Mała doza Kingi wystarczyła, by wprowadzić ją w osłupienie. Tej to nigdy buzia się nie zamykała, bez względu na to czy słuchacz wykazywał jakieś zainteresowanie, czy też nie.

Dzięki temu spotkaniu miała próbkę atrakcji, czekających ją na jutrzejszym zlocie absolwentów. Głupotą byłoby sądzić, że ominą ją pytania o niedoszłe małżeństwo i komentowanie tego faktu.

Z westchnieniem podniosła się z ławki. Wszystko po kolei. Najważniejsze, żeby nie zwariować. Później zacznie szukać ciętych ripost na jutrzejsze spotkanie, najpierw załatwi sobie pracę, tak, aby przynajmniej tym móc się pochwalić. Dziennikarka. Jak to dumnie brzmi – nawet nie starała się zatamować własnej ironii. No cóż, na pewno lepiej niż bezrobotna.

Niespiesznie poszła w kierunku jednej z wąskich, brukowanych ulic odchodzących od rynku. Kamienica wujostwa mieściła się na samym rogu. Od frontu były dwa sklepy, u góry biura na wynajem, z oknami na podwórze. Natomiast od strony bocznej uliczki było wejście do redakcji lokalnego tygodnika. Szeroka klatka schodowa, wyłożona niebieskimi kafelkami, prowadziła na wysokie piętro. Strone schody, przez dziesięciolecia użytkowania, dorobiły się już wgłębien wyżłobionych w kamieniu. Jednak wujek Rysiek



dzielnie bronił się przed remontem, tłumacząc, że takie koślawe schody są symbolem mijania czasu i szkoda by było zaprzepaścić ten kawałek historii tylko z powodu wybijającego poczucia estetyki. Tym sposobem od lat opowiadał wszystkim o swojej chlubnej roli strażnika tradycji, który na przekór presji dba o znaki przeszłości. Prawda jednak była o wiele prostsza: nie chciał wydawać pieniędzy na remont tak długo, jak długo mógł tego uniknąć.

Zresztą ci, którzy przychodzili do redakcji, czy to z jakimś interesem, czy też na pogawędkę, dawno już przyzwyczaili się do nierównych stopni i nie zwracali na nie uwagi. Czasem jeszcze któryś z kolegów wujka rzucał na wejściu, niby żartem, że powinien on w końcu albo zamontować windę, albo wymienić te przekłete schody. Ot, takie tradycyjne powitanie. Wujek wówczas mrucał: „Pomyślimy... Pomyślimy...” i zamykał sprawę.

Teraz Zuza wchodziła stopień za stopniem uważnie patrząc pod nogi i mocno trzymając się poręczy. Ta, na szczęście żelazna i solidna, stanowiła jakieś oparcie w tej niepewnej drodze.

Na piętrze jej uwagę zwrócił wyraźny szyld. Nie było go tu, gdy jakieś trzy lata temu odwiedziła redakcję, by zamieścić życzenia dla rodziców z okazji rocznicy ślubu. Teraz biało-granatowa tablica informowała o godzinach otwarcia redakcji „Kuriera Grodowa” i dyżurach naczelnego – Ryszarda Moskala.

Zza masywnych drzwi nie dochodził żaden głos. Zuza ostrożnie nacisnęła klamkę i zajrzała do środka.



Redakcja mieściła się w jednym z dawnych mieszkań. Trzy pokoje, kuchnia i łazienka to było aż nadto. Z tego, co Zuza wiedziała, poza wujkiem na stałe pracowali w tygodniku sekretarz redakcji i dwóch facetów. Jeden specjalizował się w tekstach z wszelkich zebrań samorządowych, drugi zajmował się aktualnościami i tematami społecznymi – i raczej rzadko tu bywali.

Przywitała ją idealna cisza. Minęła mały przedpokój i weszła do biura, którego okna wychodziły na rynek. Tu też nikogo nie było. Niemożliwe, by zostawiono otwartą redakcję bez nadzoru. Co prawda niewiele dałoby się stąd wynieść, jednak... Zuza ruszyła dalej. Zajrzała do pokoju na lewo, który, jak wiedziała, pełnił funkcję gabinetu wujka. Pusto. Przeszła więc na drugą stronę. Na biurku, wśród sterty papierów, stał kubek z parującą kawą. A więc ktoś musi być. Uchyliła drzwi do trzeciego pokoju.

Na kanapie, lekko pochrapując, spał mężczyzna. Na oko w jej wieku, z równo przyciętą brodą, w której, jak natychmiast stwierdziła, nie wyglądał zbyt korzystnie. Przypominał zbójnika Rumcajsa, postać ze starych bajek. Skojarzenie to było tak absurdalne, że mimowolnie się roześmiała. To zbudziło śpiącego.

Najpierw otworzył jedno oko i na jej widok mruknął coś niewyraźnie.

Zuza stała w drzwiach i czekała na ciąg dalszy.

– Już południe? – spytał mężczyzna wstając.

– Jedenasta.

– A pani w sprawie...?

– Byłam umówiona z panem Moskałem. Zuzanna Krukowska – przedstawiła się.

– Aaaa... – Mężczyzna ze zrozumieniem kiwnął głową. – W takim razie nie ma się co spieszyć. Łukasz Górka, nadzorca tego przedsiębiorstwa. Pełnię rolę sekretarza i składacza. Lub grafika, jak kto woli.

A pani musi chyba z pół godzinki poczekać. Więc może kawy? – przeciągając się i ziewając spionizował swą postać.

– Ale... – Zuza podążyła za nim do kuchni. – Byłam umówiona na jedenastą.

Górka zatrzymał się w drzwiach i rzucił jej pełne politowania spojrzenie.

– I nie wie pani, że wujek nigdy nie jest na czas?

– Skąd pan wie, że to mój wujek?

Podał jej do rąk kubek i wskazał na prawie pełen dzbanek w ekspresie, cukier i mleko. Zuza trochę zdziwiona tym bezceremonialnym podejściem zajęła się kawą.

– Pracuję w gazecie. Wiedzieć „co” i „jak” to mój obowiązek. Chyba. Bo czasami wolałbym o pewnych sprawach w ogóle nie słyszeć, bo później trudno zapamiętać takie newsy, jak na przykład hemoroidy u pani Dobrzyńskiej. A co do szefa, to raczej pół godziny jak nic. Poza tym, skoro mamy razem pracować, to może od razu przejdźmy na ty. Co prawda to wbrew etykiecie, żeby mężczyzna proponował to kobiecie, ale mam nadzieję, że darujemy sobie te formalności i ceregiele.

Zuza nie wiedziała, czy się oburzyć, czy śmiać. Facet zdecydowanie był bezczelny, ale w tak sympatyczny sposób, że zupełnie rozbijał rozmówcę.

– Dobra – stwierdziła podając mu rękę. – Może być. Zuza.

– Łukasz. Czyli część oficjalną mamy za sobą. A teraz, póki jesteśmy sami, siadaj i pytaj. Bo widzę, że cię troszkę skręca. I domyślam się co. To chyba pytanie stulecia, które wszystkich nurtuje i niewielu w Grodowie umie na nie odpowiedzieć. Jakim sposobem gazeta tak marnej jakości jest w stanie tak długo utrzymywać się na rynku? No co? Przecież to cię ciekawi. Chodź, usiądziemy.

Wrócili do narożnego pokoju. Łukasz znów zajął czerwoną kanapę, Zuza opadła na fotel. Na ścianach wisiały pierwsze wydania gazety z każdego kolejnego roku. Niewiele się przez te lata zmieniła.

– Niesamowite. Nie mówię o jasnowidztwie. Zastanawia mnie, jak możesz tu pracować i mieć taką opinię o gazecie.

– Normalnie – wzruszył ramionami. – Wiem, jak to wygląda. I w dodatku wiem to z najlepszego źródła. Poza tym, wierz mi, czytam z uwagą to, co się u nas drukuje. Jednak nie jestem naczelnym, a twój wuj ma bardzo wyraźną koncepcję pisma, której nie zamierza zmieniać.

– I trzyma się jej od dwudziestu lat – wtrąciła.

– Właśnie. Z tego co wiem, pracowałaś tu już kiedyś...

– Stwierdzenie na wyrost. Wakacyjna robótka.

– Jednak wiesz, jak to mniej więcej wygląda. Teksty spływają cały tydzień. Wiele z tego, co wychodzi, to darowizny, czyli ludzie piszą i satysfakcjonuje ich sam fakt, że mogą zobaczyć swoje nazwisko w druku i ewentualnie pochwalić się przed znajomymi. Plusem dla gazety jest to, że mamy zaprzyjaźnione osoby, które piszą od lat, regularnie i nie biorą za to żadnej kasy. Po prostu: czysty zysk. Reszta to okazjonalne teksty instytucji, które chcą zaznaczyć, że się u nich coś dzieje. Zazwyczaj wszystkie te teksty bierzemy bez większych przeróbek, tak, jak je dostajemy. Jakościowo, sama wiesz... Są, jakie są.

– To jakim sposobem utrzymuje się nakład?

– Po pierwsze, instytucje, które coś zamieszczają, zawsze kupią kilka egzemplarzy. Po drugie, osoby, które dostarczają teksty i ich znajomi, aby mieć co pokazać. Po trzecie, urząd miasta i starostwo, które mają wykupioną prenumeratę. Jest też stałe grono czytelników, którzy chcą być dobrze poinformowani, co się dzieje w mieście.

– Żartujesz. Z co najmniej tygodniowym opóźnieniem?

Łukasz zaczął się śmiać.

– Niezupełnie tak to działa. Oni wszystko wiedzą wcześniej ze swoich źródeł. Potem tylko chcą to zweryfikować i sprawdzić, czy do nas też dotarły konkretne informacje, i czy daliśmy je do druku. A jak

nie, to dzwonią z pytaniem, czemu o tym a o tym nie pisaliśmy, i że mieszkańcy powinni być powiadomieni, i tak dalej. Taki rodzaj lokalnego nadzoru nad redakcją.

– A wujek jakoś na to reaguje?

– Gdzie tam. Zbыва to i udaje, że nie widzi. Zresztą to ja użeram się z tymi wydzwanającymi tetrykami. Ciekawa rzecz przy okazji: to zawsze są emeryci.

– Mają czas – podsunęła.

– Czas i nieprzebrane pokłady upierdliwości. No, a w kwestii finansowania są jeszcze ogłoszenia i reklamy. I tym sposobem gazeta się utrzymuje.

Zuza zadała w końcu pytanie, które nurtowało ją od wczoraj, a którego wolała nie zadawać rodzicom.

– Czy pracując tu, da się z tego utrzymać?

– Zależy na jakim poziomie chcesz się utrzymywać...

– Ja plus rata kredytu mieszkaniowego.

Łukasz zaczął gładzić brodę.

– Jakby to delikatnie powiedzieć...?

– Czyli nie.

– Prawda jest taka, że każdy ma jakąś dodatkową fuchę. Jak widzisz, piątek to pusty dzień. W redakcji, tak na poważnie, pracuje się tylko w środę i w czwartek do południa. Potem gazeta idzie do drukarni i teoretycznie zaczyna się składanie nowej. Ale w praktyce... Więc jest dużo czasu do wykorzystania. Żebyś miała pełny obraz sytuacji.

Zupełnie sobie tego nie wyobrażała. Na razie. Ale nie ma co panikować. Przecież ma to być tylko zajęcie tymczasowe. Z kasą, którą dostała od rodziców i bratostwa, jakoś poradzi sobie ze spłatą kredytu przez najbliższe pół roku. W tym czasie z pewnością stanie na nogach na tyle, by znaleźć posadę zgodną z własnymi kwalifikacjami. Przecież agencje reklamowe wciąż kogoś szukają. To, że będzie musiała dojeżdżać do Krakowa to sprawa drugorzędna. Wiele osób dojeżdża i jakoś sobie radzi.

– Czy wujek wie o tych waszych dodatkowych zajęciach?

– Oczywiście. Czasem sam podsyła mi klientów.

– A czym się zajmujesz?

– Robię korektę tekstów. Przeważnie prace licencjackie i magisterskie. Nie mówię o stronie merytorycznej, z tym wolę nie wyskakiwać. Ale korekta, kwestie poprawności językowej i stylistycznej... Pracując w gazecie zaczynasz w pewnym momencie robić to automatycznie. Poza tym współpracuję z czterema wydawnictwami, też przy korekcie. Jak tu siedzisz cały dzień i nic nie robisz, to można zwariować. Kiedyś jeszcze czytałem książki. A potem założyłem rodzinę i zabrałem się za poprawianie tych książek. Można z tego jakoś wyżyć – stwierdził.

– O, jesteś... – dało się słyszeć od drzwi.

Wujek Rysiek stał w progu i przez chwilę wyglądał, jakby się zastanawiał czy stąd nie uciec. Kiedyś może i był przystojny, a przynajmniej tak twierdziła ciocia Basia. Jednak teraz, gdy przekroczył pięćdziesiątkę i dorobił się pokaźnego mięśnia piwnego, trudno było się w nim dopatrzeć jakiegokolwiek atrakcyjności. Ciotka pieśczośliwie mówiła o nim, oczywiście poza jego plecami, „mój pączus” i w określeniu tym było sporo trafności. Wujek rzeczywiście przypominał pączka na dwóch nogach, z głową wyrastającą z trzech podbródków.

Wreszcie ściągnął okulary i zaczął je dokładnie czyścić.

– Tak... No cóż. To chodź do gabinetu.

Łukasz uniósł kciuki, a ona, tłumiąc westchnienie, podniosła się z fotela.

Piętnaście minut rozmowy wystarczyło, by Zuza po raz kolejny przekonała się, że wujek Rysiek wciąż tkwi dwie dekady wcześniej, w zamierzchnych czasach początków gazety, gdy wchodząc na rynek wciąż

zabiegał o przychylność władz. Tu nic się nie zmieniło. Wujek dalej biegał do ratusza na szybkie narady z burmistrzem lub jego zastępcą, bez względu na to, kto akurat zasiadał na rzeczonych stołkach. I nie omieszkął jej teraz przypomnieć, że zawsze z urzędem miasta trzeba żyć w przyjaźni. Podkreślił to nawet kilkakrotnie. Zuza zrozumiała przekaz: ma pisać tak, by nikogo, broń Boże, nie urazić, bo on, jako redaktor naczelny, nie zamierza za nią świecić oczami.

Pracę dostała. Z przeciętną pensją, ale po rozmowie z Łukaszem cudów raczej się nie spodziewała. Poza tym określenie jej obowiązków było dość ogólne. Ma pisać teksty. Jakies cztery na tydzień. Jeden felieton, bo Rysiek pamięta, że to jej dobrze szło, temat wybiera sama, bo on nie będzie zwracał sobie tym głowy. Poza tym trzy teksty z wydarzeń kulturalnych, bo nie ma kto tego pisać. Jeśli się nie zbierze – to niech sama coś wymyśli. Wywiad jakiś, reportaż, czy co tam chce. Zresztą Łukasz jej podpowie. No, chyba że będzie jakaś sensacja, to wtedy on jej zleci konkretny temat. I tyle. Pisać może tu, w redakcji, lub, jak woli, u siebie w domu. Wszystkie teksty muszą spłynąć w środę wieczorem lub najdalej w czwartek rano. W redakcji powinna być, kiedy składają gazetę i robią jej korektę. Może im pomóc w redagowaniu tytułów, w końcu pracowała w agencji reklamowej, to chyba wie, jak sprzedać czytelnikowi artykuł. Jak ma jakieś pytania, to jest Łukasz. Nie ma? Więc świetnie.

– Biegę w takim razie na zebranie.

Zuza wołała nie wyobrażać sobie wujka w biegu.

– Niech Łukasz da ci coś do roboty. I bądź w poniedziałek rano.

I tyle go widzieli.



Zuza siedziała w kuchni i widelczykiem zbierała okruszki. Zjadła już dwie muffinki i zastanawiała się nad trzecią, gdy rozległ się dzwonek do drzwi. Z ociąganiem poszła zobaczyć, kogo tym razem przywiał w odwiedziny. Zerknęła do judasza i ujrzała wykrzywioną komicznie twarz brata.

– Czuję coś słodkiego – usłyszała zza drzwi.

– To dobrze czujesz... – Wpuściła go do środka.

Piotr bez pytania nalał sobie kawy i za jednym zamachem pochłoniął całą muffinkę.

– A teraz się przyznaj, co usiłowałaś odreagować tym pieczeniem?

– Życie.

– A nie rozmowę z wujkiem Ryśkiem?

– Aaaa... – Zuza doznała olśnienia. – To dlatego się zjawiłeś. Żeby sprawdzić, czy przypadkiem nie odpyskowałam czegoś wujowi i czy nie zaprzepaściłam szansy na świetną posadę.

– Mniej więcej.

– A więc, drogi braciszku, dowiedz się, że primo: babeczki upiekłam z samego rana, jako odreagowanie złego snu...

– Na odczarowanie... – wtrącił Piotr ze zrozumieniem.

– Na odczarowanie – przyznała. – Secundo: na rozmowie byłam grzeczna i pracę mam. Przy okazji trzeba będzie podziękować cioci Basi, bo to w zasadzie jej zasługa. Jak nic poinstruowała wujka przed tą rozmową. Więc chyba upiekę jeszcze jedną blachę...

– Gdybyś miała nadmiar stresu i pieczenia, to zawsze jestem do usług – przypomniał.

Zuza podała mu kolejną muffinkę.

– Więc. Zaczynam w poniedziałek, chociaż dziś muszę jeszcze iść na wernisaż i stworzyć z tego jakąś relację. Raczej nie spodziewam się trudności, muszę tylko wcześniej się zorientować, co wystawiają.

– A jak pensja?

– Tu jest gorzej – przyznała. – Ale można się było tego spodziewać. Rozmawiałam z Łukaszem, sekretarzem w redakcji. Znasz...?

– Znam.

– To wyobraź sobie, że każdy tam ma jakąś dodatkową fuchę i tym sposobem sobie dorabiają.

– Można się było tego spodziewać – Piotrek powtórzył jej słowa. – Ty też chcesz coś jeszcze znaleźć?

Zuza popatrzyła na niego jak na wariata.

– A nie wystarczy mi na razie zmiana statusu z bezrobotnej na zatrudnioną? Kurcze, jeszcze Urząd Pracy. Muszę się wypisać. Ale to w poniedziałek.

Piotrek tęsknie spoglądał na talerz z ciastkami. W końcu się złamał i z westchnieniem sięgnął po następne.

– Zdecydowanie powinienem ograniczyć słodczyce. Żona zaczęła mnie kontrolować, bo koszule robią się ciut za ciasne. Ale nie mogę – przyznał. – A to wszystko twoja wina.

– Moja?! – oburzyła się.

– Ano tak. Jakbyś nie piekła w takich ilościach, to bym nie musiał dbać o twoją linię i pochłaniać kolejnych serników, makowców i reszty.

– Ach. Więc robisz to wszystko w dbałości o moją wagę, tak...?

– Mniej więcej.

Zuza ze śmiechem podniosła się ze stołka. Z szafki wyciągnęła kartonowe pudełko na ciasta.

– Smutna pozostałość nieodbytego wesela – stwierdziła i włożyła do środka pozostałe babeczki.

Brat z zadowoleniem obserwował jej poczynania.

– Żebym nie zapomniał... Wpadnij do nas w niedzielę na kolację.

– No, nie wiem... Znowu będę wam siedzieć na głowie. Macie własne życie...

– Nie będziesz siedzieć na głowie, tylko na stołku. Zresztą Oliwka już szykuje jakąś niespodziankę, więc nie możesz nawalić, bo się dziecko obrazi.

Zuza uśmiechnęła się na myśl o pięcioletniej chrześnicy.

– Dobra, będę – zdecydowała.

– Świetnie. I jeszcze jedno, tak dla pewności. Masz umowę? Taką na papierze?

– Mam. To znaczy będę miała, w poniedziałek.

– No... – uznanie w głosie Piotra konkurowało z niedowierzaniem. – To wujek naprawdę się postarał. Właśnie dołączyłaś do wybitnie męskiego klubu tradycjonalistów. To normalnie wiekopomna rewolucja na miarę emancypacji. Rozbijasz dwudziestoletnie fundamenty światopoglądowe. Kurcze, będzie się działo. W końcu znalazła się kobieta, która wydobędzie tę gazetę z czeluści dziewiętnastego wieku.

– Żadnej rewolucji nie planuję – zastrzegła się Zuza. – Jeszcze tego by mi brakowało. Nie chcę żadnych ekscesów.

– A czego chcesz?

– Spokojnie pracować. I nie wychylać się przed szereg.

– Tak..., tak... Nadgorliwość gorsza od faszyzmu. Ale wiesz... – dodał po chwili – że to się nie uda. Nigdy ci się nie udaje.



Ubrała się w krótką małą czarną i buty na płaskim obcasie, zupełnie w stylu Audrey Hepburn, jak podsumowała patrząc w lustro. Klasyka zawsze się sprawdza. Narzuciła cienki, jasny płaszcz, bo to przecież maj i wieczorem może być chłodno.

Teraz jednak, stojąc w progu galerii, stwierdziła, że jak nic będzie się wyróżniać wśród towarzystwa. Rzut oka wystarczył, by zorientować się w obowiązującej modzie. Zuza skrzywiła się nieznacznie. I pomyśleć, że trochę się obawiała, czy nie wypadnie zbyt skromnie.

W niewielkim lokalu zebrało się koło dziesięciu osób. Przeważnie starsze panie, które z zadowoleniem sączyły wino z kieliszków i głośno wymieniały uwagi na temat budowy nowego ronda. Wszystkie w ciemnych, zapinanych swetrach, z obowiązkową chustą na ramionach. Pewne urozmaicenie stanowiły kapelusze. Zuza z zaskoczeniem stwierdziła, że każda z pań ma stosowne nakrycie głowy. Ona sama jakoś nie pasowała do tego towarzystwa – zarówno ze względu na wiek, jak i na ubiór.

Drugą wybijającą się tu osobą była właścicielka galerii. Zuza kojarzyła ją z jakiejś imprezy. Wyglądała tak, jak należało się spodziewać po marszandce. Kolorowa suknia wręcz rozświetlała wnętrze. Kobieta rozmawiała z jedną z wiekowych dam, szeroko gestykulowała i śmiała się bez skrępowania. Było w niej tyle życia, że mimowolnie przyciągała wzrok.

Zuzanna sięgnęła po kieliszek wina i wolno weszła do środka.

Dwóch dystyngowanych panów stało w rogu i raz za razem, zerkając na właścicielkę galerii, coś szeptało. W jednym z mężczyzn Zuza rozpoznała dyrektora miejscowego ośrodka kultury. Widać było, że nie w smak mu ta wystawa. Trudno było odgadnąć, czy nie lubi autora prac, czy zazdrości, że to nie jemu udało się ściągnąć do miasta znanego grafika. Jednak na wernisazu się pojawił, konkurencję trzeba mieć przecież stale na oku.

Zuza, której udało się wcześniej przejrzeć folder wystawy i poczytać co nieco o autorze, ze zdziwieniem spoglądała na wystawione prace. Gdy przeczytała, że gościem galerii jest Marek Brodziński, nie od razu zaskoczyła. Okazało się, że skończył on ASP, miał zagraniczne stypendia i w zasadzie od kilku lat mieszka w Rzymie i tam głównie wystawia. A w Grodowie, jak sam wyjaśniał, postanowił na zaproszenie znajomych zorganizować małą ekspozycję. I to są dzieła jej szkolnego kolegi? Jakoś trudno było w to uwierzyć. Zuza z trudem rozpoznała go na załączonych zdjęciach. Wciąż miała w pamięci obraz licealisty z długimi blond włosami, zawsze związanymi w kucyk, ubierającego się na czarno w stylu wiecznego buntownika, złośliwego w swych komentarzach i lubiącego wyprowadzać nauczycieli z równowagi. I, co musiała przyznać, często mu się to udawało dość niewielkim wysiłkiem. Wystarczyło zazwyczaj kilka, rzuconych jakby od niechcienia, uwag, a profesorowie zaczynali się pieniść. To dopiero były czasy. Może jutrzejsze spotkanie wcale nie będzie takie złe, skoro nadarzy się okazja, by porozmawiać z Markiem...?

Zerknęła na zegarek. Za dziesięć piąta. A ludzi jak na lekarstwo. Szkoda. Grafiki naprawdę warte uwagi. Może zapyta właścicielkę, za ile je sprzedaje. Co prawda nie spodziewa się, że ją stać, jednak, tak z ciekawości, nie zaszkodzi się dowiedzieć. Inna sprawa, że chętnie porozmawiałaby zarówno z marszandką, jak i z autorem. W końcu musi napisać jakiś tekst. Pocieszała się, że skoro wystawa przypadła jej go gustu, to i pisanie artykułu nie powinno nastęrczać większych trudności. Poza tym uświadomiła sobie z ironią, że oto wpadła w sidła małomiasteczkowego mechanizmu. Nie może przecież o koleżce z klasy napisać niczego niepochlebnego. Bogu dzięki, że nie musi. Gdyby tak się stało –

czuwały się paskudnie wybierając między „zawodową” szczerością a sympatią do człowieka.

Staneła zamyślona przed jedną z prac. Białe tło metrowej wysokości przecięte było kilkoma czarnymi kreskami. Na nich drobne, białe plamki, które dopiero po bliższym oglądzie okazywały się miniaturowymi odwzorowaniami dębowych liści. Zafascynowana wpatrywała się w ten nietypowy zielnik.

Dopiero wejście kolejnej grupy osób zmusiło ją do ustąpienia miejsca.

Wśród nowo przybyłych był też sam artysta.

– Mareczku! Jak się cieszę! – rozległo się z drugiego końca sali.

– Uleńko, moja droga! – Marek przywitał właścicielkę z nieznacznym uśmiechem.

Zuza zafascynowana oglądała ten rytuał.

Wśród śmiechów dokonano prezentacji towarzystwa. Ula Kodoba każdego wyściskała, wycmoktała i przywitała w swych skromnych progach. W pewnym momencie Zuza usłyszała, jak całe towarzystwo płynnie przechodzi na włoski i dalej prowadzi rozmowę. Była zaskoczona. A więc wielki świat zawitał do Grodowa.

Było już pięć minut po zaplanowanej godzinie otwarcia, a jakoś nikt nie wykazywał nadmiernego podekscytowania. W drzwiach pojawiały się wciąż nowe osoby, zupełnie nieprzejęte spóźnieniem. Inni też nie reagowali na to przesadnie, rzucali tylko na nowo przybyłych zaciekawione spojrzenia, nachylali się do siebie i widać było, że szeptem wymieniają właśnie zasłyszane plotki. Zuza przysiadła na jednym z krzeseł. Kotłujące się przed nią towarzystwo odstawiało swoisty spektakl.

Znajomi podchodzili, witali się, zamieniali kilka zdań i szli dalej, do następnej grupy, aż w końcu trafiali do własnego grona. Zdawało się, że każda z tych osób ma ściśle ustalone miejsce, do którego dąży. Dopiero zajęcie odpowiedniej pozycji powodowało ustabilizowanie całego systemu. Ludzie ci bardzo dobrze się znali. To było widać. Ona, siedząc sama i spoglądając na zebranych, wyraźnie czuła, że nie ma wstępu do ich świata. Nawet nie próbowała podejść do jakiejś grupy i wdać się w rozmowę. Nie znali jej, może co najwyżej kojarzyli, że jest córką Konstantego Krukowskiego, nie oczekiwała więc, że ją od razu przyjmą. Zresztą sama nie wiedziała, czy jej na tym zależy. Wpisywać się do klubu emerytów i rencistów czynnie wspierających grodowską kulturę? Chyba nie...

Wreszcie, kwadrans po siedemnastej, gdy sala zdawała się wypełniona po brzegi, rozpoczęto wernisaż. Nastąpiły tradycyjne powitania i prezentacja bohatera wieczoru. Wymieniano zdobyte nagrody i dotychczasowe wystawy. Zuza znała już to wszystko, więc bardziej niż na słowach Uli Kodoby skupiała się na samym Marku. Wpatrzony w czubki własnych butów zdawał się z uwagą słuchać tej przemowy. Czasem przytakiwał, czasem nieznacznie się uśmiechał.

Głośne owacje stanowiły jawny dowód uznania dla artysty. Gdy ucichły oklaski, okazało się jednak, że to nie koniec. Głos zabrał Antoni Jurczyński, dyrektor ośrodka kultury. Tylko nieznaczny grymas na twarzy właścicielki galerii pozwolił się domyślić, że to wystąpienie jest tyleż niezaplanowane, co i niemile widziane. Jednak Jurczyński, stary wyjadacz, grał swą rolę koncertowo. Pochwalił na wstępie galerię, podziękował za sprowadzenie do miasta prac wystawianych aż w Rzymie, omówił główne techniki stosowane przez Brodzińskiego, rozwodził się nad zdecydowanymi liniami i ekspresją dzieł. Gadane facet miał, bez dwóch zdań. W piękne, okrągłe zdania ubierał kolejne myśli i zdawać by się mogło, że jest specjalistą w dziedzinie krytyki artystycznej. Zuza z uwagą słuchała, chcąc wychwycić jakiś cytat i użyć go w artykule. Wyciągnęła z małej torebki zabrany na wszelki wypadek notes i czekała na jakąś perełkę. Jednak zdania Jurczyńskiego były tak rozbudowane, że gdzieś w połowie traciło się sens całości. Temat był znany, jednak treść wciąż gdzieś umykała. Wszyscy, jak zaczarowani, wsłuchiwali się w przemówienie, a na twarzach emerytek malował się wyraźny zachwyt i uwielbienie. Zuza niecierpliwie zaczęła bawić się długopisem. Czas płynął. Gdy z ust Jurczyńskiego padły słowa

o jego własnym wkładzie w lokalny rozwój sztuki i podkreślenie, że to właśnie twórcza atmosfera szkoły średniej i lokalnych środowisk ukształtowała charakter tego młodego grafika, Zuza nie wytrzymała.

Nie zrobiła tego celowo, była to raczej podświadoma reakcja organizmu. Nie mogła zakrzyknąć: „Król jest nagi!”, więc z niecierpliwością chowając notes do torebki tak nieszczęśliwie machnęła ręką, że strąciła z parapetu dwa kieliszki. Brzęk tłuczonego szkła przerwał słowotok dyrektora. Nastąpiła przeraźliwa cisza i wszystkie oczy zwróciły się na nią. Zrobiła ni to przepraszącą, ni to zawstydzoną minę. Jednak w głębi śmiała się z wyrazu oburzenia na pomarszczonych twarzach, z konsternacji Jurczyńskiego, że ktoś śmiał przerwać jego wystąpienie, z zaciekawionego spojrzenia Marka i jawnej ulgi w oczach właścicielki galerii.

– To na szczęście, proszę państwa! – zakrzyknęła Ula Kodoba, wykorzystując chwilową ciszę. – Oklaski dla artysty! Zapraszam do oglądania prac i rozmów z bohaterem dzisiejszego wieczoru!

Zuza odetchnęła, że w końcu darowano sobie wbijanie w nią potępieńczych spojrzeń. Ula prawie że podbiegła do niej i uściśnęła ją serdecznie, jak dobrą znajomą.

– Dzięki ci – szepnęła do ucha. – Marek mówi, że fajna z ciebie babka. A tym trikiem oszczędziłaś nam kazania Jurczyńskiego, bo znając jego talent mogło to jeszcze potrwać dobry kwadrans z okładem.

Odsunęła Zuzę na długość ramion i obrzuciła uważnym spojrzeniem z góry na dół.

– Widać powiew cywilizacji – stwierdziła. – Ciarki mnie przechodzą na widok starszych pań w kapeluszach, a jakoś nie mogę zachęcić nikogo młodszego do bywania na wernisażach. Porażka. Dzwonił do mnie Łukasz, by uprzedzić, że się zjawisz zamiast niego. Jeśli dobrze zgaduję, to powinien mieć wobec ciebie dług wdzięczności. Wiem, jak biedak nie lubi tu bywać, ale przez grzeczność zawsze się zjawia i pisze jakiś miły tekścik. I mów mi po imieniu, Ula.

– Nie ma sprawy...

– Zagadam cię na śmierć, ale przywykniesz. Jak znajdziesz czas, to umówimy się na kawę. Łukaszowi musiałam zawsze tłumaczyć „co” i „jak” z tymi wystawami. Ty też chcesz streszczeń?

– Nie zaszkodzi, choć przyszedł mi właśnie też inny pomysł do głowy...

– Świeżo urodzone pomysły... – Oczy Uli zabłyśły. – Lubię osoby, które mają pomysły... Tu masz moją wizytówkę. Dzwon, kiedy chcesz i wpadaj do galerii, kiedy chcesz. Kawę zawsze mam w nadmiarze, a dobre towarzystwo jest towarem deficytowym.

– Skąd wiesz, że będę dobrym towarzystwem?

– Kochana... Znam Mareczka od lat, w końcu chodziłam czas jakiś z jego kolegą ze studiów. Na szczęście zmądrzałam. Ale Mareczek na zawsze zostanie moją wielką, platoniczną miłością. A on zna się na ludziach. Ja zresztą też, jak na handlowca przystało. A ty, wybacz szczerść, wyglądasz na rozsądną kobitkę. I wiesz, jak się ubrać na wernisaż, co jest naprawdę miłą odmianą. Ale teraz – zmieniła temat – muszę porozmawiać jeszcze z gośćmi. O dobre relacje z nabywcami trzeba dbać. Nawet jeśli sami niczego nie kupują, to może polecą znajomym... Zresztą, sama wiesz, jak jest. Ale wpadnij do mnie koniecznie!

Zuza uświadomiła sobie, że właśnie zrobiła krok do przodu. Zawarła znajomość z osobowością na kulturalnej scenie Grodowa. A co ciekawe, kobieta okazała się zupełnie zwariowana i bardzo sympatyczna. I, co jeszcze ciekawsze, nie była stąd. Z tego, co zdążył jej powiedzieć Łukasz, Ula wżeniła się w starą rodzinę i tym sposobem została częściowo zaakceptowana w środowisku. Widząc właścicielkę podchodzącą do kolejnych grup postanowiła, że koniecznie musi się z nią kiedyś umówić. Chętnie skorzysta z pomocy przy pisaniu tekstu, lecz przy okazji postara się też namówić Ulę na wywiad. W końcu wujek Rysiek kazał jej samodzielnie szukać tematów. I koniecznie musi porozmawiać z Markiem. Może i jego uda się namówić na rozmowę...

Wodząc wzrokiem po sali natrafiła na Jakuba Bazyla. Musiał przyjść dosłownie przed chwilą, bo stał



na progę rozglądając się z tą swoją nieprzeniknioną miną. Gdy w końcu spojrzął na nią, wyglądał, jakby przez chwilę się zastanawiał nad kolejnym ruchem, po czym skinął nieznacznie głową w geście powitania. Odkłoniła mu się również bez uśmiechu. A niech to. Bazyl, zwany przez nią Bazyliszkiem, był jak zmora z dawnych lat. Jeden z najpopularniejszych chłopaków w liceum, zawsze w gronie znajomych, zawsze wracający lub idący na jakąś imprezę, niegdysiejszy chłopak jej przyjaciółki – Julki. Rozstanie tej pary było nad zwyczaj burzliwe i po nim niechęć Zuzy do Bazyla jeszcze wzrosła. A teraz ma to pieskie szczęście, że go widzi na wernisażu.

– A o czym tak rozmyślasz?

Zuza o mało co nie podskoczyła, gdy dostała kuksańca w bok.

– No, wypraszam sobie – rzekła udając oburzenie.

– A od kiedy to jesteś taka delikatna? – Marek taksował ją zaciekawionym spojrzeniem. – I od kiedy nosisz krótkie włosy? W pierwszej chwili w ogóle nie mogłem skojarzyć, skąd znam tę twarz. A tu proszę, Zuzia we własnej osobie.

– Miło cię widzieć – serdecznie przywitała kolegę. – I gratuluję wystawy. Robi wrażenie.

– To dobrze. Ma robić. Chociaż duże formaty zostały w Rzymie, bo by się tu nie zmieściły. Ula próbowała namówić mnie choć na jeden, ale wyszło, że zajmie całą ścianę, więc z oporami, ale jednak zrezygnowała. Ale mów, co u ciebie. Będziesz jutro na spotkaniu?

– Będę. Oli udało się nawet wyciągnąć mnie na zakupy...

– Oj, to rzeczywiście straszne. I jak ty, bidulko, to przetrwałaś?

Zuza parsknęła.

– Złośliwość ci się stępiła.

– Już nie ten wiek – przyznał. – Więc będziesz jutro, to dobrze. Powspominamy stare, dobre czasy...

– Mówisz, tak, jakbyś miał sześćdziesiątkę na karku.

– Czasem mam. Bez przesady. Gdy chodzę po galeriach i widzę dwudziestolatków pchających się na szczyt, to naprawdę zaczynam się czuć jak dinozaur.

– Ty też masz dwudziestkę – zwróciła mu uwagę.

– Ale ile jeszcze? Niecały rok. Boże, jak ten czas leci... Ale z innej beczki. Co porabiasz? Słyszałem, że pnieś się po szczeblach kariery w agencji reklamowej i nawet masz jakieś większe kampanie na koncie.

Zuza sięgnęła po drugi kieliszek wina.

– To masz nieaktualne informacje. W reklamie już nie pracuję. Wróciłam na stare śmieci, czyli do Grodowa. I od dzisiaj jestem dziennikarką.

Marek się zakrztusił.

– No, nie. Nie mów mi, że pracujesz u wujka. Ile ja się nasłuchałem, jak psioczysz na tę gazetę dziesięć lat temu. Gazeta chyba się nie zmieniła...

– Nic a nic.

– No, to będzie ciekawie. To jak wrzucenie granatu do latryny. Efekt będzie, niewątpliwie.

I zaczął się śmiać, a ona wraz z nim.

– Czyli tu mieszkasz – zaczerpnął tchu i wrócił do tematu. – Z rodzicami?

– Nie. Mam własne mieszkanie i kosmiczny kredyt.

– Gratulować czy współczuć?

– Raczej gratulować. Mieszkanie super. I jeszcze ci powiem, zanim i tak się od innych dowiesz, a dowiesz się niewątpliwie...

– Uroczy mechanizm plotki...

– ...że miałam wychodzić za mąż, ale narzeczony puścił mnie kantem.

- Palant jakiś.
- Dziękuję. Palant niewątpliwy.
- A kiedy miał być ślub?
- Wczoraj.
- O cholera. To współczuję.

Marek, jak rzadko, wydawał się lekko speszony. Zuza natomiast miała coraz lepszy humor. I wcale nie była to zasługa dwóch lampek wina. Raczej tego, że w końcu trafił się w mieście ktoś, kto jeszcze nie wiedział o jej niedoszłym małżeństwie. Fenomen jakiś po prostu.

– Nie przejmuj się. Wszyscy mnie pocieszają, że tak jest lepiej. I powoli zaczynam przyznawać im rację. Więc: przeprowadziłam się, nie zmieniłam stanu cywilnego, za to zmieniłam pracę. A ponoć każda zmiana jest dobra.

– No, zdrowe masz podejście do sprawy.

– Dziękuję. – Zuza bawiła się coraz lepiej, postanowiła więc iść za ciosem. – A mogę cię wykorzystać?

Marek wykonał przed nią dworny ukłon.

– A wykorzystuj, ile chcesz!



Z uwagą przeglądał gazetę. Rano tylko rzucił na nią okiem i upewnił się, że zamieścili artykuł. Teraz, po powrocie z pracy, mógł go na spokojnie przeczytać.

Tak jak się należało spodziewać, „Kurier Grodowa” podtrzymywał oficjalną wersję o samobójstwie. Według informacji przekazanych przez policję, działacz sportowy Adam Rzewuski został w sobotę znaleziony martwy we własnym biurze. Wykluczono działanie osób trzecich. Czyli nic nowego. Dokładnie te same informacje pojawiły się w lokalnym dodatku do gazety małopolskiej w poniedziałek i w czwartek. Grodowska redakcja przytaczała jeszcze sylwetkę zmarłego, wymieniała akcje sportowe i społeczne, w które był zaangażowany, mówiła o jego wkładzie w budowę nowej hali sportowej. Na koniec pojawiły się wyrazy żalu i współczucia dla rodziny. Bardziej przypominało to nekrolog, niż informację prasową. Znać było rękę naczelnego, Ryśka Moskala.

Złożył starannie gazetę i oparł się w fotelu. To już prawie tydzień, a policja lata jak kot z pęcherzem i nie mają pojęcia, jak to ugryźć. Zaśmiał się w duchu. Nie mają szans, by go połączyć z Rzewuskim. Ich kontakty były jak najbardziej oficjalne, a o zachowanie w tajemnicy tych „pozostałych” postarał się już sam Adam. I dobrze. Nikt nie wpadnie na pomysł, że on sam przyłożył Rzewuskiemu broń do głowy. Alibi miał prawie nie do podważenia. Prawie...

Zasepił się na wspomnienie listu sprzed dwóch dni.

Ta wredna, głupia baba. Że też musiała akurat się napatoczyć w najmniej spodziewanym momencie. Zupełnie jej nie zauważył. Widocznie to kalkulowane na zimno zabójstwo jednak na moment odebrało mu spokój i go zamroczyło. Wyszedł zadowolony, że wszystko poszło zgodnie z planem. Nic nie wskazywało na jego obecność w biurze Rzewuskiego. Policja łyknęła wersję z samobójstwem i nawet na mieście wszyscy byli co do tego zgodni, że Rzewuski, któremu pewnie nie wyszedł jakiś przekręt, strzelił sobie w łeb. A przecież wiadomo, że informacja, która krąży po mieście to fakt.

A tu w środę dostaje list z groźbą. Szantażystka się znalazła! Jak mógł jej nie zauważyć? Ciągłe powracało to pytanie. Głowił się nad tym od dwóch dni. Niestety, czas mu się kończył. Jutro musi zapłacić. Nie chciała wiele, raptem pięćdziesiąt tysięcy. To akurat nie stanowiło problemu. Jednak nie miał żadnej gwarancji, że na tym się skończy, albo, co gorsze, że baba otrzymawszy pieniądze nie pójdzie na policję. Wówczas będzie skończony. A nie po to zabijał, żeby teraz siedzieć.

Musi coś wymyślić. I to szybko!



Zuzanna otworzyła jedno oko i zerknęła na budzik. Kilka minut przed szóstą. Przeciągnęła się i przewróciła na drugi bok. Sobota. Nigdzie się nie spieszy.

Przez chwilę jeszcze próbowała dospać, ale świergot ptaków za oknem skutecznie rozwiął resztki snu. Ziewnęła. Kawy...

Westchnęła. Nikt nie przyniesie jej do łóżka kubka z parującym, aromatycznym napojem. Jeśli chce kawę, musi ją sobie sama zrobić. Wstała, sięgnęła po szlafrok i zeszła na dół. Złapała się na tym, że nuci pod nosem. Bo czemu nie? Pogoda jest piękna, ona ma pracę, Marek pozwolił się wykorzystać jako bohater wywiadu i umówili się na poniedziałek. Wczoraj wieczorem udało się jej po powrocie z wernisazu napisać jeszcze pierwszą wersję artykułu i jest z niej zadowolona. Dziś jeszcze raz ją przejrzy i w zasadzie pierwszy z czterech tekstów ma gotowy. Drugi też już jest w trakcie, to znaczy ma pomysł i postara się na świeżo spisać pytania do wywiadu. Musi też pomyśleć nad felietonem. Coś na trzy i pół tysiąca znaków, czyli, licząc lekko, jakieś półtorej strony tekstu. Z tym też nie powinno być problemów. Gdy pracowała w wakacje w redakcji, pisała felietony co tydzień, najgorzej było z szukaniem do nich tematów, bo zawsze miała wrażenie, że w Grodowie nic się nie dzieje. A to się raczej nie zmieniło, no, chyba że ma mylne wrażenie. Przejdzie się po mieście i coś wyłapie.

A więc plan na dzisiaj jest taki: kawa, poprawa wczorajszego artykułu, pytania do wywiadu. Potem spacer, po drodze kupi jakieś pieczywo i może coś na lekki obiad, rozejrzy się po mieście za jakąś scenką rodzajową, odpowiednią do wstępnego felietonu, i pomyśli, o czym można napisać czwarty tekst. W poniedziałek musi koniecznie poprosić Łukasza o założenie redakcyjnego maila, następnie przejdzie się po wszystkich instytucjach kulturalnych w mieście, prosząc o informacje o planowanych wydarzeniach. Stworzy w gazecie rubrykę: „Co? Gdzie? Kiedy?”. Może to coś da? Bo jakoś zawsze informacje o tym, co się dzieje w Grodowie, pojawiały się po terminie i matka niejednokrotnie bywała rozczarowana, że coś przegapiła.

Spotkanie klasowe planowane jest na dziewiętnastą. Potrzebuje koło dwóch godzin na przygotowanie się. Szkoda, że nie pomyślała wcześniej, by umówić się do kosmetyczki na makijaż. Ale trudno, poradzi sobie jakoś sama.

Przysiadła na kuchennym stołku czekając, aż kawiarka zacznie syczeć. Otworzyła laptopa i w nowym dokumencie zaczęła spisywać pytania.

Czy czuje się człowiekiem sukcesu? Co ceni w zawodzie grafika? Co miało największy wpływ na rozwój jego pasji? Skąd czerpie inspiracje? Czy czuje się związany z Grodowem? Zapisała to pytanie i się zasepiła. Może to wścibstwo? Bo oczywiście Marek poczuje się w obowiązku, by przytaknąć, powie kilka pochlebnych słów o mieście i jego mieszkańcach, ale czy będzie to szczere? Czy też może

zaserwuje jej plik frazesów? Zastanawiała się przez chwilę. Jeśli w rozmowie sam zahaczy o temat Grodowa, to się spyta. Jeśli nie, to daruje sobie ten temat.

Co jeszcze?

Ile czasu poświęca na stworzenie jednej grafiki? Dlaczego przeprowadził się do Rzymu? Czy lubi kuchnię włoską?

Kuchnia włoska... Spaghetti. Dobry pomysł na obiad, ucieszyła się.

Kawiarka zaczęła bulgotać, a po kuchni rozniósł się mocny aromat kawy. Ostatnia paczka z jej hiszpańskich zapasów była na wykończeniu. Szans nie ma, by kupić ją w Polsce. Normalnie poprosiłaby kogoś ze znajomych, kto akurat wybierał się w tamtym kierunku, by przywiózł jej mały zapas. Ale kontakt ze znajomymi z Krakowa urwał się dwa miesiące temu, gdy przeniosła się do Grodowa i przestała odpowiadać na maile. Szlag by to.

Przelała kawę do kubka, dolała sporo mleka i wróciła do komputera.

Po dwóch kwadransach poprawiania i wygładzania tekstu z wernisażu miała dość. Barowe stołki, które ustawiono przy wysokim blacie, oddzielającym kuchnię od salonu, były dobre do zajadania przekąsek, ale nie do pracy. Próbowwała usiąść wygodnie, ale kręgosłup się buntował. Musi załatwić normalny stół i wygodne krzesło biurowe. Nawet jeśli jej kariera dziennikarska ma trwać tylko kilka miesięcy. Inaczej będzie mieć problem z plecami. Zamknęła komputer i zsunęła się ze stołka. Na ten moment – koniec.

Dopiła kawę i poszła do łazienki. Poranna toaleta, szybki makijaż i może wyjść na miasto.

Zerknęła w lustro i zamarła.

– Cholera! Cholera! Jasna cholera!

Próbowwała jakoś przygładzić sterczące na wszystkie strony kosmyki. Gdy wieczorem myła głowę jakoś nie pomyślała o tym, by od razu wysuszyć i ułożyć włosy. Nigdy tego nie robiła. Ale teraz, gdy włosy były krótko ścięte, okazało się, że powinna.

– Szlag by to!

Umyła szybko głowę i wyciągnęła suszarkę.

Pół godziny później, po kolejnym myciu i suszeniu, dalej wyglądała tak, jakby ktoś wsadził jej na głowę mopa.

Zdesperowana doczekała do ósmej i zadzwoniła do Oli.

– Idź do Niny – poradziła przyjaciółka. – I poproś ją, by ci wytłumaczyła, jak układać włosy. Umiesz sobie poradzić ze sprzedażą zupełnego badziewia, to z włosami też sobie poradzisz.



– Ratunku!

Nina rzuciła okiem i bez zbędnego gadania wskazała na myjnię.

Zuza szybko zajęła miejsce, modląc się w duchu, by żadna ze starszych pań nie zabiła jej wzrokiem. Spod suszarek padały na nią wrogie spojrzenia. Trudno.

– Coś niezbyt dobrze wyszła ta fryzura – dziewczyna zdjęła jej z głowy chustę, pod którą Zuza próbowała upchnąć sterczące na wszystkie strony kosmyki.

– Myłam, suszyłam i nic nie wychodzi. I mów mi po imieniu, bo jak ktoś widział mnie z takim gniazdem na głowie, to większego stopnia zażyłości chyba już nie ma.

Nina parsknęła.

– Dobra. A nakładałaś jakieś pianki, odżywki?

– To, co zwykle. Włosy zawsze same się układały, a teraz nie chcą nawet przy suszeniu.

– A jak je suszyłaś?

– No jak to: jak? Normalnie. Głowę w dół.

Nina przewróciła oczami, a dwie panie pod suszarkami wydały z siebie zgodne westchnienie pełne politowania.

– Kobieto. Krótkie włosy układasz na szczotce. Z dużą ilością pianki. Masz taką strukturę włosa, że same za żadne skarby ci się nie ułożą.

Szybko wymyła jej głowę i posadziła przed lustrem. Zerknęła jeszcze pod suszarki i stanęła za Zuzą.

– Po pierwsze: odżywkę po nałożeniu musisz spłukać. Po drugie: nałożyć na wilgotne włosy piankę i dobrze wetrzeć. Masz grubą szczotkę, taką jak ta?

– Nie.

– To kup. Są w drogerii. Górę upinasz, dół na szczotce zaczynasz suszyć...

Mówiąc to włączyła suszarkę i sprawnie rozdzieliła pas-ma.

Zuza zafascynowana wpatrywała się w lustro.

Staruszki samodzielnie wyłączyły już suszarki i teraz konspiracyjnie o czymś szeptały. Zuza wyłapywała tylko strzępy tej dyskusji. Nie, żeby podsłuchiwała. Nie miała tylko w tym momencie nic innego do roboty, a gdy po raz kolejny padło nazwisko Rzewuskiego – nadstawiła uszu. Zdążyła się już zorientować, że jest to temat numer jeden, który od tygodnia elektryzuje miasto.

– Bo wie pani... To ponoć nie było samobójstwo. Wnuczek mi mówił...

– Ten wnuczek z policji?

– Właśnie. Czyli coś musi w tym być, skoro mają wątpliwości.

– Czyli ktoś Rzewuskiego zabił? – w głosie staruszki pobrzmiwała czysta żądza sensacji.

– No chyba...

Suszarka zagłuszyła dalszą część rozmowy.

Zuza szybko wyciągnęła komórkę i napisała do Łukasza.

„Wiesz, że Rz. nie popełnił samobójstwa?”

„Zaczyna to chodzić po mieście. Brawo. Widzę że łapiesz już miejskie plotki.”

Świetnie. Chyba właśnie zyskała miano plotkary. Próbowwała coś jeszcze wyłapać, ale kobiety przeniosły się na kanapę w głębi salonu i przez szum suszarki nic już nie było słychać.

– Proste – posumowała Nina kwadrans później. – Musisz tylko nabrać wprawy.

– W twoim wykonaniu to może i proste... – Zuza z zachwytem wpatrywała się w lustro – I tym sposobem jestem gotowa na wieczorną imprezę!

Od fryzjerki wyszła w świetnym humorze. Miała przed sobą cały dzień i postanowiła, że poświęci go na same przyjemności. Skoro zaczęła od fryzjera, a ma skończyć na klasowym spotkaniu, to i środek tej soboty trzeba odpowiednio zagospodarować.

Szła niespiesznie ulicami miasta. Typowy sobotni poranek, pełno kręcących się ludzi, pobocza zapchane samochodami. No, ale nie ma się co dziwić: skoro wszystkie parkingi w pobliżu rynku były płatne, to kierowcy starali się znaleźć miejsce gdzieś dalej. Efekt był taki, że samochody parkowały na pasach i na zakrętach, a matki z wózkami nie miały szans przejechać chodnikiem bez obijania się między płotem a karoserią. To nawet nie była kwestia niedzielnych kierowców, pomyślała. W tym mieście każdy jeździł i parkował jak chciał z bardzo prostej przyczyny. Straż miejska w weekendy nie pracowała, w tygodniu była dostępna do szesnastej, a w godzinach pracy wszyscy udawali bardzo zajętych jeżdżeniem po mieście. Policja mogła niewiele więcej, po pierwsze: nie będą się zajmować takimi

pierdołami jak złe parkowanie, po drugie: przecież nie będą wystawiać mandatów rodzinie i znajomym. Efekt był wręcz spektakularny. Zderzak przy zderzaku. Jakoś nie mogła pojąć tej miłości do motoryzacji. Nawet jeśli chodziło o odwiezienie dzieci do szkoły dwie przecznice dalej, czy zakupy – większość pań domu siadała za kółkiem. Nie mówiąc już o niedzielnych bitwach parkingowych pod kościołem...

Zuza bezwiednie kierowała swe kroki w stronę rynku. Tu też panowało ożywienie. Mieszkańcy Grodowa i okolicznych wsi robili zakupy na niedzielę, a to zawsze oznaczało kolejki i spory. Nienawidziła sobotnich zakupów. Gdy mieszkała z rodzicami, była zawsze wysyłana po pieczywo na dwa dni. Dwadzieścia minut w kolejce w ulubionej piekarni ojca jak nic. Ją to nieodmiennie irytowało, dla innych było okazją do sąsiedzkich spotkań.

Przebiegała rynek rozglądając się na boki. Jeśli chce pisać felietony z życia miejskiego musi na nowo to miasto poznać. Dziesięcioletnia nieobecność, nie licząc tych krótkich wizyt u rodziców, spowodowała pewne braki w jej orientacji w lokalnej topografii i układach. Choć tak po prawdzie to te układy nigdy jej nie interesowały. Pech. Musi to nadrobić.

Szła wolno, ciesząc się słonecznym dniem. Gdyby nie wieczorna impreza, może nawet wybrałaby się gdzieś za miasto... Włączyła się tak bez celu ponad godzinę. Oglądała wystawy, podsłuchiwała rozmowy, przyglądała się ludziom. Wybrała trasę, którą nie szła od lat. Zaskoczyły ją zmiany. Zniknęła cukiernia, mieszcząca się kiedyś w wąskiej uliczce biegnącej za rynkiem, w której często kupowała drożdżówki jagodowe z kruszonką. Teraz była tu pizzeria. Kuknęła tylko do środka i stwierdziła z uznaniem, że śródziemnomorski klimat udało się stworzyć za pomocą zaledwie kilku dekoratorskich sztuczek. Ładnie... Może kiedyś wpadnie tu z Olą na pogaduchy?

Kupiła po drodze mięso i warzywa. Zrobi potrawkę na obiad, a resztę zamrozi. Zadowolona dotarła do mieszkania.

Gotowanie i pisanie.

Całkiem nieźle sobie to zaplanowała.



*„Mężczyzna ma być mężczyzną i twarzą, i postawą, i słowy”.*

Zuza z lubością wpatrywała się w ekran. A, co tam. Skoro temat sam jej się narzuca, to nie będzie się opierać. Przełożyła garnek do piekarnika, włączyła płytę Diany Krall i wróciła na stół. Taki rodzaj terapii...

*Prawda stara jak świat, a przynajmniej mająca czterysta lat z okładem: renesansowy pisarz, Łukasz Górnicki, zamieścił ją w swej książce. A ponieważ szesnasty wiek to zamierzchła prehistoria, również tamte ideały odeszły w niepamięć. Bo kimże jest dzisiejszy mężczyzna? Pracoholikiem lub wygodnickim dyletantem z relatywistycznym podejściem do życia. No dobrze, przesadzam, uogólniam i jestem niesprawiedliwa dla tych wyjątków, które wszak istnieją po to, by potwierdzać regułę. Odezwą się teraz oburzone głosy, że facet puścił mnie kantem, to się próbuję odegrać. Punkt dla was za domyślność.*

*Historia tak typowa, że aż wstyd. Królewicz z bajki okazał się wredną żabą i do spółki z drugą ropuchą*

rodzaju żeńskiego postanowił realizować wątek: „I żyli długo i szczęśliwie...” Ale zanim facet przemienił się w oślizgłego płaza próbował wmówić wszystkim, że jest wcieleniem ideału. I, niestety, ktoś na tę bajkę dał się złapać. Ktoś, czyli ja.

A bajka zaczyna się tak: Nie tak dawno temu i wcale nie tak daleko stąd...

Pisała szybko i z pasją. Kolejne zdania z niebywałą jasnością pojawiały się w jej głowie. Nie pamiętała, kiedy ostatnio z taką łatwością ubierała swe myśli w słowa. Płynęły one własnym rytmem. Po dwóch miesiącach żalów, w końcu udało jej się przebić przez własne urazy i znaleźć w tej całej sytuacji coś pozytywnego.

Tak..., tak... Wszyscy jej powtarzali, że nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Lepiej przed ślubem, niż po, dowiedzieć się o zdradzie. Do tej pory przyjmowała te słowa niczym wyświechtane frazesy; wszystkim zależało na pocieszeniu jej, a nie na wczuciu się w sytuację porzuconej narzeczonej. Ale teraz zaczynała dostrzegać ich prawdziwość. Teraz, gdy powoli i opornie nabierała dystansu do całej tej nieprzyjemnej sytuacji, zaczynała widzieć w niej jakieś ziarno nauki na przyszłość. Gdyby jeszcze w Mirka strzelił piorun, to uznałaby, że sprawiedliwość jednak istnieje na świecie. Jak na razie świetnie się bawiła pisząc tekst.

To było lepsze, niż rzucanie szklankami o ścianę. Zdecydowanie.



Aby być w zgodzie z miejskim zwyczajem – do „Poczekalni” spóźniły się dwanaście minut. Razem z Olą uznały, że kwadrans mógłby być przesadą i brakiem taktu. Jednak gdy weszły do restauracji, doszły do wniosku, że może trzeba było jeszcze trochę poczekać. Lokal nie był co prawda pusty, przy barze na wysokich stołkach siedziało kilka osób, dwie pary zajmowały przytulne boksy pod oknem, jednak klasowych znajomych nie było widać.

Zuzanna zatrzymała się w tuż za progiem. Nie była tu od przeszło dziesięciu lat i teraz, mile zaskoczona, rozglądała się po wnętrzu. Kiedyś była to restauracja rodem z wczesnych lat dziewięćdziesiątych, ale gdy wprowadzenie gospodarki wolnorynkowej spowodowało gwałtowny rozrost małych, rodzinnych biznesów, część zabudowań na zapleczu strażnicy wydzierżawił jakiś daleki kuzyn burmistrza i zrobił coś pośredniego między kawiarnią a restauracją. Zuza z koleżankami wpadały tu czasem po szkole z bardzo prostego powodu: miały po drodze, a ceny były dość znośne, jak na skromne możliwości licealistek. I nawet odstraszające ceraty w biało-zieloną kratkę nie budziły zbytniego obrzydzenia.

Teraz wnętrze wyglądało nowocześnie i elegancko. Duże panele z ciemnego drewna pokrywały ściany, dwie fototapety w sepii przedstawiały starodawną poczekalnię dworcową, nad barem umieszczono kilka skórzanych walizek. Całości wystroju dopełniały stare plakaty kolejowe i oświetlone halogenami modele parowozów.

– Jesteście!

W ich stronę, na bardzo wysokich szpilkach, drobnymi kroczkami zmierzała niska blondynka, Agata Klemp. W biegach na obcasach miała wprawę, bez dwóch zdań; odkąd skończyła liceum nigdy nie pojawiła się publicznie w płaskich butach i nawet kilkugodzinne zwiedzanie nie mogło jej odwieść od tego postanowienia. Zuza pamiętała, jak kiedyś przypadkiem spotkały się w Warszawie. Agata zdążyła

już obejść Zamek Królewski, w planach miała Łazienki i z dumą prezentowała swe „wycieczkowe”, tylko sześciocentymetrowe, szpilki. To dopiero był sport ekstremalny!

– Super! Mamy zarezerwowaną salę z tyłu, ale można też przenieść się do baru! Będzie świetnie! Nie widziałam was od lat! – ekscytowała się wyściskując je obie.

Zuza próbowała jednocześnie witać się a Agatą i nie dać się jej przewrócić.

– Ola! Świetna sukienka i taka figura! W czerwieni dobrze wyglądasz. Zresztą obie świetnie wyglądacie. Nic się nie zmieniłyście. Oczywiście poza fryzurą Zuzy. To zupełnie tak, jakbyśmy zaledwie wczoraj pisały maturę! – Ujęła je pod ramię i prowadziła w głąb lokalu.

Z tyłu, za barem, była mała sala. Stoliki ustawiono razem w podkowę i oświetlono świecami. Gdy weszły przywitał je aplauz i gwizdy kolegów.

– Dziewczyny! – zakrzyknął Paweł Oterski, zrywając się ze stołka.

– Najpierw ja! Najpierw ja! – Julka Kurek wyprzedziła kolegę.

Podbiegła do przyjaciółek. W krótkiej zielonej spódniczce i złotawym sweterku z głębokim dekoltem prezentowała się, jak zwykle, doskonale. Miała to do siebie, że zawsze przyciągała zaciekawione spojrzenia mężczyzn i zawistne kobiet. I zdawała się zupełnie nie przejmować ani jednymi, ani drugimi.

– Czemu nie zabrałyście mnie na zakupy? No, nie róbcie takich zdziwionych min – zaśmiała się. – Ta sukienka – wskazała na Olę – w ten poniedziałek przysłała do sklepu. Oglądałam ją. Podłe. Trzeba było mnie uprzedzić, że urządzacie shopping przed imprezą – dodała z lekkim wyrzutem.

Julka nic się nie zmieniła. Przyjaźniły się we trzy od podstawówki, razem chodziły do ogólniaka, ale potem ich drogi się rozeszły. Zuza z Olą, według możliwości, spotykały się co dwa miesiące, czasem nawet częściej. Z Julką zazwyczaj był jakiś problem: a to miała wyjazd, a to w pracy musiała zostać, to znów obiecała coś babci... Zuza lubiła Julkę, kiedyś wręcz bezkrytycznie, ale teraz coraz częściej zaczynała dostrzegać egoizm przyjaciółki.

– Chodźcie. Póki nie ma jeszcze tłumy, siądziemy sobie z dala od panów i pogadamy. Boże, co to był za tydzień! Miałam do ciebie wpaść w czwartek – zwróciła się do Zuzy – ale nie wiedziałam, czy nie chcesz przypadkiem być sama. Mnie by szlag trafił. Jak dostałam twoją informację o odwołaniu ślubu, to myślałam, że zejde. Zresztą, bądźmy szczerze, faceci nadają się tylko do zarabiania pieniędzy i do tych krótkich chwil przyjemności. A najlepiej, jak ich nie ma w domu. Więc nie tak źle na tym wyszłaś, że zostałaś sama. Przynajmniej nie musisz mu gotować obiadków.

– Ja gotuję obiadki – wtrąciła Ola.

– Ale ty, to co innego. Ty się realizujesz w roli pani domu. A Zuza ma karierę.

Popatrzyły na nią zaskoczone, a Zuzie zrobiło się przykro, że przyjaciółka nic nie wie o jej sytuacji.

– Julka! Jaką karierę – oburzyła się Ola. – Zuza nie ma pracy!

– No, już w zasadzie mam... – zaczęła z wyjaśnieniami.

– Nie masz pracy?

– Masz pracę? – spytały równocześnie, a Zuza teatralnie przewróciła oczami.

– Spokojnie, dziewczyny. Przez dwa miesiące nie miałam pracy. Od wczoraj mam.

– Gdzie? – chciały wiedzieć.

– W Grodowie... Powiem wam, tylko się nie śmiejcie...

– Tylko nie mów, że znów piszesz dla wujka Ryśka! – parsknęła Julka.

– Dokładnie tak.

Teraz chichotały już we trzy i nie mogły się uspokoić.

– Wesołą kompanię tu macie – dosiadł się do nich Robert Gawłowicz. – Obgadujecie starych, biednych profesorów? A pamiętacie, jak Marek dorzucił matematyczne do kawy środek na przeczyszczenie?

– A klasówka i tak była!



Zuza mrugała szybko oczami, by ratować makijaż.

– Zaraz się rozmażę – jęknęła. – Przestańcie...

– No wiesz co? Przecież istotą takich spotkań jest przytaczanie najlepszych anegdot. Albo to... – kontynuował. – Jak na wycieczce Mućka szukała Jarka, a biedak miał dość wrzasków u chłopaków i poszedł do dziewczyn, by w końcu spokojnie się przespać... Ale była chryja.

– I to mnie się oberwało, za to, że spałem. A reszcie, która obrzygała pokój na dole, jakoś nic się nie stało... – pożalił się Jarek, który właśnie stanął za nimi.

– A kółko dramatyczne, które na siłę założyła nieoceniona Rawlicka? Przecież to była masakra, jak po miesiącu zgłosiła nas do tego przeglądu zespołów amatorskich. Dobrze, że Rajski z Miśkiem umieli gwarą coś nawijać i uratowali tę szopę...

W sali zbierało się coraz więcej osób. Nowo przybyli witani byli nieodłącznym aplauzem, następowała seria uścisków i próba znalezienia miejsca. Całe towarzystwo wciąż wędrowało, przesiadało się, chodziło do baru i z powrotem.

Zuza wyłapywała fragmenty typowych w tych okolicznościach rozmów. Kto się ożenił, kto gdzie pracuje, ile ma dzieci. Wyciągano zdjęcia pociech, chwalono się ich osiągnięciami. Dumne mamy zbiły się w małą gromadkę, której przewodziły Aśka, Ewa i Klaudia. Po pewnym czasie Ola też się tam przeniosła, by móc zaprezentować swoje bliźniaki.

– A tobie, jak się powodzi? – chciał wiedzieć Robert. – Słyszałem, że wróciłaś na stare śmieci.

– Ano tak – przyznała. – Mam na głowie odwołany ślub i nową pracę.

– Oooo... To tak, jakbyś od razu, bez etapu małżeństwa, przeskoczyła do rozwodu.

– Dobrze porównanie. Ale przynajmniej oszczędziłam sobie zamieszania z tym, co pomiędzy.

– No. Nie wiem czy słyszałaś, Iza z Bartkiem się rozwodzą. To dopiero masakra. A wydawało się, że są idealną parą. Jak pomyślę, że im się nie udało, to zaczynam się zastanawiać nad własnym małżeństwem... Ale przynajmniej ja mam swoje samochody.

– Samochody? Masz salon?

– Gdzie tam. Mam warsztat i przy okazji zajmuję się renowacją starych aut. W sobotę za trzy tygodnie urządzamy zlot na rynku. Tomek też się tym zajmuje. Wpadnij. Będzie kilka naprawdę niezłych egzemplarzy – zachęcał.

Zgodziła się chętnie, licząc, że przy okazji zrobi kilka zdjęć i napisze artykuł do „Kurier”. Dołączy wypowiedzi organizatorów, może uda się jej nawet sięść za kierownicą...

Wniesienie gorącego dania spowodowało małe zamieszanie. Po raz kolejny nastąpiło przetasowanie towarzystwa. Zuza, jakimś złośliwym zrzędzeniem losu, znalazła się koło Kingi Król.

– Wiesz, że wczoraj ledwie cię poznałam – koleżanka znów zaczęła od tego samego tematu. – Naprawdę... Nie spodziewałam się ciebie w Grodowie, choć oczywiście słyszałam, że wróciłaś. Potem mi jeszcze kuzynka powiedziała, że chcesz pracować w gazecie. Była akurat w sekretariacie, jak twój wujek zajrzał do ich wydziału. No, no... Jak to usłyszałam, to zaświtała nadzieja, że w końcu będzie można coś przeczytać. Nie, żeby do tej pory nie było co czytać – zastrzegła się. – Ale sama wiesz... A teraz przynajmniej taki pożytek, że jak ktoś się zna na reklamie, nawet jeśli stracił pracę w agencji w Krakowie, to może chociaż ogłoszenia będą w końcu czytelne. Prawda?

Zuza tylko chwilę zastanawiała się, czy próbować sprostować opinię Kingi. Przecież, po pierwsze – to jej nie wyrzucili, tylko sama odeszła, po drugie – nie będzie się zajmowała redakcją ogłoszeń. No, na miłość Boską! Bez przesady! Jednak Kinga była znana z tego, że własne słowa traktowała niczym wyrocznię i niewiele było w stanie odwieść ją od raz powziętego przekonania. Szkoda zachodu, stwierdziła Zuza. Niech sobie myśli, co chce.

Kinga, nie wymagając od rozmówcy żadnej reakcji, dalej ciągnęła temat. Komentowała ostatnie

wydanie, omawiała dobór tematów, zastanawiała się, czy zatrudnienie Zuzy wpłynie na wzrost sprzedaży. Dopiero wejście kolejnej osoby zdołało przerwać ten monolog i skierować jej uwagę w inną stronę.

– O! Natalia!

Istotnie. W ich kierunku nie tyle szła, co kroczyła niczym po wybiegu, Natalia Ramus. Jak zwykle stylowo ubrana, tym razem w krótką, granatową sukienkę i jasny żakiet. Świadoma zaciekawionych spojrzeń, jakimi ścigali ją obecni, ciut wyżej uniosła podbródek. Zuza zauważyła ten manewr i stłumiła śmiech. Tak, ta kobieta wiedziała, jak przyciągnąć uwagę. W klasie to właśnie Natalia i Julka konkurowały o tytuł najpiękniejszej. Oczywiście żadna z tych dwóch nigdy by się do tego otwarcie nie przyznała, jednak cicha wojna między nimi trwała przez całe cztery lata. Zuza, jako przyjaciółka Julki, wiernie trwała w jej obozie, jednak teraz, patrząc na wszystko z dystansu, musiała przyznać, że to Natalia ostatecznie wygrała. Wysoka, długonoga, z naturalnymi blond włosami, przede wszystkim miała lepsze możliwości – i fizyczne, i finansowe. Już w liceum chwaliła się profesjonalnym portfolio. Jej ojciec miał własną firmę i był w stanie zapłacić za studyjną sesję córki. Julka, wychowywana przez babcię, nie mogła nawet o tym marzyć.

Natalia, niczym udzielna księżna, przywitała się z Kingą, następnie skierowała swą uwagę na mężczyzn. Koleżankom skinęła nieznacznie głową i posłała zdawkowy uśmiech.

– Muszę się napić! – szepnęła jej do ucha Ola. – Ja tej kobiety nie zdzierzę.

Poszły we dwie do baru.

– Wy też zwiadyście? – do konspiracji dołączył Tomek Rajski.

– Czyżbyś się wyrwał z zakłętą kręgu? – Ola nie kryła złośliwości.

– Natalia już tak ma... Ale ja nie zamierzam skakać przy niej jak tresowany piesek.

Zamówili kolejkę. Zuza wolno sączyła mojito, zastanawiając się, jak szybko dorośli ludzie, którzy przecież mają własne życie, na powrót wchodzą w role przypisane im dziesięć lat wcześniej. Patrząc po kolegach z klasy znów widziała te same grupki, znów przed jej oczami stawały szkolne przerwy i zbite w gromady frakcje. Teraz też, mimo początkowej ogólnej sympatii, miała wrażenie wiszącej w powietrzu i gęstniejącej niechęci. A może tylko jej się tak zdawało? Może po prostu, ze względu na własne przeżycia, jest bardziej pesymistycznie nastawiona do świata i zamiast po prostu cieszyć się ze spotkania, szuka dziury w całym i próbuje sobie popsuć humor...?

Otrząsnęła się z tych rozmyślań. Siedzieli we trójkę przy barze i rozmawiali o winach. Tomek okazał się ich znawcą i pasjonatem. Opowiadał właśnie o swojej firmie i winnicach, z którymi współpracował.

– Cały długi weekend majowy przesiedziałem na konferencji. Takie przyjemne z pożytecznym, więc nie powiem, świetnie było... – rozmarzył się. – Beata narzekała, że znów ją zostawiam samą, ale wiecie, praca nie wybiera. A Włochy... Musicie kiedyś się tam wybrać. Raj na ziemi. Łagodne wzgórza, soczysta zieleń, nagrzana słońcem ziemia... Winnice to coś niezwykłego. Szkoda, że nasz klimat nie pozwala na hodowlę szczepów na taką skalę.

Po jakimś czasie dołączyli do nich Olek i Robert. Dyskusja zeszała na planowany zlot starych samochodów. Panowie zagłębili się w szczegóły, które dla niej okazały się zupełną magią.

Ola przywołała barmana.

– Jeszcze raz to samo.

– Wypada chyba przenieść się znów do towarzystwa, bo powiedzą, że się alienujemy. A my mamy błyszczeć – przypomniała Zuza.

– Momencik... – Ola bawiła się jeszcze podkładką pod kieliszek. – Zbieram siły...

Zuza z powrotem opadła na stołek i postanowiła dać przyjaciółce jeszcze kilka sekund. Ta przez chwilę miała nieszczęśliwą minę, po czym zacisnęła mocno usta.

– Czuję się znów jak licealistka. Cholera! Idę do kibelka.

Czyli wcześniejsze obawy się potwierdziły. Ola straciła pewność siebie i przebojowość, którą zyskała na studiach. Znów wchodziła w skorupę zahukanej prymuski.

– No! Tu jesteś! – dosiadła się do niej Kinga. – Nie pokazałam ci jeszcze moich utworów. Masz! – wcisnęła jej w ręce tomik poezji. – Przejrzyj, a jak skończysz to koniecznie zadzwoni. Porozmawiamy o ich publikacji w „Kurierze”...

Barman z kelnerem wprawnie serwowali kolejne drinki. Towarzystwo powoli zaczynało przechodzić z trybu rozmów w tryb zabawy.

Zuza, czekając na Olę, zerknęła na zgromadzonych na spotkaniu kolegów. Dyskusje trwały w najlepsze, jednak trudno jej było się w nie włączyć. Nie miała rodziny ani dzieci, przez ostatnie kilka lat koncentrowała się na pracy, której teraz też nie miała, a o nowej jeszcze niewiele była w stanie powiedzieć. Nie lubiła się chwalić własnymi wyjazdami, a gdyby się przyznała, że weszła na Kilimandżaro, to by się tylko dziwnie na nią popatrzyli. Rozglądała się za Markiem, ale jak na razie go nie było. Miała nadzieję, że nie stchórzył, i że jednak się pojawi. Na razie mimochodem przysłuchiwała się rozmowie barmana.

– Kiedy będzie szef?

– Tak, jak zmiana. Koło dziewiątej powinien być, może trochę wcześniej.

– Oby. Znów siadła kamera na zapleczu.

– Ta przy tylnym wejściu? Trzeci raz w tym miesiącu? – barman przetarł kontuar i uzupełnił miseczki z solonymi orzeszkami.

Mężczyźni wymienili jeszcze cicho jakieś uwagi, których już nie dosłyszała, odwróciła się więc bokiem i obserwowała salę.

Wieczór upływał całkiem miło. Po początkowej irytacji Zuza postanowiła po prostu dać sobie spokój ze wściekaniem się na mentalność małego miasteczka. Łatwiej było przyjąć, że i tak większość obecnych wie o jej niedoszłym małżeństwie, stracie pracy i nowej posadzie u wujka. W takim razie należy to po prostu uznać za fakt i przestać się przejmować. Łatwo powiedzieć, trudniej wykonać. Co prawda kolejny drink na pewno by to ułatwił, jednak miała słabą głowę i doskonale zdawała sobie z tego sprawę. A nie zamierzała dodać do ogólnych plotek jeszcze informacji o ekscesach na spotkaniu klasowym. Sączyła więc wolno swoje mojito i próbowała się dobrze bawić.

Co jakiś czas ktoś ze znajomych przysiadł się do niej, by zamienić kilka słów. Szybko zaczęły się jej mieszać informacje: kto ile dzieci posiada, co studiował, gdzie pracuje i mieszka, jaki kredyt ma do spłacenia. Starła się tylko wyłapywać z tego potoku to, co ewentualnie przydałoby się w gazecie. Nie chciała bezczelnie zapisywać danych w notesie, ale dyskretnie wyciągnęła komórkę. Przecież nikt się nie dziwi, że w międzyczasie wysyła wiadomości.

Ola chyba też postanowiła zapomnieć o dawnym „ja” i znów być po prostu sobą. Słysząc jej śmiech dochodzący od stolika. W gronie kilku koleżanek opowiadały właśnie o różnych wypadkach swoich dzieci. Zuza widziała, jak wokół przysiadła coraz więcej osób i była zadowolona, że przyjaciółka się przełamała.

Zwolnione przed chwilą przez Patryka miejsce przy barze zajęła Julka.

– To naprawdę sukces. Wy dwie z Olą przyćmiłyście Natalię. Ma tak skwaszoną minę, jakby kto jej gównem pod nos podłożył – Julka znana była ze swych dosadnych porównań.

Zuza zerknęła na koleżankę. Rzeczywiście, Natalia siedziała w rogu wraz z Kingą i rzucały groźne spojrzenia na Olę. Ta, niczego nieświadoma, bawiła się w najlepsze.

– Ola, rozumiem. A ja?

– No, jak to? Nowa fryzura, świetna kiecka. Panowie do ciebie lecą, wymieniają się tylko na stołeczku i każdy sprawdza, czy jest już wolne – wskazała głową siedzącego poza plecami Zuzy Tomka. – Wiesz,

faceci lubią mieć wyłączność i unikają konkurencji. Jak stąd zejść, to gwarantuję, że zaraz któryś tu przyfrunie. Natalia zgrzyta pięknymi ząbkami. – Złośliwa satysfakcja w głosie Julki nie zostawiała żadnych wątpliwości, że najchętniej by Natalii te ząbki własną pięścią powybijiała. – Ale, ale... Masz nową pracę. Jakoś ten temat przedtem uciekł. Wujek się jeszcze nie pieni?

– Nie miał czasu. – Zuza na wspomnienie ucieczki wujka Ryśka też poczuła pewną satysfakcję. – Zaczęłam dopiero wczoraj, więc jeszcze będzie niejedna okazja, by wyprowadzić go z równowagi.

– Chciałabym to zobaczyć...

– Wyślę ci zaproszenie.

– Musimy się spotkać i pogadać gdzieś bez tego rejwachu. Bo wiesz, muszę się pochwalić przyjaciółką dziennikarką, która będzie tropić szwindle w tym naszym małym grajdole.

– Przestań... – Zuza zagryzła wargi. – Wyobrażasz to sobie? „Kurier Grodowa” jako gazeta z tematami społecznymi i interwencyjnymi? W życiu. Zresztą i tak, to nie moja działka.

– No. Ale jak ci jakiś temat sam wejdzie w ręce, to mi nie powiesz, że z niego zrezygnujesz – upierała się Julka.

– Wszystko zależy od tematu...

Od grupy szczęśliwych mam odłączyła Klaudia Pajak i zmierzała w ich kierunku.

– Ja się ewakuuję – szepnęła Julka, krzywiąc się z pewnym obrzydzeniem. – Brudne pieluchy i kaszki mnie nie interesują.

Zuza odprowadziła ją wzrokiem. Było coś pocieszającego w fakcie, że nawet dawne antypatie przetrwały próbę czasu. Julka jakoś nigdy nie przyjaźniła się z kobietami. Zuza i Ola stanowiły wyjątek od tej żelaznej reguły. Julka mówiła, że kobiety to złośliwe i zazdrosne jędze, które facetów trzymają na krótkiej smyczy, a ona nie zamierza się przejmować ich świętoszkowatością. I może coś w tej przesadzonej opinii było..., zwłaszcza, jeśli uwzględniło się jej niezbyt wesołą przeszłość.

Od tych rozważań oderwała ją Klaudia. Zajęła wolny stółek obok i Zuza zastanawiała się, czy znów zacznie się od wyrazów współczucia z powodu jej poprzewracanego życia, ale Klaudia wyszła poza schemat.

– Zastanawiałam się, czy nie mogłabyś mi pomóc... – zaczęła.

O, to było coś nowego. Zuza odwróciła się do niej z wyrazem zaciekawienia na twarzy.

– Bo widzisz... – Klaudia przerwała i jasne było, że nie do końca wie, jak o tę pomoc prosić. – Ola mówiła, że będziesz pracowała w „Kurierze”. Więc chyba, tak jak kiedyś, będziesz się zajmowała wydarzeniami kulturalnymi... Prawda?

Zuza potwierdziła.

– Mamy w bibliotece wystawę exlibrisów. Całkiem niezłą...

– Wiem, widziałam.

– Widziałaś? – zdziwiła się. – No, to jesteś jedną z nielicznych. Wystawa jest dobra, ale niewiele osób się nią interesuje i za bardzo nie wiemy, co zrobić. Jak ją rozreklamować? Czy choćby zachęcić tych, którzy przychodzą do biblioteki, by zajrzeli do czytelni i rzucili okiem. I pomyślałam, że może byś napisała jakiś artykuł, recenzję wystawy, czy coś takiego... – skończyła niepewnie.

– Daj mi chwilę pomyśleć... I chodźmy do stolika, bo tu się robi tłoczno.

Przeniosły się do sali za barem, w której w tej chwili tylko Robert z dwoma Pawłami coś omawiali. Reszta towarzystwa była albo przy barze, albo na papierosie. Kilka osób pioniersko wyszło na parkiet i próbowało namówić didżeja, by puścił w końcu coś melodycznego, do czego da się tańczyć, a nie podrygiwać.

– Artykuł napiszę, nie ma sprawy. Ale przyszło mi też coś innego do głowy. Czy autor tych exlibrisów to jakaś sensowna osoba, która da się namówić do współpracy?

– Bez problemu. Facetowi też przecież zależy na dobrej prasie.

– No... Media to czwarta władza – przyznała Zuza. – Poza recenzją chciałabym zrobić krótki wywiad i coś w rodzaju promocji. Na przykład dla osób, które odwiedzą wystawę przygotowuje się kupony, poprosi się o jakieś uwagi o wystawie i dane kontaktowe, i w ostatnim tygodniu wylosuje się trzy osoby, dla których autor przygotowuje personalnie exlibrisy jako rodzaj nagrody. Może być?

– Na to bym nie wpadła... – Klaudia z niedowierzaniem kręciła głową, ale oczy jej się śmiały. – Widać, że umiesz sprzedawać towar.

– W końcu pracowałam w reklamie...

Siedząca dotąd na końcu stołu trójka panów dołączyła do rozmowy.

– Właśnie wspominamy nasze kółko fotograficzne – wyjaśnił jeden z Pawłów. – I zastanawialiśmy się, czy pamiętasz, jakie było nasze motto?

Zuza na moment zastygła, a potem wybuchła radośnie:

– Wywoływacza się nie pije!

– A pamiętasz pierwszą sesję? Biało-czarne zdjęcia w zimie.

– I to, jak fatalnie wyszły... – dodała.

– I brak czerwonego światła w naszym laboratorium... – dorzucił Marek, który właśnie dołączył do towarzystwa.

– Jesteś! – ucieszyła się. – Już się martwiłam, że zaginałeś w akcji...

– Tak łatwo się nie gubię. Dobrze was znowu widzieć – przywitał się z resztą. – A pamiętacie, ile było zachodu, by nam dali tę kanciapę w piwnicy na laboratorium...

– I ile obiecywania, że nic w powietrze nie wysadzimy... A gdzie jest Karol? On też przecież walczył z wywoływaczem.

Rozejrzeli się za kolegą. Dojrzawszy go przy barze zaczęli niecierpliwie wymachiwać rękami, by zwrócić na siebie uwagę. Karol przeprosił Agatę, z którą właśnie rozmawiał, i podszedł do hałaśliwego stolika.

– Co tam?

– Wywoływacz i utrwalacz! – rzucił Marek.

– Niech mnie. Zupełnie o tym zapomniałem. Przecież to były raptem trzy, cztery miesiące?

– Ale jakie pasjonujące.

Skupieni na wspomnieniach w ogóle nie zauważyli, jak za ich plecami stanęła Natalia.

– Widzę, że się ekscytujecie swoimi wprawkami fotograficznymi. Szkoda, że nie pociągnęliście tego dalej...

– Jak to? – zdziwiła się Zuza. – Przecież Marek jest artystą, więc to chyba się liczy. Prawda, Mareczku?

– Można wrzucić to do jednego worka, choć nie powiedziałem tego głośno – zastrzegł się. – Gdyby to usłyszeli moi koledzy po fachu, toby mnie zjedli.

– No, jednak waszych zdjęć nie widać w czasopismach. A moje będzie za pół roku!

Z niedowierzaniem spojrzeli na Natalię.

– Fotografujesz? – Paweł nie mógł uwierzyć.

– Coś ty?! – obruszyła się. – Ja pozuję! Będą moje zdjęcia z sesji na Cejlonie.

– A...

Jakoś nikt nie kwapił się, by to skomentować. Natalia po debiutanckiej sesji w ogólniaku wyrosła na lokalną gwiazdę i z powodzeniem podtrzymywała ten wizerunek. Z tego co Zuzie donosiła Ola wystarczyło, że raz na rok wzięła udział w jakiejś sesji zdjęciowej i znów mogła się chwalić, że jest modelką. Jak widać, właśnie to był ten czas.

Zuza, ustępując pola Natalii, zostawiła ją w otoczeniu wianuszka kolegów. Po ich minach widziała, że jedni jej tego nie zapomną i zemszczą się przy najbliższej okazji, drudzy natomiast szykowali się na mały ubaw kosztem grodowskiej top modelki. Nawet było jej trochę żal Natalii. Ale tylko odrobinę i szybko ten jej żal zmienił się w malutką, mściwą satysfakcję. Cóż, nie była wcieleniem cnót, a współczucie dla tej egocentryczki było chybionym uczynkiem.

Wyszła na chwilę na zewnątrz, by zamienić kilka zdań z towarzystwem palaczy, jednak chłód majowej nocy szybko zagnał ją do ciepłego wnętrza. Patrząc na zegarek z zaskoczeniem stwierdziła, że już po dziesiątej. Czas niepostrzeżenie jej minął i wbrew obawom, dobrze się bawiła. Całe towarzystwo co chwilę przetasowywało się, tworząc mniejsze grupki. Początkowy układ licealnych frakcji uległ obecnie zaburzeniu. W końcu nie po to się tu przyszło, by rozmawiać z ludźmi, z którymi i tak utrzymuje się kontakt. To przecież była okazja, by dowiedzieć się tego i owego o kolegach, którzy zniknęli z oczu po maturze, ewentualnie przed pięcioma latami, gdy po raz pierwszy zorganizowano rocznicowe spotkanie absolwentów.

Zuza podeszła do baru, wsunęła się na wysoki stołek i poniewczasie zdała sobie sprawę, że popełniła błąd. Za barem stał Jakub Bazyl.

Widzieć go drugi raz w ciągu dwóch dni, to zdecydowanie nie była dobra wróżba. Nie bez powodu w ogólniaku zwała go Bazyliszkiem. Teraz znów spojrzął na nią tym przenikliwym wzrokiem, od którego ciarki przechodziły po plecach. Postawił właśnie jakiś wymyślny drink przed Agatą, podwinął po łokcie rękawy czarnej koszuli i podszedł do niej.

– Co podać?

Zuzie się zdawało, że w ostatniej chwili powstrzymał grymas wstrętu i przybrał zawodowo-obojętny wyraz twarzy.

– Kawę – zdecydowała. – Dużą, mocną, pół na pół z mlekiem.

Skinął i odwrócił się do ekspresu. Obserwowała, jak precyzyjnie przygotowuje zamówienie. Ciekawe, dlaczego syn znanego przedsiębiorcy stoi za barem? Wiedziała, że rodzina Bazylów ma na obrzeżach miasta duży przemysłowy teren. Większość powierzchni zajmowały magazyny pod wynajem i dla nikogo nie było tajemnicą, że to stanowi ich główne źródło dochodów. Jednak rodzice Jakuba nie poprzestali na odcinaniu kuponów. Matka miała coś w rodzaju spa. Zaczynała skromnie jako właścicielka salonu fryzjerskiego, potem doszły do tego solarium, kosmetyczka i ekskluzywna drogeria. Teraz spa pani Bazylowej było małym dworkiem na obrzeżach miasta i stanowiło punkt weekendowych spotkań pań z towarzystwa. Jego ojciec miał firmę, zajmującą się produkcją metalowych elementów maszyn. To dlatego Jakub zaczął studia na AGH. Jednak czy je skończył? Tego Zuza już nie wiedziała. Zaraz po rozstaniu z Julką, Jakub zupełnie zniknął z Grodowa, a potem Zuza sama przeniosła się do Krakowa i stopniowo odcinała się od rodzinnego miasta. Teraz, jak widać, oboje wrócili na stare śmieci. Ciekawe, czy Julka go już widziała...

– No, jasna cholera!

Zuza odwróciła się, by zobaczyć, kogo poniosło.

Przy stoliku stał i wymachiwał rękami Tomek Rajski, a obok niego podskakiwała Ewelina Panek i tylko powtarzała piskliwym głosem:

– Ojejciu! Ojejciu!

Na pomoc rzuciła się Agata.

– Solą zasyp! Solą!

– No, spodni akurat na przebranie nie wzięłem – irytował się Tomek i serwetką próbował zetrzeć plamę po czerwonym winie.

– Przepraszam, bardzo przepraszam. – Ewelina załamywała ręce i rozglądała się w poszukiwaniu

pomocy. – Ja naprawdę niechcący ten kieliszek...

– No, oczywiście, że niechcący. – Agata przejęła dowodzenie. – Uspokój się kobieto. Przecież spodnie to nie majątek. Zuza, weź ją do toalety, niech obmyje twarz i się uspokoi. Ja spróbuję ratować Tomka.

Wokół zebrał się już spory tłumek doradców. Każdy miał swój niezawodny sposób na plamy po czerwonym winie. Tomek tylko coraz bardziej zgrzytał zębami i Zuza widziała, że jest bliski wybuchu. Zgarnęła więc wciąż przeproszającą Ewelinę i pchnęła ją w kierunku łazienki.

Sama stanęła przy Oli.

– Zawsze musi być jakaś atrakcja wieczoru – skomentowała przyjaciółka.

– Nooo... – Marek zza ich pleców oglądał walczącego z troskliwą Agatą Tomka. – Co prawda nie jest to kaliber jajecznicy na głowie, ale zawsze coś...

Obie dziewczyny na wspomnienie klasowej wycieczki parsknęły śmiechem. To było w Gorcach. Chłopcy założyli się, kto pierwszy wejdzie na Kudłoń. Tomek przegrał i zgodnie z zakładem następnego dnia podczas śniadania wsadził sobie talerz jajecznicy na głowę, według ukutego przez nich powiedzonka: kto nie ma jaj w spodniach, ten ma nasadzone na łbie.

Wciąż się śmiali, gdy z toalety dobiegł przeraźliwy wrzask Eweliny.

– Znowu wylała komuś kieliszek? – zainteresował się Marek.

Wrzask się powtórzył, tylko tym razem o kilka tonów wyższy.

– Chyba nie...

Zuza zostawiła towarzystwo i poszła do łazienki.

Gdy tylko uchyliła drzwi, dopadły ją złe przeczucia.

Ewelina stała oparta plecami o ścianę. Pierwsze, co Zuzie rzuciło się w oczy, to kolor lakieru do paznokci. Absurdalne. Pamiętała, że koleżanka miała perfekcyjny, czerwony manikiur. Teraz dłonie przyciskała mocno do klatki piersiowej a w oczy rzucała się przeraźliwa bladość jej skóry. Ewelina była dosłownie szara i z trudem łapała powietrze. Zaniepokojona Zuza szybko podeszła, bojąc się, by koleżanka nie upadła. Ta jednak, cała sztywna, z przerażeniem wpatrywała się w jeden punkt.

– Co się dzieje?

Do łazienki wszedł Jakub Bazyl. Widać, że mocno poirytowany.

– To damska toaleta – zaprotestowała Zuza.

– I mój lokal – odparował. – Chciałbym wiedzieć, co tu się wyprawia.

Zuza wzruszyła ramionami. Na użeranie się z Bazylem będzie czas później. Teraz ważna była Ewelina.

– Źle się czujesz? Może chcesz wody? Albo wyjść na świeże powietrze? – dopytywała.

Ewelina, w końcu jakby się odblokowała i pokręciła głową.

– Tam... – szepnęła niewyraźnie wskazując jedną z dwóch kabin.

Zuza, dalej nie wiedząc o co chodzi, uchyliła drzwi. Z przerażenia wrzask uwiązł jej w krtani. Ze ściśniętego gardła nie mogła wydobyć żadnego dźwięku.

– Do kurwy nędzy! – Jakub nie miał problemów z wyrażaniem emocji. – Jeszcze mi tylko tego, kurwa mać, brakowało! Niczego nie dotykaj.

Wyciągnął komórkę.

– Jarek. Dyskretnie zamknij tylne drzwi na klucz i podejdź do głównego wyjścia. Poczekaj, aż palacze wejdą do środka i nikogo nie wypuszczaj. Był mały wypadek i dzwonię na policję. Ważne, aby nikt stąd teraz nie wyszedł. Jasne?

– Ewelinę trzeba stąd wyprowadzić. – Zuza próbowała podtrzymać osuwającą się na podłogę koleżankę.

– Jeszcze nie. Zaczną pytać, co się stało, a ja nie chcę tu paniki. Niech siądzie na posadzce. Poczekaj... – znów przyłożył telefon do ucha.

Zuza słuchała, jak opisuje sytuację i prosi o szybkie przysłanie mundurowych. Cała rozmowa trwała nie dłużej niż minutę.

– Myślisz, że policja tak od razu przyjedzie? Że potraktują serio takie lapidarne zgłoszenie? – dopypywała się. Denerwował ją fakt, że Bazyl wydaje się zupełnie spokojny i opanowany, a ona sama trzęsła się w środku jak osika.

– Dzwoniłem do znajomego policjanta. Tak. Z pewnością potraktował to serio. Zaraz tu kogoś przyśle.

– Wydajesz się taki cholernie opanowany – rzuciła z pretensją w głosie.

– A ty, jak widać, nie jesteś taką zimną rybą – odciął się Bazyl. – Są rzeczy zdolne wyprowadzić cię z hibernacji.

– No wybacz, ale to mój pierwszy trup!

Widać było, że Jakub chce coś jeszcze dodać, ale w tym momencie Ewelina jęknęła i zaczęła niebezpiecznie przechylać się w bok. Pochwycili ją szybko oboje.

– Trzeba chyba wezwać lekarza... – Zuza z niepokojem patrzyła na leżącą na ziemi koleżankę.

– Załatwię to.

– A co? Znajomego lekarza też masz?

– Boże! Czy ty zawsze musisz być taka jędzowata? – Jakub tylko westchnął i wybrał kolejny numer.

Zuzie zrobiło się wstyd. Patrząc to na rozmawiającego przyciszonym głosem Bazyla, to na leżącą na bordowych kafelkach Ewelinę, poczuła, że w obliczu tragedii nie odczuwa w ogóle żalu. Przecież zaledwie dwa metry obok leży martwa Julia! A ona irytuje się, że Jakub jest taki opanowany. Powinna raczej dziękować Bogu, że facet nie wpadł w szal czy w histerię. Zapanował nad sytuacją. Jego szept działał wręcz kojąco.

Odetchnęła głębiej i mimowolnie się skrzywiła. W powietrzu czuć było zapach krwi i moczu. No tak... Ta brzydsza, biologiczna strona śmierci, gdy puszczają zwieracze i ciało się wypróżnia. Ostrożnie uchylła drzwi kabiny, by spojrzeć na Julię.

Martwa kobieta ni to leżała, ni to siedziała zakleszczona między ścianą a muszlą. Odchylona do tyłu głowa, pasma włosów spadające na twarz. Lekko uchylone usta pociągnięte krwistą, czerwoną szminką. I ten grymas, zastygły w ostatniej chwili życia. Jakby cień satysfakcji w martwym, szyderczym uśmiechu.

– Niczego nie dotykaj – ostrzegł Bazyl.

Przytaknęła wciąż wpatrzona w twarz Julii. I w końcu zdobyła się na odwagę, by spojrzeć niżej.

Na złotym sweterku wykwitła plama krwi. Czerwona smuga zaczynała się koło mostka i ściekała lewym bokiem, tworząc zaciek na zielonej spódnicy i rozlewając się plamą na posadzce. Ale tu, na bordowych kafelkach, przestawała być widoczna.

Trzonek noża wystający z ciała nie pozostawiał żadnych wątpliwości.

Zuza wpatrywała się w niego, a przed oczami przeskakiwały jej szybko sceny z obejrzanych horrorów i kryminałów. Płatanina zasłyszanych informacji gnała ku niepokojącym wnioskom.

Julia musiała zginąć niedawno. Nie słychać było żadnego krzyku, czy hałasu dochodzącego z toalety. To musiała być szybka i cicha śmierć. Zadana przez osobę, która ma na tyle mocne nerwy, by dokonać zabójstwa w lokalu pełnym ludzi. Zadana przez jednego z nas..., pomyślała Zuza w niemym przerażeniu. Myśl ta była równie makabryczna, co oczywista.

– Proszę się przesunąć – usłyszała rozkazujący głos za sobą.

Obejrzała się i dostrzegła dwóch policjantów. Wzburzone głosy za drzwiami, pełne gniewu i niedowierzania, dowodziły, że wieść już się rozeszła. Jeden z mundurowych pomógł jej się podnieść i podał chusteczkę.

Dopiero teraz poczuła, że po policzkach płyną jej łzy.





Obudził ją hałas na dole. Półprzytomny umysł Zuzy zarejestrował trzaśnięcie drzwiczek szafki. To z pewnością nie był Piotr. On od progu obwieściłby swe przybycie głośnym pytaniem, gdzie schowała ciasto? Tymczasem ktoś pobrzękiwał kubkami i starał się to robić jak najciszej. Sięgnęła na oślep poza krawędź materaca, by znaleźć komórkę. Trącona butelka przewróciła się i z łoskotem potoczyła dwa metry dalej. W kuchni momentalnie ucichło. Zuza otworzyła oko. No tak... Jej wczorajszy środek nasenny. Gdy wróciła do mieszkania, było już po drugiej. Wykończona padła na materac, jednak gdy tylko zamykała oczy wciąż widziała nóż wystający z piersi Julki. Tabletek nie miała. Pozostawało tylko wino. Ile go wypiała? Chyba nawet niewiele. Ale wystarczyło, by teraz rozsadzało jej czaszkę.

Dlaczego to nie był tylko koszmarny sen? – zastanawiała się sięgając po komórkę.

Prawie jedenasta! Zuza z niedowierzaniem wpatrywała się w wyświetlacz. Niemożliwe. Nawet gdy na studiach zdarzały się jakieś imprezy, to bez względu na to, kiedy się kładła, zawsze wstawała wcześniej rano. Boże! Nie spała tak długo od... Kurcze. Nawet nie pamięta, kiedy ostatni raz wylegiwała się do południa.

W kuchni dalej trwał ruch, a do sypialni na piętrze dotarł zapach kawy. To chyba nie włamywacz. W końcu Zuza zmusiła się do zejścia na dół.

– Co tu robisz? – spytała na widok bratowej.

Renata wzięła się pod boki i zlustrowała ją z góry do dołu.

– Wyglądasz, jakbyś miała nielicznego kaca – stwierdziła, podsuwając jej kubek. Sama wzięła drugi i przysiadła na krześle.

– Do Piotrka dzwonił rano Michał – dodała gwoli wyjaśnienia.

– Wieści szybko się rozchodzą – Zuza jakoś nie była tym zdziwiona. Należało się spodziewać, że kuzyn, gdy tylko dowie się o całej sprawie, postawi rodzinę w stan gotowości. W końcu był policjantem.

– A matka już wie? – spytała z nikłą nadzieją, że usłyszy przeczącą odpowiedź. Przeliczyła się. Renata skinęła głową i zabrała się za drożdżówkę.

No to dopiero teraz się zacznie. Matka miała tendencję do plotkowania i histeryzowania. A przynajmniej tak widziała to Zuza, która, nauczona doświadczeniem, o różnych swoich pomysłach po prostu rodzicom nie wspominała. O wyprawie do Afryki dowiedzieli się, gdy już zeszła z Kilimandżaro. A i tak bez kazania i wzdychań się nie obyło.

– Wysłali cię z misją ratunkową?

– Coś w tym stylu. – Renata nerwowo poprawiła się na krześle i Zuza wiedziała, że bez pytań się nie obejdzie. Nie pomyliła się. – Czy ty naprawdę znalazłaś martwą Julkę?

– Znalazła ją koleżanka, Ewelina...

Znów miała przed oczami czerwone kafelki i smugę krwi na bluzce Julki. A potem ten wyraz całkowitego osłupienia na twarzach kolegów, gdy wyszła z łazienki i jakiś policjant podprowadził ją do stolika. Pamięta przesłodzoną herbatę. Nawet nie wie, kto postawił przed nią parującą filiżankę. Wypiła jednym haustem, jakby to miało ją wyrwać z kosmaru.

– Przepraszam – przestraszyła się Renata. – Nie chciałam...

Zuza kiwnęła głową na znak, że rozumie. Niewidzącym wzrokiem wpatrywała się w blat. Jak przez mgłę docierały do niej słowa Renaty, która przypominała o zaproszeniu na kolację. Bratowa zaznaczyła

jednak, że gdyby Zuza nie miała dziś ochoty na towarzystwo, to ma się nie przejmować, nikt się nie obrazi.

Odgłos zamykanych drzwi zmusił ją do podniesienia wzroku.

Jej kuchnia. Jej ukochana kuchnia. Tyle wysiłku, planowania, dopieszczania. Tyle zmartwień w związku z kredytem. A tu: był człowiek, nie ma człowieka. Julka nie żyje... Jeszcze nie w pełni to do niej nie dochodziło. To było przecież tak absurdalne. Przecież dopiero co ją widziała, roześmianą i pełną energii, dopiero co z nią rozmawiała... A zaraz potem klęczała przy jej zwłokach. Bezsens i bezsilność dławiły ją w gardle.

Sięgnęła do zamrażarki po lody i z zimnym kubkiem, wolno, noga za nogą, powlokła się na górę. Opadła na materac i znów poddała się odrętwieniu.

Nie miała siły myśleć. To tak, jakby jej mózg zamarzł. Jadła lody mechanicznie, pochłonięta otępiającą pustką w głowie. Nie myśleć. Nie widzieć martwych oczu Julki i kosmyka włosów zsuniętego na twarz.

Wtuliła głowę w poduszkę i zapadła w niespokojny sen.



Kolacja u Renaty i Piotra przebiegała w typowej dla nich radosnej atmosferze. Zuza siedziała przy stole i powoli tajała. Czuła wręcz bijące od nich ciepło i życzliwość. Przykry temat w ogóle nie istniał. Mówili o pogodzie, jak to zwykle bywa, o planowanym na weekend wyjeździe, o szykowanym na Dzień Dziecka przedszkolnym przedstawieniu, w którym Oliwka zagra rolę gadającego drzewa.

Pięciolatka niecierpliwiła się na krześle, wierciła się i wierciła, aż w końcu wyszło na jaw, że chce się pochwalić. Oliwka splotła ręce za plecami, potakiwała w rytm wymawianych słów i pełna skupienia wpatrywała się w Renatę, która wraz z nią, bezgłośnie, recytowała rolę. Zuza słuchała z całą powagą, na jaką było ją stać. Oliwka wyglądała słodko w tym swoim zaaferowaniu. Na koniec chwyciła za spódniczkę i dygnęła. Oklaski wcale jej nie speszyły. Podbiegła do Zuzy, wdrapała się na kolana i objęła rączkami za szyję.

– Ładnie było? – spytała.

– Ślicznie było! Daj buziaka!

– A czemu jesteś smutna?

To pytanie ją zaskoczyło.

– Nie jestem smutna – zaprzeczyła.

– Tatuś mówił, że jesteś. Bo jakąś panią zabili.

– Cholera! – wyrwało się Piotrowi. – Nie wiedziałem, że słyszy.

– Trzeba uważać, co się mówi. Ona wszystko słyszy. I powtarza. – Renata przyniosła ciasto i postawiła na stole.

– Wiesz co, ciociu. Ja chcę wiedzieć...

– Co, kochanie?

– Kto ją zabił.



Wracała do mieszkania okrężną drogą. Musiała pooddychać, oczyścić umysł i po całym dniu tej swoistej petryfikacji w końcu zacząć myśleć. Taktyka chowania głowy w piasek z nadzieją, że problem jakoś wyparuje, była objawem skrajnej niedojrzałości. A czego jak czego, ale gówniarskiego i tchórzliwego podejścia do życia Zuza alergicznie nie trawiła. Nawet w momencie zerwania zaręczyn nie pozwoliła sobie na słabość. No dobra... Na trochę sobie pozwoliła, ale to było tylko chwilowe załamanie. Kilkutygodniowe załamanie. Teraz jednak staje na nogi, może jeszcze niezbyt pewnie, ale przecież się podnosi. Nie ma co udawać, że wczoraj nic się nie stało...

Śmierć Julki w pierwszej chwili wydała jej się makabrycznym żartem – niczym tandetna i efekciarska dekoracja na Halloween. Dopiero po chwili przyszło przerażenie. Teraz, idąc wolno, odtwarzała wydarzenia wczorajszego wieczoru. Gdy minął pierwszy szok, pozwoliła sobie na żal. W obliczu śmierci przyjaciółki nawet jej, pożał się Boże, zrujnowany związek wydawał się tylko... Czym? Nadmiernie opłakiwanym życiowym epizodem? Powodem do chwilowej hysterii? Musiała sama przed sobą przyznać, że nowa perspektywa zupełnie zmieniała jej ogląd ostatniego roku.

Na rynku, w cieniu drewnianych pergoli, siedziały grupki młodzieży. To jeszcze nie był czas na spotkania w pubie. Zresztą, jaki był tu wybór? Kilka pizzerii, które zamykano już o dziewiątej i jeden pub na ich kieszeń. Pozostałe lokale miały wygórowane ceny i goście zjawiali się w nich okazjonalnie. Renata, z którą kiedyś zrobiła wypad do restauracji, wprowadziła ją w arkana gastronomicznej mapy miasta. Punkt pierwszy – bary z kebabami. Pan Roman niezmiennie poza konkurencją; pozostałe wszystkie podobne i cieszące się popularnością, pod warunkiem, że dowożą zamówienia. Drugie miejsce – pizzerie. Dalej – kawiarnio-cukiernie i cała, niezbyt liczna, reszta. Wybór jakiś był, choć bez szału.

Teraz, siadając na ławce i mając obok rozgadaną grupę, zastanawiała się, co innego można robić w Grodowie w niedzielny wieczór... Jest jedno kino, które z opóźnieniem sprowadza filmy. Dyskoteki czy innego klubu – brak. O teatrze nie wspominając. Do galerii młodzież raczej nie chadza. Co pozostaje? Spotkania na rynku i w pizzeriach. Smutna rzeczywistość.

„Chcę wiedzieć, kto ją zabił.” Prostota stwierdzenia Oliwki przebiła się przez jej całodzienne odrętwienie.

Ostatnimi czasy drogi ich szkolnej, trzyosobowej paczki, coraz bardziej się rozchodziły, kontakt się urywał. Jednak przed laty, gdy wspólny powrót ze szkoły nierzadko zajmował im dwie godziny – wówczas Zuza, Julka i Ola znały wszystkie swoje tajemnice i marzenia... I w imię tych szkolnych lat, w imię dziecięcej przyjaźni, która nie przetrwała próby czasu, lecz pozostała wiecznym kolorowym wspomnieniem, chciała oddać Julce tę ostatnią przysługę. Makabryczne i konieczne zarazem. Zuza, mimo pewnych obaw, wiedziała, że ta sprawa nie da jej spokoju.

Przez ostatnie dwa miesiące Zuzanna czuła się jak liść szarpany porywami wiatru. Sytuacja zmusiła ją do działań, na które w ogóle nie miała ani siły, ani ochoty. Odwoływanie planowanego ślubu było istną gehenną, a Mirek zostawił ją z tym samą. Zresztą, nie nalegała zbyt, by jej towarzyszył... Wolała go nie widzieć. Nawet praca w redakcji załatwiona przez matkę też była rodzajem narzucenia jej cudzego rozwiązania. Z tym też nie walczyła. Poddała się po prostu nurtowi licząc, że nie wpakuje się na żadne skały. Ale to „liczenie” okazało się mrzonką. Wpatrując się w niebo, które powoli zmieniało barwę z błękitu na ciemny granat nocy, artykułowała w myślach swoje obawy. Jeśli sama nie weźmie się za siebie i za swoje życie, to przeżyje lata, czekając na jakiś domniemany cud. I będzie coraz bardziej

rozczarowana i zgorzkniała. Pora, by podjąć jakąś decyzję.

Wstała z ławki. Przed oczami wciąż miała zaciekawioną twarz Oliwki..

Też chciała wiedzieć, kto zabił Julkę. Ta ciekawość, o dziwo, tchnęła w nią iskrę, której bardzo, bardzo dawno w sobie nie czuła. Chęć działania. I zupełnie nie zrażał jej fakt, iż nie miała zielonego pojęcia, jak się za tę sprawę zabrać. Przecież dla chcącego nic trudnego.



W poniedziałek rano drzwi do redakcji były zamknięte. Raz jeszcze nacisnęła klamkę i westchnęła. Wygrała zakład, który zawarła sama z sobą, należy się jej duża kremówka. Powinna więc chyba tryumfować, że jej przewidywanie się sprawdziło, jednak wymuszona radość była tylko nieudolnym sposobem zamaskowania własnej irytacji. Zuza odwróciła się od drzwi i postanowiła nie wściekać się bardziej, niż to konieczne. Usiadła na szerokim parapecie okiennym, wyciągając przed siebie wyprostowane nogi. Podziwiała czółenka, które założyła specjalnie na pierwszy dzień pracy. Czarne, lśniące, na wysokim obcasie. Rano, gdy wybierała bluzkę do żakietu, przypomniały jej się dawne czasy, gdy do pracy szła z entuzjazmem i niecierpliwością. Każdy dzień stanowił nowe wyzwanie. Dziś w tym porannym rytuale starała się dostrzec choćby przebłyski dawnej pasji. Nie było to łatwe, dopiero myśl, że dzięki statusowi dziennikarki dowie się czegoś więcej o zabójstwie Julki, wyzwoliła w niej nieśmiałą chęć czynu.

Wczorajsze postanowienie w świetle nowego dnia nieco przybladło. Zuza aż za dobrze zdawała sobie sprawę z wahań własnego nastroju. Jej pomysły na przyszłość przypominały czarną chmurę, kłębiącą się na horyzoncie. Więcej było w tym obaw i słomianego zapału, niż rzeczywistej energii do działania. Jednak postanowiła się nie poddawać. Od czegoś musi przecież zacząć, choćby miało to oznaczać zrobienie z siebie idiotki prowadzącej prywatne śledztwo dziennikarskie... Śledztwo dziennikarskie, nieźle to brzmi.

Jednak, jak na razie, siedziała na parapecie i co chwila niecierpliwie zerknęła na zegarek obserwując wolno przesuwaną się wskazówkę minutnika. Dziesięć po dziewiątej sięgnęła do torby po cienki zeszyt z miśkami, który kupiła w kiosku po drodze. Niezbyt to profesjonalne, pomyślała z rozbawieniem. Musi znaleźć inny patent... Noszenie laptopa odpada, tablet to też niezbyt trafiony pomysł, na tej pseudoklawiaturze nie umie pisać...

Otworzyła zeszyt, podparła go na kolanie i zaczęła...

*Punktualność jest cnotą nielicznych. I do „cnót” coraz rzadziej bywa zaliczana. Traktowana jest raczej jak drobna uciążliwość w kontaktach służbowych i towarzyskich. Bo przecież: spóźnianie się należy do dobrego tonu. Trzeba mieć dobre wejście, a dobre wejście oznacza skierowane na nas oczy wszystkich zgromadzonych. To w nich przeglądamy się jak w lustrze i odczytujemy swą wyższość w błyskach zawiści rzucanych mniej lub bardziej jawnie w naszym kierunku.*

*Nie lubię spóźniających się osób, tym bardziej nie lubię sama się spóźniać. Mam dość staroświecki pogląd, że niepunktualność jest przejawem braku szacunku i dobrego wychowania. Dlatego też wolę przyjść dziesięć minut wcześniej, niż o pięć za późno. Jednak, na swoje nieszczęście, w takim podejściu do sprawy zdaję się osamotniona. Dziwne to, skoro na każdym kroku podkreśla się, że czas to pieniądz – w tym ekonomicznym podejściu do życia najwyraźniej coś szwankuje...*

– Widzę, że już pracujesz. – Łukasz Górka wspinał się po schodach poprawiając przewieszoną przez ramię torbę. – Ale wiesz... Nadgorliwość gorsza od faszyzmu...

– Tak... – Zuza zsunęła się z parapetu. – Słyszałam nie raz, ale jakoś ciężko mi to wbić do głowy.

– No to będziesz się musiała dostosować – mruknął w głąb torby. Niecierpliwie nią potrząsnął, aż w końcu zlokalizował klucze. – Albo dostaniesz własny komplet, to wtedy będziesz mogła otwierać. Ja muszę rano odstawić dzieciaki do przedszkola, więc nie licz, że będę punktualny. Boże... Ale mi się chce spać!

– Ciężka noc? – Patrząc uważnie na Łukasza widziała teraz lekko przekrwione oczy i błędny wzrok próbujący zogniskować się na zamku.

– Ciężka? To niedopowiedzenie. Makabryczna.

Przepuścił ją przodem, rzucił torbę w kierunku biurka i poszedł do kuchni.

– Masz psa?

– Nie.

– To się ciesz. Chyba miałem zaćmienie, jak się zgodziłem na psa. Zzarł coś na spacerze i całą noc na zmianę rzygał i miał sraczkę. Pięć razy wychodziłem z nim na spacer. Pięć razy!

Z przymkniętymi oczami stał oparty o szafkę i wyglądał na naprawdę wykończonego. Zuzie zrobiło się go trochę żal, ale tylko trochę, ponieważ obraz Rumcajsa idącego ciemną nocą za psem z rozwolnieniem kiszek był wybitnie komiczny. Powstrzymała się od komentarza, mruknęła tylko współczująco i kubkiem kawy zasłoniła uśmiech.

– Możesz przywłaszczyć sobie biurko pod oknem... – Łukasz niczym lunatyk zmierzał w stronę czerwonej kanapy. – Napisz jakiś felieton, dobrze ci to wychodzi...

Zaskoczona Zuza zerknęła na niego podejrzliwie.

– Skąd wiesz?

– Przeczytałem sobie wczoraj twoje teksty sprzed lat...

– O, kurcze! Przeżyłeś?

– Było to, w każdym razie, lepsze niż sraczka psa – stwierdził z kamienną miną. – Powiem nawet, że całkiem, całkiem. Masz dobre pióro.

– Dzięki.

– Nakreśl więc jakiś lekki, zabawny obrazek naszego miasta, to się szef o poranku ucieszy... – ziewnął rozdzierająco. – Ja będę obok. Pracował. Oficjalnie...

Zamknął za sobą drzwi i Zuza została sama.

No cóż. Skoro tak wygląda poranna odprawa w redakcji, to nie ma co narzekać. Widać, że niewiele się zmieniło od jej ostatniej przygody z dziennikarstwem.

Siadła przy biurku. Świat za oknem nabierał rozpędu. Na grodowskim rynku trwała typowa krzątania, w której swój znaczący udział mieli pracownicy magistratu. Ci to dopiero umieli sprawiać pozory! Niby zabiegani, zajęci, a jednak mieli czas na odwiedziny w spożywczym i w cukierni. Dobrze wiedziała, że choć biura zaczynają pracę o ósmej rano, to powszechnie przyjętym zwyczajem jest wychodzenie na śniadaniowe zakupy i między dziewiątą a dziesiątą. Petenci nie mogli liczyć na załatwienie czegokolwiek. To był uświęcony czas śniadaniowania i żadna, nawet nie wiadomo jak pilna sprawa nie miała prawa zakłócić porannej konsumpcji. Cóż, taki miejscowy zwyczaj, który doprowadzał ją kiedyś do szewskiej pasji, jednak na podniesionym ciśnieniu się skończyło. Z tradycją się nie walczy, jak to wówczas podsumowała matka zdziwiona jej oburzeniem. Nie walczy..., nie walczy... Zuza uśmiechnęła się pod nosem na wspomnienie tamtej historii. Ale zawsze można próbować coś zmienić, małymi krokami i nieinwazyjnie. Kropla draży skałę... Byle nie wypowiadać otwartej wojny, bo w takiej

batalii nie ma najmniejszych szans. Jednak mała partyzantka może się udać...

Włączyła komputer. Tekst o spóźnialstwie zostawi sobie na deser, co się odwlecze, to nie uciecze. A dla wujka, na powitanie, napisze inny tekścik.

*Śniadanie to najważniejszy posiłek w ciągu dnia. A przynajmniej tak twierdzą dietetycy. Należy go spożywać bez pośpiechu, delektując się każdym kęsem. I coś tak trywialnego jak praca na etacie nie powinno zakłócać tego porannego popasu...*

Zuza zerknęła raz jeszcze za okno i widząc kolejnego urzędnika z jednorazówką z pobliskiego marketu wypełnioną bułkami, mlekiem i jogurtem, wróciła do tekstu.

Równo o dziesiątej skończyła drugą stronę i stwierdziła, że brakuje już tylko wyraźnej puenty. Może coś o życiowej równowadze? A może ciut bardziej złośliwie o uświęconej tradycji małego miasteczka?

*Cokolwiek by nie mówić o śniadaniu – przychodzi w końcu moment, gdy dobiega ono końca. I cóż wówczas pozostaje? Jak to co?! Czekanie na przerwę obiadową!*

Zegar na ratuszu skończył wybijać pełną godzinę, a Zuza stwierdziła, że w międzyczasie sama zgłodniała. Zagarnęła torebkę i wymknęła się cicho z redakcji. W końcu nie miała normowanego czasu pracy, a obserwacja miejskiego życia należała do jej nowych obowiązków. Podeszła do małego sklepu w jednej z wąskich uliczek za rynkiem, kupiła paczkę kawy, drożdżówki, trochę ciastek na przegryzkę i sałatkę na drugie śniadanie. To też będzie musiała jakoś rozplanować, to znaczy kwestię posiłków. Do tej pory starała się przestrzegać diety i trzymała się stałych godzin. Pracując po dwanaście godzin zawsze miała czas, by zjeść drugie śniadanie, lunch i obiad. I zazwyczaj sama dzień wcześniej wszystko przygotowywała, by mieć pewność, co je. Będzie musiała wrócić do tego zwyczaju choćby częściowo. Teraz, siedząc na ławce i przegryzając sałatkę uznała, że nie jest ona wcale taka zła, jednak ta cena... Codziennie kupować śniadanie i lunch – odpada. Nie ma rady, musi się zmobilizować.

Dużo jest tych spraw, które powinna poukładać w swoim życiu. Tak po prawdzie to właśnie to „swoje życie” musi poukładać. Jednak nadmiar zadań do wykonania – patrząc całościowo – był dla niej przytłaczający. Nie... Nie może robić wszystkiego naraz. Najpierw wdroży się jakoś w nową pracę, przy okazji ułoży sobie dietę. A przede wszystkim – zajmie się nowym hobby... O, Boże! Zuza przeraziła się. Tak właśnie pomyślała: nowe hobby. A przecież tu chodzi o zabójstwo.

Gdy wróciła do redakcji, Łukasz siedział już przy biurku. Na widok drożdżówek rozpromienił się cały.

– Dzięki... Właśnie cukru mi było trzeba. Założyłem ci redakcyjnego maila i dodamy go do stopki. Trzeba będzie pomyśleć o wizytówkach. Chcesz jakieś wypaśne, czy zwykłe mogą być?

– Zwykłe.

– To zamówię. Podawać twój telefon?

– A jak lepiej?

– Zależy... Jak chcesz być w stałym kontakcie i na bieżąco, to podawać. Jak chcesz wychodzić z pracy i mieć spokój, to nie. My na wizytówkach podajemy tylko telefon do redakcji. Ma automatyczną sekretarkę i zdalny dostęp, to w każdej chwili można odsłuchać. Tak jest wygodniej.

– To u mnie tak samo poproszę.

Zuza siadła przy biurku i zerknęła na komórkę. Kinga Król informowała ją, że na redakcyjnego maila pozwoliła sobie wysłać kolejne, reprezentatywne fragmenty swojej najnowszej twórczości. O Boziu... jęknęła w duchu, ale na razie wolała głośno nie komentować sytuacji.

– Skończyłam felieton. Co teraz?

– Prześlij mi na skrzynkę. Masz jeszcze jakiś temat?

– Zastanawiałam się nad czymś społecznym. Ostatnio dużo ciucholandów pojawiło się w mieście.

– Dużo. Chcesz o tym pisać?

Zuza zastanowiła się. Temat wydawał się dość prosty, powinna sobie z nim poradzić w dwa dni. Musi tylko porozmawiać z kilkoma właścicielami takich punktów i dobrze by było dać jakąś wypowiedź klientów. A że szmateksów jest wiele, nie powinno być z tym problemów.

– Wystarczy sześć tysięcy znaków?

– Starczy. I jakieś zdjęcie. W środę rano musisz mieć gotowy tekst. A teraz przygotuj się... – Łukasz złowieszczo zawiesił głos.

– Na co?

– Na nadejście szefa.

I rzeczywiście. Na schodach rozległy się kroki i po chwili do redakcji wpadł zasapany wujek Rysiek.

– Dlaczego ja nic nie wiem?! – zaczął od progę. – No powiedzcie mi, moi państwo, dlaczego ja nic nie wiem?!

Opadł na najbliższe krzesło, które niebezpiecznie zatrzeszczało pod jego ciężarem. Z kieszeni wyjął bawełnianą chustkę i przetarł nią czoło.

Zuza zerknęła na Łukasza, ten tylko wzruszył ramionami i bez słowa czekał na ciąg dalszy.

– Jem rano śniadanie, a Basieńka mi mówi, że dwa zabójstwa w przeciągu miesiąca to jakaś straszna tragedia. No to ja się jej pytam, jakie dwa zabójstwa. Przecież było tylko Rzewuskiego. A żona mi mówi, że przecież w sobotę zabili Julię Kurek, a Zuza znalazła trupa. No to ja sam, pomyślałem, że trupem padnę. I że ja, ja...! – krzyczał – Nic nie wiem! Że do mnie Zuzanna nie zadzwoniła?! A to temat na jedynekę. Naoczny świadek, moja dziennikarka! A ja nic nie wiem?! – powtarzał.

W końcu, nie mogąc już złapać tchu, zamachał rękami i dalej tylko pomrukiwał gniewnie.

Łukasz w ogóle nie zareagował na ten wybuch, widocznie przez lata pracy uodpornił się na humory naczelnego. Zuza zagryzła wargi, by z czymś przypadkowo nie wyskoczyć. Jej nie pomagało nawet wieloletnie doświadczenie nabyte na łonie rodziny. Sposób bycia wujka nieodmiennie ją irytował, choć ze względu na drażliwość rodziny starała się ostatnio ograniczyć swoje komentarze. Teraz też musiała trzymać język za zębami, dla dobra swojej posady.

Wreszcie, po kilku głębszych sapnięciach, wujek Rysiek podniósł się z krzesła i poszedł do własnego gabinetu.

Zatrzymał się jeszcze w drzwiach, by rzucić na nich gniewne spojrzenie.

– Napiszcie coś! – zarządził i zamknął się na głucho.

– Niezły początek tygodnia – zawyrokował Łukasz. – Zabójstwo numer dwa. Nie ma co, nasze miasto robi się światowe.

Zuza jednak nie podzielała jego dobrego humoru.



Ustalili plan wspólnej pracy. Przede wszystkim: zdecydowanie odmówiła napisania artykułu o zabójstwie Julki. Temat był zbyt osobisty, by w niego wchodzić. Spisała tylko podstawowe dane: kim była ofiara, gdzie dokonano zabójstwa, kto i kiedy znalazł ciało, kto zawiadomił policję, jak szybko

mundurowi zjawili się na miejscu, jak wyglądało zabezpieczanie terenu. Zgodziła się też pójść na komisariat i porozmawiać ze starszym aspirantem, który współpracował z „Kurierem Grodowskim”, redagując kronikę kryminalną. Łukasz dał jej namiary i podzielił się wątpliwościami. Raczej trudno oczekiwać, że po niecałych dwóch dniach policja będzie chciała coś powiedzieć. Ale, jak stwierdził, można spróbować. Zresztą Zuza miała w tym własny interes. Nawet jeśli Paprocki nie poda nic konkretnego, to może chociaż uda się go namówić, by podzielił się domysłami...

Komisariat mieścił się w szarym, klockowatym budynku przy skrzyżowaniu mało uczęszczanych ulic. Dyżurka na parterze sprawiała raczej przygnębiające wrażenie. Żadnych żywszych barw, żadnych roślin i znudzony policjant, ślęczący za szklanym przepierzeniem.

Zuza przedstawiła się i wyjaśniła, w jakiej sprawie przyszła. Zdawało jej się przez chwilę, że widzi błysk zainteresowania w skierowanym na nią spojrzeniu, jednak wraz z nadejściem Paprockiego dyżurny przybrał znudzoną postawę i na powrót zagłębił się w rozwiązywanej krzyżówce.

Było tak, jak należało się spodziewać: policja nie ma jeszcze podejrzanych, prowadzą przesłuchania, zresztą z nią samą też będą chcieli porozmawiać i czy to nie jest przypadkiem jakiś konflikt interesów, że ona, Zuzanna Krukowska, występuje równocześnie w roli świadka i jako dziennikarka. Paprocki, zasłaniając się dobrem śledztwa, nie powiedział nic poza ogólnikami. Nawet próby skłonienia go do jakichkolwiek spekulacji spęły na niczym. Starszy aspirant okazał się irytującym służbistą.

– A zadław się tym kijem – mruknęła Zuzka do jego odchodzących pleców. Była zła, że jej pierwszy oficjalny kontakt z policją wypadł tak mdło. I potraktowano ją jak natręta, nawet nie poproszono do gabinetu, Paprocki rozmawiał z nią na korytarzu, dając wyraźnie do zrozumienia, że spieszy się do innych, ważniejszych spraw.

– Słyszę, że polubiłaś Paprocha – stwierdził głos za jej plecami.

Zuza odwróciła się. Jej postawny kuzyn mrugnął do niej okiem.

– Tak go nazywacie? Nieźle. A ty wyglądasz jak zombi.

Michał zaśmiał się i opadł ciężko na ławkę pod oknem.

– Bo to było jak noc żywych trupów. Morcinek znów postanowił zamówić radiowóz w roli taksówki. Stary numer i nie ma na niego sposobu...

– Czyli...

– Facet ma tak po czterdziestce. Jak sobie za dużo popije i stara nie wpuszcza go do domu, to kradnie w sklepie jakiś batonik, daje się nakryć, sprzedawca wzywa policję. To znaczy zazwyczaj, bo jeśli trafi na takiego, co Morcinka zna, to po prostu właściciel woli wliczyć nieszczęsny batonik w straty i nie zawracać nam głowy nieszkodliwym pijaczkiem. Ale jak trafi na nadgorliwca, to mamy całonocny cyrk. Trzeba go zabrać na komisariat i spisać. Ale jest na procentach, więc trzeba go odstawić do izby wytrzeźwień. Tam się Morcinek spokojnie prześpi, na drugi dzień ze skruszoną miną będzie przeproszał, a sprawę i tak umorzą ze względu na niską szkodliwość społeczną czynu. Tylko nam zostanie sterta papierów do wypełnienia. Istny cyrk, mówię ci.

– A często powtarza ten numer?

– Nooo... Przynajmniej raz na miesiąc, jak dostanie rentę. Pecha ma ten, kto jest na służbie. Tym razem mi się trafiło.

– A nie miałaś służby w sobotę? – dopytywała.

Michał potarł zmęczone oczy i oparł głowę na rękach.

– Pytasz o zabójstwo Julki – stwierdził patrząc gdzieś przed siebie. – Wiem, że ją znalazłaś. Może chcesz porozmawiać z psychologiem?

– Nie chcę psychologa. Chcę kilku odpowiedzi.

– Oficjalnie nic nie mogę powiedzieć.



– Wiem. A nie masz ochoty na ciasto drożdżowe z masą kakaową?

W spojrzeniu kuzyna widziała walkę obowiązku i łakomstwa. W końcu to drugie zwyciężyło.

– Ok. Dziś nie dam rady, ale wpadnę do ciebie jutro koło ósmej. Zakładam, że dalej wstajesz bladym świtem. I oby tego ciasta było naprawdę dużo.



Nie była to „Jama Michalika” i o pełen natchnienia nastrój było tu trudno. Jednak podobieństwo nazwy było niezaprzeczone. Kawiarnia zwana od lat „Michalinką” miała to do siebie, że bez względu na porę roku i wydarzenia sceny politycznej – serwowała kolorowe desery galaretkowe, które zamawiali tylko nieświadomi zagrożenia przybysze z odległych okolic. Zuza omijała lokal szerokim łukiem, jednak teraz, z braku innego pomysłu, postanowiła przełamać wewnętrzne opory i tu zajrzeć. Uważała, że było to lepsze niż powrót do redakcji, który groził spotkaniem z wujkiem. A tego na razie chciała uniknąć.

Zamówiła kawę. Zwykłą, czarną, mocną. Raz popełniła błąd zamawiając kiedyś frappe – dostała zimną lurę z gałką lodów i śmietaną, pełną tłustych grudek. Nigdy więcej. Czarnej kawy chyba nie da się zepsuć, zastanawiała się niepewnie.

Wyjęła zeszyt w miśki i postanowiła skończyć „spóźnialski” tekst. Wiedziała, że nie ma większych szans, by znalazł się on w „Kurierze”, podobnie jak i tekst o księciu z bajki w roli wrednego ropucha. Był to jednak dobry sposób na odreagowanie rzeczywistości i okazja do treningu pisarskiego. Te kilka lat przerwy zrobiły swoje. Co prawda nie było tak, że przez ten czas nic nie pisała. O nie. Wręcz przeciwnie. Tworzyła kilometry haseł reklamowych, tytułów, lukrowanych recenzji i słowotoku, który miał jeden cel: sprzedać produkt. Czasem zastanawiała się, czy ludzie naprawdę nie widzą, jakie badziewie się im wciska? Chemiczne, niezdrowe i zupełnie niepotrzebne? Ale nie. Zdawało się, że nikt nie powie, że cesarz jest nagi, bo po prostu nikt tego nie dostrzega.

Teraz więc, mogąc się trochę odciąć od konieczności schlebiana gustom odbiorcy, pozwoliła sobie na sarkazm. I dobrze jej to zrobiło.

– Kawa czarna do odebrania!

Zuza podniosła głowę znad tekstu i lekko zdezorientowana spojrzała na stojącą za ladą kobietę. A tak..., zaskoczyła po chwili, przypominając sobie kolejny punkt z serii: dlaczego nie lubię tej kawiarni. Tu nie ma kelnerek, a właścicielka nie zniży się do tego, by przynieść zamówienie do stolika. To prawdziwy cud, że lokal funkcjonuje od ponad trzydziestu lat. Jedyne chyba niskie ceny przemawiały na jego korzyść, bo ani jakość, ani obsługa... Szkoda gadać.

Południe minęło prawie niezauważenie. Prawie, gdyż zegar na ratuszu odegrał swą melodię i Zuza zerknęła przez okno na ceglany budynek magistratu akurat w momencie, gdy w jego wnętrzu zniknął wujek Rysiek. Ciekawe, co tym razem? Wizyta u burmistrza, czy może mały koniaczek u któregoś z kierowników? Wujek, jako naczelny, był bardzo zapracowaną osobą.

Pozbierała swoje rzeczy. Idąc do redakcji rozmyślała o planie na popołudnie. Wypadałoby coś zjeść. Najpierw zda relację Łukaszowi, potem wróci do domu i zrobi jakiś szybki obiad, po południu wyskoczy na miasto i przejrzy ciucholandy, a wieczorem jest umówiona z Marczkim na wywiad. Tym sposobem ma zajęty cały dzień, aż do późnego wieczora, bo nie sądzi, by posiedzenie z kolegą skończyło się tylko na tematach zawodowych. Z pewnością więcej czasu upłynie im na omawianiu sobotnich wydarzeń.

Może dowie się czegoś ciekawego. Może...

Jednak całodzienne bieganie wokół spraw zawodowych? Zuza nie była zachwycona. Kiedyś i owszem, pracowała od świtu do zmierzchu, ale za odpowiednią pensję. Prócz kwestii technicznej pisania i konieczności ułożenia sobie nowej diety musi się zastanowić nad ogólną organizacją czasu. W końcu i wujek Rysiek i Łukasz pracują w wersji minimum i jakoś sobie z tym radzą. Skoro oni mogą, to ona też. Musi tylko pomyśleć. Ma być efektywnie i szybko. Bez zbędnej straty czasu. A zaoszczędzone godziny...

Powoli w jej głowie zaczął się klarować plan dnia, tak więc, gdy weszła do redakcji, miała już z grubsza zarysowaną strategię. I może przy okazji dorobi sobie coś do pensji.

– Tekst o zabójstwie już jest. Masz coś nowego? – przywitał ją Łukasz.

– Poza tym, że Paprocki to...

– Palant? Fiut?

– Blisko, ale ja nie przeklinam.

– Słonko. Popracujesz trochę, to się nauczysz. Paproch jest, jaki jest, ale z nich wszystkich tylko on był chętny, by pisać nam sprawozdania do kroniki kryminalnej. Może dlatego, że pozuje na rzecznika prasowego komendy i ma się czym wykazać. Bo wiesz, radia miejskiego nie mamy, jest niby telewizja internetowa, ale jakoś Paprocha nie chcą, więc tylko my biedakowi zostajemy. A więc nic nie zdziałałaś – dodał po chwili. – Do przewidzenia.

Zuza opadła na krzesło, które w myślach już nazwała swoim.

– Czy macie jakiś konkretny system pracy?

– Boże, kobieto?! Czy ty chcesz mnie już w poniedziałek dobić? – przeraził się Łukasz. – Jaki system?

– Lubię wcześniej zrobić plan pracy – wyjaśniła, a Łukasz wpatrywał się w nią z niedowierzaniem.

– A nie wystarczy: piszesz – oddajesz – koniec?

– Nooo... Niespecjalnie. Widzisz – próbowała mu wytłumaczyć – chciałabym to poukładać na przykład tak: w poniedziałek od tej do tej piszę nowe teksty, od tej do tej felietony, potem poprawiam lub tytułuję teksty przysłane, potem piszę do działu kulturalnego, wywiady robię w środy i oddaję w czwartki przed składem. Coś w tym rodzaju...

Łukasz wpatrywał się w nią z mieszaniną zaskoczenia i przerażenia.

– Tylko nie wyskakuj z czymś takim przy szefie, proszę cię bardzo. Czy ty wiesz, co by się tu działo, gdyby, nie daj Boże, podchwycił ten pomysł? Przecież ja bym tu życia nie miał!

– Czyli się nie da...

W ciszy, która nastąpiła, słychać było tykanie zegara.

– Plany sobie możesz zrobić – zaczął już łagodniej. – Ale tylko na własny użytek. Mogę ci sprezentować taki duży terminarz A4, tylko obiecaj mi, że będziesz go trzymała pod kluczem. Mogę ci nawet dać dyktafon szefa, bo i tak go nie używa. Ale błagam: zachowaj te światłe pomysły dla siebie!



Zuza nie chciała jednak zrezygnować z zamiaru zbudowania planu tygodnia. Jej pomysł nie spotkał się co prawda ze zrozumieniem ze strony Łukasza, ale co tam. Przecież facet od lat działa w systemie improwizacji, więc tak mu wygodniej i nie ma co liczyć, że zechce się przestawić. Zresztą ona sama nie ma zamiaru narzucania czegokolwiek. Niech gazeta pracuje jak chce, jej idzie tylko o własny spokój.

Przecież nie będzie zbawiać małego grodowskiego świątka!

Wracając do domu zrobiła zakupy w pobliskim warzywniaku i wysłuchała przy okazji obaw pani Wiesi, że jeśli człowieka na każdym kroku mogą zamordować, to przecież aż strach wyjść z domu.

– Co też się tu, proszę pani, porobiło? – martwiła się korpulentna sklepikarka. – Żeby zabijać taką młodą osobę. Najpierw Rzewuski, teraz wnuczka Jakimowej. Biedna kobieta. Najpierw straciła córkę i zięcia, teraz musi pochować wnuczkę... Biedna kobieta... – powtórzyła załamując ręce.

Zuza lekko wbiegła na swoje piętro. W kuchni odłożyła zakupy na wysoki barowy blat, postawiła obok laptopa, a z dolnej szafki wyjęła parowar. Wrzuciła do niego brokuły i zabrała się za makaron i sos. Szybkie, lekkie danie. Odwracając się co chwilę, by przemieszać w garnkach – uzupełniała tabelkę. Zaczęła od wypisania wszystkich, którzy zebrali się na spotkaniu absolwentów. Po namyśle dodała do tego również obsługę lokalu na zasadzie: „barman z językiem”, „kelnerka niska blondynka” oraz tych gości, których co prawda nie znała, ale zanotowała w pamięci. Z pewnością policja ich spisała, więc może uda się jej dopasować nazwiska. Potem zastanowiła się nad godzinami pojawienia się poszczególnych osób w knajpie. To jeszcze była w stanie jako tako odtworzyć. Jednak spisanie kto, gdzie i o której dokładnie wychodził – było niemożliwe. Ludzie się ciągle przemieszczali, zmieniali miejsca przy stolikach, chodzili do baru, do toalety, na zewnątrz na papierosa, na parking. Mission impossible. Najbardziej interesująca byłaby rekonstrukcja ostatnich minut przed zabójstwem. Może to by rozjaśniło cokolwiek... Jednak próbując teraz odtworzyć wydarzenia z soboty wcale nie miała pewności, czy przypadkiem, ulegając emocjom, nie dodaje czegoś od siebie, nie próbuje na siłę uzupełnić luk...

Niespodziewanie jej nowa praca dawała pretekst do spotkań i wypytywania ludzi o rzeczy, które w normalnych rozmowach wzbudziłyby czujność. Wszak dziennikarce wiele się wybacza, nawet drobne wścibstwo wydaje się usprawiedliwione. Cóż..., taki zawód.

Zrobiła listę osób, z którymi chciałaby się spotkać i od razu dopisała ewentualne preteksty do rozmów. Bo czemuż od razu, tak z rozpędu, nie połączyć pożytecznego, czyli szukania zabójcy Julki, z drugim pożytecznym, czyli pisaniem artykułów?

To może się nawet udać, pomyślała zadowolona z pomysłu.

Zjadła obiad i znów wróciła do pracy.

Teraz, siedząc na wysokim stołku, przepisywała poranny tekst. Kilka zmian wygładziło całość i nadało jej spójną myśl przewodnią. Zamknęła plik i wysłała oba felietony do redakcji jednego z kobiecych portali. Czytała czasami ich artykuły, zwłaszcza te z poradami kulinarnymi, i doszła do wniosku, że tematycznie nieźle się wpasowuje. Warto sprawdzić, może zaskoczy? Dodatkowy pieniądz na spłatę kredytu zawsze się przyda. I może warto byłyby odmalować gabinet na antresoli. Barowe stołki nieprzyjemnie wbijają się w kręgosłup, gdy przy kuchennym blacie pisze na laptopie. Co prawda gabinet to zbyt szumne określenie. Chodziło po prostu o małe pomieszczenie nad kuchnią, które miało prześwit na salon i duże, balkonowe okno wychodzące na północne stoki Księżej Górki. Prawie w sam raz na miejsce do pracy. Przydałby się jeszcze duży stół w roli biurka i jakiś regał... Ale to w następnej kolejności. Na razie może po prostu pomaluje pokoik.

Sięgnęła po komórkę.

– Piotrek... Chcę kupić farbę do ścian i potrzebny mi konsultant... Tak... Jakbyś miał czas, to daj znać... Tak, tak... Pa.

Raz jeszcze rzuciła okiem na listę nazwisk. Niespodziewanie przeszedł jej po plecach zimny dreszcz. Wzdrygnęła się i już chciała splunąć przez lewe ramię. Ale nie, to ciotka Ziułka bywa przesądna i zawsze odczynia uroki, ona tylko z pobłażaniem się temu przygląda. Z trudem powstrzymała się, by nie powtórzyć znanych gestów.

Jednak w jej głowie wciąż kołatała natrętna myśl.

Że wśród spisanych przez nią osób znajduje się morderca.



– Samobój z pewnością to nie był.

Michał Konik, ledwie wypowiedział te słowa, zamarł z przerażenia. Uświadomił sobie bowiem z kim rozmawia. To nic, że miał już swoje lata, stopień komisarza i niemałe doświadczenie policyjne – panna Krystyna wciąż wprawiała go w lekki popłoch, do czego za nic w świecie by się nie przyznał. Co prawda dawno już minął czas strofowania go za szczeniackie wybryki, jednak gdy babcia Honorata napomknęła, że jej przyjaciółka zaprasza go na rozmowę, w pierwszej chwili po prostu spanikował i zaczął wymyślać na poczekaniu jakieś wymówki. Nic to nie dało. Tak więc teraz siedział sztywno wyprostowany, a starsza pani w fotelu naprzeciwko wydawała się niczym niezgorszona i ze szczerym zainteresowaniem wpatrywała się w rozmówcę.

– Panie Michale drogi. Niech się pan nie przejmuj i mówi do mnie jak człowiek, to znaczy tak, jak wy tam na komisariacie do siebie mówicie. Współczesną polszczyznę przecież znam...

Michał nabrał powietrza, wydał jakiś nieartykułowany dźwięk, będący ni to kaszlem, ni to odgłosem bezgranicznego zdziwienia, zamknął usta i westchnął.

– Ja panią naprawdę przepraszam.

Panna Krystyna zbyła jego pomieszenie eleganckim machnięciem dłoni i podsunęła talerzyk z ciasteczkami.

– Więc to prawda, co mówią na mieście – wróciła do przerwanej wątku. – Rzewuski samobójstwa nie popełnił.

– Ktoś się starał, by tak wyglądało. Zresztą, dość nieudolnie.

Michał już ochłonął i z wdzięcznością przyjął kolejne ciastko. Wolał nie liczyć które.

– A macie już podejrzanych? Z pewnością macie – odpowiedziała sobie sama. – Nawet na pęczki, jeśli się nie mylę. Rzewuski raczej do sympatycznych nie należał, niejednemu wyciął jakiś numer. Zgodzi się pan ze mną, panie Michale?

– Trochę się tego zebrało – przyznał ostrożnie.

– Nie wątpię. Zresztą na mieście to i owo można usłyszeć... Ja, jak pan widzi, co prawda jestem unieruchomiona, ale słuch mi nie stępsiał. A na ile znałam ze słyszenia nieboszczyka, to właśnie tak sobie pomyślałam, zresztą prasa zawsze kłamie...

Michał przytaknął. Nie musiał nawet prosić o rozwinięcie tego skrótu myślowego, który tylko potwierdzał, że panna Krystyna wraz z wiekiem w ogóle nie straciła swej przenikliwości. Pomogła mu kiedyś przy jednym śledztwie, za co był jej niezmiernie wdzięczny, bo on sam nie miał wówczas zupełnie pomysłu, jak rozgryźć sprawę. A starsza pani sobie tylko znanymi sposobami potrafiła dotrzeć do takich informacji, że wstyd się nawet przyznawać... Siedząc przy kawowym stoliku, zastanawiał się, ile może jej powiedzieć nie wnikając w tajemnicę śledztwa. Jednak zdawało się, że panna Krystyna ma już wyrobione zdanie na tę całą sprawę, a w tej chwili potrzebuje tylko potwierdzenia z wiarygodnego źródła, czyli od niego. No cóż, tyle przecież mógł chyba zrobić...

– No więc tak to widzę – kontynuowała, akcentując każdy wyraz. – Rzewuski był śliski, jednak w ostatnim czasie nie było słyhać o żadnej większej aferze z jego udziałem. A bądźmy szczerzy, gdyby

coś takiego było, to wcześniej czy później by wypłynęło. Zwłaszcza po jego śmierci. Inna sprawa, że nie wiadomo, czy ograniczał się tylko do najbliższej okolicy. Czy jest możliwość, by wszedł w interesy z kimś z zewnątrz?

– Raczej mało prawdopodobne.

– Tak myślałam – przytaknęła. – Więc, tak na moje oko, to jakaś sprawa prywatna. Zemsta? I, proszę mi wybaczyć, ale jak pan pożyje tyle co ja, to nie będzie się pan śmiał...

– Z czego? – słowa staruszki zaskoczyły go, bo jak dotąd nie padło żadne zdanie, z którego można by się śmiać.

– Z intuicji. Bo mam takie natrętne wrażenie, że to zabójstwo to raczej morderstwo jest...

– A w jakim sensie? Bo nie za bardzo rozumiem...

– Pan powiedział, że to nie samobójstwo, jednak ktoś się starał, by tak wyglądało. Skoro ktoś się starał, to znaczy, że wszystko zaplanował, przemyślał i z powodzeniem przeprowadził, bo jak dotąd nikogo nie złapaliście, a to już ponad tydzień.

– No tak... – przyznał z niejakim wstydem, bo pod spojrzeniem przenikliwych oczu panny Krystyny czuł ciężar tego drobnego wyrzutu. Żelazna dama nie spuszczała z tonu.

– Niech się pan nie martwi. Takie sprawy tylko w serialach rozwiązuje się od ręki. No, chyba że morderca jest kretynem, a ten, jak widać, nie jest. A więc na mój gust, to niby przemyślane zabójstwo musiało mieć jakiś podtekst. Bardzo silne emocje. Chociaż, doprawdy, nie umiem panu wyjaśnić, skąd się bierze to przypuszczenie. Poza tym... – dodała i zawiesiła głos.

Przez chwilę niecierpliwie stuknęła palcami w blat stolika i widać było, że intensywnie nad czymś myśli.

Michał nie chciał jej przeszkadzać i czekał cierpliwie na ciąg dalszy. Staruszka, jak zwykle zresztą, zaintrygowała go swoimi uwagami. Nikt mu nie wmówi, że panna Krystyna ma nierówno pod sufitem, a tak niektórzy z jego kolegów uważali. Zwłaszcza ci młodszy. Starsi natomiast wypowiadali się o niej z należytym szacunkiem, niektórzy wręcz z czcią...

– Poza tym przecież jest jeszcze zabójstwo Julii Kurek. Równy tydzień później. I niech pan mówi, co chce, ale jak dla mnie to się ze sobą wiąże. Wiąże się, jak diabli.



Umówili się w „Michalinie”. Fatalną kawę i brak deserów miała rekompensować cisza, pozwalająca skupić się na treści rozmowy, a nie na przekrzykiwaniu innych. Przyszła wcześniej, zajęła stolik w rogu, jak najdalej od lady. Miała nadzieję, że właścicielka w niedługim czasie zniknie na zapleczu i będzie można przejść na te bardziej interesujące tematy. Nie, żeby osoba Marka nie była interesująca. O, nie. Zuza raz jeszcze przejrzała notatki z piątkowej wystawy i w zasadzie, siedząc teraz, jak zwykle przed czasem, układała luźne uwagi w całość. To, co wygrzebała w Internecie na temat Marka Brodzińskiego, zaskoczyło ją kompletnie. Wiedziała, że facet już w czasach licealnych nieźle się zapowiadał, w końcu można powiedzieć, że należeli do jednego towarzystwa, ale nie miała pojęcia, że zaszedł tak wysoko. Oficjalnie wystawiał w czterech galeriach, w tym w Rzymie i w Krakowie. Ten wernisaż w Grodowie to był ewenement, nigdy, od czasów studenckich, jego prace nie pojawiały się na takim zadupiu, jak dosadnie podsumowała własne rozważania Zuza. Jeśli rzeczywiście uda jej się przeprowadzić z nim

sensowny wywiad, to będzie to rewelacja, choć nie była pewna, czy czytelnicy „Kuriera” połapią się, o co chodzi.

Tymczasem – wraz z wybiciem na ratuszowej wieży godziny szóstej – Marek stanął w drzwiach. Dopiero w tym momencie, bez całego zamieszania i z dystansu, Zuza mogła mu się przyjrzeć. Zmiana fryzury wyszła mu na dobre, choć w zamięłowaniu do ciemnych ubrań nadal przebijała ta buntownicza natura... Marek, mimo iż ugładzony przez wielki świat, wciąż pozostawał złośliwym komentatorem rzeczywistości. A w ironicznym spojrzeniu, jakim obrzucił kawiarnię, dało się dostrzec przebłysk dawnych lat. Trwało to zaledwie chwilę, bo w momencie, gdy jego wzrok spoczął na Zuzie – czarujący uśmiech rozjaśnił mu twarz.

Zniewalający facet, pomyślała nie bez zdziwienia. Jakoś nigdy tak nie myślała o Marku. Tymczasem kolega z lat szkolnych, „chudy szczyłu” jak go nazywano, przeistoczył się w przystojny egzemplarz płci brzydkiej. Kobiety pewnie za nim szaleją, zwłaszcza w Rzymie z tą swoją jasną karnacją musi się wyróżniać. Może ma żonę? Dziewczynę? Jakoś w sobotę się nie zgadało. Czy będzie wścibstwem o to zapytać?, zastanawiała się obserwując, jak podchodzi do stolika. Może temat sam wypłynie...

Marek przywitał się serdecznie z Zuzą, usiadł naprzeciwko i zaległa niezręczna cisza.

Patrzyli przez chwilę na siebie, nie wiedząc, jak zacząć rozmowę, po czym obydwój, jak na komendę, pokręcili głowami.

– Tu chyba nie ma dobrego komentarla do zdarzeń. No, może poza: do jasnej, ciężkiej cholery! – powiedziawszy to odetchnął i odchylił się na oparcie. – Tu naprawdę nie ma innego komentarla...

– To wszystko jest takie nierealne. Zupełnie, jakby sobotni wieczór był w jakimś innym życiu, a teraz wszystko toczy się utartymi ścieżkami, a... zresztą sama nie wiem... – Zamilkła, licząc, że Marek podejmie wątek. Nie pomyliła się.

Siedzący naprzeciw niej mężczyzna nie ukrywał własnego oburzenia.

– I to w lokalu pełnym ludzi. Przecież tam w każdej chwili ktoś mógł wejść. I dlaczego?

To samo pytanie od dwóch dni zadawała sobie Zuza.

– Masz jakiś pomysł?

Marek wzruszył tylko ramionami.

– Julki nie widziałem od lat. Nawet na imprezie nie było jak porozmawiać. W zasadzie nie wiem, co u niej, bo wspominaliśmy głównie wygłupy, jakie robiliśmy starej Brygidzie. Pamiętasz... Pięć razy w roku oglądaliśmy film o wulkanach. Zawsze można jej było wmówić, że inne klasy już to miały, a my jeszcze nie.

– I biedna kobieta zawsze dawała się nabrać na ten blef – przytaknęła Zuza.

– Biedna, nie biedna. Boże, jak ja się nudziłem na tych lekcjach...

– Nie tylko ty. Trzeba jej przyznać, że miała wybitny talent. Jak nikt potrafiła wszystkich zniechęcić do swojego przedmiotu...

– Aż dziw, że na koniec nie było oceny niższej niż czwórka.

– Może właśnie dlatego... Ale: po co zabijać Julkę? – wróciła do tematu.

– Komuś musiała się dać mocno we znaki. Wiesz przecież, że łatwego charakteru nie miała.

– Większość ludzi nie ma, ale nie jest to przecież powód, by ich zabijać. Przepraszam... – dodała, zdając sobie sprawę, że mimowolnie podniosła głos. – Po prostu nie mogę w to uwierzyć...

Sięgnęła do torby po dyktafon.

– Będzie ci przeszkadzał? Zresztą dam ci tekst do autoryzacji.

– Bez problemu. Zdążyłem się przyzwyczaić. Raz nawet oberwałem w nos mikrofonem.

– I co? Oddałeś? – zainteresowała się.

– No wiesz? – obruszył się. – Kobiecie?! Zaprosiłem ją na kawę – dodał z szelmowskim uśmiechem. –

A więc co chcesz wiedzieć?

Zuza odwzajemniła uśmiech.

– Ile dostajesz za grafikę? – wypaliła.

– Ooo... Z ciężką artylerią wyjeżdżasz. Ale to różnie bywa. Poza tym, to tajemnica handlowa, o czym ciągle przypomina mi moja agentka.

– Masz agentkę?

– Kochana. Gdybym nie miał, to już dawno bym zginął. Ale Bianca ma głowę do interesów. Na szczęście. Ktoś musi. A w tym małżeństwie to ja bujam w obłokach, a ona twardo stąpa po ziemi.

– Twoja agentka jest twoją żoną?!

– Ano... Szkoda, że ze mną nie przyjechała, bo chętnie bym was poznał. Lepiej zawczasu, zanim przysłoby jej do głowy, że jesteśmy kimś więcej niż szkolnymi kolegami.

– Zazdrosna?

– To Włoszka! Oczywiście, że jest zazdrosna. Co jakiś czas musi mieć pretekst do kłótni. I to dodaje życiu pikanterii – stwierdził swobodnie.

– Chętnie bym ją poznała. Znając ciebie, wnioskuję, że to ciekawa kobieta.

– Bardzo ciekawa. W końcu się z nią ożeniłem. I pazurki też ma. Gotowa wydrapać oczy temu, kto jej wejdzie w drogę. Polubiłabyś ją.

– Nie znam włoskiego.

– Żaden problem, Bianca zna polski. Przynajmniej na tyle, by w sklepie wyklócać się ze sprzedawcą. Żaden nie da jej rady – dodał z niejaką dumą.

– A dzieci?

– Na razie brak. Ale postaraj się o tym nie pisać, wolę zachować prywatność, by mi potem żaden tabloid z buciarzami do życia nie wlaź.

– Nie ma sprawy. Mnie interesuje twoja kariera artystyczna. Coś w rodzaju: z prowincji w świat.

– Tak chcesz ustawić tekst?

– To jeden z pomysłów. Pójdą dwa teksty – wyjaśniła. – W najbliższym numerze recenzja z wystawy...

– Pochlebna oczywiście – wtrącił.

– Oczywiście. Nie śmiałabym inaczej. Drugi tekst to już typowy wywiad. Dlatego nagrywam. Tu chciałabym się skupić na stylu życia. Oczywiście tego związanego z grafiką – zaznaczyła. – A więc... Jak to jest być artystą?

– Bardzo przyjemnie.

– Opowiedz...

Trzy godziny później opierała się o kuchenny blat. Już mniej więcej wyłowiła główne tematy z rozmowy, zrobiła plan wywiadu i zajęła się przygotowaniami do jutrzejszego porannego przesłuchania, któremu miał być poddany ulubiony kuzyn, Michał. Włożyła ciasto drożdżowe do wodnej kąpieli, ogarnęła jako tako ten cukierniczy rozgardiasz, ale jej myśli wciąż nieskładnie skakały z tematu na temat.

Przypomniała sobie, z jakim zafascynowaniem Marek podczas rozmowy opisywał swoją żonę. Tak... To musiała być kobieta pełna ognia. Taka, której rozsądek nie powstrzyma przed zabiciem rywalki. Ale Bianki tu nie było, natomiast był Marek. Czy byłby zdolny wdać się w romans z Julką? Choćby taki przelotny? I czy potem, dręczony wyrzutami sumienia czy też strachem, byłby zdolny zabić kochankę?

Zuzanna w skupieniu wpatrywała się w monitor, na którym miała wyświetloną tabelę z listą nazwisk. Po chwili zastanowienia dodała jeszcze dwie kolumny: MOTYW i SPOSOBNOŚĆ. W końcu przeczytała sporo kryminałów, jednak życie w niczym nie przypominało jej powieści. Brak było pewności, że sprawca zostanie ujęty. Po tej stronie zadrukowanej karty świat nie zawsze dążył do szczęśliwych happy endów.



Jakub Bazyl siedział przy biurku w swoim gabinecie i próbował przygotować zamówienie na jutro. Jednak ta rutynowa czynność wymagała dziś nie lada skupienia. Od dłuższego czasu wpatrywał się niewidzącym wzrokiem w arkusz i zastanawiał, co począć.

Morderstwo nigdy nie jest dobrą reklamą dla lokalu, a w takiej małej miejscowości jak Grodów, to wręcz przekleństwo. Tak, jakby nie miał na głowie innych problemów, to jeszcze to... Ponad trzy lata zajęło mu doprowadzenie pubu do takiego poziomu, że zyskał miano modnego lokalu, w którym zbierała się stała klientela, gotowa nieźle zapłacić za dobre jedzenie, miłą atmosferę i nienaganną obsługę. Bo takie było od początku założenie. Jakub nie chciał widzieć u siebie tłumu głośnych licealistów, ani tym bardziej zawsze mających czas nierobów. Nie. Chciał mieć lokal, w którym, przy ważniejszych okazjach, trzeba z odpowiednim wyprzedzeniem zamawiać stoliki. I udało się. Trzy lata wyrzeczeń i harowania jak wół, ale było warto.

Od roku wydawało mu się, że będzie spokój. Ugruntował swoją pozycję na lokalnym rynku, miał sprawdzonych dostawców i zespół, który działał niczym dobrze nakręcony mechanizm. Wszystko było tak, jak sobie zaplanował.

Gdy miesiąc temu Julka weszła do baru, powinien przewidzieć, że będą z tego kłopoty. Niech to szlag. Przecież Julka zawsze oznaczała kłopoty.

– Cholera... – szepnął.

Że też jemu musiało się to przytrafić. Trup w łazience. I to po raz kolejny.

Nie łudził się. Aż za dobrze zdawał sobie sprawę, że to tylko kwestia kilku dni, zanim miasto zacznie huczeć od plotek. Szybko wyciągną historię sprzed lat.

Zamknął segregator i odłożył go na półkę. Jutro na rannej zmianie jest Marta, poprosi, by zrobiła zamówienie. Poradzi sobie. On w tej chwili zupełnie nie miał do tego głowy.

Przeniósł się na kanapę, odgarnął porozrzucane na niej gazety i wyciągnął się kładąc rękę pod głowę.

Technicy policyjni skończyli pracę w niedzielę nad ranem. Cały wczorajszy dzień lokal był zamknięty i Jakub nie wiedział, czego się spodziewać dziś rano, gdy zdecydował się na otwarcie. Poniedziałki nigdy nie były dobre dla interesów, ale ten był wręcz fatalny. Żadnego klienta. Ciekawe, jak długo to potrwa. Tydzień? Dwa? Kalkulując na oko mógł sobie pozwolić na słabsze cztery tygodnie, ale to było wszystko. Nie miał w tej chwili aż takiego zabezpieczenia, by dłużej dokładać do interesu. Liczył, że w miesiąc sprawa się jakoś wyjaśni. Był jednak mały haczyk. Policja musiałaby w miesiąc złapać zabójcę. I tu miał wątpliwości...

W przypływie wisielczego humoru postanowił, że w razie czego przemianuje lokal i otworzy pub tematyczny z horrorem w tle. Mroczne, gotyckie klimaty... Wampiry w końcu są na topie.

Przetarł zmęczone oczy. Dochodziła dziewiąta. Powinien się już zbierać. I tak nie ma gości, można zamknąć i puścić ludzi. Ale nie miał siły podnieść się z kanapy. Obraz martwej Julii wciąż stał mu przed oczami.

Jakie to dziwne, pomyślał. Kiedyś wydawało mu się, że ją kocha... I może rzeczywiście kochał? Całe lata temu. A teraz jest mu tylko trochę przykro. I przy okazji jest pierońsko wkurzony, że ta cała afera negatywnie wpłynie mu na interesy. Ale taka była Julia. Zawsze wzbudzała skrajne emocje. Tak się



rozpoczął ich młodzieńczy związek i tak też się zakończył. Fajerwerkami.

Próbował sobie przypomnieć, w którym momencie nastąpił koniec. Ktoś musiał mu chyba coś powiedzieć. Jakiś życzliwy, oczywiście.

Z Julią Kurek, wschodzącą gwiazdą ogólniaka, spiknęli się tuż przed jego maturą i nawet gdy przeniósł się do Krakowa na studia – spotykali się co weekend. Trwało to raptem dziesięć miesięcy.

Był wtedy na pierwszym roku. Pamiętał, jak zaraz po Bożym Narodzeniu wspólnie robili zakupy na jej studniówkę. On płacił za sukienkę, chciał, by wyglądała zjawiskowo. Jej babcia oczywiście krzywo patrzyła na te ekstrawagancje, ale jak zwykle niewiele miała do powiedzenia. A on dumny i ślepy był, i tyle. Dopiero ktoś mu powiedział, że Julka pociesza się podczas jego nieobecności z niejakim... Kurcze. Nie pamięta już nawet, jak chłopak miał na imię. Za to dokładnie pamięta, jak przyjechał bez zapowiedzi i zastał ich razem w łóżku. Wyciągnął gnojka i nieźle obił mu mordę. Dopiero wrzask Julki zaalarmował sąsiadów, którzy musieli go odciągać. Inaczej chyba zatłukłby go na śmierć.

Cóż. Z pewnością ta historia teraz wypłynie.

I nie tylko to.

Jakub z niechęcią wrócił myślą do innych wydarzeń, sprzed czterech lat. Tamto zabójstwo, w które został wplątany, postawiło jego świat do góry nogami. Dwa miesiące w więzieniu, śledztwo i ogólny ostracyzm. Wszyscy byli przekonani, że to on. Nawet Weronika miała wątpliwości. Poza rodzicami tylko dwoje ludzi bezwzględnie wierzyło w jego niewinność. Na szczęście... Gdyby nie ta dwójka, dalej gnąłby w więzieniu.

A teraz historia się powtarza.

Znow trup w łazience.

Tylko że tym razem ma większego pecha, jeśli to w ogóle możliwe. Ma do stracenia coś więcej, niż tylko swoje dobre imię.

O wiele więcej.



Komisarz Michał Konik szybko wchodził po schodach, próbując pewnością siebie zamaskować irytację. Zresztą nie do końca była to irytacja. Raczej złość połączona ze świadomością nieuniknionego. Boże! Gdyby jego koledzy wiedzieli, że wystarczy ciasto drożdżowe, by go przekupić... Życ by mu przecież nie dali. Niestety, taka była prawda. Michał odziedziczył rodzinne skłonności do słodczy, a z genami, jak wiadomo, walczyć się nie da. Tę wymówkę dla własnej słabości traktował z typowym spokojem człowieka pogodzonego z losem. I tak nic po nim nie było widać, gdyż rygorystycznie trzymał się tygodniowego planu ćwiczeń na siłowni. Wysilek konieczny do utrzymania kondycji pozwalał mu pofolgować w cukierni. A teraz czekała go wizyta u kuzynki. Sprzeda informacje za kawałek ciasta. Z rozbawieniem pokręcił głową. Jak mawiał mości pan Zagłoba: gdy w brzuchu pusto, w głowie groch z kapustą. Więc trudno, podsumował, poda Zuzie kilka strzępów, które i tak za dzień, dwa, wypłyną. Wilk będzie syty, a owca prawie cała.

Stanął pod drzwiami mieszkania i z przyjemnością wyczuł zapach kawy.

Po pierwszym dzwonku dał się słyszeć mały rumor i już po chwili drzwi otworzyły się szeroko. Zuza machnęła tylko ręką, by wszedł i pognąła do kuchni.

Michał odwiesił kurtkę na wieszak i rozejrzał się ciekawie. Był tu miesiąc temu, gdy pomagał Piotrkowi wnosić pudła. Zajrzał do salonu. Kartony stały pod ścianą tak, jak je postawili, część jeszcze pozaklejana. Pusto, brak mebli, dywanów, firanek. Wiedział, że Zuza cienko przędła po tej akcji ze swoim byłym, ale widok tego pustego mieszkania wywarł na nim przygnębiające wrażenie. Już nawet jego kawalerskie lokum było bardziej przytulne.

Odwrócił się w stronę otwartej kuchni i przysiadł przy ladzie. Kuzynka postawiła przed nim filiżankę parującej kawy i talerz z ciastem. Za to można dać się zabić. A przynajmniej sprzedać duszę, stwierdził wpychając do buzi od razu cały kawałek.

Zuza z nieznacznym uśmiechem obserwowała, jak Michał bez słowa pochłania ćwierć blachy drożdżowca. Sama skubała ciasto i rozważała, od której strony, nomen omen, ugryźć temat, by już na wstępie nie przyblokować Michała. A najbardziej obawiała się tego, że kuzyn, zasłaniając się dobrem śledztwa, tajemnicą zawodową, czy czym tam jeszcze, po prostu da jej jakieś ochłapy, a nic konkretnego. A jej właśnie na konkretach zależało.

– Nie spinaj się – rzucił w jej kierunku.

– Nie spinam się.

Michał popatrzył na nią z politowaniem.

– No dobra – przyznała niechętnie. – Twoje na wierzchu.

– Ty się tak nie denerwuj. Nie rozmawiasz z policją. A przynajmniej nie oficjalnie. I jakby coś, to nie wiesz tego ode mnie.

– Czego?

– No wszystkiego!

– A przyjechałeś tu może radiowozem?

– Coś ty? Zwariowałaś? Nieoznakowanym.

Zuza parsknęła.

– I ty myślisz, że nikt się nie zorientuje, że policyjny wóz, oczywiście nieoznakowany, stoi tu pod blokiem? A dotąd myślałam, że to ja nie łapię tego plotkarskiego rytmu Grodowa.

– No dobra... Ale co, miałem według ciebie przyjść pieszo?

– To i tak by nic nie zmieniło. Jedyne miejsce to spotkać się gdzieś poza miastem, najlepiej w ciemnym lesie. Chociaż ptaszki by o tym też ćwierkały. Zero anonimowości.

Michał skończył swoją porcję i próbował przyjąć jakąś wygodniejszą pozę na barowym stołku. Jednak przy jego metrze dziewięćdziesiąt i tak garbił się nad blatem.

– Brakuje ci kanapy.

– Wiem – Zuza tylko wzruszyła ramionami. – Kilku innych rzeczy też.

– Dobre ciasto – pochwalił. – Przejdźmy jednak do konkretów, bo muszę zdążyć na zmianę. Co chcesz wiedzieć?

Zuza nie spodziewała się tak prosto z mostu zadanego pytania. Liczyła raczej na podchody i wyciąganie informacji kawałek po kawałku. Widocznie Michał albo nie miał nastroju do zawołanych dyskusji, albo po prostu uznał, że nie mają one sensu. Takie podejście do sprawy wiele ułatwiało.

– Macie jakichś podejrzanych?

– Aż w nadmiarze. Teoretycznie każdy z was jest podejrzany. Plus obsługa baru, oczywiście.

– No dobra. Ale musicie mieć jakichś „bardziej podejrzanych”.

– Jest dopiero wtorek rano. Po dwóch dniach to raczej niewielkie szanse na zabójcę.

– A nóż? Są na nim jakieś odciski?

– Nic. Zupełnie nic. Albo miał rękawiczki, albo dokładnie nóż wytarł. A w samej toalecie... Masakra. Tam są odciski dokładnie wszystkich.

– Całego miasta?

– Nie... Kuba dobrze sobie radzi z interesem i ma wysprzątane na błysk nawet w sraczu. Sorry za wyrażenie. Więc są tam tylko odciski z soboty. I to nie z całej, bo koło siedemnastej toaleta była sprząta. Totalne gówno, w przenośni oczywiście.

Zuza zasępiła się.

– A motyw? Znaleźliście coś?

Po minie Michała poznała, że i tu nie jest najlepiej.

– Wiesz... Julka święta nie była – zaczął z ociąganiem.

– Jak to: święta?

– Kurde. Była twoją przyjaciółką. A przez ostatnie lata jakoś się tak... No... Kurde. Wybacz, ale jesteś troszkę ślepa.

– W sensie? – Zuza, jak każdy, nie lubiła przytyków.

– W sensie Julki. Czy ty naprawdę nie wiedziałaś, co ona wyprawiała z facetami?

– No... Z mojego punktu widzenia, to faceci szli do niej jak ćmy.

– I...

– I ona robiła z nimi, co chciała. To znaczy: oni robili, co tylko ona chciała.

– I... – drążył.

– I co jeszcze?! – zdenerwowała się.

Michał westchnął.

– Kurde. Tobie normalnie trzeba kawę na ławę. Julka, wybacz, była lokalną dziwką. Nie powiem, by spała z połową miasta, ale z tą wyżej sytuowaną to na pewno. Trudno teraz dojść, czyją była kochanką, ale w ciągu ostatnich dwóch lat mamy sześciu facetów z całkiem zasobnymi portfelami i odpowiednimi stanowiskami. A nie jestem pewien, czy nie było kogoś ekstra, kto po prostu lepiej się kamuflował.

Zuza w milczeniu przełknęła te informacje. Wiedziała, że przyjaciółka ma wybitnie towarzyskie usposobienie, lecz teraz okazało się, że był to eufemizm. Michał dobrze to określił, niech to szlag. Po prostu była ślepa.

Przymknęła oczy i otarła skronie. Czy po tej informacji jest pewna, że dalej chce się w to pchać. I wyciągać brudy cudzego życia. Nie, nie cudzego. Gdyby chodziło o obcą osobę... Ale tu chodzi o Julkę. Julkę, której ktoś wbił nóż prosto w serce. Julkę, której, jak się okazuje, tak naprawdę nie znała...

Przełamała się i zadała oczywiste pytanie.

– A czy ci faceci mają żony?

Michał przytaknął.

– Czterech z nich. Jednak nie nakręcaj się. Wszyscy mają alibi. I mężowie i żony, i ci niesparowani. To sprawdziliśmy już wczoraj.

– Mówisz jednak, że mógł być ktoś jeszcze...

– Tak. Ale to też nie jest pewnik. Może nikogo więcej nie było.

– A wcześniej niż te dwa lata?

– Zuza. Jeśli romans się skończył dwa lata temu, to raczej nie spodziewałbym się, że zazdrosna żona teraz postanowi zabić kochankę.

– Czyli nic nie macie – podsumowała.

Kuzyn zerknął na nią spode łba.

Zuza znała to spojrzenie. Niezliczone miesiące letnie, gdy całą czeredą spędzali wakacje u babci Janiny i jej siostry Honoraty, Michał obrzucał kuzynostwo tym wzrokiem pod tytułem: wiem coś, ale i tak nie powiem. Cóż, lubił być dobrze poinformowany i mieć przewagę nad resztą. Jednak zawsze, po odpowiednio długich naleganiach, dawało się z niego wyciągnąć to „coś”. Zazwyczaj chodziło a to

o placek, który babcia zamierzała dać im po obiedzie, a to o wyjście nad rzekę, wizytę u sąsiadów lub obiecany nowy hamak.

Teraz Zuzanna z niewinną miną wpatrywała się w kuzyna i czekała, aż pęknie.

– Nic z tego – zastrzegł.

– I tak, wcześniej czy później, się dowiem.

– Wolałbym później.

– Nie bądź świnia.

– A ty nie mów do mnie jak do ośmiolatka – obruszył się.

– Dobra. To powiedz, o co chodzi.

Michał Konik, przed którym Zuza postawiła kolejny kawałek ciasta, czuł, że przegrywa. Zresztą się tego spodziewał. Jako policjant był nieugięty, jednak wpajane od dzieciństwa przez babcię Honoratę nawyki nie tak łatwo było wykorzenić, gdy szło o własną rodzinę. To dopiero była kindersztuba. Z jednej strony jego własna babka Honorata, z drugiej jej siostra Janina, też zwana przez całą dzieciarnię babcią. Na wyścigi wychowywały rodzinny narybek. I wyszło im to nadzwyczaj skutecznie. „Nie kłam” i „Kobiecie należy się szacunek” – to były dwie najgorsze zmary. Jego dziewczyny, gdy tylko zorientowały się w czym rzecz, świetnie grały na tych hasłach.

Zuza, wnuczka Janiny, też była dobra w te klocki. Sytuacja do dupy.

– Słyszałaś o Rzewuskim?

– Że się niby zabił, ale ktoś mu w tym pomógł? Słyszałam.

– A wiesz, że Julia Kurek była jego asystentką?

– Chrzaniisz.

Michał pokręcił głową.

– Ooo... A była jego kochanką?

– Nie. Na to Rzewuski był za cwany. Julka, pomijając jej osobiste przygody, była świetną asystentką. To ona trzymała w garści ten cały interes Rzewuskiego, a facet wiedział, że bez niej nie da rady. Wolał więc trzymać się z dala od jej łóżka. Praktyczne podejście, lepsza pewna asystentka niż chwilowa kochanka. Bo Rzewuski też stałością nie grzeszył...

– Zakładasz, że jedna i ta sama osoba zabiła tę dwójkę?

– Nic nie zakładam. Zastanawiam się tylko...

– Ty prowadzisz śledztwo?

– Nie. Łacny dostał sprawę Julii Kurek, Brender ma Rzewuskiego. A reszta chłopaków snuje przypuszczenia. Dużo tych plotek i trudno określić, co w nich jest.

Tego Zuza akurat mogła się spodziewać. Miasto ruszyło do boju. Jednak w natłoku wszelkich informacji trudno było się zorientować. Więcej tu było domysłów i przeinaczeń, niż faktów.

– Rozmawiał ktoś z babcią Julki?

– Ze starą Jakimową? Oczywiście. Najpierw w niedzielę nad ranem zawiadomiono ją o śmierci wnuczki, potem siedziała u niej nasza psycholożka, bo kobita zupełnie się załamała. Dopiero wczoraj byliśmy w stanie z nią porozmawiać. Ale to i tak niewiele dało. Julka od babci wyprowadziła się zaraz po liceum, gdy zaczęła pracować, jeszcze na początku, w Urzędzie Miasta. W międzyczasie robiła studia zaocznie...

– Pamiętam.

– Jakimową odwiedzała często, nawet trzy, cztery razy w tygodniu. Robiła jej zakupy, pomagała w sprzątaniu. Z tego, co mówi stara, była dobrą wnuczką.

– Raczej tak. Żadnej innej rodziny nie miała. Rodzice Julki zginęli w wypadku, rodzeństwa nie miała, żadnych ciotek, kuzynów... Dziadków od strony ojca też. Były we dwie. I babcia bardzo ją rozpieszczała.

Na tyle, oczywiście, na ile było ją stać. A z pieniędzmi zawsze było tam krucho, zwłaszcza po śmierci rodziców.

Zamilkła na chwilę rozmyślając nad losem starszej kobiety, która teraz została zupełnie sama na świecie.

– A byliście w mieszkaniu Julki?

– Przejrzeliśmy wszystko, ale nic ciekawego nie znaleźliśmy. Cholera, zupełnie nic!

A może po prostu nie wiedzieli, czego szukać? A czy ona by wiedziała? Nie. Pojęcia by nie miała. Ale jest też inna kwestia, która zupełnie jej umknęła: kondolencje. Odwiedzi babcię Julki, zna ją przecież jeszcze z czasów szkolnych. Wpadnie z ciastem, porozmawia... Poprosi Olę, by jej towarzyszyła, w końcu przyjaźniły się w trójkę.

Michał rzucił okiem na zegarek i podniósł się z krzesła.

– Słuchaj... Wiem, że niewiele ci powiedziałem, ale sami niewiele mamy. W zasadzie, jak na razie, to nic nie mamy. Ale prosiłbym cię, żeby ewentualna notka w prasie nie przedstawiała policji jako bandy leniwych kretynów. Zgoda?

– Zgoda. I tak coś się musi ukazać, bo morderstwo to sprawa dużego kalibru. Coś o okolicznościach, zamordowanej...

Zabrała się za pakowanie ciasta. Rozdzieliła je na dwie części, jedną podała Michałowi, drugą schowała do przepastnej torebki.

– Ty to piszesz?

Zuza zaprzeczyła.

– Nie potrafię. Łukasz się ofiarował.

– Dobra. Zrobi to fachowo i bez złościwości.

– Skąd ta pewność? – zaciekała się.

– Bo robi to od lat. To znaczy: przerabia co ciekawsze doniesienia naszego, pozał się Boże, rzecznika prasowego. I zna granice. Inaczej zraziłby do siebie Paprockiego, a ten jest pamiętliwy.

Zamknęła mieszkanie i odprowadziła gościa do zaparkowanego nieopodal samochodu. Z przyjemnością wciągnęła w płuca rześkie, majowe powietrze. Zapowiadał się ładny dzień...

Michał przystanął jeszcze, niezdecydowany, czy powinien wygłaszać jakieś kazanie o rozsądku. Choć nie chciał tego głośno mówić, potwierdziły się jego przypuszczenia. Zuza, której życie rozsypało się na kawałki, postanowiła znaleźć sobie jakiś życiowy cel. Choćby i na chwilę. I tym celem, na nieszczęście, stało się znalezienie zabójcy Julii Kurek. Zuza oczywiście pilnowała, by nie zdradzić się ani słowem. Jednak Michał umiał dojrzeć to, co rozmówca starał się ukryć. A jeśli idzie o kuzynkę, to szybko można ją było rozszyfrować. I tego właśnie najbardziej się obawiał. Że Zuza, w swym zapamiętaniu i naiwności, ściągnie na siebie kłopoty.

– Tylko obiecaj mi, że nie zrobisz żadnego głupstwa – rzekł z troską. – Znam cię dobrze. Jak za coś się bierzesz, to nie ma „na pół gwizdka”. A nie chcę, byś brała się za zabójstwo Julii Kurek. Zostaw to policji.

– No wiesz...

– No właśnie wiem.



Siedziała na parapecie zajadając ciasto i zastanawiała się, ile tym razem spóźnienia zaliczy Łukasz. Gdy po dziewiątej usłyszała otwierające się ze zgrzytem ciężkie drzwi wejściowe, ze zdziwieniem uniosła brwi. Nieźle, tylko cztery minuty. Łukasz bez pośpiechu wchodził po schodach i nucił jakąś skoczną melodię.

– Dobry humor dopisuje, jak widać. Pies zdrowy?

– Zdrowy. Jak zeżarł tabletki za pół stówy to musi być zdrowy. A ty jakąś normę tu wyrabiasz? – zainteresował się. – Bo nadgorliwość...

– ...gorsza od faszyzmu. Mówiłeś wczoraj.

– Ale nie zaszkodzi powtórzyć – rzekł szukając po kieszeniach kluczy od redakcji.

Zuza, widząc łakome spojrzenie Łukasza, skierowała się do kuchni. Odkroiła mu kawałek ciasta i na talerzyku zaniosiła do biurka.

– Ty tak zawsze? – rozmarzył się.

– Z czym?

– Z ciastem?

– Jak piekę. A piekę, gdy muszę odreagować. Czyli ostatnio często. Ale nie nastawiaj się zbytnio, bo w tym żadnej reguły nie ma.

– Dobra. Będę korzystał z życia. Carpe diem! – rzucił i wbił zęby w drożdżowiec, a okruszki posypały mu się na czarną brodę i koszulę. Strzepnął je od niechcienia. – Pierwsza kobieta w redakcji! Boże, dzięki ci za układy rodzinne!

Zuza puściła komentarz mimo uszu.

– Coś nowego? – zainteresował się Łukasz między jednym kęsem a drugim.

– Zależy w jakiej sprawie. Mam wywiad z Markiem. Można go dać w tym numerze razem z recenzją z wystawy lub, lepiej, puścić w następnym.

– W następnym – zdecydował.

– Ok. Druga sprawa. Mam problem z ciucholandami. Byłam wczoraj w kilku, rozejrzałam się, ale nikt ze mną nie chciał rozmawiać. Zasłaniali się, że nie właściciele, więc nic nie mogą powiedzieć. A jak prosiłam o kontakt do właścicieli, to też nie chcieli dawać. Normalnie wydawałoby się, że to jakaś niebywała tajemnica. Tylko, co tu jest tajemnicą? Paranoja.

– Nie. Zupełnie normalne zachowanie.

– Że ludzie nie chcą rozmawiać? W tak plotkarskim mieście?

– To nie tak... – Odchylił się na krześle i założył ręce za głowę. – Boże. Jeszcze nie ma dziesiątej, a ja już pracuję... No dobra. Wyjaśnię ci to. Nikt nie będzie chciał z tobą rozmawiać, nawet jak pomachasz im przed nosem legitymacją prasową.

– A mogę? Dostanę taką?

– Dostaniesz, jak zrobimy. A i tak nikt ci nic nie powie, z tej prostej przyczyny, że wchodzisz tam z ulicy. Pomyśl. Zupełnie obca baba wpycha się do sklepu, nie kupuje, dobrze wygląda, bo założę się, że wparadowałaś tam tak, jak wczoraj do redakcji. Odszyta garsonka, markowe szpilki...

– Skąd wiesz, że markowe?

– Nie wiem. Jak dla mnie były po prostu czarne i, na oko, pierońsko niewygodne. Ale założę się, że pewnie z jakiejś firmy prosto z włoskich wybiegów. No więc widać, że baba nieźle ustawiona... I zaczyna się wypytywać. No to skojarzenie pierwsze: urząd skarbowy, drugie: konkurencja.

– Przedstawiłam się i powiedziałam, że piszę artykuł dla „Kuriera”.

– No to zdenerwowałaś ludzi jeszcze bardziej. Wiesz jak przeciętny Kowalski reaguje na prasę? Nabiera wody w usta, bo jeszcze, nie daj Boże, powie jakieś horrendalne głupstwo, gazeta to wydrukuję

i wszyscy sąsiedzi będą się z niego śmiać. A ludzie w tak małym miasteczku boją się śmieszności.

Zuzanna bezwiednie bawiła się długopisami na biurku. Łukasz miał rację. Jakoś wcześniej nie pomyślała, że źle zabrała się do sprawy. Wydawało jej się, że skoro ma temat do napisania, to najlepszą taktyką będzie otwarta rozmowa. Nie przewidziała, że właśnie ta „otwartość” będzie przeszkodą. Trzeba zmienić taktykę.

– Co więc radzisz?

– Jak widać nie posiadasz jeszcze takich znajomości, by swobodnie poruszać się po mieście. Ale to wymaga czasu. Na razie zadzwonię do sąsiadki. Mają z mężem taki szmateks przy Mickiewicza, to poproszę, by z tobą pogadała. Przydałby się jeszcze ktoś, bo jeden rozmówca to mało. Może da namiary na jeszcze kogoś... Poczekaaj.

Sięgnął po komórkę.

Zuza przeglądała pocztę i chcąc nie chcąc przysłuchiwała się rozmowie Łukasza. Nie minęły dwie minuty i była już umówiona na spotkanie z zapewnieniem, że jest bardzo mile widziana.

– A teraz dalsze sprawy... Kończę tekst o sobotnim zabójstwie. Rzucisz na to okiem, czy wszystko się zgadza. Tak za godzinę, bo najpierw muszę się napić kawy i pomyśleć na kanapie.

– Nad czym?

– Choćby nad tym, jak wymusić na Ryśku fundusz reprezentacyjny. Byłem wczoraj w knajpie ze znajomym. Jest policjantem. Próbowałem się czegoś dowiedzieć. Kosztowało mnie to cztery piwa. Razy dwa.

– I dowiedziałeś się czegoś?

– Gówno się dowiedziałem, za przeproszeniem. Policja szuka jak ślepy w wychodku. Nic nie mają. Kompletnie nic. Albo też coś mają, ale robią z tego jakąś cholerną tajemnicę. Choć w zasadzie w to nie wierzę. Tu się nic nie uchwaja.

Zuza wołała milczeć na temat swojego źródła informacji. I tak wcześniej czy później ktoś zahaczy o jej rodzinę i podsunie, że przecież ma kuzyna w policji.

Gdy została sama w pokoju rozpoczęła inspekcję okolicy. Jeszcze nie miała okazji dokładnie się rozejrzeć po swoim nowym miejscu pracy. Zaczęła od kuchni. Przejrzała szafki, obejrzała mikrofalówkę i westchnęła nad jej godnym pożalowania stanem. Zajrzała do czajnika, kamień tworzył w jego wnętrzu fantazyjne wzory. Wyjaśniło się, dlaczego kawa miała taki dziwny smak. Jeśli ma tu pracować, nawet chwilowo, to musi coś z tym zrobić, bo po prostu nie zdzierży. Mikrofała była miłym dodatkiem do kuchni, zwłaszcza jeśli chce się zrobić jakieś ciepłe przekąski. Jednak musi zacząć od porządków. Wiadomo, westchnęła, stereotypy mają w końcu jakieś podstawy. A faceci jakoś do porządków się nie spieszą. Mirek też nigdy nie skalał się sięgnięciem po mopa, czy myciem naczyń. Co najwyżej wrzucił brudne talerze do zmywarki, ale już włączenie jej, czy później opróżnienie – pozostawiał Zuzie. I czy ktoś mówił coś o walce z rolami społecznymi?

Wzięła kartkę i zaczęła spisywać, co musi kupić. Oczywiście zamierzała rachunek przedstawić Ryśkowi. Nie ma co, nie będzie dokładała do interesu już na samym początku.

Po piętnastu minutach miała gotową listę i poczucie dobrze spełnionego obowiązku, i niech nikt nie próbuje jej zarzucić, że się panoszy. W razie czego jest zawsze ciocia Basia. Wystarczyłoby słówko...

– Łukasz – zajrzała do saloniku nie przejmując się zupełnie, że kolega próbuje kontemplować życie w stanie drzemki. – Łukasz! – powtórzyła.

Ten łypnął na nią tylko jednym okiem.

– Ktoś przyszedł?

– Nie. Mam pytanie.

– Nie mogło zaczekać?

– Nie, bo zaraz wychodzę.

– No to startuj.

– Kto tu sprząta?

Kilkusekundowa cisza jasno dowodziła, że pytanie mozolnie przebija się do jego świadomości.

– Sprząta?

– Zamiata, myje podłogę, umywalkę w łazience, podlewa kwiatki. Jednym słowem: sprząta.

– Aaa... To. Pani Irenka.

– Często?

– Przychodzi we wtorki i piątki, późnymi popołudniami, żeby nam nie przeszkadzać. A co? Masz jakieś uwagi? Na pewno masz, bo byś nie pytała.

– Na razie dwie rzeczy. Trzeba odkamienić czajnik i wyczyścić mikrofalówkę. Ktoś w ogóle z niej korzysta?

– Ja. Czasami. Tylko mi nie każ jej czyścić.

– A nie macie jakichś dyżurów?

– Kobieto! O czym ty mówisz? Ja siedzę tu w zasadzie non stop z małymi przerwami. Szef wpada i wypada. Pan Zdzisław i Artek są tu tylko wirtualnie. No przepraszam, pan Zdzisiek jest tu co środę, by wypić koniaczek z szefem i nadzorować, czy czegoś nie przekręcą w jego sprawozdaniach z posiedzeń Rady Miasta. I ty sobie wyobrażasz, że my tu biegamy ze szmatką do kurzu? Sukces, że każdy po sobie myje kubek.

– Dobra – uniosła ręce w obronnym geście. – Dobra. Rozumiem, że czajnikiem mogę się zająć.

– Wedle woli. A jak wychodzisz, to zastanów się, co by jeszcze napisać. Coś takiego ogólnego i bardziej radosnego, niż wycieczka po ciucholandach.

– Ty się nie martw. Na upartego to ciucholandy też można w tonacji radosnej.

– Tylko się nie waż. Pół miasta mielibyśmy na karku.

Zuza otworzyła jeszcze szybko skrzynkę z pocztą. Nic. Zupełnie nic. Żadnej wiadomości na jej redakcyjnym koncie. Nawet żadnego spamu. Trudno. Nie od razu Kraków zbudowano.

Zerknęła do notatnika. A więc plan jest taki. Po pierwsze: wrócić do domu i ubrać się bardziej na luzie, aby nie zniechęcać ludzi. Ale, kurcze, co jest nie tak, jeśli człowiek dobrze wygląda, irytowała się zbiegając po schodach. Po drugie: załatwić sprawę w Urzędzie Pracy. Wczoraj zapomniała z natłoku wrażeń, ale dziś musi to załatwić. Po trzecie: zajrzeć do biblioteki i porozmawiać z Klaudią Pająk. Niby to o nowej wystawie exlibrisów, o czytelnictwie, nowościach w bibliotece, czytelni z kącikiem wystawowym... A tak w zasadzie to interesuje ją przede wszystkim, co Klaudia pamięta z sobotniego wieczoru i czy może coś zauważyła. Oczywiście policja przesłuchiwała uczestników zlotu absolwentów, jednak Zuza wiedziała, że ludzie nigdy nie mówią wszystkiego. Z emocji nie pamiętają i dopiero później, gdy wrzawa opadnie, docierają do ich świadomości obrazy z przeszłości. Czasem po prostu nie chcą wyjść na naiwnych czy głupich – i po prostu wiele spraw wolą przemilczeć. Nie ze złej woli, ale po prostu dla własnego psychicznego komfortu. Człowiek to zdecydowanie dziwna istota.

Przecięła na skos rynek. Maj w tym roku był wyjątkowo ciepły i pogodny. Piękne błękitne niebo, raptem kilka białych obłoków gdzieś w oddali. Jeśli pogoda się utrzyma, może warto wybrać się gdzieś w niedzielę?

Z Mirkiem przynajmniej raz w miesiącu wyjeżdżali na weekend. Do Zakopanego, do Wrocławia. Kilka razy zaszaleli: byli w Wiedniu, w Rzymie, Paryżu... Dużo pracowali, ale też świetnie się bawili. Wszystko na najwyższych obrotach. Gdy kończyli jakiś projekt, Mirek mawiał, że czas na party. Zwiedzali, chodzili po restauracjach lub klubach. Życie toczyło się szybko i ekscytująco. Czasem tylko nachodziło Zuzę poczucie, że w tym wirze brak jej chwili spokoju, wytchnienia. Wówczas pakowała



plecak i jechała w góry. Ale nie na Krupówki, czy do krynickiego Spa. Wybierała Beskidy z ich wszelakiego sortu schroniskami. Tam męczyła się, klęła sama na siebie, nie mogła złapać tchu, ale szła dalej. I tak odpoczywała. Mirek nigdy nie brał udziału w tych jej wycieczkach. Mawiał, że bez prądu, gorącej wody pod prysznicem i laptopa w zasięgu ręki nie sposób dobrze wypocząć. A męczyć się na własne życzenie? Nie... On tego w ogóle nie mógł zrozumieć, ale nie komentował jej dziwactwa. Przynajmniej nie otwarcie. Zresztą, przeczytała gdzieś, że ludzi dzieli się na tych, którym nie trzeba tłumaczyć, po co chodzi się w góry, i tych, którym nigdy się tego nie wytłumaczy... Mirek zdecydowanie należał do tej drugiej kategorii.

Może więc spakuje plecak, wyrwie się i choć na chwilę zapomni... O pracy, która jest jak zsyłka, o mieszkaniu, którego nie ma za co urządzić, o ratach kredytu, który musi sama spłacać... O życiu, które nie okazało się pasmem szczęścia...

Zajęta myślami omal nie wpadła na wychodzącą ze sklepu kobietę. Ta fuknęła tylko coś niewyraźnie, obrzuciła ją wzgardliwym spojrzeniem i wróciła do przerwanej rozmowy. Idąc chodnikiem energicznie stuknęła obcasami i głośno wykrzykiwała do telefonu swe oburzenie.

– Bo widzisz. Co to za stypa!? No proszę cię! Nawet strogonowa nie podali. A ciasta?! Ja naprawdę nie jestem wymagająca, wiesz, że nie lubię źle się wypowiadać o znajomych, no ale to już przesada, że nawet ciasta są jakieś takie wczorajsze – perorowała na przydechu.

Zuza słuchając tego monologu przypomniała sobie coś jeszcze. Dławiąc własne wyrzuty zadzwoniła do Oli.

– Zastanawiam się – zaczęła wolno – czy nie należy odwiedzić babci Julki. Kobieta, z tego co słyszałam, jest załamana po śmierci wnuczki, a teraz nikogo nie ma.

– Też o tym myślałam... Często po szkole tam do nich chodziłyśmy. To znaczy do Julki, bo jej babcia nigdy nie miała nic przeciwko. Masz rację. Dam ci wieczorem znać, o której mogę się wyrwać.

– Świetnie. Zrobię jakieś ciasto.

– Dobra. A nie wiesz może, co z pogrzebem?

– A skąd mam wiedzieć? – zdziwiła się.

– Przecież rozmawiałaś z tym swoim kuzynem z policji. Może coś ci powiedział.

Zuza stanęła na środku chodnika i chwilę trwało, zanim zaskoczyła.

– Jesteś tam? – dopytywała się Ola.

W końcu Zuza zaczerpnęła tchu i odblokowała myślenie.

– A ty skąd wiesz?

– O Boziu... Ktoś mówił. Chyba Anka. Coś w rodzaju, że skoro prasa ma kontakty w policji, to może w końcu będzie coś do poczytania w „Kurierze”. Powinnaś wiedzieć, że miasto ma oczy i uszy niczym wilk z Czerwonego Kapturka.

– Rozumiem. I tak samo ostrzy sobie ząbki.

– No coś ty...

– Dobra. Mniejsza z tym – Zuza ruszyła w stronę domu. – Zadzwoń, kiedy masz czas, to zapowiemy się u Jakimowej. Jutro albo pojutrze. Dobra. Na razie.

– Papatki – rzuciła Ola na pożegnanie.

Zuza, jeszcze przekręcając klucz w drzwiach i wchodząc do mieszkania, zastanawiała się nad fenomenem szybkości, z jaką informacje rozchodziły się po mieście. To lepsze niż Internet, stwierdziła z mieszaniną złości i podziwu dla lokalnych plotkarek.



Budynek miejskiej biblioteki znajdował się w południowej dzielnicy miasta, tuż koło starej strażnicy. Był nawet swego czasu pomysły, by to właśnie strażnicę zaadaptować na bibliotekę, jednak myśl szybko porzucono na rzecz nowej inwestycji. Nie było tajemnicą, że projekt przygotowało biuro architektoniczne, które należało do kuzyna burmistrza. Czy był jakiś przetarg? Trudno powiedzieć. Jednak fundusze na nową bibliotekę szybko się znalazły i budynek został oddany do użytku w niecałe dwa lata.

Osobno czytelnia prasy, osobno naukowa, dodatkowo wypożyczalnia książek, gdzie swobodnie można było przechadzać się między regałami, i dział dziecięcy. Zimny, bezosobowy hol odstraszał industrialnym wystrojem, więc pierwsze wrażenie było raczej nieprzyjemne. Dziwne... Zuzie biblioteka kojarzyła się zawsze z przytulną, domową wręcz atmosferą, zapachem lekko zatęchłych książek i kawą serwowaną w półlitrowych kubkach. Jednak grodowska księżnica jak na razie pozostawała wybitnie sterylna i bezosobowa.

Weszła tu z mieszanymi uczuciami. Pocieszała się jedynie, że, po pierwsze, Klaudia na pewno dysponuje jakąś kawą, po drugie, ma robić recenzję z wystawy, a nie pean pochwalny na cześć instytucji. Inna sprawa, że dyrektorkę tej instytucji od lat starała się omijać szerokim łukiem, co przychodziło jej o tyle łatwo, że z odległego Krakowa nie miała z tym problemów. Cóż, incydent sprzed lat, gdy pani Growadzka nawrzeszczała na nią i koleżanki, że za głośno zachowują się w czytelni podczas przygotowywania referatu na lekcję, sprawił, że zapałała do niej niechęcią. Pogłębiła się ona już następnego dnia, gdy jeszcze dodatkowo otrzymały w trójkę reprimendę od polonistki, za złe sprawowanie w bibliotece. Growadzka oczywiście zadzwoniła do swojej znajomej, postrachu grodowskiego liceum, ze skargą na pyskate i rozwrzeszczane smarkule. Efekt był taki, że nauczycielka wpisała im w dzienniku naganę i nie zaliczyła prezentacji. Pięć godzin pracy poszło na marne. A to wszystko przez głupią dyrektorkę biblioteki.

Jak się okazało, Growadzka nadal dzielnie trzymała się stołka i brała czynny udział we wszystkich kulturalnych imprezach w mieście. Aż dziwne, że nie spotkały się na piątkowym wernisażu. Co więcej, tak jak Jurczyński, lubiła zabierać głos na wszelkich zgromadzeniach. Ale, w przeciwieństwie do dyrektora ośrodka kultury, kobieta nie umiała poprawnie sklecić dwóch zdań.

I pech chciał, że pierwszą osobą, na którą natknęła się Zuza po przekroczeniu progu biblioteki, była właśnie ona. Dyrektorka przyklepiła pokazowy uśmiech do wysuszonych warg pociągniętych krwawą szminką i skierowała się ku Zuzie.

– A kogóż my tu mamy... – zaczęła przymilnie. – Panna Krukowska. Z pewnością wpadła pani napisać o naszej wystawie. Klaudunia na panią już czeka. Ja, niestety, muszę zająć się ważną sprawą. Ale przecież się pani nie obrazi... Życzę udanej rozmowy. No cóż, pędzę, ale jak wiadomo, porządek musi być.

Zuza, nie mogąc złapać sensu tej wypowiedzi, otrząsnęła się jak ze złego uroku i od razu skierowała do czytelni gazet, która równocześnie służyła za salę wystawową. Ze środka, łamiąc zupełnie powagę miejsca i przecząc utrwalonym świętym prawom ciszy bibliotecznej – dobiegał śmiech dwóch kobiet. Zajrzała do środka i ucieszyła się na widok siedzącej przy jednym ze stolików Uli Kodoby, poznanej w piątek właścicielki galerii. Ubrana we wściekle żółtą sukienkę i limonkowy sweterek roztaczała wokół siebie aurę energii i radości, podzwaniała kompletem srebrnych bransoletek i szeroko gestykulowała, w ogóle nie zwracając uwagi na skwaszoną minę młodego chłopaczka, siedzącego ze słuchawkami

w uszach w fotelu w kącie.

– A kogóż my tu mamy... – przywitała ją, parodiując ton Growadzkiej i wybuchnęła śmiechem. – No, Klauduniu, serwuj kawkę naszemu gościowi...

– Zlituj się – jęknęła Klaudia wstając na powitanie. – Od lat proszę ją, by darowała sobie tę „Klaudunię”, ale jak się babsko uparło, to nie ma szans.

– W ten subtelny sposób podkreśla hierarchę – skwitowała Zuza.

– Tylko, że mi się nóż w kieszeni otwiera...

Zuza rozparła się wygodnie i objęła wzrokiem czytelnię.

– Niezłe pomieszczenie. Szkoda tylko, że takie ciasne. Wernisaży to chyba nie da się tu robić?

– Odpada. Wtedy zostaje tylko hol, ale to też nie jest rozwiązanie.

– Jełopy projektujące budynek o tym nie pomyślały – Ula bez zbędnych frazesów wyraziła swoje zdanie. Zuzie coraz bardziej podobała się jej postawa, szczerą i bezpośrednią, pozbawioną zawołanych niechęci. Czuła, że jak Ula ma do kogoś pretensje, to mówi otwartym tekstem prosto w twarz, bez fałszywych uśmiezków.

– A wy dwie skąd się znacie?

– Taka mała wiocha, wiesz? – Ula zatoczyła ręką wokół. – Każdy, kto robi tu w kulturbizie musi, siłą rzeczy, znać resztę.

– Kulturbiz... – zachwycona Zuza sięgnęła po notatnik. – Świetne. Mogę wykorzystać?

– Korzystaj. Słyszałam, że masz niezły pomysł, by rozreklamować wystawę...

Rozmowa zesłała na prezentowane w czytelnicy prace. Ula okazała się niezastąpiona. Komentowała, podpowiadała, oceniała. Zuza słuchała jej z wciąż rosnącym podziwem.

– Z taką wiedzą marnujesz się w Grodowie – podsumowała.

– A pewnie. Najchętniej przeniosłabym się do Krakowa. Może nie z własną galerią, ale na początek zaczepiłabym się u kogoś. Jednak mój „jeszcze-nie-były” jest uparty jak osioł i nie chce słyszeć o Krakowie, a ja nie mam chęci na codzienne dojazdy. Ale jak się kiedyś porządnie wkurzę, to zmienię mu status na „byłego”. A wkurzam się średnio raz na tydzień. Ciekawa regularność... I wtedy: żegnaj Grodowo, witaj wielki świecie.

Zuza zapełniała notes luźnymi uwagami. Tak, jak ustaliły w sobotę, autor prac zgodził się z chęcią na darmową reklamę, jaką był pochlebny artykuł w lokalnej prasie, w zamian za przygotowanie trzech ekslibrisów dla odwiedzających. Można więc było zakończyć tekst swoistą zachętą do dzielenia się opiniami o pracach. Klaudia zdawała się podekscytowana samym pomysłem.

– Trzeba tylko wystawić jakąś skrzyneczkę na kartki i plik papieru obok.

– I wypadaloby zrobić jakiś jubel na zakończenie – podsunęła Ula.

– Racja. Zaprosić autora, wylosować osoby.

– Najlepiej, gdyby na poczekaniu, niejako na żywo, zaprojektował te ekslibrisy dla zwycięzców. Trzeba by go uprzedzić.

– Świetnie. A ja napiszę z tego jakiś tekścik. Czyli nie tylko z wystawy jako takiej, ale też z jej zamknięcia. I przytoczę kilka opinii odwiedzających z tych kartek. Trzeba więc zrobić jakiś formularz z miejscem na opinię o wystawie, datę i podpis, zgodą na przetwarzanie danych osobowych i zgodą na nieodpłatne wykorzystanie wypowiedzi do celów promocyjnych – Zuza szybko układała sobie plan. – Na kiedy planujecie zamknięcie?

– Za dwa tygodnie. Może się przedłużyć, jeśli nie będzie czego powiesić w zamian.

– A co macie następne?

– Konkurs na okładkę do tomiku poezji. Ale na razie jest tylko pięć prac. Porażka.

Ula ze współczuciem pokiwała głową.

– Mieszkam tu już kilka lat, ale nadal nie pojmuję tego fenomenu – przyznała. – Z jednej strony ludzie wciąż narzekają, że nic się w mieście nie dzieje, ale jak już się coś organizuje, to wydają się w ogóle niezainteresowani. Za każdym razem mam problem, by ściągnąć na wernisaż kogoś nowego. Szans nie ma. Wciąż towarzystwo beretowe plus Jurczyński. Ręce opadają.

Uskarżały się w dalszym ciągu szukając w tym jakiejś pociechy, gdy na te lamentsy naszedł Tomek Rajski. Przysiadł na chwilę i wysłuchawszy ich skarg z niedowierzaniem pokręcił głową.

– Jak wy, kobiety, możecie w kółko wałkować te same tematy? Przecież od lat słyszę to samo. Że nikt się tu sztuką nie interesuje. A przecież – znacząco zawiesił głos – galeria działa, dom kultury działa, kino mamy, nową bibliotekę też. Są imprezy cykliczne, niektóre już od ponad dwudziestu lat, są imprezy okolicznościowe, że tak to nazwę. Chyba każda kawiarnia w mieście ma swoją minigalerię... A wy tu narzekacie. Nieładnie, dziewczyny. Oj, nieładnie – pogroził im palcem.

– No, może coś w tym jest... – Klaudia zaczęła z powątpiewaniem.

– Raczej nic – przerwała jej zdecydowanie Ula. – Imprezy to jedno, a uczestnicy to drugie. Tomek – zwróciła się do Rajskiego. – Kiedy ostatnio byłeś na jakimś wernisażu? Albo koncercie?

– Dwa tygodnie temu. Jak teatr do nas przyjechał.

– Jak ci się udało kupić bilety?!

Zuza poznała z tonu Uli, że zdobycie biletów musiało graniczyć wręcz z cudem. Dalsze słowa marszandki potwierdziły to przypuszczenie.

– Ja polowałam na nie miesiąc. Chodziłam i prosiłam, ale za każdym razem to samo: już nie ma. A jak mi się w końcu udało zdobyć dwa w pierwszym rzędzie... W pierwszym rzędzie, mówię! To jeszcze nie obok siebie. A potem, jak popatrzyłam po sali, to ze trzydzieści miejsc było wolnych. Po prostu oburzające! Więc przyznaj się, jak zdobyłeś bilety?

– Dostałem.

– Skąd?!

– No, od kuzyna żony. Mieli w Urzędzie Miasta.

– Ha! – zakrzyknęła tryumfalnie Ula. – Właśnie! To dopiero są pokątne machlojki. Najpierw urząd dostaje, a ochłapy idą na miasto dla reszty! Oburzające! – powtórzyła.

– No cóż – Tomek nie dał się wbić w poczucie winy. – Tak tu jest. Nie ma sensu się rzucać, bo świata nie zmienisz, a Grodowa tym bardziej. Ale przepraszam was bardzo. Mam spotkanie w jaskini Iwa...

– Ach tak – przytaknęła Klaudia. – Growadzka mówiła, że się ciebie spodziewa. Czyżby chciała nowe gadżety dla biblioteki?

– Wspominała coś o kubkach reklamowych. Dlatego mnie ściągnęła. Kurde... Czym ja sobie na to zasłużyłem? – spytał żałośnie. – Jak powiedziałem, że przyślę grafika, to się wkurzyła, że o kontrakt z tak szacowną instytucją, jaką jest biblioteka, to powinienem dbać. Zionęła tak, że piekło by zamarzło. No i musiałem przyjść. Trzymajcie kciuki. I musimy się umówić na jakiś wywiad o zlocie starych samochodów – przypomniał Zuzie.

– Nie ma sprawy. Zadzwoń pod koniec tygodnia – obiecała.

Do drzwi odprowadziły go współczujące spojrzenia.

– Biedny facet. Nie dość że ma żonę magierę, to jeszcze musi z takimi współpracować. Żal mi go – przyznała Klaudia.

– A mnie nie. – Ula wzruszyła ramionami. – Sam tego chciał. Wzenił się w forszę, to musi za to płacić. Zresztą: firma teścia to jedno, a jego wina to drugie.

– Co racja, to racja...

Zuza nic nie powiedziała. Wpatrywała się w zamykające się cicho drzwi i zastanawiała, jak niezauważalnie zmienić temat i przejść do sobotnich wydarzeń. Co prawda Ula nie brała udziału

w klasowej imprezie, jednak omawianie ich w towarzystwie osób trzecich byłoby o tyle lepsze, że pod pozorem wyjaśnienia Uli całej sytuacji może coś wypłynąć. Coś, co rzuci choć odrobinę światła, bo jak na razie nie posunęła sprawy nawet o krok.

– Będzie coś w „Kurierze” o morderstwie Julki?

Zuza otrząsnęła się i spojrzała zaskoczona na Klaudię. Wydawało się, że koleżanka czyta w jej myślach.

– No, nie patrz tak... – bibliotekarka wyraźnie się speszyła. – Nie szukam sensacji, tylko się martwię. Policja nic nie mówi, na mieście też nic prócz domysłów. A to już przecież drugie morderstwo. Nie było tego u nas...

– Byłyście tam, prawda? – zainteresowała się Ula.

– Tak... Ale na „Kuriera” nie liczcie. Poza ogólnikami nic nie będzie.

– Nic?

– Policja też niewiele wie. Nawet nieoficjalnie – przyznała.

– Ale przecież byłaś przyjaciółką Julki – Klaudia nie dawała za wygraną. – Może coś wiesz? Coś podejrzewasz?

– Albo kogoś... – wtrąciła Ula.

Zuza zaprzeczyła.

Przybycie kilkorga uczniów oderwało na chwilę Klaudię od ich stolika. Popijając kawę czekały w milczeniu, aż bibliotekarka do nich wróci.

– Mimo wszystko jest to niesamowite – rzekła na powrót zajmując swoje miejsce. – W lokalu było pełno ludzi, a nikt nic nie wie.

– No cóż, zabójca z pewnością wie...

– Racja – przyznała Zuza. – Wiem jednak, o co ci chodzi. Każdy był tak zaaferowany sytuacją, tym że widzi kolegów, że można się znów poczuć beztrosko jak w liceum...

– Właśnie!

– I w tym całym zamieszaniu nikt nie zwrócił uwagi, że dokonano morderstwa. Koronkowa robota – przyznała w zadumie.

– To znaczy? – Ula wpatrywała się w nią intensywnie.

– To znaczy, że ten ktoś musiał mieć stalowe nerwy. No, same przyznajcie. Pełno ludzi. W każdej chwili ktoś mógł zacząć dobijać się do łazienki, bo niektórzy byli już lekko wstawieni. Mógł powstać jakiś rumor. Poza tym samo zabójstwo. Nikt nie słyszał żadnego krzyku, żadnej szamotaniny.

– Było głośno. Muzyka, ludzie, którzy chcieli się przekrzyczeć – zauważyła Klaudia.

– Ale łazienka jest na uboczu. Koło przejścia na zaplecze. A tam jest cicho. Ktoś z obsługi mógł akurat przechodzić. Kurcze! – wyrwało jej się głośno. Kilka zaciekawionych głów odwróciło się w kierunku ich stolika. Zuza rzuciła przeproszające spojrzenie. – Jakoś po prostu to do mnie nie dociera – kontynuowała po chwili. – To, że Julka nie żyje, że nikt nic nie wie. I że może zabił ktoś z nas.

Klaudia zrobiła okrągłe oczy.

– Nie pomyślałam...

– Logiczne – Ula skwitowała tę rewelację lekkim wzruszeniem ramion.

– Był taki chaos, że nie ma szans dojść, kto gdzie był w danym czasie. Każdy, wchodził, wychodził...

– No tak. Palili na zewnątrz, chodzili do aut... Romek załatwiał jeszcze w międzyczasie jakieś interesy, bo ciągle rozmawiał przez komórkę. Część siedziała w lokalu, kilka osób poszło na spacer...

– Na spacer? – zainteresowała się Zuza.

– Ano tak. Poszli gdzieś w kierunku hali sportowej. Może po prostu do sklepu po papierosy? No i oczywiście Aśka zniknęła na chwilę z Marcinem.

– Czyżby wspominali dawne czasy?

– Najwyraźniej, bo wrócili dość wymięci – zachichotała Klaudia.

Zuza próbowała dopasować jakoś tę informację do pozostałych, ale był to po prostu kolejny element, którego nie była w stanie powiązać z morderstwem. Miała wrażenie, że każda jej konstrukcja, którą próbuje stworzyć, by wyjaśnić okoliczności śmierci Julki, zamiast rozjaśniać sytuację to – wprost przeciwnie – zaciemnia ją coraz bardziej. Czowała się przytłoczona i zirytowana.

– Jeszcze jakieś smaczki? – nie mogła przecież spytać, czy Klaudia widziała coś, co odbiegało od normy.

– Poza tym? Przecież to jest bomba. Marcin ma żonę, Aśka męża. I praktycznie na oczach wszystkich jak napalone małolaty wskakują do auta. No nie mów, że nie wiedziałaś...

– Jakoś nie patrzyłam – przyznała. – A potem to już wszyscy zwariowali, jak przyjechała policja.

– No i jeszcze Bazyl. Ten to dopiero ma pecha. Oczywiście po mieście już chodzi, że się z Julką pokłócił...

– Ale to było dziesięć lat temu – przypomniała Zuza.

– Jakie dziesięć? – Klaudia wpatrywała się w nią z zaskoczeniem. – Najwyżej dwa miesiące.

– Jakie dwa miesiące?

– No przecież mówię. Dwa miesiące temu ostro się o coś pokłócili. Była jeszcze wczesna pora, jak Julka przyszła do niego do pubu, ale kilkoro gości już było...

– A o co poszło? – Zuza zadała pytanie pozornie obojętnym tonem. Bazyla nie lubiła, więc w skrytości ducha cieszyła się, że jeśli już wychodzą jakieś brudy, to z nim w roli głównej. Wcale by się nie zdziwiła, gdyby się okazało... Przypomniła sobie wyraz jego twarzy, gdy w sobotę wszedł do toalety. Był niezłe wkurzony, ale opanował się błyskawicznie.

– W zasadzie nie wiadomo. Słyszał było krzyki, ale jakoś nikt nie mówił o co się żarli. Zresztą to chyba pierwsze takie starcie od tego incydentu sprzed lat. Przecież mieszkali w jednym mieście i widywali się czasami. I jakoś nie było pogłosek, by coś było nie tak...

Zerknęła na zegarek i szybko dopiła kawę. Musiała się pospieszyć, jeśli zależało jej na zrobieniu dobrego wrażenia na znajomej Łukasza. Nie mogła się przecież spóźnić na umówione spotkanie i zaprzepaścić szansy na tekst, który z pewnością podniesie ciśnienie wujkowi Ryśkowi. Bo jakże inaczej – w końcu zrobi rysę na nieskazitelnym, idyllicznym wizerunku Grodowa kreowanym przez „Kuriera”. Ciucholandy! To będzie temat!



Gdzieś koło piętnastej Zuza poczuła, że jest wykończona. Zupełnie. Nie przeszkadzało jej to zresztą odczuwać satysfakcji. Przeprowadziła pięć rozmów, miała zgodę na publikację wypowiedzi, a w jej głowie rysował się już plan całego reportażu. Tak, to był udany dzień.

Jednak kilkugodzinna bieżanina w szpilkach dała się jej we znaki. Poniewczasie stwierdziła, że trzeba było nie tylko zmienić spódnice na dzinsy, ale też zrezygnować ze szpilek i założyć buty na płaskim obcasie. Gdy po raz drugi przemierzała miasto, klęła pod nosem na nierówne chodniki, a kiedy okazało się, że musi wrócić – była już niezłe wkurzona. I głodna.

Nogi same zaniósły ją na Krasińskiego. Przez chwilę wahała się jeszcze, spoglądając na szyld

zawieszony ponad wejściem. Jednak żołądek zwyciężył nad rozsądkiem. Cóż, nie ma to jak pierwotne instynkty. Pchnęła drzwi „Bursy u Romana” i znalazła się w środku cyklonu.

Tłok i hałas. Przekrzykiwanie się obsługi i klientów. Norma.

Stała przy ladzie i z niecierpliwością obserwowała, jak młody chłopak przygotowuje kebaby. Zawiesiła wzrok na niezbyt stylowej mieszance plakatów, obrazków i pocztówek, które zdobiły przeciwległą ścianę. W domyśle wszystkie wskazywać miały Turcję i nawet skojarzyła kilka widoków Stambułu, jednak całość prezentowała się odpychająco. Ale to nic, dekoracja nie miała żadnego wpływu na klientelę. Było bowiem coś, co przyciągało tu ludzi bez względu na wystrój, a popołudniami zapełniało lokal do granic możliwości. Teraz też Zuzie ledwie udało się wepchnąć na stołek przy wysokiej ladzie, gdy starszy jegomość, zajmujący go dotąd, z wyraźnym ociąganiem pożegnał się z właścicielem i wyszedł. Złowiła niezbyt przyjazne spojrzenie jakiejś małolaty, która też polowała na miejsce, i nic sobie nie robiąc z gniewnych pomruków złożyła zamówienie.

Roman, właściciel lokalu, był przysadzystym mężczyzną z siwą czupryną. Dobiegał sześćdziesiątki, lecz nie przeszkadzało mu to warczeć na pracowników i komenderować nimi według uznania. Teraz też dało się słyszeć z zaplecza podniesione głosy.

– I żeby pomidory były świeże! Bo inaczej wypierdolę przez okno! I ciebie też!

Trzask drzwi, który przedarł się przez trajkoczące radio i rozgadanych klientów, oderwał na chwilę Zuzę od notatek. Uniosła wzrok i zarejestrowała, że Roman podwinął rękawy koszuli i osobiście zabrał się za siekanie białej kapusty.

Zuza zerknęła ponownie do notesu. Nie ma co... Bez pomocy się nie obejdzie. Uzmysłowała to sobie w chwili, gdy kolejny z dzisiejszych rozmówców zagadnął ją, czy wie może, co na ten temat sądzi panna Krystyna. Jednokrotne napomknienie było ciekawostką, gdyż dobrze wiedziała, że panna Krystyna to miejscowa legenda. Wścibska staruszka, która wszystko i wszystkich miała na oku. Była rodzajem miejscowej wyroczni, jeśli można ją było tak nazwać. Jednak więcej niż z wieszczki miała z czarownicy... Zuza pamiętała ją dobrze z licznych wizyt u cioci Honoraty. Rozbawiło ją przypuszczenie, że zdanie panny Krystyny może przesądzać w sprawie morderstwa. Jednak gdy trzecia osoba spytała ją o to samo – poddała się. Chcąc nie chcąc musiała przyznać, że przyjaciółka ciotki będzie z pewnością lepiej zorientowana w miejscowych plotkach już choćby przez sam fakt, że prawie całe swoje życie spędziła w Grodowie, zna tu praktycznie wszystkich i niejedno mogłaby powiedzieć o rodzinnych sekretach pilnie strzeżonych przez szacowne rody miasteczka.

Zuza wzdrygnęła się lekko na myśl, że powinna zadzwonić i poprosić o audiencję. Tak właśnie pomyślała: o audiencję. Stukała końcówką długopisu w notatnik i kilkakrotnie podkreśliła nazwisko panny Krystyny. Zadzwonić, nie zadzwonić, zadzwonić, nie zadzwonić... Bawiła się tą wyliczanką, jednak sprawa była praktycznie przesądzona. Nie zdążyła jednak wyjąć komórki z torby, gdy ktoś trącił ją i cała półlitrowa butelka wody mineralnej wylała się na blat. Zuza zdążyła szybko porwać notes i uchronić go przed zalaniem.

– Kurcze blade.

Próbowała opanować potok.

– To nic panienko. Zupełnie nic... – pan Roman z rolką papierowych ręczników obchodził już ladę. – To tylko woda.

Zuza lekko zaskoczona spoglądała na właściciela. Spodziewałaby się raczej, że grzotnie pięścią, przeklnie na czym świat stoi i pośle jej ciężkie spojrzenie spod krzaczastych brwi. Tymczasem pan Roman ze stoickim spokojem, mrużąc uspokajająco, ścierał kałużę.

– Bo widzi panienka... – zaczął kwestią wyjaśnienia. – Jeśli coś się dzieje, to nigdy bez przyczyny. No... I już po kłopotcie.

Wrócił na swoje miejsce, poprawił podwinięte rękawy i oparł się łokciami o szeroki blat.

– A jak odwiedzi panienska pannę Krystynę, to proszę ją pozdrowić.

– Pannę Krystynę...? – spytała nic nie rozumiejąc.

– Ano tak. Przecież pisała panienska jej imię. Ja może stary jestem, ale nie ślepy – uśmiechnął się do niej łobuzersko i w tym momencie Zuza przekonała się, że pod tą złowrogą maską kryje się całkiem sympatyczny jegomość. – Tylko proszę nie wpakować się w jakieś tarapaty – na powrót przybrał srogą minę i pogroził jej palcem. – Pamiętam, jak panienska jeszcze w liceum tu zaglądała. – Postawił przed nią kartonowe, firmowe pudełko z kebabem. – Dobry wybór – skomentował. – I słuszną porcja. Widzę, że panienska nie należy, Bogu dziękować, do tych miłośników króliczego żarcia. Bo wiadomo... – dodał konfidencyjnym szeptem. – Lepiej dobrze zjeść, niż podobać się byle komu.

Zuza uśmiechnęła się na to podsumowanie i serdecznie pożegnała właściciela.

– A i szanownego tatusia proszę pozdrowić! – rzucił jeszcze pan Roman na odchodne.

Automatycznie przytaknęła zachodząc w głowę, skąd ta poufałość. Ojciec raczej miłośnikiem kebabów nie był, a też nigdy nie wspominał, żeby znał pana Romana. Zgarnęła swoje rzeczy do torby i wyszła z przekonaniem, że pewne sprawy pozostają po prostu poza jej zdolnościami pojmowania. Na przykład kwestia miejskiego życia, które, nomen omen, żyło własnym życiem.

Sięgnęła po komórkę i już po chwili, dojadając późny lunch, z dużą dozą niepewności, zmierzała w stronę przedwojennej willi na północnym wzgórzu. Trudno, raz kozie śmierć. A może panna Krystyna nie jest aż taką magierą, za jaką wszyscy ją uważają? W końcu ciocia Honorata przyjaźni się z nią chyba od wieków. Ale nie. Przecież opinia o staruszce od lat była ta sama. Portret starej czarownicy z bajek dla dzieci. Tylko że w tym wypadku czarownica nie częstowała słodyczami, tylko ćwiczyła swój cięty język na nieszczęśnikach, którzy weszli jej w drogę. Z tego, co Zuza słyszała, dość często ktoś wchodził pannie Krystynie w drogę... I zawsze kończyło się tak samo. Źle dla delikwenta. Jednak o tym, że to chuda staruszka była zazwyczaj inicjatorką tych spotkań, ani tym bardziej, że niejednokrotnie później przyjmowała wizyty z komisariatu z podziękowaniami i wyrazami szacunku... Nie, o tym Zuza nie mogła już wiedzieć...



Czekała na tę wizytę już od wczoraj. A dokładnie od chwili, gdy zadzwonił do niej Łukasz Górka z wiadomością, że będzie musiał napisać artykuł o zabójstwie Julii Kurek, ponieważ Zuza odmówiła tknięcia tego tematu.

Panna Krystyna, do której już wcześniej doszły plotki o wizycie Zuzanny Krukowskiej na komisariacie, przyjęła tę informację z cichym zadowoleniem. Odłożyła słuchawkę, zrobiła sobie mocną herbatę z dziką różą i postanowiła czekać na gościa.

Gość się dość długo nie zjawiał. Cicha nadzieja, że jeszcze w poniedziałek uda się ruszyć sprawę do przodu, okazała się płonna. To było irytujące. I zastanawiające. Panna Krystyna rzadko myliła się w swej ocenie bliźnich, a zdawało jej się, że Zuzanna, która niedawno straciła grunt pod nogami, będzie szukać jakiegoś czasochłonnego i wymagającego zajęcia, po prostu – by mieć czas na pozbieranie się. Ot, taki substytut. A morderstwo przyjaciółki wydawało się sprawą na tyle ważną, by pozwolić na oderwanie myśli od własnych problemów.



Poza tym – sytuacja ta służyła również pannie Krystynie. Gips doskwierał jej o wiele bardziej, niż chciała się przyznać. Unieruchomiona w domu, odcięta od miejskich plotek, zmuszona była polegać na doniesieniach innych. A to, jak wiadomo, nie mogło zastąpić własnych obserwacji. Ludzie są tacy nieuważni... Patrzą, a nie widzą. A później taka żona się dziwi, że mąż ma kochankę, albo rodzice nie mogą uwierzyć, że ich dziesięcioletnie dziecko ukradło komórkę ze sklepu.

Teraz jej niecierpliwa natura coraz bardziej buntowała się przeciwko uwięzieniu. Inna sprawa, że panna Krystyna coraz częściej łapała się na myśli, że jest już po prostu za stara na odgrywanie obrońcy uciśnionych. Oczywiście, dość kontrowersyjnego obrońcy, ale jednak zawsze... Ludzie starali się jej raczej unikać, by nie stać się obiektem dociekań. Wiedziała o tym aż nazbyt dobrze. Z drugiej jednak strony – bali jej się na tyle, by nie robić tego w sposób jawny... Ta gra pozorów bardzo ją bawiła. Jednak teraz, gdy nie mogła ruszyć w miasto na połów plotek i obserwacji, zaczynała się coraz bardziej irytować.

Te dwa morderstwa to było wybawienie.

Fakt, że są ze sobą powiązane, był oczywisty. I chyba nawet policja już na to wpadła. Skoro najpierw ginie Rzewuski, a potem, w odstępie tygodnia, jego asystentka, to sprawy ewidentnie coś łączy. Panna Krystyna nie miała dowodów, że oboje zabiła ta sama osoba, jednak skłaniała się ku temu rozwiązaniu. Wydawało się logiczne. Ciekawa była, czy Zuzanna też na to wpadła. Zrobi jej mały test. Oczywiście dyskretnie. Musi przecież wiedzieć, na jaką pomoc może liczyć ze strony ciotecznej wnuczki Honoraty. Jeśli dziewczę sobie poradzi... Cóż. Może być ciekawie.

Dzwonek do drzwi przerwał te rozmyślenia. Panna Krystyna machinalnie poprawiła kok, sprawdziła, czy broszka z kameą jest równo przypięta do kołnierzyka i wyprostowana czekała, aż Irenka wprowadzi gościa do saloniku.



Zuzanna próbowała nie dać po sobie poznać, że siedząca naprzeciwko starsza dama trochę ją przeraża. Sięgnęła po filiżankę z herbatą i ucieszyła się, że ręka jej nie zadrżała. Ofuknęła się w myślach. Była przecież dorosłą kobietą, a nie licealistką spowiadającą się z wagarów. Jednak zakorzenione przed laty obawy dawały o sobie znać. Ilekroć podczas odwiedzin u ciotki Honoraty napotykała pannę Krystynę, ta sprawiała wrażenie, że doskonale wie o sekretach, które Zuza chciałaby ukryć. Zawsze rzucała jakieś drobne uwagi, które, nieczytelne dla innych – u Zuzy powodowały podniesienie tętna.

Nikt nie lubi być przezroczysty. A pod czujnym spojrzeniem wyblakłych oczu panny Krystyny tak właśnie się czuła.

– A więc chcesz znaleźć zabójcę przyjaciółki – zaczęła siwowłosa dama, odkładając srebrną łyżeczkę na spodek.

Zuza, zaskoczona tą bezpośredniością, przytaknęła.

– Dobrze. I chcesz, bym ci pomogła. Czyż nie tak? W końcu nie mam nic innego do roboty – wskazała na swój gips. – A krwawe zabójstwo zawsze pozwala lepiej spać.

– To znaczy?

– Kochana. Jeśli cały dzień myślisz i kombinujesz, jak można powiązać ze sobą osoby i fakty, to wieczorem mózg jest już tak przeciążony, że potrzebuje odpoczynku. Tak... Zdecydowanie morderstwo

jest lepsze niż tabletki nasenne. A w moim wieku to ma znaczenie. A więc... – panna Krystyna znacząco zawiesiła głos.

Zuza zerknęła na gospodynię.

– Może to pani uznać za dziwne i może nieodpowiedzialne, ale tak..., chcę znaleźć zabójcę Julki. Zwłaszcza że, jak się okazuje, prawie jej nie znałam. To znaczy inaczej... Znałam ją przez lata, ale ostatnio niewiele się widywałyśmy i sporo mi umknęło. Nie miałam pojęcia, że Julka jest...

Nie wiedziała, jakiego słowa użyć, by nie urazić staruszki.

– Że jest lokalną dziwką? – Panna Krystyna wydawała się w ogóle nie poruszona tym faktem. – Kochana, rzeczy trzeba nazywać po imieniu. Wtedy jest mniej nieporozumień. A widzę, że nie byłaś tego świadoma – wróciła do tematu.

– Nie. Wiedziałam oczywiście, że Julka lubi męskie towarzystwo i zawsze miała wokół wianuszek wielbicieli. Niektóre jej związki były dość burzliwe, jak choćby rozstanie z Jakubem Bazylem. Ale że sypia ze wszystkimi...

Widziała, jak przyjaciółka ciotki kiwa głową z politowaniem.

– A myślisz, że dlatego to rozstanie z Bazylem było takie gwałtowne?

– Pokłócili się o coś. Julka nie chciała mówić o co. Tuż przed studniówką.

– I ty naprawdę nie wiedziałaś, że Bazyl znalazł ją w łóżku z innym chłopakiem?

Zuza wpatrywała się w pannę Krystynę z niedowierzaniem.

– Ale byłam naiwna...

– Ja bym powiedziała, że po prostu lojalna. Wzięłaś stronę przyjaciółki i nie dochodziłaś prawdziwych powodów ich rozstania. Pewnie Julka była później załamana i odgrywała rolę porzuconej.

– Skrzywdzona niewinność.

– A ty ją próbowałaś podnieść na duchu i obie z pewnością nadawałyście na Jakuba, jaki z niego kutas.

– Coś w tym stylu...

Do Zuzy powoli docierało, jak wypaczony miała obraz sytuacji. Panna Krystyna nie odzywała się czekając cierpliwie, aż dziewczyna przetrawi zasłyszaną informację. Zresztą z pewnością gospodyni była w stanie odtworzyć sobie bieg jej myśli. Zuzanna była tego świadoma. Przez lata żywiła urazę do Bazyla i starannie ją w sobie pielęgnowała. Tak było wygodniej. Tak było bezpieczniej...

Otrząsnęła się w końcu.

– A więc, skoro już zrewidowałaś swój pogląd na Jakuba Bazyla, to pora, byś z nim porozmawiała – stwierdziła stanowczo panna Krystyna. – A potem mi tę rozmowę streścisz.

– Nie... Chyba nie.

Zuza próbowała się bronić przed tym pomysłem.

– Kochana. Jakub głupi nie jest. Też umie dodać dwa do dwóch. A poza tym jest właścicielem lokalu. Jeśli ktoś z obsługi coś widział, to z pewnością szybciej powiedzą jemu niż tobie czy policji.

– Ale dlaczego Bazyl miałby dzielić się ze mną takimi informacjami? – Nie dawała za wygraną.

– Ponieważ go o to poproszę.

Wygłosiwszy tę kwestię, panna Krystyna jasno dała do zrozumienia, że uważa ją za zakończoną. Zuza, nie mając innego wyjścia, obiecała, że jeszcze dziś spotka się z Bazylem.

– Dobrze. Więc pora porozmawiać o ewentualnym motywie. Jak myślisz, kto i dlaczego zabił?

– Pojęcia nie mam – odparła szczerze.

– Bzdura – obruszyła się staruszka. – Na pewno do jakichś wniosków już doszłaś. Czytasz kryminały? Czytasz. A więc wiesz, że trzeba zbadać sprawę motywu i sposobności. Co do tego drugiego to może być problem – przyznała. – Pełno ludzi. Za dużo. Zdecydowanie za dużo...

– Ktoś mógł wejść z zewnątrz... – spróbowała wtrącić Zuza.

– Ty w to wierzysz? – panna Krystyna rzuciła jej sceptyczne spojrzenie.

– Niezbyt... Jeśli uznamy, że ta sama osoba zabiła Rzewuskiego i Julkę. Ale poza tym, że pracowali razem, nie umiem znaleźć innego powiązania. Może pani coś ma? – spytała.

– Na razie nie. Ale pomyślę. Co jeszcze? Chodzisz przecież po mieście. Słyszysz o czym ludzie mówią...

– Tak. Jednak jakoś nigdy wcześniej nie zwracałam na to uwagi.

– Moja droga. Pracujesz w gazecie. Musisz zacząć słuchać, co ludzie mówią.

– Tak, wiem...

– Nudzi cię to – bardziej stwierdziła, niż spytała. – Wiem, że cię to nudzi. Ale jeśli chcesz znaleźć zabójcę, to najlepszym źródłem informacji są plotki. Wiem, co mówię... Ludzie, chcąc być zauważeni i ważni, lubią się chwalić, że wiedzą coś, o czym inni nie mają pojęcia. I czasem dobrze poudawać pierwszą naiwną, bo wtedy zaleją cię potokiem informacji. Wiesz... Sierotkę Marysię trzeba wyprowadzić z tego ciemnego lasu niewiedzy – uśmiechnęła się złośliwie. – A wówczas nie pozostaje nic innego do roboty, jak tylko uważnie słuchać, potakiwać i od czasu do czasu zrobić zdziwioną lub zachwyconą minę... Niestety – dodała po chwili – w moim wypadku ten numer nie działa już od lat, no, chyba że gdzieś pojedę, gdzieś, gdzie mnie nie znają. Bo wiesz, jak to jest. Wszyscy chętnie pomogą takiej biednej, zagubionej staruszce...

Zuza z niedowierzaniem wpatrywała się w pannę Krystynę.

– Niesamowite... – przyznała.

– Prawda? – ucieszyła się gospodyni. – Jak widzisz, nie jestem taką straszną czarownicą, jak to inni mówią. Jestem o wiele gorsza!



Pamiętała, że Jakub pojawia się w lokalu o dziewiątej wieczorem. Tak przecież w sobotę mówił barman. Cholera. Do dziewiątej był niecały kwadrans, a ona nie była zupełnie gotowa na to spotkanie.

Szła teraz przez park i próbowała opanować chaotyczną bieganinę myśli. Obopólna niechęć wciąż się tliła, a pomysł panny Krystyny, by porozmawiać z Bazyliszkiem, uważała za złośliwy wyrok losu. Już wyobrażała sobie ten irytujący grymas na jego twarzy... Cóż. Powinna zdobyć się na szczerą ocenę narzuconą przez Julkę. A teraz, jak się okazało, antypatia ta nie miała aż tak silnych podstaw. Zuza z niejakim wstydem musiała przyznać, że pielęgnowała w sobie uprzedzenia względem człowieka, którego tak naprawdę nie знаła. No, bo co ona takiego wiedziała o Bazyliszku? Z bogatej rodziny, imprezowicz, lekkoduch. Ale to było dziesięć lat temu. A teraz?

Przypomniała sobie chłodną uprzejmość, z jaką ukłonił się jej na wernisażu. Nic dziwnego: przecież na każdym kroku okazywała mu, świadomie lub nie, pogardę. W końcu porzucił jej przyjaciółkę. Ależ była głupia. Inna sprawa, że jakoś nigdy nie podejrzewała nawet, że sytuacja wygląda inaczej niż w wersji Julki. Sam Bazyl po całym tym incydencie nie pokazywał się w mieście, ani tym bardziej nie próbował dementować plotek. Kretynka jedna, myślała Zuza ze złością, totalna kretynka. Jednak samokrytyka jakoś nie poprawiła jej nastroju. Zmuszona do konfrontacji z Jakubem – czuła się teraz po prostu podle. Jedyłą pociechą była pewność, że nie wyśmieje jej i nie odeśle z kwitkiem, pozwalając wyjść na idiotkę. Stał za

nią autorytet panny Krystyny i tylko ta pewność pozwoliła jej pchnąć drzwi „Poczekalni” i wejść do środka.

Puste wnętrze sprawiało przygnębiające wrażenie. Zdawać by się mogło, że o tej porze modny w mieście lokal powinien być pełny. Co prawda to środek tygodnia, jednak z wcześniejszych opowiadań Oli wiedziała, że tu zawsze jest tłoczno. Rozejrzała się w poszukiwaniu jakichkolwiek klientów. Nikogo. Tylko przy barze wyprostowała się młoda dziewczyna w eleganckiej czarnej koszuli, czekając w gotowości, aż Zuza podejdzie.

– Coś podać? – zagadnęła przyjaźnie.

– A jest pan Bazyl?

Barmanka zrobiła się czujna. Nic nie dała po sobie poznać, ale Zuza od razu wyczuła zmianę nastroju.

– Niestety, właściciela nie ma. Czy coś przekazać?

Zuza zastanowiła się. Nie chciała zbyt otwarcie okazywać ulgi, ale miała wrażenie, że na jakiś czas odsunęła od siebie tę rozmowę. Inna sprawa, że jeśli nie porozmawia z Bazyliszkiem, to i tak niczego nowego się nie dowie i nie pchnie sprawy do przodu. Tak źle i tak niedobrze. Jednak barmankę kojarzyła... To na pewno ona była podczas sobotniej zmiany. Może więc warto czegoś się napić i porozmawiać.

– Panna Krystyna Nowak prosiła mnie, bym tu zajrzała...

– Ach... To trzeba było od razu mówić. Może ja zadzwonię do szefa i poproszę, by przyjechał?

Zuza, próbując zdusić w sobie zaskoczenie wywołane nagłą zmianą, poprosiła o wodę.

– Może nie róbmy zamieszania... – zaczęła. – Wydawało mi się, że powinnam go zastać.

– Normalnie pewnie by go pani zastała – przyznała dziewczyna. – Ale, jak widać, nie ma żadnego ruchu, więc szef wcześniej wyszedł. Minęła się z nim pani raptem o kilka minut.

– Morderstwo nie służy interesom.

– Nie. Zupełnie. Od wczoraj nie ma ruchu.

– Dziwne... Spodziewałabym się raczej... – urwała niepewna, czy wypada na głos mówić o własnych przypuszczeniach.

Dziewczyna zerknęła bystro, a w jej oczach czaił się śmiech.

– Spodziewałaby się pani, że po soczystym morderstwie będzie tu tłum gości, tak jak tydzień wcześniej przy hali sportowej.

– Bingo.

– Błąd. Może nie powinnam tego mówić, ale skoro panna Nowak się tym interesuje... A więc to jest tak... – zaczęła. – Przy hali sportowej wszyscy byli żądni sensacji, zwłaszcza że nikt nie wiedział, kim jest morderca. Ani nawet się nie domyślał. Zresztą, z tego co na mieście słyhać, to dalej się tego nikt nie domyśla. Natomiast tutaj sprawa wygląda inaczej...

– To znaczy?

– No jak to? Nie wie pani?

Zuzanna bezradnie pokręciła głową.

– No przecież, po pierwsze: szef znał tę Julię Kurek. Ponoć nawet kiedyś byli parą. A poza tym miał już kiedyś, kilka lat temu, sprawę o morderstwo. W zasadzie nie był oskarżony, bo do tego nie doszło, ale był podejrzany i przesłuchiwany...

– Nie wiedziałam.

– I teraz wszyscy oczywiście sobie o tym przypomnieli. I zakładają, że jak człowiek raz miał coś wspólnego z zabójstwem, to pewnie w tym wypadku też coś jest. I dlatego omijają lokal.

To akurat mogła zrozumieć. Swoista dulszczyzna. Nie liczy się prawda, tylko pozory. A po pewnym czasie okazuje się, że wszyscy dali się złapać w pułapkę własnych uprzedzeń. Tylko wówczas jest już za

późno. Tak jak w wypadku jej podejrzeń sprzed lat. Jednak w świetle nowych informacji Zuza na nowo zaczęła się zastanawiać. Czy aby teraz, nie chcąc znów być niesprawiedliwa względem Bazyla, nie będzie się starała go wybielić. W tym momencie zaplątała się we własnych myślach. Z jednej skrajności popadała w drugą, a chcąc tego uniknąć nie umiała zdobyć się na obiektywizm. Bo z Bazylem niestety już tak było: jedni go uwielbiali, inni nienawidzili.

– A kojarzysz coś ciekawego z soboty?

– Pyta pani, czy zauważyłam coś podejrzanego? – uśmiechnęła się i zaczęła przedstawiać modele lokomotyw stojące pod szklaną ladą. – Policja też o to pytała. Tylko że gdy człowiek nie może złapać zakrętu, to raczej trudno coś zauważyć. Powiem tak: nie widziałam nic, co by mnie zaskoczyło. Było tak, jak to zwykle jest podczas zlotów klasowych. Bez obrazy, ale dla kogoś z zewnątrz te imprezy są strasznie nudne. Zresztą mam wrażenie, że dla niektórych uczestników też...

– Rozumiem... – Zuza wyjęła z torby wizytówkę, zostało jej jeszcze kilka ze starego zapasu. – Tu jest mój mail. Jeśli coś sobie przypomnisz, cokolwiek, to byłabym wdzięczna, gdybyś dała znać.

– Oczywiście – dziewczyna rzuciła okiem na kartonik i schowała do kieszeni. – I proszę koniecznie pozdrowić pannę Nowak – dodała na pożegnanie.

Zuzannie trochę głupio było pytać, od kogo ma przekazać te pozdrowienia. Dziewczyna zakładała, że wie, z kim rozmawia. Niestety – aż tak dobrze nie była zorientowana i jeśli wierzyć statystykom, które mówią, że Grodów liczy ponad dwanaście tysięcy mieszkańców, to długo jeszcze będzie z tym problem. Pozostawało mieć nadzieję, że panna Krystyna odgadnie, o kim mowa.

Szła przez park planując wieczór. Znów zapowiadało się, że spędzi go przy komputerze. Jak za dawnych, dobrych czasów. Postanowiła, że musi znaleźć jakiś system. Skoro Łukasz potrafił pracować praktycznie na dwóch etatach i się nie przemęczać, to znaczy, że jest to wykonalne. Trzeba tylko trochę pomyśleć i inaczej zorganizować sobie dzień. Najlepiej tak, by do piętnastej zamknąć wszystkie redakcyjne sprawy i mieć czas dla siebie. Na czytanie, oglądanie filmów, wyjście w góry... Tego chyba w ostatnim czasie najbardziej jej brakowało. Chwil dla siebie. Ale nie poświęconych na uzalanie się nad swoim losem, tylko takich, które pozwolą podładować akumulatory.

Jednak na razie ma na tapecie szmateksy. Trzeba napisać tekst i najlepiej jutro dać go do przejrzenia Łukaszowi.

Minęła nieczynną jeszcze fontannę. Wokół panowała absolutna cisza, która wręcz dzwoniła w uszach. Pora była zbyt późna zarówno dla matek spacerujących z wózkami, jak i wagarowiczów. Nie było też młodzieży, która zazwyczaj traktowała ten teren jako pole manewrowe. Żadnego stukotu deskorolek, żadnych popisów rowerowych. Tylko jarzące się ostrą żółcią graffiti rozjaśniało ponury zakątek.

Pchnięcie w plecy było tak silne i niespodziewane, że nie była w stanie utrzymać się na nogach. Krzyknęła zaskoczona i wściekła. Czuła, że twardy beton zdał jej naskórek z dłoni. Torba upadła gdzieś obok i zadzwoniły kluczyki. Chciała się podnieść i już zbierała się, by opieprzyć tego, kto ją potracił, gdy poczuła na plecach kolejne pchnięcie. Zdażyła jeszcze odwrócić w bok głowę, gdy uderzyła policzkiem o szorstką nawierzchnię. Jakiś ciężar przygniół ją do ziemi.

Złość błyskawicznie wyparowała. Jej miejsce zajął paralizujący, zimny strach.

– I co, laleczko...?

Chrapliwy szept tuż przy uchu przejął ją dreszczem.

– Jesteś aż tak odważna? Czy tylko głupia?

Napastnik mocniej wykręcił jej rękę na plecach. Zuza jęknęła z bólu.

– Nie wystarczyło jedno ostrzeżenie? To masz drugie. Trzeciego nie będzie. Bohaterka się znalazła. Jak się nie odczepisz od zabójstwa Kurkówny, to skończysz z dziurą w brzuchu, jak ona.

Mężczyzna szarpnął nią jeszcze tak, że uderzyła głową w bruk. Na chwilę pociemniało jej w oczach.

Jednak złość zaczęła się powoli przebijać do sparaliżowanej świadomości.

Słyszała jeszcze oddalające się kroki.

Oddychała szybko i płytko, ale nie mogła się uspokoić. Nie miała szans, by puścić się w pogoń za napastnikiem. Taki numer to tylko na filmach...

Podniosła się i na miękkich nogach, chwiejnie, podeszła do najbliższej ławki.

Chwilę zajęło jej, zanim zdecydowała się zadzwonić do Michała. Wiedziała, że będzie musiała zdać relację kuzynowi. Gdyby tego nie zrobiła... Nie. Aż taką idiotką nie jest. Jeśli wkurzyła zabójcę na tyle, by ją zaatakował, to może go niechcący sprowokować do spełnienia groźby. Tylko czym go aż tak zaniepokoiła? I dlaczego w ogóle jeszcze żyje?

Narastający ból głowy przerwał te dywagacje. Bez entuzjazmu wybrała numer kuzyna i poprosiła, by podjechał po nią do parku. Widocznie coś w jej głosie zaalarmowało Michała, gdyż nie zadawał żadnych pytań i zapewnił, że za kilka minut jest na miejscu.

Siedziała na ławce za spuszczoną głową. Pulsujący ból zdawał się głużyć wszelkie myśli. Nie docierało do niej nic. Zupełnie nic. I to było najbardziej przerażające.

Dopiero dotyk dłoni na ramieniu pozwolił się jej ocknąć.

Michał podniósł jej podbródek. Usłyszała tylko jak wciąga ze świstem powietrze i wyrzuca z siebie ciche przekleństwo.

– Wiesz, kto to? – zapytał w miarę spokojnie.

Pokręciła głową.

To był błąd. Duży błąd. W czaszce znów, niczym fajerwerki, eksplodował oślepiający ból.

– Jedziemy do szpitala.

– Żadnego szpitala – odmówiła. – Do domu.

– Czyś ty... – Michał starał się delikatnie postawić ją na nogi. – Kuba, pomóż.

Dopiero teraz Zuza dostrzegła stojącą z tyłu postać. Jeszcze tylko tego tu brakowało...

Jakub Bazyl ujął ją z drugiej strony i wolno ruszyli do zaparkowanego na poboczu samochodu. Zuza została troskliwie umieszczona na tylnym siedzeniu.

– Powinnaś trafić do szpitala. Możesz mieć wstrząśnienie mózgu... – Michał znów przeszedł do przekonywania. – Ja będę się lepiej czuł, jeśli zbada cię lekarz.

– A ja nie... Boże. Mam guza na głowie i tyle. Wezmę jakąś tabletkę to przejdzie.

– Jednak...

– Jeśli spróbujesz... – przerwała jego protesty.

– Tylko bez gróźb. Rozumiem, z tobą nie ma się co kłócić. – Odwrócił się i odpalił auto.

Zuza zdążyła jeszcze pochwycić spojrzenie Jakuba. Przyglądał jej się z namysłem. Wydawało się, że coś powie, jednak nie komentował sytuacji i w milczeniu dotarli do mieszkania.

Michał pomógł jej otworzyć drzwi i dotransportował do sypialni. Przyniósł z łazienki wilgotny ręcznik, położył obok materaca butelkę z wodą, tabletki i komórkę.

– Wpadnę rano.

– Dobrze... – zgodziła się potulnie. Przetarła ręcznikiem otarcia na dłoniach i twarzy. Gdy nie było na horyzoncie Bazyla, nie musiała już udawać niezniszczalnej. – Tylko ani słowa rodzinie... – zaznaczyła zamykając oczy.

– Jakbym nie wiedział...

Michał cicho zszedł po schodach. Zuza słyszała, jak zamyka za sobą drzwi i przekręca klucz. Skąd go wziął...? Teraz nie miała siły, by nad tym się zastanawiać. Otuliła się szczelnie kołdrą.

Jednak sen długo nie nadchodził. Zaniepokojona wpatrywała się w sufit i próbowała poskładać jakoś wydarzenia ostatniej godziny. Jakkolwiek jednak analizowała napaść, wciąż trafiała na tę samą

przeszkodę. Coś, co powiedział Bazyl do Michała, gdy sądził, że przysnęła na tylnym siedzeniu. Słowa te, niczym zła wróżba, kołatały się w jej głowie, skutecznie odpędzając sen. I choć próbowała racjonalizować i dodać sobie odwagi, nic nie pomagało...

Tak..., Jakub miał rację... Najgorsze koszmary lubią się ziszczać.



Panna Krystyna również miała za sobą nieprzespaną noc. I nie była to tylko kwestia przeszkadzającego jej wciąż gipsu na nodze. Przewracała się z boku na bok, liczyła barany przeskakujące przez płot, dała im głowy znajomych, tak dla urozmaicenia... Liczyła od stu do jednego..., kilkakrotnie. I nic. O trzeciej nad ranem w końcu się poddała. Zapaliła lampkę i wzięła kryminał, który wczoraj przyniosła jej usłużna pani z biblioteki. Dziewczę jakieś takie nowe, pewnie od niedawna pracuje, bo wcześniej się na nią nie natknęła.

Przeczytała kilka stron i z irytacją odłożyła. Jej myśli nie mogły się skupić nawet na milutkim, krwawym morderstwie i niczym niesforne stado szczeniaków biegały od tematu do tematu gryząc wciąż tę samą zabawkę. To jest, nie zabawkę, ale jej wiek. Panna Krystyna od czwartkowej rozmowy z Honoratą po prostu czuła się nieswojo. Za nic, oczywiście, by się do tego nie przyznała, jednak... Jednak...

Miała siedemdziesiąt cztery lata. To fakt, do którego odnosiła się ze stoickim spokojem. Nie uważała się za zgrzybiałą staruszkę, pomijając chwilową niedogodność ze złamaniem, poruszała się całkiem sprawnie, dodatkowej opieki nie potrzebowała, swoim majątkiem i prawami autorskimi brata zajmowała się samodzielnie z niewielką pomocą zaufanej księgowej. Jak to się mówi – była w pełni władz cielesnych i umysłowych... Przynajmniej jak na swój wiek. I właśnie ta pełnia władz umysłowych w tym momencie zaczęła ją uwierać. A raczej – zmuszała ją do wyciągnięcia pewnych wniosków i podjęcia konkretnych działań.

Wstała z łóżka, owinęła się różowym szlafrokiem i podpierając się laską poszła do kuchni. Spać i tak nie będzie, więc może sobie zaserwować mocną herbatkę. Bardzo mocną i słodką. Wstawiła czajnik i wróciła do rozmyślań.

Podstawową sprawą był wiek. Bez dwóch zdań. Może i nie była dzieciinniałą starszą panią, jednak „starszą” na pewno... Wciąż budziła respekt w mieście, wciąż się liczone z jej zdaniem, a to było najważniejsze. Była na bieżąco z większością plotek i nowinek, może ostatnio z małym poślizgiem, jak wykazało zabójstwo Rzewuskiego.

Potrzebowała ucznia.

Dokładnie tak. Ucznia.

Kogoś, kogo wzorem dawnych szkoleń cechowych mogłaby przygotować do przejęcia swojej roli. Ona jako mistrz przekazujący swą wieloletnią wiedzę i doświadczenie jakiejś młodej osobce. Na tyle bystrej i zaangażowanej, że w momencie, gdy jej samej zabraknie, zostanie ktoś stanowiący samym swym autorytetem tamę dla zła.

Energicznie zamieszała łyżeczką w kubku i upiła mały łyżeczek.

To jest dokładnie to. Wreszcie znalazła rozwiązanie dla dręczącego ją problemu. Na rolę detektywa-amatora jest już odrobinę za stara. Może wszakże być doradcą! Przecież nie ma nikogo w mieście, kto mógłby się z nią równać, jeśli chodzi o znajomość natury ludzkiej i układów kierujących życiem

Grodowa.

Ten pomysł coraz bardziej jej się podobał.

Wybór kandydatki był oczywisty. Mówi się przecież, że gdy uczeń jest gotowy, los stawia na jego drodze nauczyciela. Tutaj ta zasada miała też odwrotne zastosowanie. Zuzanna Krukowska pojawiła się na horyzoncie w odpowiedniej chwili i panna Krystyna rękę dałaby sobie uciąć, że lepszego wyboru nie można dokonać. Dziewczyna była inteligentna i zdeterminowana. Do tego trochę niepewna i zagubiona po wydarzeniu, które z pewnością uznawała za swą życiową porażkę. Była też ambitna i, wbrew okolicznościom, silna. Decyzja o przeprowadzce do Grodowa musiała być dla niej trudna. Z pewnością na każdym kroku natyka się na współczucie – szczere lub nie. W końcu tu wszyscy wiedzą o jej niedoszłym małżeństwie. A mimo to dziewczyna znalazła sobie pracę i wychodzi do ludzi z podniesioną głową. Brawo!

Sprawa kolejna to dociekliwość i wytrwałość. Jak panna Krystyna przekonała się przez te wszystkie lata prowadzenia swoich własnych badań, bo nigdy śledztwami ich nie nazywała..., były to cechy równie ważne jak inteligencja. Trzeba było umieć rozmawiać z ludźmi, wydobywać z nich strzępy informacji, dzień po dniu. Nieraz zdarzało się, że zajmowało to całe tygodnie. I przede wszystkim – nie rezygnować, gdy wydaje się, że już nic nie jesteś w stanie zrobić. Ileż ślepych zaułków odwiedziła... Trzeba było wówczas przyznać się do błędu, wycofać, a nierzadko zaczynać wszystko od nowa. Ot, choćby sprawa tego skradzionego z domu Muniaków obrazu. Ileż tam było pomyłek, ile chybionych tropów... Ile chwil zwątpienia. Jednak mimo wszystko uparła się, że znajdzie ten obraz. To była sprawa honoru. Zajęło jej to osiem miesięcy. Niejeden dawno by już zrezygnował ze sprawy, ale nie ona. O nie. Świętej pamięci Gucio zwykł mawiać, że ma zgryz jak pit bull. Jak chwyci, to nie popuści. Te jej detektywistyczne zapędy napawały go zarówno pociąganiem, jak i przerażeniem. Uśmiechnęła się ciepło na wspomnienie brata. Tak... Gucio, mimo iż zbrodnię uprawiał namiętnie na papierze, to jednak w codziennym życiu był zaskakująco łagodnym człowiekiem.

Stukot i szum wody powyżej oderwał jej myśli od brata. Widać, że lokatorzy, którym wynajmowała piętro, przygotowują się do pracy. Znak, że już piąta. Biedni ludzie, że też muszą tak wcześnie wstawać, by codziennie dojechać do Krakowa. Tak, jakby nie mogli znaleźć sobie jakiejś pracy na miejscu... Ale cóż. Każdy ma swoje życie, a ona przecież nie zamierza doradzać całemu światu.

Odstawiła kubek do zlewu i pokiwała z powrotem do sypialni. Znów sięgnęła po kryminał. Ciekawe, czy uda jej się znaleźć mordercę szybciej niż temu wymoczkowatemu detektywowi. Kartkując książkę myślała jeszcze o Zuzannie Krukowskiej.

Ta pierwsza sprawa, to podwójne zabójstwo – Rzewuskiego i Kurkówny, będzie swoistego rodzaju sprawdzianem. Jeśli jej protegowana sobie z nim poradzi... Wówczas, tak, wówczas jest szansa, że miecz sprawiedliwości będzie nadal wisiał nad Grodowem. Zadowolona z tego patetycznego stwierdzenia, zupełnie w stylu Gustawa, poprawiła się na poduszkach i zapadła w drzemkę.



Ostre światło umieszczone przy lustrze w łazience podkreślało fioletowe smugi pod oczami. Zuzanna odgarniała włosy z twarzy i przyglądała się siniakowi na policzku, który pociemniał w ciągu nocy. Lekkie zadrapania niknęły pod linią włosów, a przeraźliwa bladość cery uwypuklała zmęczenie. Nie wyglądała



najlepiej. W ogóle. Będzie musiała poświęcić sporo czasu, by ukryć ślady wczorajszej napaści przed ciekawskimi. Za nic w świecie nie przyzna się rodzinie, że cokolwiek się zdarzyło. Wywołałoby to nie lada burzę, a o kazaniach na temat odpowiedzialności i bezpieczeństwa wygłaszanych przez zdenerwowaną matkę wołała nie myśleć.

Musiała się za to zająć inną sprawą. A tak w zasadzie – kilkoma.

Zebrała włosy w kucyk, założyła opaskę i nałożyła na twarz grubą warstwę korektora i podkładu. Zanim się wchłonie ona będzie miała czas na przejrzenie planów dzisiejszego dnia.

Po pierwsze – reportaż. To było już w zasadzie gotowe. Otwarty laptop stał na kuchennym blacie od piątej rano. Nie mogła spać, a nie było sensu tracić czasu. Zdążyła wypić już dwie kawy i napisać cały artykuł. Brakowało jej jeszcze jednej rozmowy, ale tę miała zaplanowaną dopiero na popołudnie. Zerknęła do notatnika. Tak, spotkanie o czternastej. A więc jutro rano tekst będzie do oddania.

Druga sprawa to telefon do Oli. Wczorajsze wydarzenia nie odwiodły jej od pomysłu złożenia wizyty Jakimowej. Musi więc umówić się w końcu z Olą i najlepiej jeszcze dziś odwiedzić babkę Julki. Zerknęła na zegarek, dochodziła dopiero siódma. Zdecydowanie za wcześnie na telefony, ale może SMS? Nie była pewna o jakiej porze wstaje przyjaciółka, ale jeśli ma wyprawić rano dzieci do szkoły, chyba powinna być już na nogach... Napisała szybko wiadomość licząc, że nie dostanie za to opieprzu. Przez chwilę wpatrywała się jeszcze podejrzliwie w wyświetlacz, ale żadna informacja zwrotna się nie pojawiła. Trudno. Poczekaj jeszcze godzinę i może zadzwoni.

Dalej – telefon do Michała. Ten na pewno już nie śpi.

– Coś się dzieje? – zaczął nieufnie.

– Nic. Chciałam tylko zdać raport, że żyję.

– Aaa... – ulga była wyraźnie słyszalna w jego głosie. – To dobrze. Nie chcesz się wybrać do lekarza?

– Szybciej do kosmetyczki. Ale na razie sama sobie radzę z zamalowywaniem siniaków.

– Siniaki to dopiero będziesz miała jutro...

– Dzięki za uświadomienie. Słuchaj... – Nie wiedziała, jak delikatnie spytać, a nie chciała wyjść na wścibską. – Nie wiedziałam, że znasz Jakuba...

– A to jakaś zbrodnia?

– Nie. Oczywiście, że nie. Tylko zaskoczyło mnie, jak się wczoraj pojawił razem z tobą.

– No cóż. Wybieraliśmy się na piwo, ale nie dotarliśmy.

– Samochodem?

– Kurde. Aleś ty upierdliwa. No pewnie, że samochodem. Przecież po ciebie przyjechałem. I nie rób mi łaskawie kazania. Po pijaku nie prowadzę, zapewniam.

Zuza bez problemu wyczuła irytację Michała. Musiała szybko zmienić nastrój.

– Wiem. Sorry. Mózg mi się wczoraj poobijał.

Efekt był natychmiastowy.

– Może jednak dasz się namówić...

– Nie dam – weszła mu w słowo.

– No dobra. Sama wiesz lepiej. A co do wczoraj: nie orientujesz się, kto to mógł być? Może trzeba złożyć oficjalne doniesienie...

– Sam wiesz, że niewiele to da. Nie wiem, kto to był.

– Nic ci nie zabrał. A na ludzi nie napada się ot tak...

– No nie... – przyznała. – To było ostrzeżenie.

– Cholera jasna! Wiedziałem! Dam ci ochronę. Nieoficjalnie. Poproszę znajomego...

– Ty się nie emocjonuj! – Zuza musiała podnieść głos, by przekrzyczeć Michała. – Ochrona też nic nie da. Zresztą nie sądzę, żeby coś mi rzeczywiście groziło.

– Boże! Kobieto! Ten ktoś zabił już dwie osoby, a ty mi mówisz, że ci nic nie grozi?!

– To był facet. Średni wzrost. Średni wiek. I nic mi nie grozi. Zaatakował, gdy było ciemno, w odludnym miejscu. Miał pewność, że nie będzie świadków. Chciał mnie tylko nastraszyć, nie zabić. I jak na razie będę udawać, że mu się to udało...

– To znaczy?

– Będę siedzieć cicho, jak mysz pod miotłą. A z panną Krystyną i tak muszę porozmawiać...

– No tak. Panna Krystyna. – Michał nie komentował dalej. – A co do reszty... Błagam. Nie zrób jakiegoś głupstwa. Nie zamierzam później wylądować na dywaniku u twojej matki.

Zuza obiecała uważać na siebie. Nie dodała, że jakoś nie do końca wierzy, czy to cokolwiek da. Prawda bowiem była taka, że nie miała pojęcia, jak niby miałyby na siebie uważać. Opcja „A” – zapisać się na kurs samoobrony lub, ewentualnie, poprosić kuzyna o kilka lekcji. Opcja „B” – zdobyć pozwolenie na broń. Zaledwie o tym pomyślała, parsknęła śmiechem. To by dopiero była woda na młyn dla miejscowych plotkarek. Ona biegająca po mieście z bronią, oczywiście szybko by się rozeszło. Pozostawała więc opcja „C”. Z braku innego pomysłu włożyła do przepastnej torby dezodorant w aerozolu. Na razie musi wystarczyć.

Wróciła do łazienki, by dokończyć makijaż. Uważnie przyjrzała się swojej twarzy. Bez szału, ale tak zupełnie źle to też nie jest. Nakładała cienie do powiek, a przed jej oczami, niczym w kalejdoskopie, migwały sceny z wczorajszego wieczoru. Upadek. Ból. Strach. I wściekłość.

Nagle, w chwilowym przeblasku, znów usłyszała słowa napastnika.

„Nie wystarczyło jedno ostrzeżenie?”

Jakie ostrzeżenie?

Jej ręka ze szczoteczką do tuszu zawisała w pół drogi.

Jakie ostrzeżenie?! Co przeoczyła?

Szybko pomalowała rzęsy i prawie biegiem rzuciła się do kuchni. Dopadła komputer i włączyła pocztę. Przejrzała maile. Nic. Zupełnie nic. Przez chwilę zdezorientowana wpatrywała się w ekran, aż w końcu dotarła do niej absurdalność tej sytuacji. Poczta. Tak. Ale nie ta elektroniczna. Chwyciła klucze, zatrzasnęła za sobą drzwi mieszkania i zbiegła na parter.

Przez szpary skrzynki widać było białą kopertę. Ostrożnie ją wyjęła, jakby spodziewając się, że wybuchnie w rękach i obejrzała ze wszystkich stron. Może powinna wezwać Michała? Nie... Dopóki nie dowie się, co jest w środku, lepiej nie wprowadzać dodatkowego zamieszania.

Wróciła na górę i delikatnie rozcięła krawędź. W środku, złożona na czworo kartka, powyklejana literami z gazet, zawierała jasne przesłanie. Zuza wpatrywała się w nią, a jej ciśnienie powoli wzrastało.

„Jak nie przestaniesz węszyć, to nadziejesz się na nóż.”

O nie! Niedoczekanie! Jeśli morderca sądził, że wpadnie w popłoch – to się grubo przeliczył! Nie da się zastraszyć! Kartkę z kopertą włożyła do foliowej koszulki i schowała w torbie. Michałowi nie pokaże, mowy nie ma. Ale pannie Krystynie – owszem. Ona z pewnością coś doradzi.

W bojowym nastroju weszła na poddasze i sięgnęła do wieszaka. Krwistoczerwona bluzka jak najbardziej pasowała do jej nastroju. Uśmiechnęła się pod nosem. Ten, kto przysłał ostrzeżenie nie uwzględnił jednego. Jej przekornej natury. Próbuje ją zniechęcić? Zastraszyć? No to się przekona.



– Zderzyłaś się z ciężarówką?

– Co, proszę?

Zuza, której myśli uciekały wciąż do koperty spoczywającej w torbie, otrząsnęła się z zamyślenia i skupiła uwagę na rozpartym na kanapie Łukaszu. Było już dobrze po dziewiątej, gdy w końcu zjawiała się w redakcji. Postawiła na biurku zakupioną po drodze prymulkę i zajrzała do saloniku. Na kanapie, a jakże, odpoczywał Łukasz. Myślała, że śpi i już chciała się cichutko wycofać i zamknąć drzwi, gdy padło pytanie.

– Z ciężarówką. Tak się mówi. Masz cienie pod oczami. Powiedziałbym, że to znak upojnej nocy lub niezłej imprezy, gdyby nie otarcia na policzku. Niezły makijaż, tak na marginesie. Prawie nic nie widać.

– A ty się skąd znasz na makijażu? – próbowała ominąć temat.

– A stąd, że moja żona jest kosmetyczką. Jakbyś potrzebowała pomocy, to polecam, taka bezczelna reklama. Ale to zawsze działa. Tak jak facet, który wie czym jest podkład matujący i utrwalacz do makijażu. A co do ciężarówki...

– Dywanik w łazience plus twarda framuga – skłamała gładko.

– Aaa... To współczuję.

Poprawił poduszkę pod głową.

– Na moim biurku jest wydruk części następnego wydania. Przejrzyj, czy nie ma literówek i błędów. I zastanów się, czy nie zmienić tytułów na bardziej chwytliwe. Powinnaś jeszcze dać mi dwa teksty...

– Wiem. O ciucholandach będzie jutro rano. Mam jeszcze jedną rozmowę, ale większość tekstu już jest. O wystawie w bibliotece zaraz napiszę. Zamierzasz spać?

– Nie. Ja w ten sposób układam sobie myśli w głowie. Zamknij za sobą drzwi, z łaski swojej. Jak ktoś przyjdzie do mnie, to krzycz.

Zuza wycofała się z pokoju.

Nieźle, zupełnie nieźle. Przeszła przez miasto nie ściągając na siebie zaciekawionych spojrzeń, Łukasz raczej bez większego zainteresowania skomentował jej wygląd. I dobrze.

Stanąła przed biurkiem i krytycznie spojrzała na blat. Przyniesiony kwiatek rozświetlał trochę to surowe pomieszczenie, jednak w obliczu chaosu panującego wokoło ginęło gdzieś jego delikatne piękno. Szybko uprzątnęła segregatory zalegające na podłodze koło jej krzesła. Odniosła je na regał do przedpokoju i przy okazji zajrzała do kuchni po kawę. Wróciła z dużym kubkiem w o wiele lepszym humorze. W końcu przestrzeń wokół jej biurka zaczęła przypominać miejsce pracy.

Otworzyła notes i zapisała listę spraw do załatwienia. Po pierwsze – telefon do Jakuba. Musi to wreszcie załatwić, a im wcześniej, tym lepiej. Dalej – sprawdzić teksty i tytuły. Następnie napisać tekst o exlibrisach. To zajmie jej w sumie jakieś dwie i pół godziny. W najgorszym wypadku trzy. Powinna więc skończyć po dwunastej. Potem jeszcze sprawdzi pocztę i może zrobi szkic do cyklu artykułów o mieszkańcach Grodowa. Pomysł zrodził jej się dosłownie przed chwilą, gdy Łukasz wspomniał o swojej żonie. Taki dziwny ciąg skojarzeń... „Mieszkańców portret własny” albo coś w tym stylu.

Dopiero gdy zamknęła listę i określiła czas realizacji poszczególnych zadań – zdała sobie sprawę, że zupełnie nieświadomie wróciła do starych nawyków. Listy i terminy to był przecież jej żywioł, gdy pracowała w firmie Mirka. Ciągle tworzyła plany, struktury, listy zadań, celów, haseł reklamowych, skojarzeń... Przypomniła sobie, jaką satysfakcję dawało jej odhaczenie kolejnej pozycji. Czują wówczas, że posuwa się do przodu, że nadąża za biegiem wydarzeń.

Trochę zirytowana, trochę rozbawiona sięgnęła po komórkę. Wybrała numer do Bazyliszka i z obawą czekała na... Na co? Że odbierze? Nie odbierze? Panna Krystyna była przekonana, że konieczna jest rozmowa z Jakubem. A ona rzadko się myliła. Zuza skrzywiła się, jakby miała połknąć gorzkie lekarstwo.

Paskudne i konieczne.

– Słucham...

Głos Jakuba przebijał się przez hałasy w tle. Śmiech, piski, radio... Zuza wyłowiła nawet szczekanie psa.

– Zuzanna Krukowska...

– Aaa...

Tyle, jeśli chodzi o ewentualny entuzjazm.

– Panna Krystyna prosiła, bym się z tobą skontaktowała. Chciałam porozmawiać o wydarzeniach z soboty.

– Robisz dla niej research?

Zużę zdziwiło trochę takie przedstawienie sprawy. Wydawało się jej, że to raczej starsza dama może pomóc w śledztwie, a tu się okazuje, że sprawa dla większości przedstawia się zupełnie odwrotnie. Prawda jednak była taka, że obie się potrzebowały. Ona ma zapał, chęci i niezłą motywację. Panna Krystyna ma za to rozległe znajomości i doświadczenie. A, jak zauważyła Zuza, nazwisko panny Nowak było rodzajem wytrychu w grodowskiej społeczności.

– Wiesz, że ma złamaną nogę i nie może wyjść z domu...?

– Słyszałem. Mogła po prostu zadzwonić i bym do niej podszedł.

– Sądzi jednak, że lepiej, jak ja porozmawiam z tobą. Byliśmy oboje na miejscu, ale kręciliśmy się w różnych rejonach. Mamy porównać wrażenia.

Chwila ciszy świadczyła dobitnie, że Jakubowi nie w smak ten pomysł. Trudno mu się dziwić. Przez kilka ostatnich lat udawała, że facet w ogóle nie istnieje, a jak już się gdzieś przypadkiem na niego natykała, to marszczyła się, jak na powiew malarycznego powietrza. Nie pozostawał jej zresztą dłużny, spoglądając na nią z wyniosłą, ironiczną uprzejmością. Cóż, sympatią to oni się nie darzyli.

– A więc? – Zuza nie miała ochoty dalej czekać. – Jesteś w stanie znaleźć dziś godzinę i ze mną porozmawiać?

– Myślę... – nawet nie ukrywał irytacji. – Dobra. Jedyna opcja, to dziś koło dwudziestej u mnie w lokalu.

– Da się tam spokojnie rozmawiać?

– Na piętrze jest gabinet. Poza tym jak trzeba będzie porozmawiać z kimś z obsługi, to są na miejscu.

Temu nie dało się zaprzeczyć. Co prawda Zuza wolałaby jakiś neutralny teren, a nie jaskinię lwa, jednak w tym momencie nie było odwrotu.

– Dobrze. Przyjdę.

Ta krótka rozmowa z Jakubem wybiła ją trochę z rytmu. Siedziała dobrych kilka minut patrząc za okno i próbując przekonać samą siebie, że przewrażliwienie w niczym nie pomoże. Jednak od wczoraj dręczyły ją słowa wypowiedziane przez Jakuba. Że pod maską dobrego kolegi ze szkolnych lat może ukrywać się zabójca.

Niby oczywiste. Przecież liczyła się z tym i nawet próbowała jakoś sklasyfikować znajomych z soboty w tej swojej przekłętej tabelce. Jednak Jakub powiedział coś jeszcze, coś, co zaniepokoiło ją o wiele bardziej... Że Julka musiała mordercy ufać. Bez problemów podszedł do niej na tyle blisko, by wbić nóż. Bez szamotaniny, bez hałasu... I wcale nie ma pewności, że był to mężczyzna... Może to była kobieta?

Wczorajszy atak też wszystko pomieszał. Bo to akurat z pewnością był mężczyzna. Jednak jeśli osoba, która zabiła Julkę to nie ta sama osoba, która napadła ją...? Co wtedy? Może ta druga po prostu próbuje chronić zabójcę i odciągnąć od niego uwagę?

Zuza czuła, że sprzeczne myśli zalewają ją wezbraną falą.

– Dosyć!

Energicznie podniosła się z biurka, zgarnęła wydruki Łukasza i poszła do gabinetu wujka. Opadła na kanapę, zrzuciła grafitowe szpilki i rozprostowała nogi. Noo... Tak to można pracować. Słuchając świergoczących za oknem ptaków zabrała się za poprawę następnego wydania.

Łukasz zajął do niej tylko raz, a widząc ją pochłoniętą pracą wycofał się chyłkiem. Słyszała dzwoniący telefon, jakąś przyciszoną rozmowę, stukot klawiatury... Z korektą szybko się uporała, nawet zmiany tytułów poszły sprawnie, choć nie była pewna, czy wujek Rysiek też będzie podzielał jej zachwyt nad „Burmistrzem rozłożonym na łopatkę”.

Przeniosła laptop do gabinetu. Kanapa stwarzała o wiele lepsze warunki dla kreatywnej pracy, niż niewygodny fotel przy biurku. Exlibrisy... Miała na ich temat pisać rano, jednak trudno było jej się skupić, gdy głowa wciąż pulsowała. Poza tym jakoś bardziej weszła w temat ciucholandów... Teraz jednak nie miała innego wyjścia. Ile można pisać dwie strony tekstu? Pół godziny? Efektywne działania miała już przećwiczone na poprzednim stanowisku. Zerknęła na zegar i otworzyła nowy plik.

*Przyjemność towarzysząca przebywaniu sam na sam z dobrą książką... Kto tego nie zaznał – nie zrozumie. Prawdziwy bibliofil da się z radością pochłonąć magii kolejnych stron i z utęsknieniem, niecierpliwością będzie przemykał wzrokiem zadrukowane linijki szukając w nich odbicia swych najgłębszych pragnień...*

Zuza zerknęła na tekst.

Nie. Odpada. To znów wygląda na felieton. A przecież ma napisać zwyczajny artykuł. Recenzję co najwyżej. Żal jej było kasować ten akapit, przerzuciła go więc na pendrive i zaczęła jeszcze raz. Pół godziny później, zgodnie z planem, miała gotowy tekst.

– Jak ty to robisz? – chciał wiedzieć Łukasz, wkładając artykuł w kolumnę.

– Co?

– Pisziesz na czas.

– Agencja reklamowa mojego eks. Tekst w pół godziny to betka. Wymyślić założenia kampanii reklamowej wiedząc, że klient będzie za godzinę... To dopiero jest działanie pod presją.

– Rozumiem. Przy okazji, uprzątnij znaki swojej bytności u szefa, bo zaraz tu będzie. A on nie lubi, jak ktoś panoszy się w jego gabinecie.

Zgodnie z zapowiedzą Ryszard Moskał zjawił się po chwili. Mruknął coś na powitanie, przemaszerował przez redakcję i zamknął się u siebie.

– Do burmistrza na pewno się przypieprzy – stwierdził szeptem Łukasz wprowadzając poprawki w tytułach.

– Dosłownie czy metaforycznie?

– Dosłownie. Oczywiście, że dosłownie. We wszystkich możliwych znaczeniach...

– Zlituj się! – Zuza prychnęła.

– No co? – Łukasz wyglądał jak wcielenie niewinności.

Drzwi do gabinetu uchyliły się gwałtownie. Naczelnny, z obrzydzeniem na twarzy trzymał w dwóch palcach białą kartkę papieru.

– Co to jest, to z mojego biurka?

– Pomysł na nowy cykl w „Kurierze” – Zuza starała się zachować kamienną twarz.

– Aha. Dobra... Rzucę na to okiem...

Drzwi znów się zatrzasnęły. Popatrzyli po sobie starając się nie wybuchnąć śmiechem.

– Nie mów, że wyskoczyłaś do niego z jakimś pomysłem...

– Mówię.

- Kurde. Będzie zabawa.
  - Czemu?
- Łukasz zerknął na nią z politowaniem.
- Ty to jeszcze wiele musisz się nauczyć.



Po południu wypłynęły dwie kolejne sprawy.

Do redakcji wpadł Piotrek i rozłożywszy przed nią próbники kolorów kazał się szybko decydować.

- Na co?

- Kolor ścian na antresoli. Mówiłaś, że chcesz malować. Mam wolne popołudnie, bo wypadł mi klient. Renata nie chce mnie w domu widzieć, bo ma pieczenie na jutrzejszą imprezę w przedszkolu, no to mnie wypchnęła do ciebie. Mówiłaś o ścianach.

Lekko oszołomiona Zuza spojrzała na katalog.

- I tak za jeden dzień to załatwisz?

- No coś ty. Trzeba pomalować ze dwa razy. Jak będzie schnąć, to prześpisz się te kilka nocy w pokoju na dole. Więc który?

Zuza wzięła do ręki wzornik. Pastele, zdecydowanie. Podobał jej się pistacjowy, jednak kuchnia na dole miała jasno-błękitne wykończenia, które producent szumnie nazwał „morską bryzą”. Wolała więc trzymać się jednej tonacji.

- Miętowy. Bardzo jasny – wskazała. – Mam iść z tobą po farby?

Piotr tylko machnął ręką.

- A wiesz, jak malować?

- Tłumaczyłaś mi to kiedyś. Ściana jednolita, z białym paskiem zostawionym pod sufitem. Na listwy będę uważał. Folię i taśmy malarskie masz w schowku pod schodami. Klucz mam. Zakładam, że w lodówce coś do jedzenia jest. Możesz jeszcze coś kupić, jak będziesz wracać. Z czekoladą.

- Poczekaj! Dam ci pieniądze! – sięgnęła do torby w poszukiwaniu portfela.

- Nie trzeba. Potraktuj to jako dodatek do prezentu.

- Czy wyście zupełnie powariowali?! Przecież kupię farbę.

- Farbę i malarza masz w gratisie. I nie wybrzydź, bo się fachowiec obrazi i z niczym zostaniesz.

Cmoknął ją w czubek głowy na pożegnanie i wyszedł.

Wzruszenie walczyło z irytacją. To pierwsze zwyciężyło. Zuza otworzyła terminarz i dużymi literami wpisała na piątek: ZROBIĆ CIASTO DLA PIOTRKA. Koniecznie jakieś okazałe. To będzie niezły dodatek do wizyty u bratostwa planowanej na wieczór.

Zerknęła na listę. Kolejny punkt: sprawdzić pocztę.

Na redakcyjnym mailu jedna wiadomość. Otworzyła ją, starając się z góry nie uprzedzać do zawartości. No tak... Kinga Król próbowała wytrwale zainteresować ją własną twórczością. Zuza zerknęła na dwa pierwsze wersy i się skrzywiła... „W gwiazdach upadłych wionął mój duch falą kryształową”? O Boziu...!

Natomiast niespodzianka czekała ją na prywatnej skrzynce. Z niedowierzaniem wpatrywała się w wiadomość. Ale nie..., nie był to spam. Ani żart. List był jak najbardziej oficjalny, choć utrzymany

w lekkim, przyjaznym tonie. Portal kobiecy, do którego w poniedziałek wysłała propozycje felietonów, był zainteresowany podjęciem współpracy. Naczelna pisała, że tematyka zgadza się z ich profilem, a ironiczne podejście do prezentowanych zagadnień jest dokładnie tym, czego im potrzeba. Zaznaczyła, że już dwie osoby piszą dla nich felietony, prosiła, by je przejrzeć i nie powielać tematów, natomiast mile będą widziane teksty utrzymane w podobnym stylu jak te przesłane. Przyjmą dwa miesięcznie i jeśli jej odpowiadają zaproponowane warunki, to przesyła w załączniku umowę.

Zuza spojrzała na zaproponowaną stawkę.

– Łał...

Jak za niecałą godzinę pisania, stawka była więcej niż zadowalająca. Nawet po odliczeniu podatku i tak zostawało prawie sto pięćdziesiąt złotych. Da jej to dodatkowe trzy stówki na miesiąc, a jeśli uda jej się znaleźć jeszcze jeden portal, dla którego mogłaby pisać...

Zadowolona z takiego obrotu sprawy wybrała numer do Oli. Umówiły się za pół godziny pod blokiem Jakimowej. Staruszka była już uprzedzona o wizycie i, jak mówiła Ola, poruszona ich troską.

– Przez dobrą chwilę nie mogła nic wykrztusić, tylko powtarzała, że dobre z nas dziewczyny.

Babcia Julii Kurek mieszkała na małym osiedlu upch-niętym między parafią a drogą na Nową Wieś. Pięć kwadratowych klocków niedawno odmalowano na jaskrawozielony kolor, z jaśniejszymi i ciemniejszymi pionowymi pasami. Całość prezentowała się dość ekstrawagancko w zestawieniu z wystającą zza nich kopułą kościelnej kaplicy.

Zuza przystanąła przed klatką. Czekając na Olę sunęła wzrokiem po fasadzie bloku i zastanawiała się, kto decydował o doborze barw. Rada mieszkańców, czy członkowie spółdzielni? Nad sobą w trzech oknach widziała pełne skupienia staruszki. Każda łokciami oparta o parapet, wyłożony obowiązkowym kraciastym kocykiem i próbująca udawać, że tak w zasadzie to w ogóle jej się nie przygląda. Jednak nie dało się umknąć ich czujnym spojrzeniom. Czy były świadome siebie nawzajem? Trudno orzec. Nie ulegało jednak wątpliwości, że gdy spotkają się one przypadkiem na klatce schodowej czy w sklepie – od razu skomentują pojawienie się obcych pod blokiem. Czy dojdą, że odwiedzały Jakimową? Oj tak! Z pewnością nie będzie to dla nich żadną tajemnicą. Straż sąsiedzka działała bez zarzutu.

Ola pojawiła się przy klatce. W rękach trzymała pokaźną paczkę z cukierni.

– Kwiatków nie kupowałam, bo to jakoś tak głupio – wyjaśniła.

– Cholera. Zupełnie zapomniałam. Miałam upiec ciasto.

– Domyśliłam się, że sklerotyzujesz.

– Jak?

– Łatwizna. Nie wspomniałaś, że upiekłaś.

– Aaa... Dzięki za pomyślunek.

Przytrzymała drzwi.

– A co ty masz na twarzy? – Ola wpatrywała się uważnie.

– Zderzenie z framugą – powtórzenie tego samego kłamstwa przyszło bez wysiłku.

Drzwi do mieszkania Jakimowej otworzyła im jakaś nieznana kobieta. Na oko sześćdziesięcioletnia, wysoka, spojrzała na nie surowo. Jednak zaraz zza jej pleców wychyliła się babcia Julki.

– Dziewczynki kochane... Chodźcie, chodźcie. To jest Alinka. Córka mojej kuzynki z Łodzi. Teraz tylko ona mi została. Nikogo już nie świecie nie mam... Nikogo...

Zuza obawiała się, że Jakimowa zaraz rozpłacze się na dobre. Staruszka wyjęła chusteczkę, przetarła oczy ukryte w sieci zmarszczek i załamała rękę.

– Takie życie ciężkie, mój Boże. Człowiek tyle się wycierpi. Ale chodźcie dalej...

Zaprowadziła je do dużego pokoju.

Zuzanna pamiętała mieszkanie sprzed lat, gdy w czasach licealnych przesiadywały tu całymi

popołudniami, a Jakimowa donosiła im co chwilę ciasto i herbatę. Mieszkanie Julki było najlepsze na ich ciągnące się godzinami rozmowy. W domu Zuzy matka co chwilę zaglądała z pytaniem, czy się uczą i prawila kazania, że niepotrzebnie marnują czas na niczym. U Oli trójka młodszego rodzeństwa skutecznie przeszkadzała im na każdym kroku. Jedyne więc miejscem, gdzie mogły bez przeszkód przeglądać czasopisma, przesywać bluzki czy plotkować o chłopakach – był pokój Julki. Czasem Jakimowa zaganiała je do kuchni, by zjadły zupę, wysłuchiwała wieści ze szkoły, pytała o oceny. Taka ciepła, nad wyraz cierpliwa i wyrozumiała babcia. Julka ją uwielbiała. Z wzajemnością zresztą. Jakimowa całą miłość do zmarłej córki przelała na wnuczkę. Była w stosunku do niej bezkrytyczna i widać było, że nie umie Julce niczego odmówić.

Teraz, gdy patrzyło się na przygarbioną, starszą o te dziesięć lat kobietę, żal ściszał serce. Jej samotność i zagubienie emanowały z każdego ruchu. Nerwowo gniotła czarną spódnicę i rzucała im wypełnione łzami spojrzenia.

– Boże... Ile człowiek musi się wycierpieć w tym życiu... A przecież Julcia była taka radosna, taka młoda. Nic nikomu nie zrobiła. Tak się cieszyła na to spotkanie. Siedziała tu rano i opowiadała takie śmieszne historie ze szkoły. I o was mówiła. Boże...

Jakimowa znów sięgnęła po chusteczkę.

Ola, chcąc jakoś staruszkę zająć, nawiązała do czasów licealnych. Wspominała, jak we trójkę prawie spaliły kuchnię, próbując upiec swój pierwszy placek. Tak... To były klasowe andrzejki. Postanowiły w trójkę zrobić piernik, a nie chciały przy tym żadnej pomocy... Jakimowa słuchając wspomnień uśmiechnęła się i przytakiwała.

– Oj, było, było. Piekarnik, na szczęście, jakoś doczyściłam. Aleście wtedy narozrabiali...

Widząc, że staruszka się rozpogadza, Ola pociągnęła temat. Zuza dorzucała coś od czasu do czasu, jednak jej myśli wciąż krążyły po mieszkaniu. Miała wielką ochotę zajrzeć do dawnego pokoju Julki i trochę poszperać, jednak nie wiedziała, jak o to poprosić. Jeśli powie wprost... No cóż... Taktowne to nie będzie. Nie chciała jednak stracić okazji. Prawdopodobnie policja i tak już wszystko przeszukała, ale ona mogła trafić na coś, co innym umknęło. Nadmierna pewność siebie? Raczej naiwność granicząca z głupotą, stwierdziła w przyływie samokrytyki.

Pani Alina przyniosła imbryk ze świeżą herbatą. Przy okazji zgarnęła gazety i krzyżówki, które leżały na brzegu ławy i taktownie wycofała się do kuchni.

Zuzanna zerknęła na odłożony na bok stosik. Krzyżówki były pasją Jakimowej. Od lat. Każdą rozwiązana wysyłała i nawet czasami udawało się jej coś wygrać. Zazwyczaj chodziło o drobiazgi: zestaw kosmetyków, jakiś bon na zakupy, drobne kwoty. Kilka razy wszakże nagrody były znaczące: pralka, aparat fotograficzny. Julka mówiła nawet kiedyś, że babcia wygrała jakąś większą kwotę i od razu pobiegła na parafię. Jak się później okazało, Jakimowa kupiła sobie miejsce na cmentarzu i zachwycona opowiadała o tym wszystkim znajomym.

– Julcia też uzupełniała – wyjaśniła widząc spojrzenie Zuzanny. – W sobotę, jak tu rano była, też trochę powpisywała... Choć robiła błędy – dodała z czułością.

– Julka tu nie mieszkała, prawda? – Zuza postanowiła w miarę delikatnie skierować rozmowę na interesujące ją tory.

– Nie... Jak znalazła dobrą pracę, tę u Rzewuskiego, to postanowiła sama wynająć mieszkanie. Cóż. Dorosła. Ale często przychodziła. Czasem codziennie. Dobre dziecko z niej było. A w sobotę to nawet mówiła, że chciałaby kupić sobie mieszkanie... Że coś odłożyła. Mówiłam jej, że to niepotrzebne, bo przecież to mieszkanie po mnie to ona dostanie. No bo kto inny? Nie mamy innej rodziny. No, teraz, jak umrę, to mieszkanie dostanie Alinka. Ale mówiłam Julci, że niepotrzebny kredyt, no bo to przecież drogie. Banki zdzierają tak, że szkoda gadać. Ale Julcia mówiła, że nie chce kredytu, i żebym się nie



martwiła, bo ona sobie poradzi. Kochane dziecko. A teraz? Boże Przenajświętszy... Teraz co ja zrobię? Nic, tylko umierać.

Jakimowa pociągnęła nosem.

– Proszę nawet tak nie myśleć! – Ola próbowała jakoś oponować. – Julka z pewnością nie chciałaby, żeby pani tak mówiła.

– Masz rację – staruszka głośno wydmuchała nos. – Troszczyła się o mnie. Zakupy robiła. Jeździła po lekarzach. Co ja teraz zrobię z autem? – zaniepokoiła się.

– Może pani sprzedać. Jak się sprawa skończy.

– Tak. Policja mi mówiła, żeby na razie nic nie robić, dopóki mi nie powiedzą, że wolno. Byli tu, wiecie? Policjanci. I taka miła pani. Pytali o Julcię. O jej znajomych. No, ale ja nic nie wiem. Was znam, ale potem, jak się wyprowadziła, to skąd ja mam wiedzieć? I przeglądali rzeczy w jej pokoju i w mieszkaniu, tym drugim, też... A jak się pytam, kto zabił mi wnuczkę, to oni nie wiedzą. No to na co nam taka policja co nic nie wie? Na co?

Zuza wolała nie komentować. Rozumiała, że starsza pani ma żal do całego świata. Jakimowa musiała opłakać śmierć wnuczki i nie było sposobu, by ukoić jej ból. Wyjaśnienia nic nie mogły zmienić, więc babcia Julki szukała winowajcy. A ponieważ zabójca pozostawał nieznany, winą obarczała policję.

– Nawet pogrzebu nie mogę... Nie mogę...

– Nie wydali ciała – podsunęła Zuza.

– Nie. I jak pomyślę, że leży w jakiejś zimnej sali, w jakiejś lodówce... Ja przecież filmy oglądam, to wiem...

Staruszka znów pociągnęła nosem.

Dziewczyny bezradnie spojrzały po sobie. Jednak nie było słów pocieszenia.

– Widzicie. Ja staram się... Lekarka mi dała jakieś takie tabletki, że niby na sen. I Alinka pilnuje, bym je łykała. Ale po nich nic nie czuję. Tu w środku – wskazała na swą wątlą pierś. – Tylko ciągle mi się chce płakać. No, ale jak nie płakać? – sięgnęła po nową paczkę chusteczek. – Sąsiadki przychodzą i też płaczą. Dopiero w trudnych chwilach człowiek poznaje, kto mu jest życzliwy. Tak.

Milczenie wypełniło pokój i tylko krzyk dzieci za oknem wdzierał się w tę przygnębiającą ciszę.

– Z was też dobre dziewczyny. Julcia tak dobrze o was mówiła. I mówiła w sobotę, że to spotkanie klasowe to taki dobry pomysł. Powspomina się dawne czasy, zobaczy jak się ludzie zmienili... Julcia się śmiała nawet, że za te dziesięć lat to przybyło zmarszczek, romansów i tajemnic. Ot, takie gadanie. Ale jakże się ona cieszyła...

Czas mijał niezauważenie. Staruszka, zachęcana przez Olę, ciągnęła swe wspomnienia o wnuczce. Widać było, że znajduje pocieszenie w rozmowach o Julce. Wspominała jej dzieciństwo, gdy rodzice wyjechali za granicę do pracy. I czas, gdy zginęli, a one zostały we dwie. Jakimowa żałowała tylko, że nie doczekała się prawnuków.

– Mówiłam jej nieraz, że powinna wyjść za męża. No bo jak to? Dorosła kobieta, a męża nie ma. Pani Ola to już ma dwójkę dzieci... Pani też miała wyjść za męża... – zwróciła się do Zuzy. – Julcia nawet pokazywała mi zaproszenie. I prezent kupiła. Jest na szafie. Jeśli się pani nie obrazi, to chciałabym go dać. Julcia pewnie też by chciała, bo nie oddała do sklepu, tylko trzymała. W sobotę mówiła jeszcze, że szkoda pani, a ten narzeczony to jakiś, za przeproszeniem, buc. Weźmie pani, prawda?

I nie czekając na odpowiedź podniosła się z fotela. Wróciła zaraz z pięknie opakowanym pudełkiem i położyła je na stoliku. Złoty, tłoczony papier przewiązany był efektowną czerwoną wstążką.

– Pani to weźmie. Choć okazja nie ta... Ale proszę to potraktować jak ostatni prezent od Julci. I dobrze ją wspominać. Nie, nie... Proszę nie rozpakowywać – powstrzymała Zuzę. – Zrobi to pani w domu. Takie: ostatnie pożegnanie...



To nie powinno się wydarzyć. Nigdy. Tak bardzo się starał. Przez całe życie. Każdego dnia. W milczeniu przeżywał kolejne zniewagi. Gdyby nie ta ciąża... Ileż to razy słyszał od jej rodziców... Powinien być przecież wdzięczny, że go w ogóle zechciała. A oni, rozczarowani i zawstydzeni... Następne lata zamieniła mu w piekło.

Jędrza jedna. Wciąż się czegoś czepiała, wytykała, poprawiała... Przed znajomymi tłumaczyła się z przepaszającym uśmiechem, że ma takiego, a nie innego męża. Kiedyś powiedziała do koleżanki, że jest gorszy od baby. Nie wiedziała, że to słyszy. Zresztą..., nawet gdyby wiedziała, nie sądził, by się przejęła.

A on to znosił...

Teraz miarka się przebrała. To wszystko jej wina. Jej i nikogo innego. Śmiała się. Wszystkie się z niego śmiały. Julia Kurek też. Ta puszczańska dziwka. Śmiała się z niego, gdy próbował z nią rozmawiać. Żadne rozsądne argumenty do niej nie docierały. To co mu innego pozostało? To wszystko jej wina.

A teraz jeszcze następna baba próbuje mu zatruć życie. List z pogroźkami nic nie dał. Sądził, że wystarczy ją odrobinę nastraszyć, to odpuści. Nie chciał jej robić krzywdy. Przynajmniej jeszcze nie teraz. Wczorajsze spotkanie w parku miało być ostrzeżeniem. Jednak Zuzanna Krukowska okazała się bardziej uparta, niż się spodziewał. Kretynka. Nie wie, że źle się to może skończyć?

Cały dzień dyskretnie ją obserwował. Liczył, że zajmie się swoimi sprawami, pracą, mieszkaniem, czym tam jeszcze... A ta idiotka poszła do starej Jakimowej. Musiał coś wymyślić. Coś, aby Krukowskiej odechciało się węszyć. Zabić jej nie może. Niestety. Choć nie byłoby to trudne, mimo wszystko wolał zniechęcić ją w jakiś mniej radykalny sposób. Kolejny trup będzie plamą na honorze policji, a znając ich mogą poczuć się przyparciu do muru. Zwłaszcza Konik, gdyby zabić mu kuzynkę... Ten to nie popuści.

Ale coś trzeba zrobić. Nie zostawi tego, licząc na szczęśliwy przypadek. Los, tak jak ludzie, głupi jest i ślepy. Nie... Trzeba samemu wziąć sprawy w swoje ręce. Nawet jeśli przyjdzie przy tym nieco się pobrudzić.



W „Poczekalni” kilkoro klientów zaszyło się w przytulnych boksach. Bez tłumów, jednak w porównaniu z dniem wczorajszym była to widoczna poprawa. Barmanka poznała ją i uśmiechnęła się zachęcająco. Zuza podeszła do niej, wspięła się na barowy stołek, na drugim położyła wielką torbę.

– Podać coś? – zagadnęła barmanka.

– Przyszłam znów do właściciela. Jest może?

– Szef jest na górze. Zadzwonię po niego...

– Nie trzeba – dało się słyszeć z tyłu.

Jakub Bazyl stał za nią z rękami w kieszeniach i surowym wyrazem na twarzy.

– Napijesz się czegoś?

Zuza miała wrażenie, że mężczyzna jest myślami gdzieś bardzo daleko. Oczy Bazyliszka... Niby patrzył na nią, lecz jego wzrok przenikał na wskroś i zatrzymywał się na kontuarze.

– Chętnie. Mocnej kawy.

– Przyślij kawę na górę. Dla mnie też – rzucił do barmanki. – Chodźmy do gabinetu. Tam będzie spokój...

Zuza wstała. Według niej równie dobrze mogli porozmawiać w jednym z pustych boksów. Na dole tylko trzy stoliki były zajęte, z głośników snuł się cicho jakiś jazzowy kawałek, więc nikt by im nie przeszkadzał. Widocznie jednak Bazyl chciał porozmawiać bez świadków. Poza tym gabinet był jego terytorium, dawał poczucie bezpieczeństwa i kontroli nad sytuacją. Ciekawe, czy zrobił to celowo, czy zadziałała podświadomość, zastanawiała się idąc za nim po schodach.

Przepuścił ją w drzwiach i gestem wskazał fotel. Po raz kolejny Zuza musiała przyznać, że udało mu się ją zaskoczyć. Nie galanterią, nie... Bazyl, cokolwiek o nim sądziła, zawsze umiał postępować z kobietami i miał nienaganne maniery. Było to na swój sposób ujmujące, choć niejednokrotnie w czasach licealnych zdarzało jej się wychwycić jego na wpół triumfalne, na wpół kpiące spojrzenie, które rzucał kumplom, gdy udało mu się dopisać kolejną głupią gąskę do listy swoich zdobyczy. To definitywnie ustaliło jej opinię o Bazyliszku na długie lata. Czarus-lalus-egoista. A afera z Julką tylko ten pogląd ugruntowała. Zawsze miała go za niezłe ziółko. I nim był, bez dwóch zdań. Luzak, który na lekcje chadzał w celach towarzyskich i chyba tylko boskim cudem ukończył szkołę i zdał maturę. To, że poszedł na studia, uważała za ustępstwo na rzecz bogatych rodziców, którzy chcieli się pochwalić dyplomem jedyne syna i mieli skuteczną kartę przetargową. Wiedziała, że się dostał. Na jaki kierunek? Pojęcia nie miała. Julka jakoś nigdy o tym nie wspominała. Czy skończył? Nie wiedziała.

Idąc na górę spodziewała się gabinetu będącego skrzyżowaniem biura rachunkowego i salonu gier, przez który właśnie przeszło tornado. Gdy przekroczyła próg, z trudem udało jej się powstrzymać komentarz. Po raz kolejny w ciągu tego tygodnia, musiała się zastanowić nad własnymi opiniami, ponieważ gabinet, w którym się znalazła, w zupełności nie odpowiadał jej wyobrażeniom o właścicielu. Przystanęła na chwilę niepewna, czy wejść dalej, czy też może się wycofać. Z góry założyła, że nawet u Jakuba będzie w stanie jakoś panować nad prowadzoną rozmową. Jednak w obliczu idealnego porządku poczuła się zdezorientowana. Równy poustawiane, kolorystycznie dobrane segregatory, na biurku tacka na dokumenty, szafki katalogowe w rogu, żadnych papierów na podłodze, żadnych nierównych, przewracających się stosów teczek...

Opadła na fotel. Ten nowy Jakub zaczynał ją trochę przerażać.

– Dzwoniła do mnie panna Krystyna – zaczął siadając po drugiej stronie biurka. – Prosiła, bym z tobą porozmawiał... – zawiesił głos.

Nie musiał podkreślać, że spotkanie odbywa się tylko i wyłącznie na prośbę starszej pani. Zuzanna wiedziała to aż za dobrze i ta świadomość uwierała ją niczym kamyk w bucie. Wyjątkowo upierdliwy kamyk.

– Wiesz, że ona wyciąga takie wnioski, o jakie nikt inny by się nie pokusił. Widzi powiązania, jakie innym nie przyszłyby do głowy. A ponieważ ufam jej bez zastrzeżeń, to zgodzę się, by poświęcić godzinę. Chociaż nie wydaje mi się, byśmy byli w stanie cokolwiek ustalić. Jednak zrobię, jak obiecałem.

– Mimo iż uważasz to za bezcelowe?

Przytaknął.

Zuzanna czuła się skrepowana. Jakub, choć nie okazywał tego otwarcie, nie był zachwycony spotkaniem i nie zamierzał jej niczego ułatwiać. Zastanawiała ją jego relacja z panną Krystyną. Co takiego łączyło

tych dwoje, że Bazyl, mimo niechęci, zgodził się na rozmowę? Może uda jej się później dowiedzieć w czym rzecz.

– Rozmawiałeś z pracownikami? Widzieli coś, słyszeli? Cokolwiek.

– Nic.

– Coś odbiegało od normy?

– Nie.

Zuza powstrzymała cisnącą się na usta sarkastyczną uwagę. Jeśli Jakub nie skończy z półsłówkami... Widocznie część z tych odczuć musiała się odmalować na jej twarzy, ponieważ Bazyliszek westchnął, przetaił zmęczonym gestem oczy i spojrzał na nią bez tej zwykłej ironii.

– Słuchaj... Wiem, że przyjaźniłaś się z Julką od lat i próbujesz to rozwikłać na własną rękę. Według mnie to głupota, ale nie wnika. Wiem, że panna Krystyna chce ci pomóc. Dlaczego? Nie pytałem, ale obiecałem jej, że porozmawiamy. Jednak prawda jest taka, że w sobotę panował tu normalny zamęt. Tak jest zawsze w weekendy. Dużo ludzi, duży ruch. A jeszcze ta wasza klasowa impreza wprowadziła dodatkowe zamieszanie. Cóż, taki biznes. Rozmawiałem z obsługą, która była na zmianie. Nikt nic nie widział. Nic nie zwróciło ich uwagi. Ludzie zachowywali się jak zwykle. Pili więcej lub mniej, gadali, palili, śmiali się, łazili tam i z powrotem, zaliczyli kilka szybkich numerków. Stłukło się kilka talerzy, kieliszków, nikt na szczęście nic nie podpalił, bo i takie przypadki bywają, kamery nic nie zarejestrowały. Żadnego mordobicia na zapleczu. Jedno przerysowane kluczykami auto. I tyle. Nic więcej. Naprawdę nie wiem, jak by to mogło pomóc panie Krystynie.

Zuzanna też nie wiedziała.

Do gabinetu weszła kelnerka z tacą. Postawiła filiżanki na biurku i bezszelestnie się wycofała.

– Widzisz... – podjął Jakub. – To morderstwo raczej nie robi mi dobrej reklamy. Chętnie bym pomógł, ale... – bezradnie rozłożył ręce.

Musiała przyznać mu rację. Wciąż wałkuje ten sam temat, te same rozmowy... Jednak nic nowego nie wypłynęło. Dalej nie ma zielonego pojęcia, kto zabił Julkę. Nawet najmniejszego cienia podejrzenia. Nic. Zupełnie nic.

Sięgnęła po filiżankę.

– Zakładam, że policja przejrziała monitoring.

– Tak. Nic nie znaleźli. Zresztą ja sam siedziałem nad tym ładnych parę godzin. Próbowałem ustalić, kto gdzie był w chwili morderstwa...

Zuza zerknęła na niego z nowym zainteresowaniem.

– I...?

– I nic. Mission impossible. Za dużo ludzi, za duża rotacja. I, niestety, martwe obszary.

– Tak. Kamera na zapleczu – przytaknęła.

Jakuba poderwało.

– A skąd, do ciężkiej... Przepraszam – zreflektował się. – Skąd wiesz o kamerze? – spytał już na pozór spokojnie.

– Barman rozmawiał o tym z kimś z obsługi. Kilka osób słyszało.

– Do ciężkiej cholery! – Bazyl uderzył pięścią w blat. – Myśleliśmy, że nikt o tym nie wie. Policja założyła, że zabójca miał pierońskie szczęście...

– A więc trzeba uwzględnić, że po prostu słyszał o kamerze.

– To zmienia postać rzeczy. Zupełnie...

Zużę wciąż dręczyło jedno pytanie. Czy zabójstwo było zaplanowane, czy też dokonane w afekcie? Pierwsza opcja zakładała, że ktoś się nieźle do tego przygotował. Musiał znać rozkład pomieszczeń, wiedzieć o rozmieszczeniu kamer, może nawet sam uszkodził tę na zapleczu. Musiał też mieć jakiś

argument, by ściągnąć Julkę do toalety i bez wzbudzenia podejrzeń podejść na tyle blisko, by wbić nóż. Z drugiej strony, jeśli to zbrodnia na poczekaniu, to co też takiego wydarzyło się w ciągu tych kilku godzin spotkania, co pchnęło mordercę do zabójstwa?

– Zastanawialiśmy się z panną Krystyną jeszcze nad pewną kwestią...

Zuza założyła, że powołanie się na starszą panią jakoś osłabi wścibski wydźwięk pytania. I przynajmniej Jakub jej nie splawi.

Siedzący po drugiej stronie biurka mężczyzna cierpliwie czekał na ciąg dalszy.

– Ostatnio pokłóciłeś się z Julią. O co poszło?

Jakub przez chwilę wpatrywał się w nią intensywnie.

– Naprawdę chcesz wiedzieć? – powątpiewanie w jego głosie było wyraźnie wyczuwalne.

Zuza przytaknęła.

– Aa... Ciekawa odmiana.

– Co to niby miało znaczyć? – najeżyła się.

– Zazwyczaj wydajesz sądy. A przynajmniej z mojej perspektywy tak to wygląda. Osądzasz i uważasz się za nieomylną. Prawda schodzi na dalszy plan... No cóż... – Zdawał się nie zważać na jej oburzenie. – Więc już mówią na mieście. Ciekawe, kiedy przyjdą z widłami...

Ton jego głosu był coraz bardziej niepokojący. Zuza opanowała własną irytację i spojrzała na Jakuba. Pod tą ironiczną uwagą czaiła się gorycz. Nie miała jednak odwagi spytać, o co chodzi. Czuła, że nie ma prawa wtrącać się w jego życie. Sama nie była bez winy... Źle maskowana pogarda, jaką raczyła go od dziesięciu lat, nie sprzyjała szczerym rozmowom.

– Kłótnia z Julią to norma. Zawsze potrafiła wyprowadzić człowieka z równowagi. Zwłaszcza jak chciała postawić na swoim. A tamto... Organizowała wieczór kawalerski. Wymyśliła sobie rajd quadami na stokówce za stadniną, a potem imprezę tu, w lokalu. Nie zgodziłem się i tyle.

– Dlaczego?

– Niezbyt mi się uśmiechało, by kilkunastu ubłoconych facetów wparowało do „Poczekalni”. Rzewuski nawet tak bardzo nie upierał się przy tym pomysle, ale Julia się zafiksowała. I stąd spięcie.

– A co do tego miał Rzewuski?

– To był wieczór kawalerski jakiegoś jego znajomego. Julia, jako idealna asystentka, miała wszystko zorganizować... Może to dziwne... – podjął po chwili milczenia – ale ja naprawdę ją lubiłem. Wkurzała mnie jak diabli, to fakt, niemniej jednak... Widywaliśmy się czasami na tych samych imprezach. Grodów jest zbyt mały, by się unikać. Miała niesamowite poczucie humoru i cięty język. Niczym ani nikim się nie przejmowała. No, może z wyjątkiem starej Jakimowej. Robiła, co chciała. W tej całej sztucznej farsie dzisiejszego świata była po prostu sobą. Żadnego ugrzecznienia, tego, co „wypada” i tego, co „nie wypada”...

Zuzanna uśmiechnęła się nieznacznie. Tak... Taka była Julka.

Ciche pukanie wdarło się w to ich chwilowe porozumienie. Zza uchylonych drzwi zajrzał do środka jeden z kelnerów.

– Przepraszam szefie, ale jest pan potrzebny.

– Nie może poczekać?

– Chodzi o Maksa...

Jakub poderwał się z fotela.

– Przepraszam. Kilka minut – rzucił w biegu.

Zuzanna sięgnęła po kawę. Mogła zaczekać, zwłaszcza że jak na razie nic konkretnego nie ustalili. Jeśli wcześniej istniała nikła nadzieja, że z tej ich rozmowy coś wyjdzie... A teraz, cóż... już chyba tylko olśnienie, epifania i ingerencja sił wyższych da jej nowy punkt zaczepienia. Paradoksalnie czuła

otaczający ją chaos i pustkę. Zbyt dużo możliwości, zbyt mało realnych podejrzeń. Jeśli ani pannie Krystynie, ani Jakubowi nie przyszedł do głowy żaden pomysł, kto mógł zabić Julkę... Co ona mogła zrobić? W swej wyobraźni miała portrety sprzed lat. To nie byli żywi ludzie, tylko jej wspomnienia. Nawet jeśli na te kilka sobotnich godzin udało im się na powrót przywołać magię dawnych lat, to była to wyłącznie iluzja... Chwilowa fantasmagoria oparta na migawkach z przeszłości... Widziała kolegów takimi, jakimi byli dziesięć lat temu... Zdawało się, że przez tę dekadę nic nie uległo zmianie. Prawda była jednak zupełnie inna. Ich drogi się rozeszły i w większości nie mieli ze sobą nic wspólnego poza tymi czterema latami spędzonymi w ogólniaku. Dopiero teraz, siedząc w gabinecie Jakuba, dostrzegła to z całą przytłaczającą świadomością: nie da się wrócić do przeszłości. A ludzie się zmienili. Jak bardzo? Tak, że jedna z osób z zimną krwią popełniła dwa morderstwa. Nie... To w niczym nie przypominało beztroskich licealnych lat.

Podniosła się z fotela. Dławiło ją rozczarowanie, które próbowała zagłuszyć pozorną aktywnością. To dlatego uganiała się za mordercą Julki. Aby udawać, że ma jakiś cel... A tak naprawdę była rozczarowana. Sobą i innymi. Ale poddać się...? Nie. Już lepsze to sztuczne, wymuszone ożywienie niż uzalanie się nad sobą. Przynajmniej ma wrażenie, że wolno, bo wolno, ale jednak wygrzebuje się z tego dołu, w który wpadła po rozstaniu z Mirkiem. Po raz pierwszy od dawna miała wrażenie, że coś zaczyna się zmieniać na lepsze. Zdecydowanie.

Zadowolona z kierunku, w jakim zmierzają jej rozmyślania, oderwała się od okna i rozejrzała po gabinecie. Jakub nie wracał, jednak w ogóle jej to nie przeszkadzało. Jego biuro, urządzone z przesadną funkcjonalnością, mimo wszystko emanowało dobrą energią. Inaczej nie umiała tego określić, po prostu w tej atmosferze pracy i skupienia myśli same układały się w głowie. Może gdyby posiedziała tu dłużej...

Na niskich regałach stał rząd fotografii. Na największej rodzina Jakuba w komplecie. W środku rodzice, obok dwaj wujkowie. To był trzon rodzinnego interesu. Po bokach Jakub i dwie jego kuzynki. Magdę i Karolinę znała z ogólniaka, chodziły do równoległej klasy, a w ostatnim roku miała razem z nimi fakultety. Pogodne i troszeczkę zadufane w sobie. Z tego co wiedziała, obie poszły na prawo i miały teraz wspólną kancelarię. I mężów prawników. Na dole zdjęcia piątka dzieci siedziała na stopniach tarasu. Chłopcy z łobuzerskimi minami robili miny do obiektywu, dziewczynki w falbaniastych sukienkach posyłały szczerbate uśmiechy. Całość prezentowała się nad wyraz sympatycznie. Ot, szczęśliwa rodzina w podczas niedzielnego odpoczynku.

Kolejne zdjęcia przedstawiały chyba znajomych, migawki z imprez i wycieczek. Na jednym Jakub w cylindrze i stojący obok niego facet w zielonej muszce w grochy mierzyli się na ręce. Twarze zgromadzonych wokół ludzi były lekko rozmazane. Świetne zdjęcie, stwierdziła z uznaniem. Ktoś naprawdę zrobił dobre ujęcie, z którego biły emocje, zabawa i współzawodnictwo. Wzięła ramkę do ręki. Towarzysza Jakuba kojarzyła, to był jego przyjaciel jeszcze z czasów licealnych, zawsze włączyli się razem... Bronek. Bronisław właściwie. Facet przez cały ogólniak cierpiał z powodu tego imienia, ponieważ przyłgnęło do niego zawołanie: Bronek-ogonek. Nie widziała go od ukończenia szkoły, ale spoglądając na zdjęcie musiała przyznać, że niewiele się zmienił. Wciąż ten sam krzywy uśmiech i rozwiana czupryna. Publika z tyłu też była znajoma. Stara paczka...

– Wieczór kawalerski – usłyszała za sobą głos Jakuba.

Drgnęła przestraszona i równocześnie zła na siebie, że dała się tak podejść. Drugi raz tego wieczoru Jakub zjawił się bezszelestnie i ją zaskoczył. Wykładzina stłumiła jego kroki, a Zuza – skupiona na wpatrywaniu się w zdjęcie – nie dosłyszała otwieranych drzwi. Powstrzymała się, by natychmiast nie odłożyć ramki na półkę. Wolno zaczerpnęła następny oddech i z pozornym opanowaniem odwróciła się do gospodarza.

– Bronek się ożenił?

– Niecały miesiąc temu.

– Wiele osób z waszej klasy...

Jakub wpatrywał się w nią bez wyrazu.

– Kilkoro – poprawił. – Stara paczka... Był długi weekend majowy, to większość potraktowała przyjazd jak miniwakacje.

– Widzę Artura i Jacka. Jolkę... Reszty nie pamiętam.

Wziął zdjęcie z jej rąk.

– Sabina i Joaśka. I drugi Jacek.

– I jeszcze żona Tomka Rajskiego... Jak ona ma na imię?

– Beata.

– I obściskuje Tomka. Przynajmniej jego plecy załapały się na zdjęcie. Mieliście imprezę w „Poczekalni”?

– Nie... Wolę nie mieszać pracy z przyjemnością. A jakbym zrobił imprezę tutaj, to jednak byłaby to praca... Byliśmy na Kazimierzu. Fajny lokal, znajomych – dodał odstawiając zdjęcie na półkę. – Słuchaj... Nie chcę być gburem, ale mam tu mały problem i muszę się nim zająć.

– Oczywiście – sięgnęła po torbę.

Zszedł z nią do wyjścia.

– Pozdrów ode mnie pannę Krystynę – rzucił na pożegnanie. – I uważaj na siebie...

Zuzanna odwróciła się i z pewną obawą zerknęła na rozciągający się przed nią park. Nic się nie stanie, powtarzała sobie uparcie w myślach... Nic złego się nie stanie...

Idąc szybko alejką nie widziała już spojrzenia, jakim odprowadził ją Jakub. A on stał jeszcze przez chwilę w drzwiach lokalu zastanawiając się, czy nie powinien zaproponować, że ją odwiezie... Tak byłoby bezpieczniej. Jednak czekała na niego nie cierpiąca zwłoki sprawa. Rzucił więc jeszcze ostatnie, zaniepokojone spojrzenie na oddalającą się Zuzannę i zamknął za sobą drzwi „Poczekalni”.



Pakunek leżał dokładnie tam, gdzie go zostawiła, czyli na kuchennym blacie. Zuza spojrzała na niego z dystansu i zrobiła w tył zwrot. Potrzebowała jeszcze chwili, by zmierzyć się ze ślubnym prezentem od Julki. Powoli weszła na antresolę...

W zamęcie dzisiejszego popołudnia nie zdążyła nawet podziękować bratu za malowanie. Wpadła do mieszkania raptem na kilka chwil, żeby zostawić prezent od Jakimowej. Piotr akurat mył wałki, więc dała mu kupione po drodze ciasto – niezbyt przejął się, że to sklepowe, a nie domowej roboty. Pochłonął je w okamgnieniu i zapowiedział się z dalszym malowaniem na następny dzień. Teraz chciała zerknąć na efekty jego pracy.

Musiła przyznać, że kolor nadał wnętrzu zupełnie nowy charakter. Przestrzeń zyskała elegancki rys, brakowało jeszcze tylko mebli, ale o tym pomyśli w następnej kolejności. Mieszkanie powoli, bo powoli, ale jednak zbliżało się do efektu, jaki sobie wymarzyła. Zadowolona uchyliła okna, by się wietrzyło, zabrała pościel i zniosła ją na dół. Piotr przeniósł już ciężki materac do planowanego pokoju dziecięcego... Planowanego w momencie, gdy ślub był jeszcze oczekiwany z niecierpliwością wydarzeniem. Teraz Zuza nie miała pomysłu, co zrobić z małym pokojem przy salonie. Gabinet to nie

będzie, bo ten przecież postanowiła mieć na antresoli. Powoli kiełkowała w niej myśl, by wziąć sobie współlokatora. A raczej: współlokatorkę. Mieszkanie jest dość przestronne, ona zajmie antresolę, a ten pokój można przerobić na drugą sypialnię. Najlepiej byłoby znaleźć jakąś znajomą, spokojną koleżankę... Musi to jeszcze przemyśleć... Może spyta bratową albo Olę, czy nie mogą kogoś polecić. Wiadomo przecież, że osoba z polecenia to zawsze coś innego... Zdecydowanie musi się nad tym zastanowić.

Zrzuciła pościel na materac i wróciła do kuchni.

Piękne pudełko ze złotymi tłoczeniami przewiązane było zdobną, czerwoną kokardą. Julka zawsze miała smykałkę do dekoracji... Prezent wyglądał jak z katalogu ślubnego. Zuzanna przyglądała mu się przez chwilę, po czym zdecydowała, że lampka wina będzie jak najbardziej stosowna do okoliczności.

Nalała sobie kieliszek i przysiadła na stołku. Wspominała szkolne czasy..., to, jak się poznały w pierwszej klasie podstawówki. Ona, Ola i Julka. Przez dwanaście lat stanowiły nierozdzielny zespół. Kolejne obrazy wpływały jedne po drugich: urodziny, wycieczki, różne psikusy... Aniołkami to one nie były, o nie! Umiały dopieć do żywego, zwłaszcza gdy trochę już podrosły. Julka najbardziej z ich trójki dzika i zbuntowana, ona, Zuzanna, zawsze szczyła się rozsądkiem i niezależnością, i oczywiście Ola, ułożona i zapobiegliwa. Dziwna z nich była kompania, a jednak połączyła je przyjaźń trwająca całe lata...

Długo jeszcze bawiła się pustym już kieliszkiem i wpatrywała w pakunek, nim w końcu zdecydowała się go otworzyć. Wyjęła z szuflady nożyczki i przecięła wstążki. Podniosła złotą pokrywę i zajrzała do środka. Na stosie czerwonej bibuły leżała kartka. Jednak nie taka z serii ślubnych. Zachowana w białozłotej tonacji, ale pozbawiona typowych dla takich okazji kwiatków, obrączek i gołąbków otoczonych wianuszkami serduszek. Nie. Kartka od Julki była prosta i elegancka.

Zuza otworzyła ją i uśmiechnęła się na widok całej strony dokładnie wypełnionej okrągłym, pełnym ozdobników pismem. To nie były typowe życzenia, lecz list. W dodatku napisany już po zerwaniu zaręczyn z Mirkiem! Wskazywała na to zarówno data, jak i treść – Julka, w prostych i dosadnych słowach stwierdzała, że buraki nadają się na sałatkę, a nie do małżeństwa. Dodała, że prezent jest na nowe mieszkanie, a poza tym czeka jeszcze na zaproszenie na prawdziwą parapetówkę, bo to, co było, to raczej stypa żałobna po niedoszłym małżeństwie, a teraz to ona chce się dobrze zabawić! Zuza śmiała się już głośno, doczytując ostatnie słowa listu: „I nie waz się znowu spiknąć z jakimś idiotą! W razie czego masz to coś w pudełku, żeby walnąć sobie w głowę i wybić głupie pomysły, czyli głupich facetów!”.

Zuza, zaintrygowana, rozgarnęła bibułę.

W środku spoczywała duża, drewniana kula. Ostrożnie wyjęła ją z pudełka. Teraz dopiero okazało się, że to nie eksponat pokazowy na lekcje matematyki, ale nowoczesna rzeźba. Przedmiot był zadziwiająco lekki, gdyż liczne drążenia uczyniły z niego misterną, ażurową konstrukcję. Do walnięcia w głowę raczej się nie nadawał, jednak Zuza doceniała pomysł przyjaciółki.

Trzymając w dłoniach prezent rozejrzała się po salonie. No tak... W obecnej chwili nie miała jej gdzie położyć. Żadnych regałów, żadnych stolików... Zdecydowała w końcu zabrać rzeźbę do tymczasowej sypialni i postawić na parapecie. Zadowolona z efektu poszła nalać sobie jeszcze jeden kieliszek. Jak świętować, to świętować!

Złote pudełko dalej leżało na kuchennym blacie. Samo w sobie też było śliczne. Przyda się na drobiazgi, stwierdziła Zuza i zaczęła wyjmować z niego pomietą bibułę. Spośród kolorowych papierów wypadł kwadratowy kartonik. Na nim, starannie narysowany, widniał jeden symbol. Zuzanna wpatrywała się w niego jak zaczarowana. Nie widziała tego od lat. Dokładnie rzecz biorąc – od dziesięciu lat. Znak, będący połączeniem dwójki i czwórki był symbolem Jowisza, największej planety Układu Słonecznego.

I ich tajnym podpisem.

Oznaczał też zaszyfrowaną wiadomość. Oj tak, miały swój tajny kod, który stworzyły po przeczytaniu książek Nienackiego. Dość prosty w założeniu, polegał na podstawianiu liter dobranych w trójki. Pisały



nim do siebie listy w podstawówce, w liceum czasem się przydawał na ściągach.

Zuza raz jeszcze sięgnęła po kartkę z życzeniami. To, co początkowo wzięła za szlaczek zdobiący brzegi, przy bliższym oglądzie okazało się ciągiem miniaturowych liter. „OCLHDSCL...” Szybko sięgnęła po kartkę i długopis. Tamta dziecięca niecierpliwość, gdy rozkodowywały własne, jakże ważne wiadomości, znów wróciła. Szybko zapisała ciągiem alfabet, a pod spodem po trzy litery z jednomiejscowym przesunięciem. Powstało osiem grup. W pośpiechu spisywała kolejne litery. Niecałą minutę zajęło jej odczytanie przekazu.

„Pamiętaj, aby zawsze mieć podwójne ubezpieczenie”.

Wpatrywała się w te słowa próbując dostrzec w nich jakiś sens. O co mogło chodzić Julce? Podwójne ubezpieczenie? Znaczy, że na następny raz powinna faceta sprawdzić na wszystkie strony, zanim się zaangażuje? Wynająć detektywa? W razie czego mieć osobne konto, o którym nikomu ani słowa? Zapisać się na kurs samoobrony? Mieć plan awaryjny...?

Podwójne ubezpieczenie. Słowa zapisane szyfrem na kartce z życzeniami, które i tak miały trafić do niej, by w razie czego nikt inny nie przeczytał wiadomości. Podwójne ubezpieczenie, gdy się wie, że może grozić niebezpieczeństwo... Myśli Zuzy biegły coraz szybciej, a początkowe podniecenie wywołane rozkodowywaniem dziecięcego szyfru przybrało teraz na sile. W jakiś sposób wiedziała, że jest na właściwej ścieżce. Sięgnęła po nową kartkę i zaczęła jeszcze raz.

Podwójne ubezpieczenie. Na wypadek nieprzewidzianych okoliczności. Takich chociażby jak śmierć. Nieplanowana, oczywiście. W przyływie wisielczego humoru... Nie. Nie tak. Podwójne... Zabezpieczenie. Ubezpieczenie. Asekuracja. To jest to.

Julka chciała mieć jakąś asekurację, tak na wypadek nieprzewidzianych okoliczności. Niebezpiecznych, zagrażających... Zuza szybko zapisywała kolejne ciągi skojarzeń. Przypominało to trochę jej pracę w agencji reklamowej, gdy próbowała wraz z zespołem stworzyć hasło dla kampanii. Bawili się synonimami i skojarzeniami. Na dużych płachtach szarego papieru powstawały mapy myśli. Teraz też taką tworzyła.

Julka chciała ją przed czymś przestrzec. A może to ubezpieczenie wcale nie dotyczyło jej, Zuzy? Co, jeśli Julka pisząc te słowa miała na myśli samą siebie? Może to o jej asekurację chodziło? Ale to by oznaczało... To by oznaczało, że spodziewała się własnej śmierci. A może raczej nie tyle spodziewała, ile brała pod uwagę taką możliwość. I to jak najbardziej realnie... I próbowała w jakiś sposób zapewnić sobie bezpieczeństwo. Jak widać – nie udało się...

Czym było to „ubezpieczenie”? Zuzanna spojrzała na mały kartonik ze znakiem Jowisza. Wpatrywała się w symbol przez dobrą chwilę, zanim dotarło do niej, że już go dziś widziała. W mieszkaniu Jakimowej!

– Cholera jasna!

Miała to przed samym nosem i nie skojarzyła!

Krzyżówka!

Jakimowa mówiła przecież, że Julka wpadła do niej w sobotę rano i coś pisała na krzyżówce. Z błędami. A to było niemożliwe! Julka nigdy nie popełniała błędów w krzyżówkach, bo wiedziała, jaką babcia ma obsesję na ich punkcie. Jeśli więc był błąd, to świadomy. I ten ich sekretny znak. Był na marginesie narysowany nawet kilkakrotnie. Że też od razu nie pokojarzyła! Coś ją zaćmiło. No, ale Ola też nie lepsza. Obie były ślepe.

Sięgnęła po telefon i w tej samej chwili zreflektowała się, że to nie pora na rozmowy. Był późny wieczór, po jedenastej, i o tej porze starsza pani z pewnością już śpi. Rozemocjonowana odłożyła słuchawkę i nalała sobie kolejny kieliszek. Upijanie się w samotności niezbyt dobrze wróżyło, ale w tej chwili stan nerwów na pewno nie pozwoli jej szybko zasnąć. Kolejna lampka nie zaszkodzi. Zabrała

wino, kartkę od Julki i poszła do tymczasowej sypialni.

Opadła na materac. W mieszkaniu panowała absolutna, dzwoniąca w uszach cisza. Ale w jej głowie kotłowały się gorączkowe myśli, gdyż dopiero teraz z całą wyrazistością dotarło do niej to, co zobaczyła w mieszkaniu starej Jakimowej: wiadomość pozostawioną przez Julkę.



Była siódma rano, gdy Zuzanna, zaopatrzona w paczkę ze świeżymi drożdżówkami, wyszła z cukierni i skierowała swe kroki na Łyse Pola. Tak jakoś się przyjęło, że północną, willową dzielnicę miasta rodowici grodowianie wciąż nazywali Łysymi Polami, choć już dawno nie było tu żadnych użytków rolnych. Jeszcze przed wojną zaczęto budować pierwsze domy i powoli przesuwano granicę miasta aż pod las. Pociągnięto drogi i w trzydziestym dziewiątym krajobraz był już zmieniony nie do poznania. Zuzanna oglądała w rodzinnych albumach zdjęcia z dwudziestolecia międzywojennego. Prapradziadkowie mieli tu spory kawałek ziemi, który przez lata odsprzedawali po trochu, aż w końcu nic nie zostało poza fotografiami, na których stogi siana stanowiły tło dla rodzinnych zdjęć. Cóż... Pradziadkowie do zapobiegliwych nie należeli i głowy do interesów nie mieli w ogóle. Zamiast pomnażać majątek, czerpali z niego pełnymi garściami, więc dla następnych pokoleń nic nie zostało. Zuzanna, choć nosiła znane nazwisko i pochodziła z szanowanego grodowskiego rodu – żadnego spadku nie odziedziczyła. A szkoda... Mogłaby teraz nie martwić się kredytem zaciągniętym na mieszkanie, tylko odcinać kupony... Rodzina wujka Ryśka zdecydowanie lepiej sobie radziła. Może po prostu, zamiast się boczyć na skostniałe małomiasteczkowe towarzystwo, należy się raczej w nie wżenić? Podwójna korzyść: pełna akceptacja i poparcie lokalnego środowiska oraz majątek rodzinny. Jakiej rodziny? Cóż, to już sprawa drugorzędna... Zuzanna, popadając w absurdalny humor doszła do wniosku, że może podsunie pomysł pannie Krystynie. Skoro ta od lat radzi sobie ze sprawami kryminalnymi, to z pewnością poradzi sobie z zagadką matrymonialną i pomoże jej namierzyć kandydata na męża...

Uśmieła się z tego pomysłu, lecz już po chwili z westchnieniem pokręciła głową. Małżeństwo, jak widać na niedawnym przykładzie, powinna sobie darować. Przynajmniej na jakiś czas. Szukanie zabójcy wydaje się o wiele prostsze. To dopiero ironia sytuacji.

Zgodnie z zapowiedzią panny Krystyny, furtka była otwarta. Weszła więc do ogrodu.

Wyłożona kamiennymi płytami ścieżka prowadziła od zdobnej bramki do drzwi. Rosnące przy niej azalie były w pełnym rozkwicie, tworząc barwny różowy szpaler przeplatany bukszpanem. Frontową część ogrodu oddzielał od ulicy rząd wysokich tui, które skutecznie chroniły przed ciekawskimi spojrzeniami przechodniów. Rozciągający się za nimi równo przycięty trawnik ozdobiony był tylko małą kamienną fontanną, stanowiącą poidło dla ptaków. Żadnych czerwono noszonych krasnali, bocianów czy sarenek. Prostota i elegancja, tak typowe dla panny Krystyny, znajdowały odbicie w wyglądzie jej ogrodu.

Podeszła do drzwi i nacisnęła dzwonek. Z pewną obawą czekała na pojawienie się gospodyni. Chociaż starsza pani zapewniała, że spokojnie można się u niej zjawiać już od szóstej rano, Zuzanna miała pewne wątpliwości, czy należy dosłownie potraktować te słowa. Jednak musiała się spotkać z panną Krystyną jak najszybciej, a w redakcji chciała pojawić się o dziewiątej. Nie było więc innej opcji.

Szczęk trzech otwieranych zasuw poprzedził uchYLENIE drzwi. Panna Krystyna, w granatowej

plisowanej spódnicy i kremowej bluzce z nieodłączną kameą, wyglądała tak, jakby się jej spodziewała.

– Siniaka prawie nie widać – stwierdziła na powitanie i gestem zaprosiła Zużę do środka. – A ile osób wie tak naprawdę, skąd go masz?

Dziewczyna zrezygnowała z dopytywania się, skąd akurat panna Krystyna wie. Powoli przekonywała się, że sieć informacyjna Grodowa niewiele ma wspólnego z „Kurierem”. Już lepiej był zorientowany lokalny Uniwersytet Trzeciego Wieku, niż wujek Rysiek. A panna Krystyna Nowak wyprzedzała ich wszystkich. O całe wieki.

– Michał Konik i Jakub Bazyl. Jakoś wolałam tego nie rozgłaszać – dodała.

– I słusznie – pochwaliła gospodyni. – Chodź do kuchni. Pomożesz mi z tacą. Przygotowałam herbatę, ale nie jestem w stanie tego zanieść do saloniku.

Wspierając się na lasce przeszła ostrożnie w głąb mieszkania.

Zuzanna liczyła, że zostaną w kuchni – uroczym i trochę staroświeckim pomieszczeniu, w którym stał jeszcze piec do chleba. Zafascynowana zerkała na doniczki z ziołami i moździerz, stojące w rzędzie na półce.

– Drożdżówki daj na talerzyk. No chodź, moja droga, chodź...

Panna Krystyna przeszła do saloniku.

– Zakładam, że nie masz wiele czasu, skoro odwiedzasz mnie tak wcześnie.

– Nie za wcześnie? – zaniepokoiła się Zuza.

– Ależ skąd – panna Krystyna uspokajająco machnęła ręką. – Mówiłam ci, że od szóstej mogę przyjmować gości. Ot, taka przypadłość wieku starczego, że nie można spać. Jak człowiek wstaje o czwartej rano, o tej godzinie jest już po śniadaniu. A więc...? – znacząco zawiesiła głos.

– No cóż... Wie pani już, że we wtorek wieczorem ktoś napadł na mnie w parku.

– Tak. I jest to, wybacz, szczęśliwy znak.

– Ponieważ kogoś zaniepokoiłam i sprowokowałam na tyle, by zrobił się nieostrożny – zgodziła się Zuza.

W tym momencie panna Krystyna pogratulowała sobie w duchu wyboru kandydatki na praktykantkę. Zuzanna miała głowę na karku i nie ulegała hysterii. Z pewnością w tym momencie czuła się przestraszona i dezorientowana, jednak umiała zachować opanowanie. Cenna umiejętność... I niezwykle przydatna, jeśli chce się tropić zabójcę.

Przytaknęła tylko i czekała na ciąg dalszy.

Zuzanna opowiedziała jej o groźbie nieznanego napastnika, o kopercie z pogroźkami znalezionej następnego dnia rano w skrzynce na listy i w końcu o wizycie u Jakimowej i prezencie ślubnym.

– Widzi pani... Miałyśmy taki dziecięcy szyfr. Czasami stosowałyśmy go, pisząc do siebie liściki na lekcjach. Wygląda jak przypadkowa mieszanina liter. I zawsze zaczynał się od symbolu Jowisza. Chyba znalazłyśmy go w jakiejś książce przygodowej i wydał nam się na tyle tajemniczy i fascynujący, że zaczęłyśmy go stosować do oznaczenia tajnych wiadomości. Gdy wczoraj dostałam ten niedoszły prezent ślubny, była tam karteczka z naszym znakiem, a na kartce z życzeniami ciąg liter, który na pierwszy rzut oka wyglądał jak ozdobna lamówka.

– I co było napisane?

– Żeby zawsze mieć podwójne ubezpieczenie...

Panna Krystyna pokiwała głową ze zrozumieniem.

– Julia Kurek była mądrą dziewczyną. I czym było to ubezpieczenie?

Zuzanna otrząsnęła się z zaskoczenia. Jej, która znała Julkę, dobrą chwilę zajęło pokojarzenie faktów, tymczasem panna Krystyna spytała o to, jak o rzecz oczywistą.

– Krzyżówką zostawioną u Jakimowej.

– Masz ją? – Głos siedzącej naprzeciwko kobiety nie zdradzał żadnych emocji i gdyby nie błysk w oczach, mogłoby się zdawać, że pytanie zadała tylko, by podtrzymać rozmowę. Zuza jednak wychwyciła tę niecierpliwość w spojrzeniu i wiedziała, że w końcu na coś trafiła. Wyjęła z torby zeszyt z krzyżówkami.

– Julka źle wpisała hasła. W zasadzie to w ogóle nie są hasła. Czytane z góry do dołu poszczególne litery tworzą szyfr – pokazała. – Niewiele tego jest.

– Szyfr podstawiany – panna Krystyna sięgnęła po okulary. – I co napisała?

– Tylko adres. W Krakowie. Jakaś kamienica albo blok, bo jest numer budynku i mieszkania. Na Syrokomli.

– To gdzieś przy Alejach?

– Między Wisłą, Alejami i kinem „Kijów”. Dobra lokalizacja...

– I nic więcej?

Zuza zaprzeczyła. Przejrzała dokładnie każdą stronę krzyżówki, pytała Jakimową, czy Julka coś jeszcze w sobotę uzupełniała, ale niczego ponad to nie było.

– Tylko adres krakowskiego mieszkania. Zastanawiam się, czy Julka chciała je kupić.

– Dlaczego? – panna Krystyna ściągnęła okulary i podniosła głowę znad krzyżówki.

– Pani Jakimowa wspominała, że Julka mówiła o kupnie mieszkania. To, które miała, było wynajęte. Ale dlaczego w Krakowie, skoro miała dobrą pracę tu, w Grodowie?

– Rzewuski nie żyje – przypomniała panna Krystyna. – Nie wiadomo, jak miało dalej być z tą jej pracą. Była świe-tną asystentką, jak już się wciągnęła, ale tu trzeba mieć układy, by wskoczyć na taką posadę. Rzewuski przyjął ją, bo... No cóż...

– Praca przez łóżko – domyśliła się Zuza.

– Tak. Chodziło o jakiegoś znajomego Rzewuskiego, z którym Julka przez jakiś czas była. Zresztą z tego co wiem, to z Rzewuskim w żadne romanse się nie wdawała. Na to oboje byli za sprytni.

W ciszy, która zaległa w saloniku, słychać było tylko tykanie wiszącego na ścianie zegara z wahadłem. Każda z nich zagłębiła się we własnych rozważaniach. Zuza, na początku trochę skrepowana tą ciszą, poddała się w końcu i pozwoliła myślom biec swobodnie ich własnym torem.

– Trzeba sprawdzić ten adres – zdecydowała w końcu. – Poproszę Michała. Może dowie się, do kogo należy mieszkanie.

Panna Krystyna podniosła głowę.

– Och... Z pewnością się dowie. Interesuje mnie raczej, dlaczego ten adres był tak ważny, że nie zapisała go normalnie, tylko szyfrem. I to w dodatku szyfrem, który był skierowany wyraźnie do ciebie. Jeśli spodziewała się, że coś jej grozi, to raczej starałaby się zapisać nazwisko osoby, której się obawiała.

– Chyba, że nie wiedziała, kto to jest – podsunęła Zuza.

– Nie... Nie wydaje mi się. Musiała to dobrze wiedzieć. No pomyśl...

Panna Krystyna podparła brodę na złożonych dłoniach i wbiła w nią uważne spojrzenie.

Zuzanna, trochę speszona, próbowała szybko pokoiarzyć fakty. Nieraz działała pod presją, ale oczekiwania grodowskiej detektywistycznej legendy to zupełnie coś innego niż irytujący i wkurzający klient. Przymknęła oczy, by lepiej się skupić.

Przed oczami przemknęła jej rozmowa z Michałem i widok zwłok Julki, opartych o ścianę w toalecie. Julka pracowała dla Rzewuskiego. Oboje zostali zamordowani. Romansu nie mieli. Zrobił to ktoś, kogo Julka знаła. Spodziewała się, że może być niebezpiecznie, inaczej nie zostawiłaby tej zaszyfrowanej kartki do niej i krzyżówki. Kalkulowała ryzyko, jednak nie uważała, żeby było ono bardzo wysokie. W przeciwnym razie podałyby im nazwisko ewentualnego zabójcy. A tak... Do ostatniej chwili nie

spodziewała się, że zginie. A więc знаła dobrze zabójcę i w pewnym sensie mu ufała. Albo inaczej: ufała samej sobie i własnemu osądowi sytuacji. I tu się pomyliła...

– Użył noża... – szepnęła.

– Właśnie.

– Pozwoliła mu do siebie podejść. Weszli przecież do łazienki obydwój. Nie zamknęła za sobą drzwi lub weszli równocześnie. Raczej to pierwsze. Wzbudza mniej podejrzeń. Więc najpierw weszła Julka, a za nią zabójca. A ona mu na to pozwoliła. Gdyby była zaniepokojona, zaczęłaby krzyczeć. Nie zbliżyłby się do niej. A tak... Podszedł bardzo blisko, bez wzbudzania podejrzeń. Żadnego hałasu. Musiała się spodziewać...

– Znała go. Zabójcą jest osoba, która była na waszym spotkaniu klasowym...

– Wiem. Próbowałam ustalić, kto gdzie był. Jakub zresztą też próbował...

– I co?

– I nic. Nie jesteśmy w stanie tego rozgryźć.

– Czyli z nim rozmawiałaś...

Zuzanna przytaknęła.

– Niewiele jednak z tego wyszło. W ogóle mam wrażenie, że niewiele z tego wychodzi. Wciąż powtarzają się te same informacje. Nie wypływa nic nowego...

– Moja droga. To zaledwie pięć dni. Takie sprawy zawsze wymagają czasu. W pierwszym etapie musisz pozbierać wszystkie dane. Dowiedzieć się najwięcej, ile się da. Rozmawiać z ludźmi. Oni często widzą coś, z czego nie zdają sobie sprawy. A ty musisz to wyłuskać z ich opowieści. Potem dochodzi się do takiego etapu, że masz ochotę tylko walić głową w mur... O tak... Dokładnie – potwierdziła widząc jej niedowierzanie. – Ileż to razy chciałam rzucić wszystko w diabły i zająć się, na przykład, szydełkowaniem...

– I dlaczego pani nie rzuciła?

– Ależ rzuciłam! I to nie raz. Bo widzisz... – rzekła z przekornym błyskiem – szydełkowanie bardzo pomaga. Pozwala oderwać się na chwilę od tematu, daje czas na nabranie dystansu. A myślisz, że skąd mam tyle szydełkowanych serwet w domu? Dzięki morderstwom, ma się rozumieć. No, a teraz spróbujmy tych drożdżówek. Od Jakuska, oczywiście.

I podała Zuzannie talerzyk.

– Do Michała radziłabym ci zadzwonić jak najwcześniej. I zaznacz, że w zamian za informację, chciałabyś się czegoś dowiedzieć. Tak, aby później się nie migał i nie zasłaniał dobrem śledztwa. Dobrze mieć swojego człowieka w policji. Oj, dobrze... Paprockiego, tego ich rzecznika prasowego, radziłabym ci omijać szerokim łukiem. Chłopak nie jest zły, a tylko niewyrobiony. Służbista. Jeszcze kilka lat i mu przejdzie. Ale jak na razie lepiej go zostawić w spokoju. I powiedz kuzynowi, by koniecznie dał mi znać, czyje to mieszkanie. Będę miała o czym myśleć popołudniu.

– Sądzi pani, że tak szybko to załatwią?

– Kochana. To jest sprawa morderstwa. Załatwią to od ręki. Ale dobrze by było, gdyby wieści za szybko nie rozniosły się po mieście. Lepiej mieć jakąś przewagę...

– Nad kim?

– Nad zabójcą, moja droga. Dopóki nie wie, że Julia zostawiła wiadomość, to można w miarę bezpiecznie działać. Co prawda nie sądzę, by chciał cię zabić... To by było już za duże ryzyko, jednak, jak wiemy, zastraszyć może. Więc uważaj na to, co i do kogo mówisz...

– Ale...

– Tak na wszelki wypadek – szybko stłumiła sprzeciw.

Zuzanna, chcąc nie chcąc, przytaknęła.

– Mówiła pani, że zabójcą jest ktoś ze spotkania klasowego...  
– A tobie chodzi po głowie coś jeszcze – staruszka wpatrywała się w nią z uśmiechem.  
– Nie uwzględniliśmy obsługi...  
– I Jakuba Bazyla – dodała panna Krystyna i zachichotała. – No tak. Jakub Bazyl... Widzisz, z nim może być problem.

– Mianowicie? – zainteresowała się Zuza.  
– Jako podejrzany zupełnie nam nie pasuje z tego prostego powodu, że za niego ręczę osobiście.  
– Aaa...

Zuzanna po tym kategorycznym stwierdzeniu jakoś nie miała odwagi, by się dopytywać skąd ta konfidencja.

– Te dwa trupy są trochę za blisko. To nie przypadek... – zaczęła panna Krystyna jakby sama do siebie.

– A ty, co o tym myślisz?

Zuzanna, zaskoczona pytaniem, szybko przełknęła ostatni kęs drożdżówki.

– Tydzień różnicy. Szef i jego asystentka. To na pewno nie przypadek. Takie się nie zdarzają. Ale poza tym, że śmierć Rzewuskiego jest raczej sfingowanym samobójstwem, nic więcej nie wiem.

Panna Krystyna z trudem ukryła rozczarowanie i dezaprobatę. Liczyła, że Zuzanna podchwyci też ten trop. Trudno... Trzeba w takim razie wskazać dziewczynie drogę.

– Widzisz... Coś niecoś słyszałam. Rzewuski zginął w sobotę. Ciało znaleziono wieczorem. Sprzątaczkę je znalazły, tak na marginesie. Facet siedział w fotelu za biurkiem, a raczej częściowo zwisał z tego fotela. Miał dziurę w głowie i kałużę krwi pod nogami. Broń leżała obok. Zostawił list. Choć „list” to zbyt szumne słowo. Ot, raptem kartka z jednym zdaniem: „Bez ciebie nie mogę żyć”. No, romansów to on miał od groma. Choć, tak po prawdzie, to ostatnio niewiele o nim słyszałam... – zamyśliła się na chwilę.

– Nie sądzę, żeby się zmienił. Nie..., tacy ludzie się nie zmieniają. Raczej był bardzo dyskretny. Bardzo. Policja z pewnością szuka, z kim ostatnio się spotykał...

– A Julka miałaby z pewnością na ten temat coś do powiedzenia – wtrąciła Zuza.

– Właśnie. Natomiast ktoś się postarał, by wyglądało to jak samobójstwo. Jednak nie dopatrywał się szczegółów.

– Czyli?

– Wiesz coś o broni? – panna Krystyna pytaniem odpowiedziała na pytanie, a widząc przeczący ruch głową kontynuowała. – Jak pocisk wychodzi z broni, to, mówiąc prosto, powstają na nim rowki. Takie żłobienia. Każda broń ma inne. Jak linie papilarne. A z pocisku wyjętego z czaszki Rzewuskiego można poznać, że broń miała tłumik. A tego przy ciele nie było. Czyli zabójca strzelił mu w głowę, odkręcił tłumik, a broń zostawił... Proste. To nawet nie musiała być osoba, która się zna ma robocie. Każdy głupi umie strzelić z przyłożenia. Trudno wtedy chybić. Ciekawe, czemu kula nie przeszła na wylot, tylko utkwiała w czaszce...? No, ale na razie mniejsza z tym. Więc... Co też takiego mogła wiedzieć o Rzewuskim Julia Kurek, że zginęła. A raczej nie o samym Rzewuskim, bo ten był już w kostnicy, ale o kimś z nim związanym...

– Kobieta?

Panna Krystyna zmarszczyła się nieznacznie.

– Jeśli by chodziło o romans, to kobieta. Jeśli o interesy, to raczej mężczyzna.

– Czyli mamy albo zazdrosną kochankę, albo wkurzonego współnika.

– Coś w te klocki, jak mówi twój kuzyn. Ale oni z pewnością już na to wpadli.

– Michał wspominał, że te dwie sprawy prowadzą dwaj komisarze.

– Słyszałam. Łacny i Brender. Obaj niezli. Czyli wracając do tematu... Pytanie brzmi, co takiego mogła wiedzieć Julka? I dlaczego zginęła?

Do Zuzanny powoli docierało, w jakim kierunku zmierza panna Krystyna.

– O mój Boże... – szepnęła. – Wiedziała, kto zabił Rzewuskiego.



To był dzień druku. Zgodnie z zapowiedzią Łukasza już pięć po dziewiątej stanął w drzwiach wujek Rysiek. Niecierpliwym ruchem poprawił brązowy krawat, który nijak nie pasował do czerwono-granatowej kraciastej koszuli, którą dziś założył. Ciekawe, czy ciocia Basia widziała ten zestaw?

– Jest całość?

Łukasz zerknął na ekran.

– Jeszcze włożę trzy teksty. Zuza kończy reportaż i czekam na Artka. Pan Zdzisław przysłał sprawozdanie z poniedziałkowego zebrania wójtów, ale trzeba to skrócić.

– No to skróć. Ale nie za bardzo – zaznaczył. – Jak będzie gotowy tekst Zuzy, daj mi go. Zobaczymy, co z tego wyszło. Będę u siebie – rzucił zamykając drzwi gabinetu.

Zuzanna jeszcze przez chwilę spoglądała na drzwi, zastanawiając się, czy to już koniec spotkania redakcyjnego. Jeśli od dziesięciu lat nic się nie zmieniło w kwestii zarządzania „Kurierem” i publikowaną treścią, to ona naprawdę nie powinna się dziwić, że gazeta ma taką opinię, jaką ma.

– A kolegium redakcyjne się nie odbywa?

Spojrzenie rzucone jej przez Łukasza wystarczyło za cały komentarz.

Otrząsnęła się i zabrała za szlifowanie tekstu. Artykuł o ciucholandach w zasadzie był gotowy. Dopisała jeszcze dwa akapity, poprawiła trochę stylistykę i zadowolona ze swej pracy wydrukowała plik. Zniosła go do pokoju obok.

Rysiek zdawał się pochłonięty czytaniem wstępnego druku pierwszej strony. Zabójstwo Julii Kurek, oczywiście. Zuza wołała nawet na to nie patrzeć. Była wdzięczna, że Łukasz napisał tekst i nawet za bardzo jej w to nie angażował. Co innego wciąż myśleć o szukaniu mordercy, a co innego pisać o zadźganej nożem przyjaciółce ze świadomością, że pół miasta będzie komentować jej osobiste zaangażowanie w temat.

Cicho położyła na biurku własny tekst i wycofała się.

Pora była dość wczesna, więc nie wypadało zarzucić torbę na ramię i wyjść. Zwłaszcza, że mogą być konieczne poprawki w tekście. Mało prawdopodobne, bo uważała, że artykuł wyszedł jej dobrze, jednak znając Ryśka, zawsze musiał się do czegoś przyczepić. Tak dla zasady chyba. Poczekaj więc, aż zamkną numer. A w międzyczasie coś napisze...

Zaraz przed oczami stanęła jej scena, której świadkiem była rano, a która notorycznie powtarzała się dwa, trzy razy w tygodniu. Co prawda felieton jeden już jest...

– Czy można puścić w tym numerze jeszcze jeden tekst humorystyczny?

– A co? – Łukasz odwrócił się na krześle. – Cierpisz na nadmiar sił twórczych?

– Na nadmiar złośliwości – skorygowała.

– Aa... To bardzo chętnie.

Zuza przymknęła na chwilę oczy, by się skupić, po czym zaczęła...

*Wyobraźcie sobie coś małego, puchatego, lekko rudawego, z oczkami jak paciorki. Milutkie, prawda?*

Teraz postawcie to na czterech krótkich nóżkach, dodajcie ogon i pyszczek. Koniecznie płaski, taki, jak po pełnym impetu zderzeniu ze ścianą. Dalej milutkie? A teraz zaopatrzcie to w piskliwy, zjadliwy szczek. Powoli przestaje być milutkie, bo zaczyna działać na nerwy, ale jeszcze próbujemy zachować resztki sympatii. Niemniej jednak – to jeszcze nie koniec... Dodajmy do tego złośliwy, zaczepny charakter, bojowe podejście do wszystkiego wokoło i wręcz nieograniczoną wolność. No... Teraz to już zupełnie przestaje być milutkie. Zaczyna być upierdliwe.

Taki oto egzemplarz biega sobie luzem w okolicach Starego Przedmieścia i terroryzuje otoczenie. Puchaty pekińczyk codziennie robi obchód swoich włości. Przecież trzeba zaznaczyć teren i utrzymać sąsiadów w ryzach posłuszeństwa. Jakiś porządek w tym czworonożnym świecie musi być.

Inne psy mają dwa wyjścia: walcz lub wiew. Można omijać pekińczyka szerokim łukiem, lecz to i tak nie gwarantuje spokoju. Gdy rudy potwór zauważy ruch na horyzoncie – zaraz pędzi skontrolować sytuację. A ponieważ jego jurysdykcji podlega kilka przecznic, obszar działań zmusza go do ciągłego przemieszczania się. Próbując więc przewidzieć, gdzie o danej porze może być – szanse powodzenia mamy takie, jak w lotku. Nie sposób uniknąć spotkania trzeciego stopnia. Pozostaje więc tylko konfrontacja.

Szczere współczucie dla właścicieli psów, którzy, zgodnie z przepisami, prowadzą swych podopiecznych na smyczy. Scenariusz tych spotkań ma kilka stałych elementów. Pekińczyk dostrzega swą ofiarę. Podbiega do niej na krótkich nóżkach szczerząc zęby. Zaczyna ujadać i podskakiwać wokół jak piłeczka, a w ostateczności, upewniwszy się, że przeciwnik mocno trzymany na smyczy nie stanowi dla niego zagrożenia, rozzuchwalony swą bezkarnością, atakuje. Właściciel zaatakowanego szamoce się, próbując opanować własnego psa, który też przecież biernym nie pozostaje, nie zaplątać się w smycz, odpędzić agresora i jeszcze uchronić się przed ugryzieniem.

Ach... Bo jeszcze jedno zapomniałam dodać. Właściciel upierdliwego pekińczyka (bo oczywiście taki jest), mimo próśb (bo do gróźb jeszcze nie doszło) zbywa wszystko wzruszeniem ramion. Widać wyraźnie, że w hierarchii tego stada samiec alfa to ten, który posiada ogon.

Cóż. Liczę, że może kiedyś jakieś przewartościowanie nastąpi, lecz czekając na cud – chyba na razie zaopatrzę się w procę.

Uśmiechnęła się pod nosem. Przecież pióro ostrzejsze od miecza, czyż nie?

A ponieważ wpadła w ten swój ironiczny nastrój, postanowiła iść za ciosem. Może uda jej się dziś napisać jeszcze coś dla portalu internetowego. Coś w słodko-gorzkim nastroju, lekko zabarwionego nutką nostalgii... Coś o chybionych prezentach na przykład, które dostajemy z byle okazji, a z którymi potem nie wiadomo co zrobić. Miała ich w końcu całe dwa pudła. Dalej nierozpakowane, oczywiście. Stały sobie w salonie i czekały na jakiś mebel, w którego czeluściach mogłyby zaginąć na kolejnych kilka lat. Podczas przeprowadzki trafiła na wiele takich problematycznych bibelotów. Upominki sprzed lat. W zasadzie zupełnie nowe, nieużywane, ot, jak choćby ta torebka w kolorze wściekłego pomarańcza, którą dostała kiedyś od współpracowników. Pamięta ten dzień. Odpakowała prezent, postarała się zrobić zadowoloną minę – może z zachwytem niezbyt jej wyszło, ale nikt się chyba nie zorientował, że nie był zupełnie w jej guście. Jednak żal było wyrzucić dobrą, skórzaną torebkę. Teraz, patrząc na to z perspektywy planowanego tekstu zastanawiała się, czy jej skrupuły są czymkolwiek usprawiedliwione. Może to właśnie jest temat...

Niespieszny upływ czasu wyznaczał rytmiczny stukot w dwie klawiatury. Łukasz, zajęty korektą numeru, zapomniał nawet o kubku z kawą, która już dawno zdążyła wystygnąć. Nie zaoponował, gdy Zuza go zabrała i z kuchni przyniosła kolejny, ze świeżo zaparzoną napojem. Potrzebowała tego aromatu, inspirującego i uspokajającego. Tego, który kojarzył się zarówno z pośpiechem i nadmiarem



obowiązków, jak i z leniwymi popołudniami spędzonymi w kuchni na wypiekach lub rozmowach ze znajomymi...

Wróciła do biurka i znów zagłębiła się w pisaniu. Straciła zupełnie poczucie czasu, gdy przemierzała kolejne wspomnienia, próbując ulokować co zabawniejsze i bardziej zaskakujące prezenty w kontekście sytuacji, w których została nimi obdarowana.

Dopiero hałas z impetem otwieranych drzwi przywrócił ją do rzeczywistości.

Zużę tknęło poczucie, że już tę scenę widziała. Swoiste déjà vu. Ciekawa dalszego rozwoju wypadków, spoglądała z uwagą na stojącego w progu wujka Ryśka. Mężczyzna, cały czerwony na twarzy, trzymał w wyciągniętej ręce plik kartek i spoglądał na nie z jawnym obrzydzeniem.

– Co to do cholery... – przerwał próbując zaczerpnąć tchu. Rzucił kartki na jej biurko i poluzował krawat. – Czyś ty zupełnie zwariowała?! Próbujesz mnie tu pograć? Chcesz, żeby urząd miasta się na nas wypiął?! Co ci do głowy, cholera jasna, strzeliło?

Zuzanna zaskoczona zerknęła na rozrzucone wydruki.

– Coś nie tak z artykułem?

– Nie tak?! Nie tak?! Ja z tobą zwariuję. A mówiłem Basi, że z tego mogą być same kłopoty. No proszę cię bardzo! Tekst o ciucholandach? Coś ty sobie myślała?!

– Wydawało mi się, że temat jest dobry...

– Ci się wydawało?! Jak to wygląda? Że miasto schodzi na psy, bo nic innego się tu nie otwiera, tylko nowe szmateksy! Jak ja się pokażę w urzędzie? Szef działu promocji miasta... O Boże! No przecież, jak ja bym się musiał tłumaczyć Tolkowi, że taki tekst puściłem!

Zuza zacisnęła zęby. Więc o to chodziło...

– Temat jest dobry – powtórzyła.

– Może do jakiegoś tabloidu. Nie do poważnej gazety lokalnej. Boże, co ja z tobą mam...!

Zuza chwyciła krawędź biurka tak mocno, że pobielaly jej kłykcie. Impertynencja Ryśka działała jej na nerwy. To dlatego te letnie praktyki w redakcji skończyły się katastrofą. Tak... Oczywiście najłatwiej było chwycić torbę i trzasnąć za sobą drzwiami. Jednak teraz nie mogła sobie pozwolić na odejście.

– Mamy jeszcze kolejny rozdział monografii Starzyńskiego o przydrożnych kapliczkach. Prawda? Dasz to i kilka zdjęć – poleciał Łukaszowi. – To lepsze niż te brednie o ciucholandach. I nikt mi nie zarzuci, że szkaluję wizerunek miasta!



Stała na skrzyżowaniu i po raz kolejny przeklinała swą miłość do szpilek. Gdy po zamknięciu numeru wściekła wyszła z redakcji, zadzwoniła od razu do Tomka Rajskiego. W sobotę rozmawiali na temat podwójnego artykułu o planowanym w Grodowie zlocie starych samochodów i Zuza postanowiła, że wczesne popołudnie może poświęcić na spotkanie i wstępny szkic tekstu. Teraz jednak, po przejściu ponad dwóch kilometrów, zastanawiała się, czy pomysł dzisiejszego spotkania aby na pewno był trafiony. Pluła sobie w brodę, że nie poprosiła Tomka, by po nią podjechał. Kurcze, samodzielna i zaradna? Teraz z rozpaczą spoglądała na fioletowe szpilki i rozciągającą się przed nią żwirową drogę.

Warsztat samochodowy Roberta Barana zajmował sporą działkę na przedmieściach, w obszarze tak zwanego parku przemysłowego. Choć nazwa stworzona była trochę na wyrost, bo jak na razie niewiele

firm udało się burmistrzowi zachęcić do inwestowania na tym terenie, to jednak odpowiednia tablica informacyjna była. Zuza właśnie wpatrywała się w nią i kalkulowała, czy artykuł o braku firm zainteresowanych lokacją na tym terenie będzie równie atrakcyjny, jak ten o ciucholandach. A niech się Rysiek wypcha razem z tą swoją poprawnością polityczną. A raczej wazeliniarstwem.

Zgodnie z sugestią Łukasza, postanowiła wysłać tekst do lokalnego portalu informacyjnego „Rokosz-w-Grodowie”. Nie chciała, by jej kilkudniowa praca poszła na marne, a zastrzegając sobie, by tekst nie był podpisywany, ograniczała ewentualne przytyki i wymówki ze strony wujka.

Teraz, choć dalej była podminowana, postanowiła zająć się inną, równie delikatną kwestią, czyli nieudolnością burmistrza. Ciekawe, czy ktoś z urzędu zgodzi się na rozmowę...

Rozmyślając o kolejnych tematach stąpała delikatnie po żwirze. Kilka razy się zachwiała i z rozpaczą zerknęła na obcasy. Buty, choć wygodne, w ogóle nie nadawały się do terenowych wycieczek. Przeklinając pod nosem pokonała pięćdziesiąt metrów do bramy.

Niezauważenie weszła do warsztatu. W jasnej, wysokiej hali unosił się drażniący zapach olejów i lakieru. Cztery stanowiska rzędem ustawiono wzdłuż jednej ze ścian. Na podnośniku znajdował się jakiś sedan, a dwóch mechaników grzebało w podwoziu. Pochłonięci naprawą w ogóle nie zwrócili na nią uwagi. Głośna muzyka z radia zagłuszała stukot obcasów. Zuza przeszła na drugi koniec hali, gdzie w rogu, częściowo okryta płachtami i oklejona taśmą, stała grafitowa syrenka. Obok niej, na niskim zydłu siedział młody chłopak w okularach i masce ochronnej i z odległości kilkunastu centymetrów uważnie wpatrywał się w drzwi pasażera. Odsunął się na chwilę, poprawił szablon i pistoletem podpiętym do sprężarki przeciągnął smugą lakieru po karoserii. Zadowolony z efektu przesunął okulary na czoło.

Zuza stanęła za nim i podziwiła efekt. Na grafitowym tle powstawały żółte, czerwone i pomarańczowe pasy. Stara syrenka zyskiwała pazur.

– I jak ci się widzi? – Robert ściszył radio i wskazał na samochód. – Jarek jest niezastąpiony. Dobrze, że udało mi się go podebrać Samosiukowi. Wychodzą stąd prawdziwe cudenka. Na przyszłą sobotę będziemy mieli aż pięć.

– Masz pięć syrenek? – Zuza sięgnęła do torby po notes.

– Nie... No skąd? Namówiliśmy właścicieli, którym robimy przeglądy, żeby się pojawili. Zresztą to nie będą tylko syrenki. Natomiast ja mam jedną. Właśnie Felę – wskazał na samochód.

– Nazwałś samochód Fela?

Robert wzruszył ramionami.

– Każdy właściciel jakoś nazywa auto. To taka więź uczuciowa... Wiesz... To przecież ktoś jak członek rodziny.

– A mogę cię zacytować? – Zuza już wychwytywała detale z otoczenia, by wykorzystać je w artykule. Światło lamp odbijające się od karoserii. Beżowe skórzane fotele. Obowiązkowy piesek kiwający główką, który co bardziej wrażliwych doprowadza do mdłości.

– A cytuj, co chcesz. Nam tylko chodzi o dobry artykuł, bo to niezła reklama, a nasi sponsorzy chętnie się ujrzą w prasie. Chcemy zrobić show, jakiego jeszcze Grodów nie widział. Tylko, kurcze, nikt z nas się spodziewał, że z tym będzie tyle roboty i zamieszania. No, ale słowo się rzekło. Niestety, musimy rozmawiać tutaj – wskazał prowizoryczny gabinet oddzielony od hali dyktą. – Tak zwane biuro jest obecnie w remoncie. Kurde. Jak się zwala robota na głowę, to oczywiście wszystko na raz. No trudno... Napijesz się czegoś? Kawy?

Postawił przed nią kubek ze zdjęciem dużego fiata we wściekłym limonkowym kolorze i zajął miejsce po przeciwnej stronie biurka.

– Wyjaśnij mi, jakim sposobem po ogólniaku zająłeś się mechaniką...? – Zuza była tego autentycznie ciekawa.

– Pytasz, dlaczego nie zrobiłem studiów i olałem karierę naukową?

Przytaknęła. Robert był przecież gwiazdą wszelkich konkursów matematycznych i fizycznych. Nauczyciele niemal go błagali, by brał udział w olimpiadach, bo zawsze zostawał laureatem, co podnosiło prestiż szkoły. Jego osiągnięciami dyrekcja placówki mogła się nieustannie chwalić.

– Cóż... Zacząłem studia. Nawet skończyłem z niezłym wynikiem drugi rok na agiehu. A potem nałożyły się dwie sprawy. Może zresztą słyszałaś. Wtedy zmarł mój ojciec i zostawił warsztat. Nieźle prosperujący. Jasiek i Magda to były jeszcze dzieciaki, mieli trzynaście lat. Ja miałem co prawda stypendium i mógłbym się spokojnie utrzymać, ale matka raczej nie poradziłaby sobie sama. Po urodzeniu bliźniaków już nie pracowała, tylko prowadziła dom. O tym, by prowadziła też warsztat ojca, mowy nie było. Zupełnie się w tym nie orientowała. No więc były dwie opcje: albo sprzedać całość, albo się tym zająć. Szkoda było sprzedać... – zamilkł na chwilę pograżając się we wspomnieniach. – Zresztą po drugim roku, gdy zaliczyłem egzaminy, doszedłem do wniosku, że to czas, by coś zmienić w życiu. Od dłuższego czasu kombinowałem, co mi na tych studiach nie pasuje i nie mogłem wymyślić. Szło mi dobrze, większych trudności nie było... A po śmierci ojca zrozumiałem, że brakowało mi rzeczywistego działania. Wyzwań. To była tylko teoria. Można się nią było bawić, ale tylko do czasu. Jakoś nie widziałem siebie jako naukowca ślęczącego w laboratorium czy nad wzorami. Matka, jak usłyszała, że przerywam studia, to normalnie... Więc jeszcze przez prawie rok się męczyłem, to znaczy studiowałem i równocześnie zajmowałem się warszatem ojca. Ale to nie miało sensu i w końcu nawet matka to rozumiała... I tak zostałem biznesmenem, albo mechanikiem, jak kto woli. Kurcze... – zaśmiał się kręcąc z niedowierzaniem głową. – Tobie to się łatwo opowiada. Zawsze można było z tobą pogadać... No więc mam teraz zakład, niezłą ekipę i stałych klientów. I mogę się bezkarnie zajmować starymi autami, a to dopiero jest frajda. I żona nie może mi zarzucić, że marnuję czas... No, ale dość o mnie. Co chcesz wiedzieć o tej imprezie?

Rozmowa trwała już w najlepsze, gdy, przepaszając za spóźnienie, dołączył do nich Tomek Rajski.

– A planujecie jakieś konkursy? – Zuza odhaczyła kolejny punkt z planu rozmowy.

– Konkursy?

– Na przykład ze znajomości historii motoryzacji. A nagrodą mogłaby być przejażdżka starym autem i sesja fotograficzna – podsunęła.

– Dobrze – Robert zabrał się za notowanie we własnym terminarzu. – Można też dorzucić jakieś gadżety. Poza tym czasami wynajmuje się te auta na śluby, więc będzie niezła reklama. Można pożyczyć ten pomysł? Oczywiście ty przejażdżkę masz w gratisie.

– To umowa stoi – ucieszyła się.

We wnętrzu torby rozdzwonił się telefon. Zuza zerknęła na wyświetlacz, a widząc, że to Michał przeprosiła kolegów i odebrała.

– I co? – spytała od razu. – Masz coś?

– Aleś ty niecierpliwa... Mam. Mieszkanie należy do faceta, który od lat siedzi w Stanach. Zajmuje się nim jakiś jego kuzyn i czasem udostępnia lokum kolegom.

Dalszą część zagłuszył zgrzyt szlifierki. Zuza mocniej przycisnęła słuchawkę do ucha.

– Udostępnia!? Po co!? – próbowała przekrzyknąć hałas.

– Gdzie ty jesteś? Na budowie?

– W warsztacie! Samochodowym! U Roberta Barana!

– A to pozdrów go ode mnie!

– Masz pozdrowienia od Michała Konika! – wrzasnęła w momencie, gdy mechanik wyłączył szlifierkę. Jej głos potoczył się echem po hali, a mechanicy, jak na komendę, zerknęli w jej kierunku. – Przepraszam – dodała już ciszej. – Sekundkę...

Odeszła kawałek w głąb hali, by skupić się na rozmowie.

– Po co udostępnia?

– Jak to po co? – zdziwił się kuzyn. – No, na spotkania. Z kobietami...

– Aa... A jaki to ma związek z Julką? Też bywała na takich spotkaniach?

– Na razie nie wiemy. Dzięki w każdym razie za informację. Pozdrów pannę Krystynę i pamiętaj, by nie pakować się w kłopoty.

– Nie pakuję się.

– Akurat...

Zuza, trochę zirytowana ciągłymi napomnieniami kuzyna, wróciła do przerwanej rozmowy. Omówiła jeszcze z Tomkiem plan imprezy, zaznaczyła atrakcje warte podkreślenia w artykule i zapisała kilka danych technicznych.

– Pójdzie to w tym numerze?

– Nie, jest już zamknięty i wysłany do drukarni. Pójdzie w następnym, a potem, po imprezie, jeszcze jeden tekst w formie relacji z przebiegu – zamknęła notes i schowała do torby.

– Co macie na jedyńce? Morderstwo Julki, zapewne...

– A co innego?

– Wiadomo kiedy pogrzeb? – do rozmowy włączył się Robert.

– Na razie nie. Jakimowa też nie wie...

– Tobie to niepotrzebne – wtrącił Tomek Rajski z żartobliwym wyrzutem w kierunku kolegi. – Ty przecież i tak chodzisz na pogrzeby żywych ludzi.

Obaj panowie parsknęli śmiechem. Zuza czekała, aż się trochę uspokoją i nic nie rozumiejąc wodziła wzrokiem od jednego do drugiego.

– Wybacz – wykrztusił w końcu Robert. – Drań co jakiś czas wyciąga tę historię i najchętniej trzasnąłbym go sierpowym, ale jak się śmiesz, to się nie da.

– Co za historię? – ciekawość Zuzy wzrosła.

– Bo widzisz – podjął opowieść Tomek – jakiś czas temu...

– Jakieś pół roku temu...

– Dobra. Jakieś pół roku temu Robert dowiedział się, że zmarła babcia kumpla. Stwierdził, że wypada się wybrać na pogrzeb. Wbił się w odświętny garnitur i poszedł. Ale rozglądając się po kościele nie mógł jakoś tego kumpla zlokalizować i ludzie też mu się wydawali jacyś obcy. W końcu, gdy szedł w kondukcje pogrzebowym dojrzał kolegę... prowadzącego ponoć nieżywą babcie pod rękę!

– A babcia była bardzo zainteresowana, skąd ja znam nieboszczkę – przejął Robert. – No przecież nie mogłem powiedzieć, że nie znam, bo tak w zasadzie to przyszedłem na jej pogrzeb!

Teraz i Zuza zaśmiewała się, próbując powstrzymać łzawiące oczy.

– Boże! Skąd wam się takie historie biorą?

– Z życia, moja kochana. Z życia...

Jeszcze przez chwilę podśmiewali się z tej przygody. W końcu Zuza zdecydowała, że ma już wszystko do artykułu i pora się zbierać. Chciała jeszcze podpytać o to i owo w związku ze śmiercią Julki, jednak łatwiej było jej prowadzić te rozmowy pojedynczo. Liczyła, że Tomek, zajęty przecież prowadzeniem własnej firmy, wpadnie tylko na szybką rozmowę i zaraz poleci do siebie, zostawiając szczegóły Robertowi. Tak się jednak nie stało. Tomek zasiedział się i w ogóle nie wyglądało, by zamierzał wracać do pracy.

– Dobra – rzekła podnosząc się z krzesła. – Postaram się napisać miły artykułek. Jak będą jakieś pytania, to zadzwonię. I może potem któryś z was przejrzy jeszcze tekst, tak, aby sprawdzić, czy nie zrobiłam jakichś błędów, nie wiem..., w nazwach, cylindrach, koniach i tak dalej.

- Nie ma sprawy – Robert też podniósł się z za biurka. – A możesz powiedzieć, czy w sprawie Julki policja coś w końcu ustaliła?
- Nic nie wiem.
- Nawet nieoficjalnie...? – zdziwił się. – Przecież masz kuzyna... Michał ci nic nie podrzucił?
- Michał nie prowadzi tej sprawy, a ja nie piszę tego tekstu. Łukasz Górka wziął temat i nawet nie widziałam ostatecznej wersji artykułu. Według wujka Ryśka nie jestem dość układna, by pisać na poważne tematy...
- Co ty mówisz...?
- No tak. Nawet reportaż, który przygotowałam do tego wydania odrzucił – zmiana tematu przyszła bez trudu. – Brak mi taktu i wyczucia.
- Żartujesz? – Tomek zrobił wielkie oczy.
- Nie. Zupełnie serio. Bo widzisz, brak mi wyczucia miejskich układów... Panowie popatrzyli po sobie.
- W takim razie nie dziwię się, że załazłaś za skórę Moskalowi. Ten twój wujek, wybaczone, to największa lizajdupa w mieście. Ty w ogóle z nim wytrzymujesz?
- Nie minął jeszcze tydzień.
- Aa... – Robert zrobił nieznaczoną pauzę. – No to życzę powodzenia...



Popołudnie dłużyło się niemiłosiernie, więc gdy zadzwoniła Honorata z pytaniem, czy może ją odwiedzić, panna Krystyna przyjęła propozycję z wdzięcznością. Może przyjaciółce uda się choć na chwilę oderwać jej myśli od morderstwa. Od rana, od rozmowy z Zuzanną, chodziła po domu jak struta. Nie dość, że zagipsowana noga dawała się jej coraz mocniej we znaki, a przymusowe uwięzienie i odcięcie od miejskich plotek zaczynało działać na nerwy, to jeszcze to wrażenie, że coś przeoczyła.

Zirytowana pokuśtykała do saloniku, rzutem oka ogarnęła przestrzeń, poprawiła jeszcze zbiór porcelanowych figurek stojący na regale, sprawdzając przy okazji, czy, zgodnie z poleceniem, pani Irenka porządnie pościierała kurze. Zadowolona z rezultatu opadła na fotel, wzięła do ręki szydełko i kordonek, i w oczekiwaniu na wizytę zaczęła dziergać kolejną serwetkę.

Coś jej nie pasowało... Zdecydowanie coś jej nie pasowało. Sprawdziła wzór sądząc, że to pomyłka w rządku, ale nie. Wrażenie, które narastało od rana, osiągnęło w końcu apogeum i pękło niczym bąbel z bagiennym gazem. Zmarszczyła nos, rozpoznając źródło swych strapiień. Sfermentowany, cuchnący odór wyrzutów sumienia.

Panna Krystyna po prostu się martwiła, ponieważ tu nie chodziło o jej własne bezpieczeństwo. Z tym bez najmniejszego trudu by sobie poradziła: zminimalizowałyby zagrożenie, a nad resztą przeszła do porządku dziennego, ignorując ewentualne obawy. Czasem warto było uciec się do malutkiego oszustwa. Technikę tę doskonaliła przez lata na biednym Guciu. Brat, świeć Panie nad jego duszą, nawet na niewinne wspomnienie mordu reagował z nadmierną ekscytacją. Zupełnie nie mogła tego zrozumieć... W świecie fikcji Gucio umiał się przemienić w psychopatycznego, żądnego krwi mordercę, natomiast gdy wynurzał się z oparów własnej twórczości nawet najmniejsza wzmianka o rozkładzie przygotowała go o dreszcze. Brat uparcie trzymał się poglądu, że w ich w miasteczku nic takiego jak przestępstwo nie

istnieje. Uroczy był w tej swojej pełnej pasji naiwności...

Jednak teraz sprawa przedstawiała się zupełnie inaczej. Ona siedziała uwięziona we własnym domu, niezdolna do żadnych działań, a tymczasem posłała młodą, niedoświadczoną dziewczynę w pogoń za mordercą.

Wejście Honoraty spowodowało tylko, że Krystyna jeszcze bardziej wyprostowała się w fotelu i spięła w sobie.

Przyjaciółce wystarczył jeden rzut oka, by ocenić sytuację. Nalała herbaty z imbryka, podała filiżankę Krystynie i przysiadła naprzeciwko.

– Wciąż szukasz mordercy?

– Co...?

– Widzę przecież, jak ci chodzą oczka. Myślisz. I wnioski ci się nie podobają. Szukasz mordercy.

– Tak – przyznała z lekkim westchnieniem. – Julia Kurek, jaka była, taka była, jednak nie zasłużyła na śmierć.

– Myślałam, że interesuje cię Rzewuski.

– To w zasadzie to samo... Dzwonił do mnie twój wnuk.

– Michał? Znow macie jakieś tajemne konszachty? – Honorata sięgnęła po ciasteczko.

– Jakie znow konszachty? Omawiamy interesujący nas temat.

– No i co z tym mordercą?

Panna Krystyna zapatrzyła się w widok za oknem. Na niskiej fontannie przysiadła sikorka i otrzepując się energicznie zażywała kąpieli w kamiennej misie.

– Wnuczka Przeworskiej wychodzi za mąż. Wiedziałaś?

Honorata otrzepała okruszki z palców.

– A co? Masz zamówienie?

– Jedna duża serweta i sześć małych.

– No to bardzo dobrze.

Panna Krystyna pytająco zerknęła na przyjaciółkę.

– Będziesz miała pretekst, by spokojnie pomyśleć.

Jeszcze dwie godziny później, gdy wygladzała gotową serwetkę, jej myśli wciąż krążyły wokół morderstw. Julia Kurek wiedziała... lub przynajmniej domyślała się, kto zabił Rzewuskiego. Ale dlaczego zginął Rzewuski? Na razie nie była w stanie odpowiedzieć na to pytanie i własną bezsilność odczuwała jako wybitnie uciążliwą niedogodność. To tak, jak próbujesz sobie coś przypomnieć, stwierdziła. Masz to już, już... Jesteś pewna, że wiesz. Ale im bardziej się starasz, tym bardziej pamięć zawodzi. Presja i obawa przed porażką mogą być motywujące, jednak często paraliżują.

I do tego informacja o krakowskim mieszkaniu, którą potwierdził jej Michał.

Miała wrażenie, że motyw zabójstwa Adama Rzewuskiego zna od dawna..., że jej podświadomość, przyzwyczajona do żonglowania faktami i skojarzeniami, już dawno wykonała za nią robotę, a jej pozostawiła tylko jedno zadanie. Uzmysłować sobie motyw. Po motywie bez trudu trafi do zabójcy. Zirytowana coraz bardziej naciągała serwetkę.

Dopiero kolejny tego dnia telefon od komisarza Michała Konika ocalił robotkę.

Panna Krystyna przez chwilę słuchała z uwagą, a twarz jej przybierała coraz bardziej zacięty wyraz.

– Dobrze – rzekła w końcu próbując opanować targającą nią złość. – Przywieź ją tu jak najszybciej.



Rzadko się zdarzało, by Jakub Bazyl nie wiedział, co zrobić. Chodził nerwowo po gabinecie, aż w końcu stwierdził, że dłużej tego nie wytrzyma. Rzucił papiery na biurko, chwycił starą, skórzaną kurtkę i zbiegł po schodach. Musiał się przejść i pomyśleć. I koniecznie musiał znaleźć jakieś rozwiązanie. Inaczej – wszystko przepadło.

Bezwiednie skierował się na rynek. Mijanym po drodze znajomym automatycznie odpowiadał na pozdrowienia, lecz w zasadzie nie zwracał uwagi, komu się kłania. Zatopiony w myślach dopiero po chwili spostrzegł, że ktoś go woła. Przystanął, by poczekać na zbliżającego się mężczyznę.

Poznał go od razu. Marek Brodziński. Był przecież w piątek na wernisażu jego prac, a w sobotę gościł go w „Poczekalni”. Ciekaw był teraz, co też obcy w zasadzie facet może od niego chcieć.

– Witam! – Brodziński wyciągnął do niego rękę, którą automatycznie uściśnął. – Przepraszam, że tak na ulicy, ale Ula Kodoba mówiła, że równy z pana gość i nie obrazi się pan, gdy tak zagadnę.

– Nie, oczywiście – skupił swą uwagę na rozmówcy. – W czym mogę pomóc?

– Widzi pan, ta sobotnia impreza niezbyt nam się udała.

Delikatnie mówiąc, pomyślał Bazyl, a przed oczami znów pojawił mu się obraz ciała Julki w toalecie.

– W przyszłym tygodniu wracam do Włoch, a chciałbym jeszcze spotkać się z kumplami i porozmawiać. Ta cała sprawa z morderstwem niezbyt dobrze wyszła... Wie pan, o co mi chodzi. W każdym razie chcemy zrobić powtórkę, a nie wiemy, czy wypada. No bo to niby żałoba. Choć nie wiem, w jakim stopniu nas dotyczy... – Nerwowo potarł podbródek. – Więc pomyśleliśmy, że może u pana, bo pan zna sytuację... Zajęlibyśmy tylko tę małą salę z tyłu, bo nie sądzę, by przyszło wiele osób. Dziesięć, dwanaście może... To co? Możemy się zapowiedzieć na sobotę?

Jakub nie musiał nawet sprawdzać w terminarzu, by wiedzieć, że w sobotę lokal jest wolny. Jeszcze tydzień temu miał pełne obłożenie – prawie wszystkie weekendy do końca listopada były zarezerwowane, bo zarówno sam lokal, jak i otaczający go park były modnym miejscem na wesela i sesje zdjęciowe. Ale w ciągu trzech dni odwołano sporo rezerwacji. Nie dziwił się ludziom. Nie chcieli mieć wesela tam, gdzie straszy trup. O innych interpretacjach wydarzeń starał się na razie nie myśleć...

Chętnie zgodził się na propozycję Marka Brodzińskiego i obiecał, że wszystko będzie przygotowane. Tym sposobem uda mu się podciągnąć obroty, choć i tak ten tydzień spisał już na straty.

Szedł dalej przecinając rynek na skos. Było kilka minut po osiemnastej, sklepy pozamykano dobry kwadrans wcześniej, a na ławkach pozostała tylko młodzież i kilku rolnarzy, którzy barierki otaczające parking wykorzystywali jako teren do akrobacji. Straż miejska czasami podejmowała próby, by ich stąd przegonić, jednak na niewiele się to zdawało.

Dopiero gdy stanął przed wejściem do „Turcji” poczuł głód i uświadomił sobie, że od śniadania zjedzonego w biegu nic nie miał w ustach... No, może poza kawą. Ile jej wypił? Zdecydowanie za dużo.

Pchnął drzwi i zajrzał do środka. Tłum, który zwykle od południa do siedemnastej okupował lokal, przerzedził się i na szczęście można było znaleźć wolne miejsce bez rozpychania się łokciami. Podeszedł do wysokiej lady i usiadł w rogu, tuż obok wyblakłego menu, z którego i tak nikt nie korzystał. Jakub skinieniem przywitał się z właścicielem, który znów strofował pracownika. To już należało do tradycji lokalu: pozorna surowość i opryskliwość szefa, tak jak cała ściana w ilustracjach i pocztówkach przysyłanych z Turcji. Jedna nawet była od niego, ta z widokiem Błękitnego Meczetu. Kiedy to było? Osiem, dziewięć lat temu...?

– I co tam nowego? Chyba jesteś nie w humorze?– zagadnął pan Roman, opierając się łokciami o ladę naprzeciwko.

Od czasów licealnych zwracał się do niego po imieniu i nie było w tym nic protekcyjnego.

– Nie. Wszystko w porządku – zaprzeczył.

– No co ty powiesz...? Masz u siebie tego frymuśnego szefa kuchni ściągniętego z Krakowa, a ilekroć chcesz odpocząć i pomyśleć to zjawiasz się w „Bursie”. Nietrudno zgadnąć, że masz kłopoty. Zresztą po sobotniej akcji wcale się nie dziwię, żeś nie w sosie. Poczekaj... Zaraz przygotuję ci coś specjalnego. Jak nie chcesz mówić, to nie mów. Ale przynajmniej dobrze zjesz.

Gdy godzinę później Jakub wszedł do swojego gabinetu, jego wzrok przyciągnęły pozostawione na biurku papiery. Anonimy. Przyszły z poranną pocztą. Aż cztery, a może tylko cztery. W zasadzie już od poniedziałku oczekiwał ich w skrzynce, więc tak bardzo go nie zaskoczyły. Powtarzało się w nich jedno słowo: MORDERCA. „Życzliwe” osoby radziły mu wynieść się z miasta, bo nie chcą tu mieć człowieka, który przed laty uniknął więzienia za jedno zabójstwo, a teraz popełnił dwa kolejne. Oczywiście, według nich była to zbrodnia z zazdrości, bo jego była kochanka, Julia Kurek, znalazła sobie innego fagasa, czyli Rzewuskiego, więc on zabił oboje. Listy ociekały jadem i świętoszkowatym oburzeniem. Z tym jeszcze by sobie jakoś poradził, już to raz przerabiał. Jednak niepokoiła go ukryta w podtekście groźba. Mimo absurdu całej sytuacji, po prostu bał się ją zbagatelizować.



Było już ciemno, gdy Michał przywiózł ją do domu panny Krystyny. Zuzanna, zupełnie wykończona, marzyła tylko o tym, żeby zawinąć się w ciepłą kołdrę i po prostu zasnąć. Nie miała już nawet siły płakać. Nie... Wszystkie łzy wylała w momencie, gdy po spotkaniu z Tomkiem i Robertem, z całą torbą zakupów, wieczorem wróciła do domu i zastała pogrom w kuchni.

Najpierw ostrożnie obeszła dół i antresolę, by sprawdzić, czy włamywacz jeszcze gdzieś się nie czai. Jednak w mieszkaniu było przeraźliwie pusto. Weszła więc do kuchni i po prostu osunęła się na podłogę, ukryła twarz w dłoniach i długo płakała. Jedyne wykończony element mieszkania, jej piękna, ukochana kuchnia, była w całości pomalowana czerwoną farbą. Fronty szafek, blaty, okap nad kuchenką... To był jakiś koszmar. Wszystko było wymazane sprejem.

Panna Krystyna od razu zaprowadziła ją do gościnnego pokoju. Odrzuciła dzierganą narzutę z łóżka, posadziła na nim Zuzannę i podpierając się laską pokuśtykała do kuchni. Zaraz wróciła stamtąd z kubkiem gorącego kakao.

– To pomoże ci uspokoić się i zasnąć. Niezawodna receptura... Zaraz wrócę.

Zuzanna ostrożnie spróbowała. Gęsty i słodki napój doprawiony był rumem. O tak, starsza pani wiedziała, czego jej potrzeba. Wypiła powoli i przyłożyła głowę do poduszki. Jednak nie mogła oderwać myśli od widoku swego mieszkania.

Zza uchylonych drzwi słyszała przyciszone głosy. To Michał, mocno zaniepokojony, rozmawiał z panną Krystyną. Wychwytywała pojedyncze słowa. Zniszczone..., koszty..., brak śladów włamania... To właśnie najbardziej zastanawiało i nie dawało spokoju... Jak ktoś obcy dostał się do mieszkania? Drzwi były porządne, z dwoma zamkami. Na dole był domofon, ale on raczej nie stanowił przeszkody. Okna i balkony były pozamykane, zresztą to dość wysoko i tylko szalenie zdecydowałby się na taką



wspinaczkę w świetle dnia. Z pewnością ktoś by zauważył włamywacza. Nie... On musiał wejść przez frontowe drzwi. Nowy blok, nowi mieszkańcy, pełno kręcących się jeszcze robotników i dostawców. Nieznana twarz nie wzbudza podejrzeń. Tylko jak sforsował drzwi?

Mocniej wtuliła się w poduszkę. Cała się trzęsa. Skutki szoku dopadały ją z opóźnieniem. Po prostu doszła do granicy. Ostatnie miesiące nie były łatwe, ostatni tydzień tym bardziej. Jakoś sobie poradziła z rozstaniem z Mirkiem, odwoływaniem ślubu, przeprowadzką do „ich” mieszkania na raty, z nową pracą... Umiała nawet zachować zimną krew w obliczu zabójstwa Julki i ataku w parku. Ale to..., to było coś zupełnie innego. Ktoś naruszył jej przestrzeń. Zbezczescił miejsce, które uważała za bezpieczny azyl.

Trzask zamykanych drzwi i przekręcanych zasuw oznajmił wyjście Michała. Nie minęła chwila, gdy panna Krystyna, wspierając się na lasce, ostrożnie zajrzała do pokoju. Widząc, że Zuzanna jeszcze nie śpi, weszła i usiadła w fotelu.

– Tu jesteś zupełnie bezpieczna – oznajmiła. – Jak tyle lat ma się do czynienia z najgorszymi szujami i wariatami, to człowiek umie się bronić. Choć muszę przyznać – kontynuowała tonem przyjaznej pogawędki – że obecnie jest to o niebo łatwiejsze niż przed laty. Tak... Teraz wystarczy mieć dobrego, zaufanego specja od systemów zabezpieczeń.

Do Zuzanny, zajętej wciąż rozmyślaniami o włamaniu, dopiero po chwili dotarł sens słów gospodyni.

– Jaki system zabezpieczeń?

– Moja droga. Może jestem stara, ale nie głupia. Mam czujniki wokół domu i kilka wewnątrz. No i, oczywiście, monitoring. Sprytnie ukryty. Jest też konwencjonalny alarm, taki zupełnie w stylu zgrzybiałej staruszki, który byle łapserdak rozłączy w dwie minuty, ale to tylko atrapa dla naiwnych. I kilka niespodzianek dla nieproszonych gości... Tak więc jesteśmy tu zupełnie bezpieczne – powtórzyła.

Chwilę trwały w milczeniu. Zuzanna czuła unoszący się wokół aromat lawendy, charakterystyczny dla panny Krystyny. Przesiąknięta nim była pościel i Zuza przykładając głowę do poduszki, wdychała kojący zapach.

Panna Krystyna jest jednak dziwną osobą, pomyślała zapadając w sen.

Nie zdawała sobie sprawy, że wypowiedziane na głos słowa wywołały uśmiech staruszki. Gospodyni podniosła się cicho z fotela, zabrała kubek i ostrożnie wyszła na korytarz. Gdy tylko przymknęła drzwi uśmiech momentalnie zniknął z jej twarzy.

Dość już tej bezczynności. Złamana noga może i była wymówką przez jakiś czas, ale pora ruszyć w miasto. Może nie w sensie dosłownym, bo na to jeszcze przez kilka tygodni nie będzie sobie mogła pozwolić, ale przecież, na Boga, nie żyjemy w średniowieczu!

Otworzyła drzwi do piwnicy i mocno trzymając się poręczy zeszła na dół. Kiedyś będzie trzeba zainstalować windę, pomyślała z sarkazmem. Minęła spiżarnię z regałami zastawionymi przetworami, skład pudeł z sezonowymi ozdobami i sięgnęła po schowany za starym nocnym stolikiem klucz. Naoliwione drzwi otworzyły się bezszelestnie. Panna Krystyna szybko podeszła do zamontowanej w ścianie konsoli i wstukała kod. No cóż. Miała lekką paranoję, jeśli chodzi o zabezpieczenia, ale uważała, że jest to usprawiedliwione.

Duże pomieszczenie usytuowane pod salonikiem nie miało okien. Jakoś tak się złożyło, że wysokie piwnice tej przedwojennej willi w większości pozbawione były świetlików. Miało to swą dobrą stronę... Na środku stało biurko Gucia. Nie umiała się z nim rozstać, więc gdy zlikwidowała gabinet zmarłego brata, postanowiła znieść je na dół do swojej pracowni.

Teraz zasiadła w wielkim skórzanym fotelu, w którym Gucio zwykł medytować nad kolejnymi zbrodniami, a nierzadko i zasypiać. Włączyła komputer i wyświetliła kartotekę znajomych. Przy nazwiskach, dla ułatwienia przeglądania bez konieczności otwierania każdej fiszki, widniały kolorowe kwadraciki oznaczające konkretne grupy. Mieszkańców miasteczka poszeregowowała ze względu na

powiązania rodzinne, zawody i, przede wszystkim, krąg zainteresowań. Stworzenie tej bazy zajęło jej prawie trzy miesiące, z czego i tak ponad miesiąc strawiła na wymyślanie sposobów katalogowania. Jednak w ostatecznym rozrachunku musiała przyznać, że Miécio Bąk miał dobry pomysł, namawiając ją na kupno tego ustrojstwa. Panna Krystyna od razu, gdy tylko pojawił się ten pomysł, zapisała się na Uniwersytet Trzeciego Wieku, na którym były bezpłatne zajęcia z informatyki dla seniorów. Choć „informatyka” to szumnie powiedziane. To raczej podstawy korzystania z komputera dla matołów. Przez większość czasu siedziała zirytowana, gdyż prowadząca wszystko tłumaczyła wolno i wyraźnie, i miała tę denerwującą tendencję powtarzania każdego zdania dwa razy. Panna Krystyna wytrzymała jednak jakoś do końca kursu, chyba tylko po to, by stworzyć odpowiednie pozory, po czym od razu zadzwoniła do Miécia z prośbą o szybkie dostarczenie sprzętu i zorganizowanie szkolenia na poziomie bardziej zaawansowanym niż otwieranie okienka z pocztą. Pan Miécio osobiście podjął się zadania, które uważał za częściową spłatę długu względem swej wieloletniej klientki. I tym sposobem panna Krystyna wraz z nowiutkim oprogramowaniem wkroczyła w XXI wiek.

Siedząc teraz w fotelu zastanawiała się, jak, bez wzbudzenia podejrzeń, zdobyć informacje. Cóż.. Wiedziała, że i tak podejrzania i plotki się pojawią, to było nieuniknione. Wszyscy w Grodowie w każdym jej działaniu dopatrywali się zawsze jakichś ukrytych celów, co najczęściej było zgodne z prawdą, ale niestety nie ułatwiało pracy. Tak więc teraz musiała wymyślić pretekst na tyle wiarygodny, by przynajmniej część osób nie była pewna jej motywów.

Przez chwilę przebiegała wzrokiem wyświetloną listę analizując kolory przypisane do nazwisk. W końcu znalazła wspólny mianownik.

– Sobotnie spotkanie robótkowe... I kogo by tu zaprosić na herbatkę?



Miała zatkaany nos i zupełnie wyschnięte gardło. Oczy ją szczypały, gdyż wczoraj nawet nie miała sił porządnie zmyć makijażu i ograniczyła się do wytarcia rozmazanego przez łzy tuszu. W głowie jej trochę łupało. Kombinacja nerwów, płaczu i obficie doprawionego rumem kakao, które zaserwowała gospodyni, dawała teraz znać o sobie. Zuzanna sięgnęła po postawioną na stoliku przy łóżku szklankę z wodą. Z trudem ją przełknęła i w końcu udało jej się zogniskować wzrok na tarczy zegarka. Z niedowierzaniem wpatrywała się we wskazówki. Po ósmej! Niemożliwe.

Ostrożnie podniosła się z łóżka i podeszła do drzwi. Przez chwilę stała bez ruchu próbując wychwycić jakiś hałas. W domu panowała jednak bezwzględna cisza, przerywana jedynie tykaniem zegara. Zaniepokojona otworzyła drzwi i prawie że na palcach przeszła przez korytarz. Przypomniała sobie, co wczoraj wieczorem panna Krystyna mówiła o zabezpieczeniach. Zastanawiała się, czy w tej chwili też ją obserwują kamery... Czegoś takiego zupełnie się nie spodziewała. Nie po pannie Krystynie. Wiedziała, że starsza pani jest dość oryginalna, zawsze uważała ją za wścibską osobę, która znajduje przyjemność w śledzeniu życia innych. Jednak nawet by nie pomyślała, że taka dama ma w domu dla bezpieczeństwa zamontowany monitoring. Przecież tylko kompletny idiota ważyłby się podnieść rękę na tę legendę Grodowa.

– Aa... Widzę, że już wstałaś – przywitała ją gospodyni stojąc na progu kuchni. – Chodź, chodź... Zrobiłam świeżej herbaty. Zaraz przygotowuję śniadanie.

Zagarnęła Zuzannę do środka i posadziła przy stole.

Kuchnia bardzo przypominała tę w jej rodzinnym domu. Klasyczna, wręcz staroświecka, z szydełkowanymi firankami i koronkami przypiętymi do półek w przeszklonym kredensie. Okna wychodziły na północną stronę, na mały ogródek rozciągający się między furtką a domem. Szeroki parapet, na którym stały doniczki z ziołami, był idealnym miejscem, by podeprzeć się na łokciach i obserwować koty spacerujące po ogródku. W tym momencie jeden z nich siedział pod tujami, drugi przy azaliach i oba z uwagą wpatrywały się w kamienną misę, w której trzepocząc skrzydłami, kapały się wróble.

Zuzanna przyglądała się, jak panna Krystyna stawia przed nią kolejne słoiczki z dżemem.

– Spróbuj wszystkich – poradziła. – Zrobię tosty i będzie jak znalazł. Chyba, że wolisz coś innego. Mów śmiało.

– Nie, nie... To w zupełności wystarczy. Poza tym muszę się pospieszyć, nie chcę być spóźniona do pracy.

Panna Krystyna pokręciła głową z dezaprobatą.

– Moja droga. Do pracy to ty nie masz się co spieszyć. Po pierwsze, Grodów to nie Kraków, tu punktualność nie jest praktykowaną cechą. Po drugie dzwoniłam już do Łukasza Górki, żeby mu powiedzieć, że będziesz później...

– To on już jest w redakcji? – zaskoczona Zuzanna zerknęła na zegarek. Nie było jeszcze nawet wpół do dziewiątej.

– Niezupełnie. Dzwoniłam na komórkę. A jak się dowiedział, że cię nie będzie bladym świtem, to, coś mi się widzi, humor mu się poprawił.

– Aa... – Zuzanna poczuła lekkie wyrzuty sumienia, że w niecały tydzień zdążyła zestresować kolegę z pracy.

– Po trzecie, powinnaś się zastanowić, co z mieszkaniem. Doradzam wymianę zamków i zamontowanie jakiegoś alarmu. Dam ci telefon do znajomego, to zrobi to dobrze i w miarę tanio.

– Pani spec od zabezpieczeń?

Gospodyni przytaknęła.

– Może nie zrobi tego osobiście, bo ma ostatnio problemy z barkiem, ale na pewno podeśle zaufanego pracownika. Nie masz się więc czym martwić.

– Mam... Kuchnię.

– No cóż... Bardziej by mnie martwił zabójca, ale rozumiem.

– Naprawdę? – zdziwiła się Zuzanna, która trochę uraził rzeczowy ton panny Krystyny.

– Oczywiście. Wtargnięcie do domu zawsze budzi lęk i obawy. Burzy poczucie bezpieczeństwa. A myślisz, że dlaczego kazałam sobie zamontować monitoring. Dość już miałam wariatów bezkarnie zakradających mi się do domu. Jak jeszcze Gucio, mój brat, żył, to był z tym dodatkowy problem. Wszelkie włamania, jeśli się dało, trzeba było przed nim zataić, bo w przeciwnym wypadku biedak za bardzo się stresował i popadał w niemoc twórczą. Tak więc wiem dokładnie, jak się czujesz.

– Nie zdawałam sobie sprawy... – przyznała ze skruchą.

– Bo raczej wolę nie rozpowiadać o tym. Oczywiście większość takich incydentów zgłaszałam na policji, tak, żeby później się nie denerwowali, że o czymś nie wiedzieli. Zresztą ten twój kuzyn to bardzo miły człowiek i dzięki niemu przynajmniej nie muszę się użerać z Paprockim... Boże, że też wybrali sobie na rzecznika prasowego takiego osła... Wiem, wiem... – machnęła ręką zbywając domniemane protesty. – Młody, niedoświadczony, ale się wyrobi. Michał powtarza to praktycznie za każdym razem. Tylko, proszę ja ciebie, czy ja się doczekam? No bo jakoś młodsza to się nie robię... A i czasem cierpliwości już nie mam do takich żółtodziobów, co to trzeba im wszystko drukowanymi literami tłumaczyć. Boże... Co też

się z tym krajem dzieje, że człowiek ma maturę, a dalej taki tępy? Nie to, co kiedyś...

Zuzanna taktownie nie komentowała.

– No, ale dość tego biadolenia. Mamy ważniejsze sprawy na głowie.

Panna Krystyna wyprostowała się na krześle, splótła dłonie i wbiła w nią uważne spojrzenie.

– Najpierw opowiedz mi dokładnie, co się wczoraj wydarzyło, a potem zaczniemy raz jeszcze od początku. A przynajmniej od tego początku, który jesteśmy w stanie uchwycić, czyli od waszego zjazdu absolwentów... Więc?

Zuza, starając się nie popadać zbyt w przygnębienie, zrelacjonowała wczorajszy wieczór. Tak po prawdzie niewiele tego było. Weszła na górę z zakupami, które zrobiła w osiedlowym sklepie. Otworzyła drzwi nie zauważając, że ktoś przy nich majstrował. Nic nie wzbudziło jej podejrzeń. Nawet przedpokój nie zapowiadał katastrofy, jaką zastała w kuchni. Jeden rzut oka wystarczył... Siatki wypadły jej z rąk, a ona mocno chwyciła za ściankę czując, jak miękną jej nogi. Turkusowe fronty szafek wymazane były czerwonym sprejem.

– Jakieś napisy?

– Nie... Po prostu linie, koła... Jakieś szlaczki.

– No tak. Gdyby coś napisał, można by próbować połączyć to z zabójstwem Julii Kurek. Sprawdziałaś, czy coś zginęło?

– A co by u mnie mogło zginąć? – Zuza bawiła się tostem, metodycznie krusząc go na kawałki.

– Czyli nie sprawdzałaś. Ale masz rację. Ten akt wandalizmu to tak jak akt desperacji. Zabójca wie, że nic nie może już zrobić, jedyne co mu pozostało, to spróbować cię nastraszyć. Jednak popełnił błąd... Czuje się osaczony i zaczyna robić głupstwa. To dobrze wróży. Choć mogą z tego wynikać dalsze nieprzyjemności. Bo widzisz... On dokładnie wiedział, jak uderzyć. Po prostu musiał wiedzieć, ile dla ciebie znaczy to mieszkanie... I że to cię najbardziej zaboli. Ale nie martw się. Szafki jakoś się wyczyści...

– Nie sądzę... Trzeba będzie raczej wymienić blat, fronty... Okap nad kuchenką może uda się uratować, jednak co do reszty... Kurcze! Nie stać mnie.

Panna Krystyna dołączyła herbaty do kubków i położyła przed nią nową grzanekę.

– Morelowy z pomarańczą – podsunęła kolejny słoiczek. – Wracając do tematu... Nie myślałaś o współlokatorce?

– Myślałam... – Zuza sięgnęła po łyżeczkę i obficie nałożyła sobie dżemu.

– To może trzeba się też za jakąś rozejrzeć. To naprawdę nie jest zły pomysł... – panna Krystyna też zabrała się za tosty.

Przez chwilę jadły w milczeniu. Zuza musiała przyznać, że wynajęcie małego pokoju rozwiązałyby część problemów. Sama już przecież o tym myślała. Jednak wcześniej trzeba byłoby rozwiązać sprawę kuchni i coś w końcu zrobić z salonem. Nie mogą tam przecież zalegać pudła.

– Potrzebowałabym sofy, stolika, jakichś foteli. Na razie nie mam mebli...

– Michał mówił, że masz osobny pokój przy salonie. Najemca sam może go urządzić, więc odpadną ci te koszty. Co do reszty... Coś się wymyśli. Wiesz, moja droga... W tej chwili może ci się to wydać banałem bądź kłamstwem, ale naprawdę nie ma tego złego, co by nie wyszło na dobre. Choć najczęściej na początku wcale to tak nie wygląda. Czasami trzeba dać sobie trochę czasu i spojrzeć na sytuację z dystansu.

– Zmieni to coś? – powątpiewała.

– Ależ oczywiście! Jestem stara, wiem co mówię. Zobaczysz. A na razie zajmijmy się sobotą.

Panna Krystyna odchyliła się na krześle i sięgnęła do szuflady po notatnik. Założyła wiszące na łańcuszku okulary i znów skupiła całą uwagę na Zuzie.

– A więc mów po kolei, co pamiętasz. Jeszcze raz. Wszystko. Rozmowy, ludzi, jak byli ubrani, co się działo, własne wrażenia... Wszystko – podkreśliła.

Zuzanna wpatrywała się w kryształową cukiernicę, zastanawiając się od czego zacząć.

– Nie do końca byłam pewna, czy chcę iść na tę imprezę...

Gospodyni ze zrozumieniem pokiwała głową.

– Jednak Ola nalegała. Poszliśmy na zakupy, do fryzjerki i nawet w pewnym momencie zaczęłam się cieszyć, że spotkam się ze znajomymi z liceum. Wie pani... Taka podróż sentymentalna. Przyszliśmy po siódmej. Niewiele osób było. Zresztą spotkanie powoli się rozkręcało... Próbowałam ustalić, gdzie znajdowali się ludzie przez większość wieczoru i gdzie byli w momencie tuż przed... – zagryzła mocno wargi na wspomnienie przeraźliwego krzyku Eweliny. – Zrobiłam tabelę... Ale nic z tego. To niewykonalne.

– Nie dziwię się... Rzadko kiedy udaje się ze stuprocentową pewnością ustalić kto gdzie w danym momencie był. Ludzie w przeważającej większości są egocentryczni. Skupiają się na sobie i swoim punkcie widzenia. Nie mają pamięci do szczegółów, a często pojawia się problem z ustaleniem kolejności zdarzeń. Wystarczy, że ktoś zasugeruje jakąś wersję i większość po chwili zaczyna uznawać, że oni też tak dane wydarzenie pamiętają... Dlatego świadków najlepiej przesłuchiwać osobno. Żeby się nie podpierali wzajemnie własnymi zeznaniami... Znasz taką zabawę logiczną: skoro Norweg mieszka obok czerwonego domu, Duńczyk pije herbatę, a palacz lightów mieszka obok posiadacza kota, to kto hoduje rybki?

Zuza przytaknęła.

– No właśnie. Szukanie zabójcy w tłumie to właśnie taka zabawa. Nie masz wszystkich potrzebnych danych, za to masz jeden wielki chaos informacyjny. Większość jest z jakiegoś punktu widzenia przydatna, kilka zbędnych danych zaciemnia obraz lub powiela to, co i tak wiemy. Tu, dodatkowo, możemy mieć informacje fałszywe, podsuwane przez zabójcę, który chce ukryć się w tym gąszczu. Chodzi o to, by oddzielić ziarno od plew. Więc spiszmy wszystko, co przychodzi ci do głowy w związku z sobotnim wieczorem. Chcesz notatnik?

Zuza jednak wolała skorzystać z własnego laptopa, który na polecenie Michała zabrała wczoraj z mieszkania. Aż dziw, że włamywacz do niego się nie dostał...

Postawiła go na kuchennym stole i razem z panną Krystyna zaczęły analizować kolejne okienka tabeli.

– Jakiś ogłęd sytuacji to daje – przyznała starsza pani. – Jednak nie uwzględniłaś jedynej osoby, co do której ruchów możemy mieć praktycznie całkowitą pewność.

Zuzanna zerknęła na nią z nagłym zrozumieniem.

– Siebie.

– Właśnie. Opowiedz więc, co podczas tego wieczoru zwróciło twoją uwagę...

Dziewczyna odetchnęła głęboko i przymknęła oczy. Sobotnie spotkanie przewijało się przed jej oczami niczym kolejne sceny filmu. Znów czuła tamte emocje: radość, ciekawość, niepewność. Tę obawę, że kolejne dowody fałszywego współczucia wyprowadzą ją z równowagi i popsują zabawę.

– Weszliśmy z Olą prawie punktualnie – zaczęła raz jeszcze. – Jeszcze niewiele osób było na miejscu. Podeszła do nas Agata Klemp. To ona przez cztery lata była przewodniczącą klasy. Z własnego wyboru, że tak powiem. A wszyscy byli zadowoleni, bo jakoś nikt inny nie pchał się na to stanowisko. Zresztą Agata świetnie sobie radziła i teraz też praktycznie sama zorganizowała całe spotkanie. Potem czas biegł niezauważenie. Zaczęło się koło dziewiętnastej. Ludzie schodzili się jeszcze przez dwie godziny. Wszyscy krążyli między salą z tyłu, barem, boksami i palarnią przed lokalem. Wspominaliśmy dawne czasy...

Na to stwierdzenie panna Krystyna zaśmiała się pod nosem.

– No tak... Mówię, jakby to było sto lat temu – przyznała Zuza. – W każdym razie ludzie wspominali różne anegdoty: kółko fotograficzne i jak próbowaliśmy urządzić w szkole ciemnię, kółko teatralne, a zwłaszcza występ na festiwalu małych form.. Śmiesznie wyszło, gdy Tomek Rajski z Markiem Brodzińskim i Pawłem Oterskim odstawili z pamięci prawie cały numer i to jeszcze gwarą. Zawsze mieli talenty aktorskie. Natalia chwaliła się karierą modelki, dziewczyny w większości rozmawiały o dzieciach... Ja próbowałam się zorientować i jakoś spamiętać, kto czym się zajmuje. Tak na wypadek, gdybym pisała jakiś tekst. Zresztą na spotkaniu udało mi się umówić trzy rozmowy w sprawie artykułów.

– Kogo złapałaś?

– Klaudia Pajak chciała, bym napisała o wystawie exlibrisów, która jest w bibliotece. Marek ma w galerii wystawę swoich grafik – to był drugi temat. A Tomek z Robertem przygotowują rajd starych samochodów, więc zależy im na informacji i reklamie w mediach.

– I wszystkie te rozmowy już przeprowadziłaś?

– Tak. Powinny się dziś ukazać, pod warunkiem, że wujek Rysiek w ostatniej chwili czegoś nie zmienił...

– Aa... Więc może dziś z większą przyjemnością niż zazwyczaj przejrzę tę gazetę...

– Kupuje pani „Kuriera”? – Zuza na chwilę zapomniała o kruszonych tostach.

– No cóż... Jak mówią moi młodzi przyjaciele: „Kurier” szalu nie robi. Ale wiesz, lubię być dobrze poinformowana... Nawet – dodała ze złośliwym błyskiem w oku – jeśli te informacje są spóźnione i tendencyjne. Przynajmniej wtedy można się zorientować w oficjalnej polityce władz lokalnych. Nie na wiele się to oczywiście zdaje, ale gdyby przyszło mi kiedyś do głowy urządzić jakąś pikietę, wiec, czy coś podobnego, no to przecież muszę wiedzieć, przeciwko jakim bredniom zamierzam protestować. Ale na razie mniejsza z tym. Więc? Co dalej?

– Kamera się zepsuła. Na zapleczu.

Panna Krystyna szybko zanotowała to w swoim zeszycie i zaczęła stukać końcówką długopisu w kartkę. Widać było, że nad czymś myśli.

– Kto o tym wiedział?

– Trudno powiedzieć. Na początku policja nie sądziła, że w ogóle ktoś z gości o tym wie...

– Rozumiem, że wyprowadziłaś ich z błędu.

– Zwróciłam tylko uwagę Michałowi. Barman z kelnerem rozmawiali o kamerze. Przy kontuarze było wówczas kilka osób.

– Pamiętasz kto?

– To było wtedy, gdy Ola wyszła. Potem na jej stołku siedział Jarek, chyba... Pamiętam, że z nim rozmawiałam o pracy w Krakowie, Patryk mówił coś o koncercie, Karol opowiadał mi o dzieciach i wycieczce w Bieszczady, Marek o swojej wystawie, a Tomek o winach... Ale to chyba wcześniej... Przykro mi, ale nie jestem w stanie określić, w jakiej kolejności to było. Potem rozmawiałam z Julką...

– Rozmawiałaś z nią przed śmiercią?

– Jakąś godzinę przed, może mniej...

To była jej ostatnia rozmowa z przyjaciółką. Siedziały przy barze, piły, śmiały się... Jakże dalekie były od poważnych tematów. Zuza, zadowolona z pochwały przyjaciółki, coraz lepiej czuła się w nowej fryzurze.

– Śmiałyśmy się z Natalii – podjęła po chwili cicho, mówiąc jakby sama do siebie. – Nic nie zapowiadało wówczas, że... Była taka pełna życia. Zresztą, zawsze taka była. Radosna i przebojowa. Omawiałyśmy moją nową pracę. Julka pamiętała historie, które opowiadałam podczas wakacyjnych wprawek w redakcji, jeszcze w liceum. Wątpiła, czy wytrzymam z wujkiem Ryśkiem. Ja zresztą też. Na szczęście po tym pierwszym tygodniu mam mniejsze obawy... Chciała się umówić ...

– W konkretnej sprawie? – zainteresowała się panna Krystyna.

– Nie... Tak ogólnie. Bawiło ją niezmiernie, że zamierzam znów pisać dla „Kuriera”. Żartowała, że będę tropić szwindle w mieście. A potem gdzieś poszła...

– Nie wiesz gdzie?

Zuza pokręciła głową.

– Przyszła Klaudia, a Julka nie chciała z nią rozmawiać. Nawet nie wiem dlaczego. Potem już jej nie widziałam. Dopiero krzyk Eweliny... Myślałam z początku, że znów coś wylała. Tak jak wcześniej to wino na Tomka. Ten to dopiero był czerwony. Zwłaszcza gdy Agata próbowała go posypać solą, by się plama nie rozeszła. Biedak próbował hamować zapędy ratujących go dziewczyn i irytował się, że nie zabrał spodni na przebranie. Marek stał obok i wył ze śmiechu. A potem przytoczył historię z którejś wycieczki, jak to Tomek wsadził sobie na głowę talerz z jajecznicą. Większość osób skupiła się wokół tej sceny. A potem Ewelina zaczęła wrzeszczeć.

– Dlaczego akurat ty poszłaś do łazienki?

Zuzanna, zaskoczona pytaniem, zamilkła. Próbowała przypomnieć sobie, co za impuls pchnął ją w stronę, skąd dochodził krzyk. Zaskoczenie? Ciekawość? Irytacja? Czy zaniepokoiło ją coś, gdy usłyszała ten histeryczny ton?

– Chyba po prostu byłam najbliżej – stwierdziła powoli.

– A czy ktoś zwrócił twoją uwagę? Dziwnie się zachowywał? Powiedział coś niespodziewanego? – drażyła staruszka.

– Nie. Może tylko z wyjątkiem Bazyla...

– Jakuba?

– Nie wiem, jak to wyjaśnić... To było po prostu wrażenie. Od razu wiedział co robić. W mgnieniu oka ocenił i opanował sytuację. Tak, jakby to nie był jego pierwszy trup.

Panna Krystyna niczego nie skomentowała, tylko nieznacznym uśmiechem rozciągnął jej wąskie wargi.



Telefon Michała znów kazał Zuzie wrócić myślami do zdemolowanego mieszkania. Jak donosił kuzyn, technicy nic nie znaleźli. A przynajmniej nic szczególnego. Zamek otworzono wytrychem, dość sprawnie, bo nie był zbyt porysowany. W mieszkaniu, poza kuchnią wymazaną farbą, nie było innych śladów bytności intruza. Michał radził wezwać rzeczoznawcę i ubezpieczyciela, by jak najszybciej pobrać odszkodowanie.

– Najlepiej zadzwoń do faceta, który ci robił kuchnię. On ci doradzi, co z tym zrobić. Może mają jakiś rozpuszczalnik...

– Michał... Chyba sam w to nie wierzysz. Przecież tu trzeba praktycznie wszystko wymienić...

– No cóż... Pewnie tak. W razie czego, gdyby ubezpieczyciel chciał, to mam raport. Co zamierzasz dziś zrobić?

To z pozoru niewinne pytanie wzbudziło czujność Zuzy.

– A co...?

– Nic, zupełnie nic... – spokój w głosie kuzyna był tylko pozorny. – No jak to co?! Kobieto! Twoja przyjaciółka nie żyje. Ktoś cię zaatakował w parku, zdemolował mieszkanie. Wybacz, ale szukanie

mordercy to nie zabawa dla miłych kobitek.

– Pannie Krystynie byś czegoś takiego nie powiedział!

– Panna Krystyna to inna liga. A ty masz jakiegoś wariata na karku. Więc, tak, chcę dokładnie wiedzieć, co dziś zamierzasz robić, gdzie i z kim będziesz, i oczywiście, gdzie zamierzasz nocować. Może zostaniesz u panny Krystyny?

Choć była to kusząca propozycja, Zuza postanowiła ją odrzucić. Jeśli da się wciągnąć w tę spiralę strachu, to później będzie coraz trudniej się z niej wyrwać.

– Nie... Myślę, że najlepiej będzie, jak wrócę do siebie. Przecież nie włamuje się dwa razy z rzędu do tego samego mieszkania.

– Można też powiedzieć, że nie atakuje się dwa razy z rzędu tej samej osoby. I co?

– Wrócę do siebie – powtórzyła.

Nie była jednak do końca pewna, czy postępuje słusznie. Może Michał ma rację i niepotrzebnie się naraża?

Szła przez grodowski rynek i wciąż na nowo roztrząsała ten problem. Po drodze zajrzała jeszcze do pana Romana i wzięła dużą kawę na wynos. Liczyła, że zastanie właściciela, jednak nie miała szczęścia. Sama też nie do końca wiedziała, czemu chciała spotkać starszego pana. Może zaproponowałaby mu napisanie artykułu o jego knajpce? Albo po prostu chciała uporządkować myśli. Było coś pocieszającego w fakcie, że lata niepostrzeżenie mijają, a pan Roman nic nie zmienia w wystroju swojego lokalu. Może właśnie to poczucie stałości w tym pędzącym nie wiadomo dokąd świecie tak silnie oddziaływało na ludzi i przyciągało ich tu? I oczywiście była też kwestia kuchni, niezmiennie serwującej te same dania, kuchni, która wrosła już w tradycję miasta.

Zuza zabierając kawę i wychodząc na ulicę czuła, że czas na podsumowanie. Wytrzymała cały tydzień w redakcji, udało jej się napisać kilka tekstów, przyjęli jej felietony i była szansa na współpracę z portalem kobiecym, liczyła też na pozytywną odpowiedź od lokalnego serwisu informacyjnego. Miała kilka pomysłów na przyszły tydzień, a zapał jej nie opuszczał. Czyli ogólnie nie było źle... Mogłaby w zasadzie powiedzieć, że jest dobrze... Mogłaby, gdyby nie ciążyło jej zabójstwo Julki.

– Czerwone szpilki. Czy to coś oznacza? – przywitał ją Łukasz wyciągnięty na sofie.

– Morderczy humor...

– Aa... Chciałem się tylko upewnić, w jak bojowym nastroju jesteś...

Zdziwiona rzuciła mu pytające spojrzenie.

– Szef nasz drogi był tu rano. I pytał o ciebie...

Zuza upiła łyk kawy.

– Powinnam się schować?

Łukasz parsknął i z ociąganiem podniósł się z kanapy. Minał ją w drzwiach i poczłapał do kuchni.

– Szkoda, że mi też nie przyniosłaś czegoś od pana Romana...

– Wybacz. Na przyszłość wysyłaj zamówienia przed dziewiątą – nawet nie próbowała powstrzymać sarkazmu.

Łukasz wychylił się z kuchni, zerknął na nią, po czym bez słowa zniknął.

Zuza czuła, jak po prostu siły z niej uchodzą. Wolno podeszła do narożnego fotela i padła na niego. Torebka zsunęła się na podłogę, ale nie zwróciła na to uwagi. Przymknęła oczy i odchyliła głowę na oparcie. U panny Krystyny nie mogła pozwolić sobie na okazywanie słabości. Nie chciała, by gospodyni doszła do wniosku, że ona, Zuza, nie umie sobie poradzić z... No właśnie... Z czym? Ze zniechęceniem? Lękiem? Własną bezradnością?

– Częstuj się.

Łukasz postawił przed nią talerzyk ze sporym kawałkiem ciasta.



– Żona piekła. Jak sądzę cukier ci się przyda. Pomaga na stres.

Zuza zerknęła na ciasto, podniosła wzrok na wciąż stojącego przed nią Łukasza, a widząc jego wyczekującą minę sięgnęła po talerzyk.

– Ładnie wygląda. Dobrze... – pochwaliła, gdy przełknęła pierwszy kawałek. – Bardzo dobre. A skąd pomysł, że potrzebuję cukru?

– Panna Krystyna dzwoniła, że się spóźnisz – rzucił kwestią wyjaśnienia i zabrał się za własny kawałek. – Nietrudno dodać dwa do dwóch. Julka Kurek ginie, ty masz siniaka na twarzy... Wybacz, ale w ten chodniczek w łazience jakoś niezbyt wierzę... Latasz po mieście jak – za przeproszeniem – z motorkiem w tyłku i nietrudno się domyślić, że próbujesz znaleźć zabójcę. No i panna Krystyna wzięła cię pod swoje opiekuńcze skrzydła. Czyżbym się mylił?

Łukasz, zadowolony ze swej konkluzji, rzucił Zuzie rozbawione spojrzenie.

– O kurcze... – szepnęła. – Czy to jest tak oczywiste? Dla wszystkich?

– Nie wiem, czy dla wszystkich, ale z pewnością dla większości. A czego się spodziewałaś? To małe miasteczko. Tu naprawdę trudno coś ukryć.

Słowa Łukasza zaniepokoiły ją bardziej, niż chciała przyznać. Oznaczało to, że wcale nie jest tak sprytna, jak się jej zdawało. Gorzej. Próbując prowadzić to pseudośledztwo ściągnęła na siebie uwagę mieszkańców Grodowa, a tego przecież za wszelką cenę chciała uniknąć.

– Można powiedzieć, że w ciągu tygodnia stałaś się osobą publiczną – dodał znacząco.

– Że co? – z łoskotem odłożyła talerzyk na stolik.

Jednak zanim doczekała się wyjaśnienia, drzwi redakcji gwałtownie się otworzyły, zaraz potem głośno zatrzasnęły, a w przedpokoju dało się słyszeć wiązaną przekleństw. Łukasz ze stoickim spokojem przeniósł wzrok na wejście, oczekując pojawienia się Ryszarda Moskala. Zuza zastanawiała się, czy jego spokój jest wyuczony, czy raczej wynika z flegmatycznej natury.

– Czy ty chcesz mnie do grobu wprowadzić?! – z trudem łapiąc oddech wycharczał wujek Rysiek celując w nią oskarżycielsko zwiniętą w rulon gazetą.

Zuza, nie wiedząc co tym razem wyprowadziło wujka z równowagi, taktycznie wołała nie zabierać głosu.

– Taka kompromitacja! – złapał się za framugę i ze świstem wciągał powietrze. – Idę spokojnie przez miasto, a tu mnie znienacka zaczepia Artur Strudzyński...

– Komendant straży miejskiej – wtrącił Łukasz, widząc rzucone w jego stronę pytające spojrzenie Zuzy.

– No, a kto?! I pyta się mnie, proszę państwa, czy ja mam jakieś uwagi do straży. No, jakie uwagi?! A on mi mówi, że jak mam problem z upierdliwymi właścicielami psów, to trzeba było po prostu powiedzieć, że nie od razu drukować w gazecie. No i że teraz to połowa Grodowa będzie się go czepiać, co on z tymi właścicielami zamierza zrobić! A druga połowa będzie się czepiać, że on się czepia, bo staną w obronie wolności psów i ich właścicieli. Boże! Ile ja się wstydu najadłem! Przez ciebie! – ryknął na koniec i wypadł z redakcji.

Cisza, która zapanowała w pokoju, trwała dobrą chwilę. Zuza zagryzła wargi i czekała, czy wujek przypadkiem nie wróci, by jeszcze trochę pokrzyzczeć.

– Komentarz?

– Chyba sobie daruję – westchnęła Zuza. – Jak na razie mnie nie zwolnił, więc nie jest źle. No dobra... Pora zabrać się za planowanie przyszłego tygodnia. Dobrze wiedzieć z wyprzedzeniem, czym mogę go wkurzyć.

– Może zrób z tego dyscyplinę sportową? – podsunął Łukasz idąc za nią do sąsiedniego pokoju. – Albo przynajmniej obstawiajmy zakłady. Dzięki temu wybuchy tego choleryka nie pójdą na marne.

Zuza podeszła do okien wychodzących na rynek. Zobaczyła wuja, stojącego przed wejściem do

magistratu. Szeroka gestykulacja nawet z tej odległości wystarczała, by domyślić się podniesionego tonu głosu, przesiąkniętego świętym oburzeniem. No tak. Pomstuje pewnie na czym świat stoi i wznosi modły do nieba. Błagalne. By darowana mu była przez burmistrza ta zniewaga, której się niebaczenie dopuścił. Bo jak on mógł nie zauważyć, że taki szkalujący tekst poszedł do druku? Pieklił się o ciucholandy, powstrzymał rzuconą miastu w twarz zniewagę, a tu podstępem odwrócono jego uwagę...

Któż to go wysłuchuje? Zuza wyteżyła wzrok, jednak nie poznała stojącego tyłem mężczyzny. Zresztą... Czy to takie ważne, komu żali się Rysiek? I tak za chwilę cały urząd będzie wiedział, jaki to on jest biedny i pokrzywdzony, a rodzina to nic, tylko utrapienie, i niech tę Zuzę piekło pochłonie.

Obserwując z oddali tę pantomimę sięgnęła do kieszeni po dzwoniącą komórkę.

– Cześć kochana! Kinga z tej strony!

Zacisnęła szczęki zła sama na siebie, że nie zerknęła na numer.

– Chciałam tylko spytać, dlaczego nie dałaś do druku moich wierszy. Przeglądam właśnie „Kuriera” i nie widzę. A umawialiśmy się przecież...

– Tak. Ale wiesz... – Zuza szukała zgrabnej wymówki – teksty do wydania już dawno były przygotowane i tak z dnia na dzień się nie da. Jest kolejka...

– No tak... – Kinga nie wydawała się przekonana. – Ale przy następnym numerze pamiętaj o mnie. Wiesz, przepraszam, muszę kończyć. Siedzę właśnie u stylisty. Ten twój szalowy kolor zainspirował mnie do zmiany fryzury. Nowe włosy to nowe natchnienie! No, to buziaczki!

Zuza podziękowała niebiosom za fryzjerów odciągających uwagę klientek od wygadywania bzdur przez telefon. Oderwała się od okna i odstawiającego dalej swe przedstawienie wujka Ryśka. Nie było na niego sposobu... Wiedziała o tym już dziesięć lat temu, potwierdziła przed tygodniem. Nic się nie zmieniło. No, może z jednym wyjątkiem. W tym momencie zyskała pewność, że wybuchy wujka, choć dalej irytujące i podnoszące ciśnienie, nie doprowadzą jej samej do eksplozji.

– Dałoby się zmontować jakąś stronę internetową pod „Kuriera”?

– Przecież jest – zdziwił się Łukasz.

– Daruj. To nie jest strona internetowa gazety, tylko dinozaur.

– Zupełnie jak szef, a jemu to w zupełności odpowiada. Wiesz, podobieństwa się przyciągają...

– Czyli nie ma szans na coś nowocześniejszego? – upewniła się.

– W chwili obecnej nie. I proszę, nie wyskakuj z tym pomysłem, dość mam zajęć na najbliższy miesiąc. A teraz, jeśli nie masz nic pilnego, to ja się zajmę własną pracą – Łukasz poprawił się na krześle i wzięął klawiaturę na kolana.

Wobec tak postawionej sprawy Zuzie nie pozostało nic innego, jak pójść za przykładem Łukasza. Otworzyła terminarz i zerknęła na listę. Zrobić plan artykułów na przyszły tydzień i ustalić ewentualne spotkania. Napisać dwa felietony – jeden dla „Kuriera”, drugi dla portalu kobiecego. Upiec ciasto dla Piotrka.

– Kurcze! Piotrek! – wyrwało jej się.

– Co: Piotrek?

– Brat. Mniejsza z tym – chwyciła za komórkę.

To nie będzie łatwe. Powie mu, że dziś nie można malować, bo farba jeszcze nie wyschła, albo coś takiego. Po prostu szczerze uprzedzi go, jaki obraz może zastać w jej mieszkaniu. Druga opcja zdecydowanie mniej jej się podobała.

Brat odebrał po pierwszym sygnale.

– Normalnie dorwę drania i zatłukę!

To by było na tyle, jeśli idzie o trzymanie Piotrka z dala od mieszkania, stwierdziła słysząc wściekłość w jego głosie.

– A ty czemu mi nie powiedziałaś? Dopiero jak zadzwoniłem do Michała, by powiedzieć, że ktoś się do ciebie włamał, to ja się dowiaduję, że to było wczoraj! A moja kochana siostra nie raczyła nawet do mnie zadzwonić!

– Było późno – zaczęła tonem usprawiedliwienia. – Nie chciałam robić niepotrzebnego zamieszania...

– Zamieszania?! Teraz dopiero ci dam zamieszanie!

Zuza uznała, że jedynym sposobem jest w tym momencie przeczekanie tyrady Piotrka. A ten z każdym słowem nakręcał się coraz bardziej. Poczowała lekkie ukłucie wyrzutów sumienia, gdy zdała sobie sprawę, że ten gniew wynika z troski o nią. Jednak ostatnią rzeczą, na jaką miała ochotę, było wciąganie rodziny w jej własne sprawy. I tak już uważała, że powrót do Grodowa dał im zbyt wiele okazji do wtrącania się w jej życie. Poza tym nie chciała niepotrzebnie narażać ich na niebezpieczeństwo.

Teraz trzeba było zminimalizować straty. Piotr dowiedział się o włamaniu. Cóż, trudno, stało się. Jej niedopatrzenie, że nie pomyślała o tym wcześniej... Mogła zadzwonić do niego i pod byle pretekstem odwołać dzisiejsze malowanie. Nie pomyślała też, by uprzedzić Michała, by trzymał buzię na kłódkę nie tylko przed jej matką, ale i przed resztą rodziny...

Prawda była taka, że mając pierwszy raz do czynienia z morderstwem nie miała ani odpowiedniej wiedzy i umiejętności, ani tym bardziej nawyków, które pozwalałyby pewnie i w miarę bezpiecznie poruszać się w tym labiryncie. Gubiła się w domysłach, a w dodatku morderca już wiedział, że zaczęła węszyć i chyba miał dość jej naprzykrzania się. Bo jakże inaczej można to nazwać? No, chyba nie śledztwem? Ona tylko miotała się po mieście, próbując jakoś wpisać się w tę grodowską konfigurację. Nie chciała wchodzić w żadne układy. O nie! Problem polegał jednak na tym, że bez względu na jej chęci małomiasteczkowe powiązania wciągały ją niczym oślizgłe bagno.

– A na dodatek nie raczysz nawet uznać za stosowne, żeby mnie poinformować o poszukiwaniu współlokatorki! No przecież trzeba było powiedzieć, to się rozejrzę. I bądź co bądź będę trochę spokojniejszy, jeśli nie będziesz sama w tym mieszkaniu.

Teraz już nie mam wyjścia – pomyślała z sarkazmem, przecierając dłonią czoło. Jeśli na mieście wiadomo, że szuka współlokatorki, sprawa była przesądzona. Chociaż, może to nie jest taki zły pomysł... Jeśli się rozejdzie, że chce komuś podnająć pokój, to może morderca nie będzie miał już tupetu, żeby włamywać się do jej mieszkania w środku dnia.

– Wiesz co – przerwała bratu. – Byłabym bardzo wdzięczna, gdybyś popytał wśród znajomych. Tylko pamiętaj, że to nie może być żaden typ imprezowy – zaznaczyła.

– Przecież wiem. No dobra... – dodał trochę udobruchany. – Popytam. A ty postaraj się nie pakować w kłopoty.

Kolejny raz ta sama rada. Szkoda tylko, że nieskuteczna, bo nie do końca zależna od niej samej. Zapewniła jednak, że będzie grzeczna. „Grzeczna”, dokładnie tak to ujęła. Może to go choć trochę uspokoi.

Kolejne pół godziny upłynęło w kompletnej ciszy. Nawet radio było wyłączone, telefony nie dzwoniły, a zamknięte okna skutecznie tłumiły odgłosy z rynku. Słyszać było tylko stukot klawiatury i długopisu, którym Łukasz wybijał na biurku jakiś rytm.

Z zadowoleniem przeczytała mail od redaktora „Rokoszu-w-Grodowie”. Tekst, nie dość, że przyjęty i puszczony już do druku, to jeszcze spotkał się z odzewem internautów. A to, według założeń lokalnego portalu informacyjnego, było najważniejsze. Byli więc chętni, by podjąć współpracę na zasadzie zleceń. Jeśli znów miałyby tekst, który nie przejdzie w „Kurierze”, to oni są gotowi go przyjąć i coś zapłacić. Może nie tak dobrze jak w innych portalach, uznała, ale zawsze to jakiś dodatkowy grosz. Dopisała więc do terminarza tekst o strefie przemysłowej na obrzeżach miasta z założeniem, że jeśli wujek Rysiek dostanie piany na ustach, to przynajmniej robota nie pójdzie na marne.

Po raz kolejny rozległo się głośnie stąpanie na klatce schodowej. Wracał naczelny i Zuzie przemknęło przez myśl pytanie, w jakim jest teraz humorze. I jak bardzo ten humor się na niej odbija. Pierwsze starcie dzisiejszego ranka obeszło się bez większych ofiar, można by nawet powiedzieć, że – uwzględniając kaliber wykroczenia – poszło całkiem spokojnie. To znaczy wujek wpadł w stan bliski apopleksji, na co złożyła się jego tusza, ciśnienie i zadyszka, ale przynajmniej nie padł trupem na miejscu.

Teraz kroki były o wiele wolniejsze. Znaczący – wujek był spokojniejszy niż w momencie, gdy niecałą godzinę temu biegiem próbował pokonać piętro. Otwarcie i zamknięcie drzwi też nie zdradzały furii.

Zuza, siedząca bokiem do drzwi, odwróciła się na krześle. Łukasz też podniósł wzrok znad klawiatury i ściągnął nogi z biurka.

– Noo... – sapnął przybyły.

Poluzował przekrzywiony krawat i rozejrzał się po redakcji. Sięgnął po najbliższy kubek i zajrzał do środka. Widocznie był pusty, bo z rozczarowaniem odłożył go z powrotem.

– Dobry tekst – oznajmił.

Zuzanna, niezbyt rozumiejąc o czym mowa, rzuciła zdezorientowane spojrzenie na Łukasza. Ten nieznacznie pokręcił głową.

– A o którym tekście wujek mówi?

– No, jak to o którym? O twoich psach.

Zuzę zamurowało. Jeszcze godzinę temu tekst był gwoździem do trumny, a teraz okazuje się być „dobry”?

– Bądź tak miła i zrób mi jakiejś kawki, bo się w tym urzędzie zmachałem.

Zuza automatycznie się podniosła i poszła do kuchni, by nalać kawę z dzbanka. Ruch ten wydawał jej się sensownym posunięciem w kontekście zupełnego braku logiki w wypowiedziach wujka.

– A dlaczego jest dobry?

Podążyła mu kubek. Rysiek wypił za jednym zamachem połowę.

– Gorzka – obruszył się. – No, jest dobry. Asia Bortnowska jest zachwycona. Też uważa, że powinno się jakoś wpłynąć na właścicieli psów, bo ona ma dokładnie ten sam problem. I stwierdziła nawet, że może uda się zrobić jakąś kampanię. Spodobał jej się ten temat.

Dopiero gdy naczelny zamknął się w swoim gabinecie, Zuzanna wyraziła swoje zdumienie.

– A kim, do diabła, jest Asia Bortnowska?!

– Oj, kobieto. Pracujesz w gazecie, a podstawowych rzeczy nie wiesz... To córka burmistrza.

– Nie wiedziałam, że wyszła za męża.

– Hmm...

Łukasz odwrócił się już do monitora i odchylił się na krześle. Widać było, że temat ten, tak oczywisty z jego punktu widzenia, w ogóle go nie zajmuje.

Zuza, dalej zaintrygowana, otworzyła stronę urzędu miasta. Bez problemu znalazła Joannę Bortnowską. Jak się okazało, była ona szefową działu promocji miasta. Wpisała jej numer do terminarza i telefonu, tak na wszelki wypadek. Przez chwilę zastanawiała się, co można robić w dziale promocji Grodowa, skoro tu i tak nic się nie działo... Postanowiła jednak tak od razu nie zniechęcać do siebie córki burmistrza. Skoro łyknęła tekst o psach, to może się to w przyszłości przydać...

A dzisiejsza akcja wujka Ryśka była cenną lekcją grodowskiej hierarchii. Dobitnie pokazała, że Asia Bortnowska ma wyższy status niż komendant straży miejskiej.



Grodów miał tę niezaprzeczalnie pożyteczną cechę, że wszyscy wszystko o sobie wiedzieli. Albo przynajmniej próbowali się dowiedzieć, co i tak zazwyczaj na jedno wychodziło. Wystarczyło rzucić mimochodem jakąś uwagę i czekać, jakie jej odpryski wrócą do nadawcy. Przypominało to dziecięcą zabawę w głuchy telefon, ponieważ każda kolejna osoba, wchodząca w skład łańcucha, dodawała coś od siebie, coś przeinaczała, pomijała... A pannie Krystynie chodziło przede wszystkim o to, kto i co w tej wiadomości zmieni.

Cały poprzedni wieczór, gdy tylko upewniła się, że Zuzanna zasnęła, spędziła nad obmyśleniem planu. Ustaliła listę osób na sobotnie spotkanie robótkowe, ale to nie był koniec pracy. Trzeba było jeszcze podsunąć kilku osobom temat do przemyśleń. Dzisiejszy ranek upłynął więc na wykonywaniu kolejnych telefonów i zapraszaniu do siebie. Oczywiście zaprosiła więcej osób, niż rzeczywiście potrzebowała. Jednak gdyby ograniczyła się tylko do trzech interesujących ją sąsiadek, mogłoby to budzić podejrzenia u reszty. A tak... Ona sama, biedna, unieruchomiona, potrzebuje przecież jakiegoś towarzystwa, by nie zanudzić się na śmierć. Udawanie pokrzywdzonej przez los przyszło jej bez trudu, makiawelizm przydawał się w takich wypadkach, a sprawą wtórną było, czy reszta pań w to uwierzyła. Ważne, że z ochotą zgodziły się dotrzymać jej towarzystwa.

Teraz pozostało tylko dać zaproszonym czas na przemyślenia i jutro przekonać się osobiście, do jakich wniosków doszły. Oczywiście każda z nich będzie chciała udowodnić reszcie, że to ona jest najlepiej zorientowana w codziennych sprawach Grodowa. Polesiowa da jej wgląd w plotki z magistratu, Cywalska przedstawi opinię rady parafialnej, a Niemczyk streści, o czym się mówi po hurtowniach spożywczych i w sklepach. Brakowało jej w tym układzie tylko osoby mogącej rzucić światło na sportową arenę miasta, ale zapraszanie Halinki Rodnickiej byłoby zbyt dużą manifestacją jej zainteresowania sprawą Rzewuskiego. Zamiast tego zaprosiła więc Tyszkowską i Sawkę. Obie zapalone członkinie koła gospodyń wiejskich i mistrzynie szydełkowania. Jak nic – filary grodowskiej społeczności.

Jednak w tym momencie, gdy wpuściła w ruch maszynę, nadszedł czas, by po raz kolejny przyjrzeć się zabójstwu Julii Kurek.

Zrobiła sobie wiśniową herbatkę i z filiżanką, mocno wspierając się na lasce, pokuśtykała do saloniku. Usadziła się wygodnie w fotelu i otworzyła zeszyt. Od lat miała tę samą metodę: każda sprawa, której poświęcała uwagę, opisywana była w oddzielnym zeszycie. Po latach miała ich już niezłą kolekcję. Jakoś w tym wypadku nie mogła się przekonać do komputera... Notatki były pomocne, gdy spotykała się z podobnym przestępstwem lub tymi samymi ludźmi. Wówczas sięgała po odpowiedni zeszyt i korzystała z gotowych ściąg. Charakterystyki mieszkańców Grodowa, ich koligacje rodzinne, motywy działania, sposoby podejmowania decyzji... Całe miasto sklasyfikowane i zapakowane do jednej szafki na dokumenty. Ileż tu było podstaw do szantażu...

Panna Krystyna dziwiła się czasem, że inni, spoglądając na Grodów, nie widzą tego, co ona. Czasem zazdrościła ludziom tej ślepoty i naiwności. Nawet Guccio, z tym całym swoim zamiłowaniem do morderstw i intryg, nie widział nawet ułamka przekrętów, które działy się tuż pod jego nosem. Jakimż szczęściem mogła napawać niewiedza...

Przeglądała zapiski poczynione rano w zeszycie i próbowała złożyć je w różne konfiguracje. Dwa trupy w ciągu tygodnia. Dwóch komisarzy prowadziło dwa osobne śledztwa, a to był błąd. Od razu trzeba było

połączyć te sprawy, mówiła o tym Michałowi.

Czy był jeden sprawca? Przyjęła ten wariant, jako najbardziej prawdopodobny. Zgadzała się z Zuzanną, że Julia zginęła, ponieważ wiedziała, kto zabił Rzewuskiego. Może nawet szantażowała zabójcę? To by do niej pasowało. No i kwestia mieszkania: chciała jakieś kupić, prawdopodobnie dostała pieniądze. Skąd? Pewnie z szantażu... Tylko dlaczego zginęła? I to w tak tłocznym miejscu, gdzie każdy mógł zauważyć zabójcę. Co gorsza, z pewnością każdy widział zabójcę, tylko w tej chwili, choć podejrzliwi względem siebie, uczestnicy szkolnego zlotu absolwentów dalej nie zdają sobie sprawy z tego, co zobaczyli. Nawet Zuzanna nie była w stanie do końca określić, co się w sobotę działo.

Pani Irenka, która przyszła z zakupami, zajrzała do niej z pytaniem, czy czegoś nie potrzebuje, a uzyskawszy przeczącą odpowiedź zniknęła za drzwiami. Chwilę później dom wypełnił szum odkurzacza.

Panna Krystyna sięgnęła po koszyk z robótką. Nie patrząc nawet na wzór zaczęła dziergać nową serwetkę. Szybko i bez wahania nabierała kolejne oczka łańcuszka. Wiadomo, nic tak nie wpływa na kreatywność myśli, jak monotonne zajęcie. A ona w tej chwili musiała pomyśleć...

Coś jej przeszkadzało. Zdecydowanie.

Nie chodziło ani o hałasujący odkurzacz, ani o pralkę, która go po jakimś czasie zastąpiła, ani tym bardziej o krzątającą się po domu gosposię.

Przeszkadzał jej brak motywu. A może odwrotnie – ich nadmiar. Bez trudu mogła zaserwować kilka powodów, dla których Rzewuski zasłużył sobie na kulkę w łeb. Jednak wówczas wypadałoby posłać znaczną część miasta za kraty. Niestety, wizja ta, choć pociągająca, nie była w ogóle realna. Zirytowana wkłuła się w łańcuszek i zaczęła przerabiać podwójne słupki.

Może zabrała się za to ze złej strony? Pchnęła Zuzannę w pogoń za zabójcą Julii i chwilowo zignorowała fakt, że cała sprawa swój początek miała tydzień wcześniej.

Trzeba więc zacząć raz jeszcze, od początku, od momentu, gdy w gabinecie Rzewuskiego ktoś pociągnął za spust.



Późnym popołudniem na niebie zaczęły zbierać się ciężkie, fioletowe chmury. Ciepły wiatr przybrał na sile i drzewa uginały się w takt gwałtownych podmuchów. W oddali słychać było pierwsze pomruki zbliżającej się burzy.

Zuzanna przyspieszyła kroku, by zdążyć przed deszczem. Szybko przecięła frontowy ogródek panny Krystyny i zadzwoniła do drzwi. Jej humor, w miarę ustabilizowany w ciągu dnia, gdy próbowała jakoś zrationalizować wydarzenia ostatniego tygodnia, gwałtownie się załamał po przekroczeniu progu saloniku. Liczyła na ciąg dalszy porannej rozmowy z gospodynią, a tymczasem nacięła się na Bazyliszka.

Jakub Bazyl lekko uniósł brwi na jej widok, widać on też nie spodziewał się towarzystwa. Spojrzał na nią tym swoim nieprzeniknionym wzrokiem, który doprowadzał ją do szewskiej pasji, bo nie można było odgadnąć, o czym myśli. Kiedyś, te dziesięć lat temu, w ogólniaku, gdy mu jeszcze zielona trawa rosła na mózgu, był o wiele bardziej czytelny i przewidywalny. Teraz wzbudzał w Zuzannie coraz większą irytację tym swoim opanowaniem i miną z serii: „swoje sądy zachowuję dla siebie”.

Zuzanna przystanąła w progu niepewna, czy się po prostu nie wycofać. Przeprosić gospodynię za

kłopot, podziękować za pomoc i zapowiedzieć się w innym terminie. Jednak pudełko z cukierni nie pozostawiało wątpliwości, że wpadła tu z dłuższą wizytą. Idiotka, trzeba było nie kupować tych bezów.

– Chodź, moja droga – panna Krystyna zagarnęła ją do środka niweczając nikły opór. – Chodź, usiądź. W imbryku jest świeża herbata. O, widzę, że ty też przyniosłaś coś słodkiego. Doprawdy, rozpieszczacie mnie...

– Doprawdy, to sama przyjemność panią rozpieszczać – powiedział z kurtuazją Jakub, zaskakując tym Zuzę.

Facet maniery miał na najwyższym poziomie, to wiedziała. Ale skąd ta poufałość między starszą panią a Bazylem? Dalej nie umiała rozgryźć tej kwestii.

– Właśnie rozmawiamy o Rzewuskim – wyjaśniła Zuzie, stawiając przed nią filiżankę w drobne różyczki. – Jakub opowiadał, jak Rzewuski pojawił się u niego w lokalu dwa dni przed śmiercią. I co, upił się?

– Powiedziałbym, że średnio – Bazyl wrócił do przerwane go wątku. – Widywałem go już w gorszym stanie, choć trzeba przyznać, że nigdy nie wylądował pod barem. Bywał totalnie zalany, jednak, jakimś sposobem, pion trzymał.

– Miał wprawę – mruknęła panna Krystyna. – Te ich mityngi sportowe to tylko ładna nazwa dla popijawy jak się patrzy.

– Skąd pani wie? – zainteresowała się Zuzanna.

– No cóż... – gospodyni uśmiechnęła się przebiegle. – Co prawda zazwyczaj organizowali je na wyjeździe, jednak znów tak daleko to nie wyjeżdżali. Nie chodziło przecież o zwiedzanie. Najczęściej lądowali piętnaście kilometrów stąd, u Grzybowskiego.

– A Grzybowski jest pani starym znajomym – dodał domyślnie Jakub.

– No cóż... – powtórzyła. – Jak się żyje na świecie tak długo, jak ja, to ma się kilku dobrych znajomych...

Jakub śmiał się już otwarcie.

– Nie wiem, czy to nadmiar skromności, czy kokieteria z pani strony.

Zuza nie wierzyła własnym uszom. Tak się zwracać do panny Krystyny?

Jednak staruszka nie wydawała się ani zgorzonna, ani tym bardziej speszona. Sięgnęła po stojącą przy fotelu laskę i zamarkowała uderzenie. Jakub uniósł ręce w obronnym geście.

– Poddaję się, poddaję. Przecież wiem, że z panią nie wygram.

– Co w tym wypadku jest oznaką rozsądku. I co mówił Rzewuski?

– To właśnie było zastanawiające. Rozmawiałem nawet o tym z Michałem, jednak na niewiele się to zdało...

– Mój drogi – głos panny Krystyny przybrał srogie tony, choć w oczach czaiły się iskielki. – Rozmawiałeś o Rzewuskim z Michałem Konikiem, a mnie nie raczyłeś odwiedzić? I ja tu, samotna rekonwalescentka, tkwię w domysłach, a wy, pewnie przy piwie, dobrze się bawicie rozwiązując zagadkę?

Jakub zaśmiał się głośno.

– Przed panią i tak nic się nie ukryje. Tak, przy piwie. Ale na naszą obronę dodam, że i tak do żadnych konkretnych wniosków nie doszliśmy.

– Jednak musiało cię coś zdziwić... Prawda? Inaczej nie wciągałbyś w to Michała.

Zuzanna zafascynowana słuchała tej wymiany zdań. Widać było, że pomimo zachowania oficjalnych form – tych dwoje znało się bardzo dobrze. Nie pamiętała, by kiedykolwiek słyszała, że ktoś ośmiela się zażartować z panny Krystyny. Fakt, że Bazyl sobie na to pozwalał świadczył o stopniu tej zażyłości.

Tak, oczywiście, komentowano jej ostry język, wścibstwo i dociekliwość staruszki, jednak uwagi te

nieodmiennie podszyte były odrobiną tego strachu, który każe wystrzegać się otwartej konfrontacji. Panna Krystyna, bez względu na okazywaną sympatię bądź antypatię, po prostu wiedziała za dużo. Zuza nie słyszała, by kiedykolwiek wykorzystwała ona własny arsenał informacji, by komuś dopiec czy go zniszczyć. Zresztą nie podejrzewała jej o małostkowość. Niemniej wszyscy wystrzegali się swobodnego tonu w jej obecności i automatycznie przyjmowali tę zdystansowaną postawę narzuconą przez gospodynię. Jedyнным znanym wyjątkiem, który zresztą potwierdzał regułę, była cioteczna babka Honorata. Tu jednak w grę wchodziła wieloletnia..., a wręcz ponad półwieczna przyjaźń.

Tymczasem, siedząc w saloniku panny Krystyny, Zuzanna z niedowierzaniem słuchała jak Jakub Bazyl otwarcie żartuje sobie z gospodyni, a ta wydaje się dobrze przy tym bawić.

– To było rzeczywiście dziwne – Jakub wolno ważył słowa. – Rzewuski był lekko wstawiony, imprezował ze znajomymi i, jak rzadko, zaczął się przechwalać. Zazwyczaj nie mówił nic o swoich interesach, a przynajmniej nie w miejscu, gdzie każdy go może usłyszeć. Tym razem jednak zapewniał kolegów, że jest to interes jego życia. Powtórzył to ze dwa razy. Jednak nie to było najdziwniejsze...

– Tylko?

– Może się mylę, ale odnosiło się wrażenie, że nie mówi szczerze.

– Chcesz powiedzieć – panna Krystyna w zamyśleniu stuknęła srebrną łyżeczką o kolano – że według ciebie kłamał?

– Nie. Nie to, że kłamał. Raczej wyglądało to tak, jakby chciał przekonać innych, że jest cynicznym biznesmenem, dla którego liczy się tylko własny zysk...

– Co by aż tak nie odbiegało od prawdy – mruknęła gospodyni.

– Tak. Ale chodziło raczej o zamaskowanie tej prawdy. To miało wyglądać jak skalkulowany biznes i Rzewuski za wszelką cenę starał się to tak przedstawić. Jednak zbyt mocno się tym emocjonował, nawet jak na lekko wstawionego. Zbyt dobitnie podkreślał, że nie ma to nic wspólnego z jakimikolwiek uczuciami...

– A o co konkretnie chodziło? – wtrąciła Zuza, która nie słysząc początku rozmowy nie była w stanie się zorientować, o czym, tak w zasadzie, mówi Bazyl.

Jakub zmarszczył brwi i ponieważ Zuza zdała sobie sprawę, że przerwała mu w pół zdania. Trudno, stało się. I tak opinii o niej nie zmieni, bo z tego, co wiedziała, nie miał najlepszej. I vice versa.

– Przekonywał do czegoś jakąś babkę. Albo ona jego, bo trudno było się zorientować. Było to dość ogólne. I zaznaczał, że choćby nie wiem co, to on się drogo musi sprzedać.

– Co proszę? – Zuza nie wierzyła własnym uszom.

– Dokładnie tak powiedział – stwierdził beznamyślnie Jakub.

– Istny dziewiętnasty wiek... – panna Krystyna odłożyła łyżeczkę na stolik. – A myślałam, że to tylko ja jestem takim Matuzalemem, dinozaurem znaczy się. A tu widać, że Rzewuski też chciał być uznawany za niezłą partię. To rzuca nam nowe światło na sprawę. Planował ożenek... No, tego, muszę przyznać, się nie spodziewałam... Co Michał na to?

– Policja próbowała namierzyć tę kobietę. Sprawdzali połączenia w komórce Rzewuskiego. Ale w firmowej nic nie było, a Julia Kurek nie umiała powiedzieć, czy nie miał drugiej. Ot, wystarczyło kupić jakąś na kartę i nikt by nie namierzył. W mieszkaniu Rzewuskiego też nic nie znaleziono.

– Więc skąd pewność, że nie zmyślił całej tej historii? – Zuza wyraziła swą wątpliwość.

– A po co? – zdziwił się Jakub.

– Zuzanna ma rację. Choć nie do końca – panna Krystyna zmrużyła oczy, co podkreśliło kurze łapki. Sieć zmarszczek na twarzy pogłębiła się, gdy gospodyni, zawiesiwszy wzrok na cukiernicy, zamilkła na chwilę.

Zuzanna z Jakubem czekali bez słowa. Widać było, że starsza pani intensywnie nad czymś myśli i w żadnym wypadku nie należy jej przeszkadzać.



– Bo widzicie... – podjęła otrząsając się z odrętwienia – to mogło być tak, że Rzewuski kłamał i nie kłamał jednocześnie. Szkoda, że nie wiemy dla kogo chciał poświęcić ten swój późnokawalerski stan... – rzuciła w kierunku Jakuba.

Ten przecząco pokręcił głową.

– Wiem tylko, że chyba naprawdę mu zależało na tej kobiecie. Niby ironizował i popisывał się przed kumplami, jaki to on jest macho, ale gdy o niej mówił... Chyba naprawdę mu zależało – powtórzył.

– A odkąd to jesteś ekspertem w związkach damsko-męskich? – Zuzanna, pamiętając jego przeboje z Julką, nie zdołała powstrzymać sarkazmu.

Panna Krystyna rzuciła jej karcące spojrzenie, jednak było już za późno.

Jakub, który dokładnie zrozumiał przytyk, zacisnął mocno dłonie na oparciach fotela.

– No, wyobraź sobie, że coś tam o związkach wiem – rzucił przez zaciśnięte zęby.

I dopiero wówczas to spostrzegła.

Na serdecznym palcu jego dłoni połyskiwała prosta, srebrna obrączka.



Zuzanna, wędrując między półkami w osiedlowym sklepie, próbowała sobie przypomnieć, co jest potrzebne do zrobienia tarty z jabłkami. Trudno było jej się skupić, więc co chwila przystawała na środku zirytowana własnym rozkojarzeniem, zaglądała do koszyka i powtarzała pod nosem przepis. Chciała zdążyć jeszcze dziś upiec ciasto i wpaść na ekspresową wizytę u bratostwa, gdy Oliwka pójdzie już spać. Piotrek oczywiście będzie się wściekał w dalszym ciągu, zażąda wyjaśnień i nie uda się go zbyć byle czym... Będzie się dopytywał, czy dzwoniła do ubezpieczyciela, czy zmieniła zamki w drzwiach i co zamierza zrobić ze zdewastowaną kuchnią. Przynajmniej w tej pierwszej kwestii mogła go uspokoić. Jeszcze w redakcji wystukała numer swojego konsultanta i zgłosiła włamanie. Teraz trzeba poczekać na rzeczoznawcę i liczyć, że ubezpieczenie pokryje koszt wymiany frontów w szafkach.

Na myśl o pieczeniu w zniszczonej kuchni zagryzła wargi.

Znów zajrzała do koszyka. Przydałoby się jeszcze kupić coś na obiad. A raczej na kolację, poprawiła się zerkając na zegarek.

Zasiedziała się u panny Krystyny, lecz ta zapewniała, że w niczym jej to nie przeszkadza, wręcz przeciwnie – miło jest mieć kogoś, z kim można omawiać sprawy morderstw.

Jakub Bazyl wymówił się pracą i wyszedł, serdecznie żegnając się z gospodynią. Zuzie rzucił zdawkowe „do widzenia” i była pewna, że najchętniej by jej już w ogóle nie oglądał. Wygląpiła się, prawda. Ale panna Krystyna taktownie nie skomentowała.

Natomiast starsza pani nie kryła swego oburzenia, gdy Zuza przedstawiła jej swój pomysł.

– Wybacz, moja droga, ale to jest dość... Ty w roli przynęty? Nie chcę być nieuprzejma, ale to głupota.

– Przecież pani dokładnie to samo zrobiła przy sprawie Gołębiaka – upierała się przy swoim.

– Tak. Ale ja, w przeciwieństwie do ciebie, miałam kilkunasto..., no..., w zasadzie kilkadziesiąt lat doświadczenia i obstawę policji.

– Można poprosić Michała...

– Nie radzę – stwierdziła kategorycznie staruszka. – Jeśli się nie udało, zniechęcisz do siebie policję i później palcem nie kiwną, choćbyś była na alarm, bo przypną ci etykietkę panikującej panienki.

A z etykietkami nie da się walczyć. Im trzeba dać zabójcę na srebrnej tacy albo przynajmniej pewny trop. Inaczej uznają, że utrudniasz śledztwo, więc lepiej darujmy sobie. To zdecydowanie zły pomysł...

Zuza, mimo oporów panny Krystyny, wciąż nie uważała, żeby to był taki kiepski plan. Skoro swoim zachowaniem nieświadomie sprowokowała zabójcę do działania, to jakie będą efekty, gdy zrobi to z premedytacją?

Burza, która straszyla jeszcze przed godziną, przeszła już bez śladu i okolica powoli zapełniała się spacerowiczami. Wchodząc do klatki schodowej rzuciła okiem na dwie młode matki z wózkami, które siedziały nieopodal na ławce. Znała je z widzenia, chyba też niedawno wprowadziły się do bloku, a ostatnio coraz częściej widziała, jak w pogodne dni chodzą razem na spacer. Cóż..., tak to już bywa, że posiadanie potomstwa zbliża.

Zresztą tak, jak posiadanie psa, stwierdziła Zuza szukając kluczy w torbie. Psy to takie resocjalizujące stworzenia, ułatwiają zawieranie znajomości, wyprowadzają człowieka na spacer, dają tematy do rozmów... Poza tym są towarzyskie, bezkrytyczne i wierne, zdecydowanie o wiele bardziej wierne niż ludzie. Same korzyści... Więc może, jak już poukłada sobie to życie choć trochę i znajdzie zabójcę Julki, to kupi psa? Pomysł wydawał się jej o wiele bardziej pociągający, niż perspektywa zamążpójścia.

Przytrzymała łokciem drzwi. Myślami już była przy cieście, gdy usłyszała końcówkę rozmowy.  
– Strasznie się wczoraj kłócili o te auta. Aż dziecko mi obudzili. Sąsiad, ten spod dwunastki, on na budowie pracuje, mówił, że to na pewno nie on. A facet, ten, co przyjechał tym granatowym, to nic, tylko że mu drzwi zarysował. Ale chyba to jednak nie sąsiad, bo gościu coś tam jeszcze burknął i pojechał.

– No, normalnie nawet nie można okna otworzyć, bo to albo ktoś pod nami coś wierci, albo to przedszkole obok, to dzieci wrzeszczą, albo faceci pod blokiem. Jak oni plotkują... – dołączyła się druga z kobiet. – Myślałam, że jak nowy blok to spokój będzie... A tu? Remonty, kurzy się, śmierdzi farbą i końca nie widać...

Co racja, to racja... Ale tego można się było spodziewać.

Zuza weszła do mieszkania, zakupy położyła na blacie i patrząc na czerwone smugi farby utwierdzała się w przekonaniu, że drania trzeba dorwać. Jak? To już była kwestia większego kalibru. W tym momencie najważniejsze było szybko zagnieść ciasto na kruchy spód i włożyć je do lodówki. Potem będzie mieć godzinę na medytację.

Ledwie zdążyła wsypać do miski mąkę, usłyszała dzwonek. Ostrożnie, prawie na palcach, podeszła do drzwi. Dopiero gdy przez judasza ujrzała Olę, odetchnęła. Ściągając łańcuch zastanawiała się nad powodem tej nagłej wizyty. Przyjaciółka, bez względu na to, czy zamierzała wpaść na dziesięć minut, czy na pół dnia – zawsze dzwoniła z uprzedzeniem. Skoro nie było telefonu, sytuacja musiała być naprawdę wyjątkowa.

Niepokój Zuzy wzrósł jeszcze, gdy Ola weszła do mieszkania i spojrzała na nią z mieszaniną troski i wyrzutu, która każe się domyślać, że właśnie się coś przeskrobało.

– Masz minę zupełnie jak moja matka. – Zuza dokładnie zamknęła drzwi.  
– Ty nie wyskakuj tu ze swoją matką – rzuciła Ola bojowym tonem. – Raczej wytłumacz mi, dlaczego ja się od zupełnie obcej osoby dowiaduję, że ktoś się do ciebie włamał i zniszczył mieszkanie.  
– Dużo tego tłumaczenia.  
– Nigdzie się nie spieszę. Chłopaki próbują oskalpować ojca, więc mam czas, by... – urwała raptownie.

Stała na progu kuchni i jej oczy robiły się coraz szersze.

– O cholera...  
– Dokładnie: o cholera.

Zuza wróciła do wsypywania składników do miski.

Przyjaciółka weszła na środek salonu i z odległości kontemplowała abstrakcyjne malunki.

– Ten ktoś nie ma pojęcia o doborze kolorów – stwierdziła. – Jak można pastelowo turkusową kuchnię pociągnąć czerwonym lakierem? Zupełne bezguście. Mam nadzieję, że zamierzasz coś z tym zrobić.

– Ależ tak. Dorwać drania i dać mu w pysk.

– Niezupełnie to miałam na myśli – Ola podeszła do wysokiego blatu, oddzielającego otwartą kuchnię od salonu i usiadła na krześle. – Co zrobisz z kuchnią?

Zuza wierzchem dłoni odgarnęła grzywkę.

– Czekam na rzeczoznawcę z ubezpieczalni. Michał spisał raport. Muszę wymienić zamki...

– Jeszcze tego nie zrobiłaś?!

– Kiedy? Zresztą panna Krystyna ma mi podesłać swojego znajomego.

– I na razie zamierzasz tu spać? Sama?

– No oczywiście, że zamierzam.

– Może lepiej przenieś się do nas. I wracamy do pierwszego pytania – Ola wbiła w nią skupione spojrzenie. – Dlaczego ja się dowiaduję o tym od obcych?

– Było późno, jak się ten cały kołowrót z Michałem i ekipą skończył. Ty masz męża i dzieci.

– No i co z tego?

– Nie będę przecież dzwonić do ciebie i robić zamieszania w środku nocy, by pobudzić dzieci. Nie wiem, co to za wariat się na mnie wziął i nie chcę narażać innych...

Ola, choć niechętnie, dała się przekonać tym argumentem.

– Poza tym – dodała Zuza – noc spędziłam pod czujną opieką panny Krystyny.

– Aa... To przynajmniej tyle. I co ona na to?

Zuza wzruszyła ramionami.

– Czasem trudno odgadnąć, co panna Krystyna myśli. Wydaje się zirytowana sytuacją. Coś się dzieje w mieście, a ona nie wie co. Mam wrażenie, że ona lubi mieć nad wszystkim kontrolę... I przez to bywa apodyktyczna. A w dodatku na razie jest unieruchomiona...

– Tak, wiem – Ola przytaknęła. – Ale ponoć za niecałe dwa tygodnie ściągną jej gips.

Zuza próbowała nie okazywać zdziwienia, skąd u przyjaciółki tak precyzyjna orientacja w sytuacji.

– Wydaje mi się, że ona traktuje to jak swoją życiową misję...

– Mianowicie?

– Jest starsza, samotna, z tego, co wiem, nie ma bliższej rodziny – Zuza próbowała wytłumaczyć siedzącej naprzeciwko Oli niejasne wrażenie, jakie odniosła podczas dzisiejszej rozmowy z panną Krystyną. – Wszystkich w mieście dobrze zna, nawet bardzo dobrze, a jednak jedyną jej przyjaciółką jest ciotka Honorata. Może nie jest bogata, ale pieniędzmi też nie musi się przejmować. Siedzi całe dni w domu, zwłaszcza teraz, szydełkuje i czeka na wizyty...

Ola skrzywiła się nieznacznie.

– Chyba do końca to nie tak...

– No dobrze – zgodziła się rozbijając jajka i szybko zagniatając ciasto. – Ale ona takie wrażenie sprawia. Czy mylnie? Możliwe. Od czasu do czasu wplątuje się w jakąś aferę kryminalną. Wszyscy to wiedzą. I znają jej najgłośniejsze sprawy. Natomiast zastanawia mnie, o ilu z nich nie wiemy...

– Myślisz, że były takie śledztwa? – Ola automatycznie nachyliła się bliżej, jakby czekając na wyjawienie jakiegoś sekretu.

– A nie masz wrażenia, że panna Krystyna pod tą powłoką miłej, starszej damy z nienagannymi manierami jest jednak bardzo tajemniczą osobą?

Rzucone pytanie zawisło w ciszy.

Zuza zawinęła kulkę ciasta w folię i włożyła do lodówki. Ogarnęła szybko bałagan na blacie i przetarła

go ściereczką.

– Nawet nie zaproponowałam ci nic do picia... – zreflektowała się.

– Gdybym chciała, to nie omieszkałabym się upomnieć. No... Chyba, że masz jakieś dobre wino.

– A mam – ucieszyła się Zuza sięgając po kieliszki.

– Wiesz, że brakuje ci tu jakiejś sofy...

Zuza podążyła za spojrzeniem Oli. No tak... Salon w zestawieniu ze zdewastowaną kuchnią sprawiał jeszcze bardziej smętne i przygnębiające wrażenie niż zazwyczaj. Kartonowe pudła, biały kolor ścian... Jeszcze się nie zdecydowała, jak je pomalować, ponieważ nie miała pomysłu na urządzenie pokoju dziennego. Wysoka przestrzeń z dwóch stron ograniczona była antresolą górnego piętra. Udało jej się zamontować jeszcze panele z matowego szkła, które oddzielały część sypialną, ale na tym się skończyło. Po odejściu Mirka nie starczyło funduszy na skończenie remontu...

– Mój salon musi niestety poczekać na przyływ gotówki. Na razie trzeba się uporać z kuchnią. Im szybciej, tym lepiej, bo szlag mnie trafia. No... I wymiana zamków. Piotrek pomalował część antresoli, w której chcę zrobić gabinet, ale nawet nie mam stołu...

– A chcesz stół? Taki solidny, z litego drewna? – Ola weszła jej w zdanie. – Mamy taki! Trzeba go co prawda wyczyścić, zetrzeć papierem ściernym i pomalować, ale jest w dobrym stanie.

– Biorę! – ucieszyła się Zuza.

Przeniosły się do salonu i siadły na podłodze. Oparły się o ścianę, a butelkę wina postawiły między sobą. Przy drugim kieliszku wzięło je na wspominki.

– Pamiętasz, jak Julka próbowała wybrać się na imprezę do Krakowa tak, żeby babcia się nie dowiedziała?

– I każda z nas myślała, że to u niej ma spać. – Zuza z niedowierzaniem pokręciła głową. – Ale byliśmy naiwne. Trzeba było wcześniej ustalić jakąś wspólną wersję.

– No tak. Kłamać to raczej niezbyt umiałyśmy. – Ola wepchnęła sobie do buzi całą garść precelków. – Za słone... Zresztą. Ja się powoli wyrabiam.

– To znaczy?

Ola przewróciła oczami.

– Małżeństwo wymaga pewnej elastyczności. Kochanie, to nowa sukienka? Skąd. Kupiłam ją w zeszłym roku na imieniny twojej matki. I tak dalej... – machnęła niedbale ręką. – Julka zawsze miała do tego dryg...

– Do kłamstwa?

– Kłamstwa. Manipulacji. Półprawd...

Snuły wspomnienia ze szkolnych czasów. Śmiały się z kolegów, z własnych potknięć, z nauczycieli, na niektórych suchej nitki nie zostawiając. Jednak wciąż wracały do Julki.

– Niesamowite, że się przyjaźniłyśmy... – Zuza zapatrzyła się przed siebie. – Byłyśmy zupełnie różne...

– Nie przesadzaj, w podstawówce byłyśmy nierozłączne! Po maturze różnice charakterów zaczęły chyba brać górę. Może właśnie dlatego Julka coraz rzadziej się z nami spotykała. Zresztą trudno już było o wspólne tematy... Ona miała pracę, babcie i własne romanse, my miałyśmy studia.

– Tak... Ale w przedszkolu było całkiem fajnie. Nieźle nam szło urządzenie przyjęć dla lalek. – Zuza podniosła się z podłogi i poszła kończyć ciasto.

– Wówczas wszystko wydawało się o wiele prostsze... – Ola dopiła wino i odstawiła kieliszek na blat.

– Postaraj się nie zwariować – powiedziała zbierając się do wyjścia.

– Nie mam zamiaru.

– Zamiaru to ty możesz i nie mieć. Czasami samo wychodzi. Przeżyłaś tydzień z wujkiem Ryśkiem, to już jest wystarczający stres. Do tego zabójstwo i włamanie. Pomyśl, czy nie wyjechać na weekend i na

chwilę oderwać się od tego wszystkiego? Mówię poważnie – dodała widząc powątpiewające spojrzenia Zuzy.

– I gdzie niby mam jechać?

– Choćby do leśniczówki. Zawsze to inne otoczenie, a po znajomości nie wydasz majątku.

Jeszcze długo po wyjściu Oli, gdy układała jabłka na podpieczonym spodzie tarty, zastanawiała się nad pomysłem rzuconym przez przyjaciółkę.

Dawno już nie była w leśniczówce u Sochów. Cisza, spokój, samotność i dwa dni snucia się po szlakach... Żadnych zabójstw i morderców deptających jej po piętach. Leśna głusza, myśliwi, zwierzyna łowna i wyraźnie ustalona hierarchia w łańcuchu pokarmowym...

Nagle niezwykle pociągająca wydała jej się myśl, że wie, kto w tym układzie pociąga za spust. Nawet jeśli później ofiara, w formie pasztetu, trafia na stół.



Sobotni poranek zaczął się bez niej. Kolejna ciężka nocka zrobiła swoje. Zuzanna przeżywała swoje *déjà vu* spoglądając na zegarek. Dziewiąta. Dziewiąta?! Morderstwa najwidoczniej wpływają na zaburzenie rytmu dnia.

W pierwszej chwili odrzuciła kołdrę i wystartowała do łazienki. Poranny autobus w kierunku Sącza dawno już odjechał. Jeśli chciała zdążyć na następny musiała się pospieszyć. Wskoczyła z łóżka jak oparzona. Dopiero na zakręcie schodów straciła rozpęd i przysiadła na drewnianym stopniu. Przetarła zaspane oczy i westchnęła. W tej chwili potrzebny byłby cud żeby zdążyć na odjeżdżający za dwadzieścia minut autobus. Umyć się, ubrać i spakować w niecały kwadrans...? I dobiec jeszcze na dworzec...? Tęsknie zerknęła w kierunku okna. Cudowna pogoda, słońce zapowiadające wspaniały dzień, ciepło, idealne warunki na wędrowkę po lesie... A ona, cholera, czuła, jak okazja do oderwania się od problemów właśnie mija jej przed nosem. Jaki stąd wniosek? Jak się nie ma, co się lubi, to się lubi, co się ma... Albo przynajmniej bez fałszywego entuzjazmu odwała się robotę, która i tak musi zostać wykonana.

Podniosła się ze schodów i już wolniej zeszła do kuchni. Starając się za bardzo nie zwracać uwagi na zniszczone szafki przygotowała od razu dwie porcje mocnej, pomarańczowej kawy. W taki dzień jeden kubek to zdecydowanie za mało, żeby stawić czoło światu. Z tęsknotą pomyślała o dżemie morelowym, którym wczoraj częstowała ją panna Krystyna. Może uda się dostać jeden słoiczek? Albo chociaż przepis? A tymczasem trzeba się zastanowić nad planem dzisiejszego dnia.

Po pierwsze ślusarz i wymiana zamków. I może założenie alarmu, choć to z pewnością będzie kosztować, a ona pojęcia nie ma skąd teraz wytrzasnąć tę dodatkową kasę. Chyba tylko z puli na ratę kredytu. Jednak nie ma innego wyjścia. Późna pobudka była efektem nieprzespanej nocy. Proste. Chociaż wieczorem przekonywała Olę, że poradzi sobie sama w mieszkaniu, nie było to takie łatwe. Przy drzwiach ustawiła w piramidkę szklane butelki po winie. Jeśli ktoś chciałby się włamywać w nocy – narobi hałasu i ją zbudzi. Jednak mimo tego prowizorycznego alarmu i tak nie mogła zasnąć. Przewracała się z boku na bok, wyłapywała każdy najlżejszy szmer w mieszkaniu. Po drugiej, zrezygnowana, zapaliła lampkę i sięgnęła po leżącą przy materacu książkę. Liczyła, że lektura w jakiś sposób ją wyciszy i pozwoli zapaść w sen. Przez kolejną godzinę niecierpliwie przewracała kartki...

Dopiero trzaśnięcie drzwi gdzieś u sąsiadów spowodowało, że się ocknęła. Rzut oka na zegarek wystarczył, by podnieść jej ciśnienie. Dziewiąta!

Tym sposobem dzień zaczął się z poślizgiem i zupełnie nie tak, jak sobie zaplanowała.

Należało więc zastanowić się, jak skorygować weekendowy grafik, by mieć z niego choć trochę przyjemności.

A więc na początek ślusarz. A raczej „pan złota rączka”, czyli Mieczysław Bąk. Sięgnęła po telefon i wybrała numer panny Krystyny.

– Zakładam, że w bojowym nastroju rozpoczynasz dzień – przywitała ją staruszka. – Mam rację?

Zuzanna roześmiała się słysząc tę niezachwianą pewnością w jej głosie.

– Powiedzmy, że się staram.

– To dobrze. Nie ma nic gorszego, jak pozwolić jakiemuś draniowi zepsuć sobie radość życia. A więc, co zamierzasz?

– Wymiana zamków, alarm, kolejny telefon do ubezpieczyciela i do firmy stolarskiej, która robiła mi kuchnię.

– Dobrze. Choć w jeden dzień tego wszystkiego nie załatwisz. Zwłaszcza z firmą ubezpieczeniową. Ci to dopiero lubują się w papierologii. Tyle wniosków, ile każą wypełniać, doprawdy nadaje się tylko na podpałkę. Wiesz... – zamilkła na chwilę i Zuza wręcz widziała w wyobraźni, jak panna Krystyna zaciska wąskie usteczka i mruży oczy. – W takim mieście jak Grodów trzeba mieć znajomego specja od wszystkiego. Tak to już jest. Nie tylko lekarza, prawnika i pana Miecia. Dobrze też mieć wśród znajomych taksjarza, strażaka, policjanta, księgową, pielęgniarkę i, oczywiście, ubezpieczyciela. Mówiłam ci, że kilka razy mi się do domu włamywali...

– Tak.

– Gdyby nie pan Jarosław, to by mnie szlag trafił, za przeproszeniem. Chcesz do niego numer?

Zuza z entuzjazmem przyjęła propozycję.

– Pani jest niezastąpiona! – przyznała.

– Drogie dziecko. – Kobieta przerwała jej podziękowania. – Jak będziesz w moim wieku, to się przekonasz, że nie ma ludzi niezastąpionych. Cała sztuka polega na tym, by mimo wszystko wmówić innym, że jest się niezbędnym. Poza tym... Co innego miałabym do roboty? Siedzę i szydełkuję. No właśnie. Muszę skończyć te serwety na prezent. Więc dzwoń do pana Miecia, on cię nie oskubie, a robotę zrobi fachowo. I daj znać, gdyby coś się działo.

Wciąż uśmiechając się pod nosem wybrała podany numer. Po dwóch zaledwie sygnałach odebrał bardzo miły pan i zanim zdążyła wyjaśnić o co chodzi zapewnił, że panna Krystyna dzwoniła wcześniej i uprzedziła w czym rzecz. I choć z zasady w soboty nie pracuje, to dla znajomej panny Krystyny chętnie robi wyjątek i może się pojawić za godzinę.

Tym sposobem sprawa wymiany zamków została załatwiona nim jeszcze Zuza zdążyła wypić pierwszy kubek kawy. Odhaczyła punkt na liście i przeszła do następnego.

Tu sprawa nie poszła tak gładko. Pan Jarosław zapewnił, że oczywiście chętnie zajmie się sprawą i przejrzy umowę, jednak jako rzeczoznawca ma napięty grafik. Może przyjść w piątek, by spisać protokół, ale i tak należy się spodziewać, że wypłata odszkodowania nastąpi najwcześniej za dwa miesiące. Zuzanna podała adres i wpisała spotkanie do terminarza.

Zanim zadzwoniła do firmy meblowej sięgnęła po kolejną kawę i paczkę ciastek. Kupne, bo kupne, ale po wczorajszej tarcie z jabłkami jakoś opuściły ją zapędy cukiernicze i na zrobienie czegokolwiek dla siebie najzwyczajniej nie miała już siły. Zadowolona się więc ciemnymi herbatniczkami, które jako żelazną rezerwę trzymała zawsze w szafce.

Chwilę myślała, jak to będzie wyglądać, gdy do zrobionej dopiero co kuchni zamówi raz jeszcze fronty

i blaty. A może najpierw poprosi, by przyjechał ktoś z firmy i sprawdził, czy nie da się jakoś mebli uratować. Próbowwała się pocieszyć tą myślą, jednak realizm wziął górę. Marne szanse, że z turkusowych powierzchni uda się usunąć czerwone mazię. A gdyby tak pójść w zupełnie innym kierunku? Kupić puszkę z, powiedzmy, brązową i beżową farbą, poprosić kogoś kto robi murale i pomalować fronty na kształt ulicznego graffiti?

Siedziała na wysokim stołku i coraz bardziej wkurzona wpatrywała się w kuchnię.

Dzwonek odezwał się bez zapowiedzi. Widocznie znów ktoś nie domknął dolnych drzwi. Po co więc domofon, skoro i tak każdy może wejść na klatkę? Trzeba będzie coś z tym zrobić. Wywiesić jakąś kartkę, czy coś..., mruczała zirytowana idąc do przedpokoju. Widok brata za drzwiami też nie poprawił jej humoru.

Piotr wręczył jej brytfankę i poszedł do kuchni częstować się kawą. Zuza idąc za nim zastanawiała się, jaki też jest powód tej wizyty.

– To mogło poczekać – stwierdziła chowając formę do szafki.

– No nie wiem... Gdybyś chciała piec coś na niedzielę...?

– Nic nie piekę – podsunęła mu paczkę z herbatnikami.

Piotr zerknął na nie nieufnie.

– Dobre, nie otrujesz się – fuknęła i wepchnęła sobie jednego do ust. Popity kawą smakował całkiem znośnie. Brat zrobił to samo.

– Hmmm. Zjadliwe... Ty tak na poważnie?

– Co?

– No... Jesz te ciastka?

Zuza miała wrażenie, że gdzieś uciekła jej część rozmowy, ponieważ stwierdzenie brata wydawało się zupełnie absurdalne.

– Sekundkę. Ty się pytasz, czy ja na poważnie jem ciastka? No przecież widać. Biorę takie jedno, wkładam do buzi, gryzę i połykam. O, widzisz... – i zjadła kolejne.

– Sytuacja jest więc o wiele poważniejsza, niż zakładałem.

Zuza, która nie mogła mówić z pełnymi ustami, darowała sobie komentarz. Piotr też chyba nie miał ochoty na jałowe dyskusje. Zresztą nietrudno było przewidzieć, o co chodzi. Rodzina się martwiła, ot i tyle. Dobrze, że do rodziców nie dotarły jeszcze informacje o przygodach córki. Choć to tylko kwestia czasu, aż któraś z sąsiadek doniesie o poczynaniach Zuzy i zacznie się cały kołowrót. Matka była niezła w ciosaniu kołków na głowie. Oj, niezła. Zuza wolałaby utrzymać wszystko z dala od rodzinnego domu tak długo, jak tylko się da. Piotr, choć wyraźnie zmartwiony, nie przejawiał nadmiernie dydaktycznych zapędów względem żadnej z dwóch młodszych sióstr. Zresztą bujająca po świecie Gabi potrafiła się jakoś opierać nadmiernym ingerencjom ze strony najbliższych i żyła tak, jak chciała, nie zważając na niczyje komentarze. Czasami Zuza zazdrościła młodszej siostrze tego niefrasobliwego podejścia.

Gdy ciastka się skończyły, Piotr rzucił pełne wyrzutu spojrzenie.

– I co ja mam ci powiedzieć?

– Najlepiej nic. I tak wiem. Będę uważać. Zresztą za chwilę ma przyjść pan Mieczysław i wymieni mi zamki.

– A nie ten, co zakładał drzwi?

– Nie. To jakiś znajomy panny Krystyny. Z polecenia – dodała znacząco.

To wyjaśniało wiele, Piotr pokiwał tylko głową ze zrozumieniem i w wyraźnie bardziej optymistycznym nastroju zaczął zbierać się do wyjścia.

Jednak zanim doszli do drzwi, po raz drugi tego ranka rozległ się dzwonek.

Na progu stała uśmiechnięta Ola, próbując okiełznać dwóch dokazujących chłopców.

– Dobrze, że jesteś! – rzuciła próbując odciągnąć jednego z synów od doniczkowego kwiatka na parapecie. – Co z twoim telefonem? Staram się od rana do ciebie dodzwonić i nic. Myślałam zresztą, że pojechałaś do leśniczówki...

– Z komórką? Nie wiem co. A do leśniczówki zasnęłam.

– Ach... Ale w zasadzie dobrze, że jesteś. Poczekaj tylko... – odwróciła się i przechylając przez barierkę, krzyknęła w dół – Jest! To może jakoś się da wnieść. – Dodała już do Zuzy, cała rozpromieniona.

– Przywiozłaś stół! – Zuzanna szybko naciągnęła tenisówki.

– No, przywiozłam. Stwierdziłam, że nawet jak cię nie będzie, to zostawimy to na klatce. Tu jest domofon, to chyba nikt by nie rąbnął mebli z korytarza.

– No, nie wiem...

Z pomocą Piotra wniesiono na górę stół, regał i dwa drewniane krzesła.

– Stały u teściów na strychu. Powiedzieli, że można wziąć, więc wzięłam – wyjaśniła Ola. – Szkoda, żeby dalej niszczały. Trzeba odnowić, ale z tym powinnaś sobie poradzić.

– Są w dobrym stanie. – Piotr oglądał meble. – Nawet nie trzeba ściągać całej farby. Wystarczy trochę zmatowić i przemalować. Łatwa robota – ocenił.

– No widzisz! A teraz uciekamy...

Zuza próbowała oponować, dopytać się, ile wypada za te meble zapłacić i zaprosić ich choćby na kawę. Przyjaciółka tylko przewróciła oczami.

– Meble z odzysku, więc gratis. A kawa z nimi? – wskazała na synów, którzy w tym momencie zabrali się za targanie kartonowego pudła z książkami stojącego pod ścianą. – Zlituj się! Jedziemy do mini zoo. Mam nadzieję, że jak się wyszaleją, to chociaż wieczorem będzie trochę spokoju...

Piotr też wkrótce się pożegnał i Zuza została z nowymi meblami.

Brat twierdził, że ich renowacja będzie prostą sprawą... No..., zobaczymy. Skoro szykuje się wolne popołudnie, to można zacząć od wyczyszczenia mebli. Zerknęła na swoje ubranie: stare dżinsy i powyciągany podkoszulek. Szczyt porannej elegancji. Do prac konserwatorskich styl jak najbardziej odpowiedni. Poszła do składziku po papier ścierny i na pierwszy ogień wzięła stół.

Nie zdążyła porządnie go przetrzeć, gdy po raz trzeci tego poranka rozległ się dzwonek u drzwi. Zerknęła na zegarek. No tak, punktualny pan Miecio.

Otworzyła na oścież drzwi i przeżyła szok.

– Wiem, wiem... Nie tak sobie mnie pani wyobrażała – rzekł dobrodusznie olbrzym stojący na progu. – Ale proszę się nie przejmować. Ludzie zawsze tak reagują.

Zuza szybko odzyskała rezon. Po serii, mówiąc delikatnie, niefortunnych zdarzeń, jakie były jej udziałem w ciągu ostatniego tygodnia, postura pana Miecia była już tylko wisienką na torcie. Stojący w drzwiach mężczyzna nie był dobrotliwym starszym panem z lekką nadwagą – jak, nie wiedzieć czemu, zakładała. Skąd u niej wziął się taki portret Mieczysława Bąka? Nie miała pojęcia. Przecież panna Krystyna nie wypowiadała się na temat jego wieku... Zrobiła tylko jakąś drobną aluzję do kontuzji i chyba na tej podstawie Zuza stworzyła sobie abstrakcyjny portret pana „złotej rączki”.

Tymczasem mężczyzna niezwykle ostrożnie położył w przedpokoju skrzynkę z narzędziami. Te jego delikatne ruchy w ogóle nie pasowały do zwalistej postury. Miał z metr dziewięćdziesiąt, tatuaże na karku i przedramionach, i wygląd zawodowego boksera. Bez trudu mogłaby wyobrazić go sobie jako przywódcę gangu.

– Jeszcze tylko Tomek przyniesie resztę i można się brać do roboty. Rozumiem, że zakładamy porządny zamek, nie taki, co to seryjnie montują w drzwiach i byle łachudra umie go otworzyć.

– Noo... – Zuza uśmiechnęła się szeroko. Jakimś sposobem pan Miecio nie tylko nie wzbudzał jej



niepokoju, lecz wręcz przeciwnie, swoją posturą sprawiał wrażenie gwarancji solidności i bezpieczeństwa. – Zamek lub dwa. I chyba alarm.

– Panna Krystyna wspomniała, że miała pani niezapowiedzianą wizytę.

– Pokażę panu...

Zaprosiła go do kuchni.

Mężczyzna przez chwilę kontemlował malowidła na szafkach.

– A to chuj, za przeproszeniem.

Zuza z sympatią spojrzała na gościa.

– Chce pan kawy?

– Kawki chętnie, ale najpierw zamki. Tomek robi nawierty, bo mi bark szwankuje i przez jakiś czas mam uważać. Od panny Krystyny też mi się dostało, jak chciałem jej wnieść do piwnicy skrzynkę z jabłkami. Ta to potrafi człowiekowi zmyć głowę... – Sięgnął po śrubokręt i zabrał się za wykręcanie zamka. – A alarm też pani chce od razu? Pewnie tak – sam sobie odpowiedział. – Nie dziwię się. Możemy to dziś zrobić, tylko zejdzie jakieś trzy godziny. Trzeba trochę podkuć pod przewody, pociągnąć elektrykę i później zaszpachlować. Widzę, że przedpokój jeszcze niemalowany, więc nie będzie tak źle wyglądać. To co, robić?

– Jak najbardziej robić. Tylko nie wiem, czy mam w domu tyle, by panu zapłacić za ten alarm. A bank dziś zamknięty.

– Pani się nie martwi. Rozliczymy się później. A teraz do roboty.

Zuza zostawiła ich w przedpokoju i stwierdziła, że do kawy nie wystarczą kupne herbatniki. Pan Mieciu zasługiwał na porządne domowe ciasto. Coś szybkiego..., myślała zaglądając do szafki. Słoiczek z dżemem porzeczkowym podsunął jej pomysł. Pulchny, wilgotny murzynek polany czekoladą. Idealny do kawy. Nie minęła chwila, jak do hałasującej ekipy dołączył dźwięk miksera.



Spotkania robótkowe mają to do siebie, że, chcąc nie chcąc, trzeba jakoś o tych robótkach rozmawiać. Panna Krystyna, wspomagana dzielnie przez Honoratę, czyniła honory pani domu i właśnie zachwycała się dzierganą na szydełku chustą Cywalskiej. Tak po prawdzie, to jej kolor nieszczególnie dobrze był dobrany do ziemistej cery właścicielki, a i wzór był nad wyraz banalny, jednak tego akurat nie mogła powiedzieć. Nieszczere komplementy z trudem jej przechodziły przez gardło, więc pochwaliła to, co rzeczywiście godne było pochwały.

– Niebawale równe rzędy. Precyzyjne w każdym calu – rzekła odkładając okulary na stolik i oddając robótkę właścicielce.

Jadwiga Cywalska aż pokraśniała z dumy i z miną pełną wyższości zerknęła na siedzącą po przeciwnej stronie stolika Polesiową. Ta jeszcze wczoraj śmiała się, że taką chustę umiałaby zrobić nawet jej dziesięcioletnia wnuczka. A tu, proszę, nawet panna Krystyna, która uchodziła za specjalistkę w dziedzinie robótek, pochwaliła równe rzędy. Cywalska poprawiła się na krześle. Zwycięstwo nad rywalką wprawiło ją w dobry humor i nawet dokuczające od rana bóle reumatyczne nie wydawały się już tak ważne.

Panna Krystyna dyskretnie śledziła rozgrywającą się milczącą potyczkę. Świadoma była animozji

między zaproszonymi paniami, jednak udawała, że nie dostrzega tych drobnych złośliwości, którymi obdarzały się nawzajem. Swoje komplementy rozdawała oszczędnie i uważała, by żadnej z pań za bardzo nie faworyzować. Zachowanie tej chwiejnej równowagi gwarantowało ożywiony przebieg rozmowy. Tak, jak przewidywała, każda z zaproszonych pań chciała udowodnić, że jest najlepiej poinformowana w wydarzeniach z miasta, prześcigały się więc w wygłaszaniu rewelacji. O większości z nich gospodyni już wiedziała, poinformowana takimi bądź innymi kanałami, jednak nie przerywała żadnej wypowiedzi wyraźnie zasłuchana. Jej zainteresowanie dodatkowo zachęcało rozmówczynię, które, bez zbędnych pytań, jak z rękawa sypały kolejnymi sensacjami.

Zaczęło się od domniemanej ciąży Julii Kurek. O tym, że dziewczyna zginęła z rąk kochanka lub zazdrosnej żony otwarcie mówiono na mieście. Panna Krystyna rewelacje te traktowała z przymrużeniem oka z tej prostej przyczyny, że widziała raport patologa. Oczywiście nieoficjalnie. I oczywiście Michał Konik nie miał o tym pojęcie. Co jak co, ale znajomego patologa też trzeba mieć. Tak więc Julia z pewnością nie spodziewała się dziecka i wątek romansowy raczej odpadał.

Miasto podzieliło się jednak na dwa obozy, jeden uparcie trwał przy opcji zbrodni w afekcie, drugi spekulował na temat tego, co Julię łączyło z jej szefem. Zabity tydzień wcześniej Adam Rzewuski przestał już wzbudzać emocje i stanowił wyłącznie tło dla drugiej zbrodni. Mieszkańcy Grodowa szybko zmieniali obiekty swych zainteresowań. Im świeższy trup, tym lepiej.

Mimo tej całej krwiożerczości ukrywanej skrętnie pod płaszczykiem obywatelskiej troski, dawało się wyczuć pewien niepokój. Zadra wzajemnej podejrzliwości wdarła się głęboko i nie dało się jej zignorować. Panie, niby chętnie dzielące się informacjami, co jakiś czas rzucały na siebie podejrzliwe spojrzenia. Bo a nuż któraś z nich wie coś, czym nie chce się podzielić...? Może kogoś chroni? Panna Krystyna widziała tę niepewność i podejrzliwość równie dobrze, jak złośliwości. I najzwyczajniej w świecie zaczynało ją to nużyć. Ludzie są tak przewidywalni, tak czytelni w swych reakcjach... Wstyd się przyznać, ale to właśnie zbrodnie, przełamujące znane schematy, były jednym z nielicznych sposobów na pokonanie nudy... A więc do dzieła, najwyższa już pora rozwiązać tę podwójną zagadkę! Nic tak bardzo nie irytowało panny Krystyny jak niedokończone łamigłówki.

– Herbatki może? – Honorata, pomimo swej tuszy, z gracją lawirowała między gośćmi. Napełniała filiżanki i podsuwała kruche ciasteczka. Wreszcie zajęła miejsce przy bocznym stoliku, skąd miała doskonały widok na rozgrywający się w saloniku spektakl. Nie pierwszy raz była świadkiem tego typu przesłuchania, choć gospodyni z pewnością obraziłaby się za takie podsumowanie. Jednak posiadanie wnuka policjanta i przyjaciółki detektywa robiło swoje. Honorata sięgnęła po kolejny kawałek makowca i nadstawiła uszu.

– To takie przykre, gdy ginie młoda osoba...

Nie trzeba było długo czekać na podjęcie wątku.

– A tak. Zawsze to przykro patrzeć na klepsydrę – zgodziła się Niemczykowa. – Jak ktoś umiera w wieku siedemdziesięciu..., osiemdziesięciu lat – poprawiła się szybko uświadomiwszy sobie wiek gospodyni – to wiadomo, że trochę życia przeżył i tak go nie szkoda. A tu taka młoda dziewczyna...

– Pogrzeb pojutrze – wtrąciła Cywalska. – Grabarz mówił, że musieli przygotować piwniczkę, bo przecież Jakimowa zdążyła już pochować męża i córkę z zięciem. A teraz sama kobiecina zostanie...

– Ano tak... Zupełnie sama... – pokiwała głową Polesiowa.

Chwila upłynęła na wyrazach współczucia, ale szybko wrócono do bardziej pasjonującego wątku.

– A nie domyśla się pani, kto to mógł zabić młodą Kurek? – nie wytrzymała Polesiowa.

Pozostałe panie wstrzymały oddech czekając na odpowiedź. To by dopiero była nowina, gdyby panna Krystyna zdradziła im kogo podejrzewa.

Gospodyni bezradnie rozłożyła ręce.

– A co ja mogę wiedzieć, drogie panie? Siedzę unieruchomiona, wieści z miasta nie mam, czuję się, jakby mnie zupełnie poza nawias wyrzucili. To raczej panie wiedzą więcej, niż ja obecnie...

Kobiety jęły zapewniać, że na pewno nikt panny Krystyny nie wyrzucił poza nawias, lecz widać było wyraźnie, że wizja bycia lepiej poinformowaną niż panna Nowak każdej z nich sprawiła przyjemność. Gospodyni tylko przybrała zasmuconą minę, a Honorata próbowała opanować wybuch śmiechu, co skończyło się ni to kaszlnięciem, ni to parsknięciem.

– Mak mi wpadł do tchawicy – wychrypiała zasłaniając usta chusteczką. Dla lepszego efektu kaszlnęła jeszcze dwa razy i głośno odetchnęła. – Takie to ciasto podstępne.

Panna Krystyna zacisnęła usta i spuściła oczy, by siedzące wokół panie nie dostrzegły jej rozbawienia. Wiedziała, że Honorata gra komedię, tak jak i ona sama. Jednak w tej chwili nie mogła wypaść z roli. Załamała więc ręce, pokiwała głową i powiodła wokoło zatroskanym spojrzeniem.

– Ja wiem, że panie są niezwykle uprzejme, ale swoje lata mam... Oj, tak... A jak człowiek jest w moim wieku... No cóż. Porozmawiajmy o czymś przyjemnym.

Powrót do tematu zabójstw był oczywisty.

– A wie pani, że po śmierci Rzewuskiego zaczęto mówić o jego długach...? – szepnęła znacząco Niemczykowa. – Ponoć chciał robić jakieś inwestycje w tej strefie przemysłowej, co to jest za miastem. Węgierski mi mówił, że na kolanach dziękował Opatrzności, że wybił synowi z głowy pomysł, by wchodził w spółkę z Rzewuskim. To by dopiero było. Zwłaszcza jak go zabili.

Panna Krystyna wymieniła z Honoratą szybkie spojrzenie. O tym nie wiedziały.

– Ja nie wiem, kto mu pożyczał. Pewnie nie miał z tym problemu. Wszyscy wiedzieli, że interesy nieźle mu idą.

– Jak szły, tak szły... – wtrąciła Cywalska. – Ale na remont posadzki w kościele dał spory datek! Nawet ksiądz proboszcz się zdziwił, bo to Rzewuski do specjalnie pobożnych nie należał... W niedzielę w kościele czasem był, ale nie żeby co tydzień.

– No – poparła ją Polesiowa. – Gdyby był dobrym chrześcijaninem, to na mieście by nie mówili, że taki cwany. Ale, jak widać, sprawiedliwość jest na świecie – zakończyła zadowolona.

– Że niby go zabili? – chciała uściślić panna Krystyna.

– Ależ nie! – Polesiowa zrobiła zgorszona minę. – Sprawiedliwość jest, bo jak kto mało do kościoła chodzi – a przecież modlimy się za zbłąkane owce – to jak widać czasem jakiś skutek to przynosi. No choćby w postaci nowej posadzki, ale przecież zawsze to na wspólny pożytek i chwałę Pana.

Logika wywodu Polesiowej zrobiła wrażenie na pozostałych paniach. Przez chwilę zajadały ciasteczka w milczeniu rozmyślając nad wyższą sprawiedliwością.

– No, ale z Julią Kurek to zupełnie inna sprawa... – panna Krystyna, z nieznacznie zakłopotaną miną wróciła do tematu. – Sama rodziców wcześniej straciła, pracowała, opiekowała się babcią, bo nie miała nikogo innego.

– Pani myśli, że ona z Rzewuskim miała romans? – zainteresowała się Niemczykowa.

– A tak się mówi?

Drobny wybieg pozwolił uniknąć odpowiedzi. Najlepiej nic nie sugerować, jeszcze nie...

– Chodzą takie plotki, ale chyba nikt w to nie wierzy naprawdę. Kurkówna ładna panna była, wesoła i rezolutna. Wszyscy wiedzą, że ciągle się koło niej ktoś kręcił. Ale głowę na karku też miała. Nie ryzykowałyby dobrej posady.

– Może to ona zabiła Rzewuskiego?

Nagła uwaga Cywalskiej ściągnęła na nią pełne politowania spojrzenie Polesiowej.

– Pani droga... Jak? I dlaczego?

– Dlaczego? No, choćby dlatego, że miał romans z inną. Przecież kobiety zabijają z zazdrości – dodała

tryumfalnie.

Panna Krystyna uważniej spojrzała na Cywalską. Kobieta była miła, uczynna, ale raczej nie należała do zbyt lotnych. Jednak jej naiwny sposób rozumowania podsunął jej całkiem nową myśl...



Przynajmniej załoga nie nawaliła i wszyscy stawili się w komplecie na sobotnią zmianę. „Poczekalnia” przez ostatni tydzień świeciła pustkami i w tym momencie Jakub Bazyl musiał się zmagać z konsekwencjami. Wraz z szefem kuchni robili przegląd spiżarni i szlag go trafiał. Do kosza poszedł prawie cały zapas serów, warzyw i owoców, mimo iż, przewidując problemy, kupowali raczej oszczędnie. Tydzień kończył się na wyraźnym debecie, co nie wprawiało w dobry nastrój. Najgorsze jednak było to, że nie miał pojęcia jak długo ta sytuacja się utrzyma.

Zawiązali worki i wynieśli do kontenera na zapleczu.

Mirek stał zaraz za drzwiami. Zaciągnął się jeszcze dwa razy i zgasił niedopałek.

– Szef wie, że baby na mieście chcą go zlinczować? – zapytał bez ogródek.

– Słyszałem. A wy nie zamierzacie iść na mnie z widłami?

– No co też! – obruszył się chłopak. – Szef wie, że to takie gadanie, bo ludzie się boją i przez to głupieją.

– Tylko przy okazji ruch nam zamiera.

– Poprawi się, przecież na dziś sala zarezerwowana... – pocieszył Mirek wracając do środka.

No tak... Marek Brodziński zgodnie z zapowiedzią zjawił się z kilkoma kolegami z klasy, by urządzić powtórkę zeszytygodniowego jubla. Oby tym razem obyło się bez trupa, sarknął pod nosem Jakub.

Panowie, którzy początkowo planowali zająć salę na tyłach, szybko przenieśli się do baru. W lokalu było niewiele osób, więc mimo zmiany lokalizacji, impreza zachowała kameralny charakter. Jakub przez jakiś czas przyglądał się temu z dystansu, po czym sam stanął za barem. Wiadomo, po kilku głębszych rozmowa staje się bardziej szczerza niż na spowiedzi. A on miał wielką ochotę posłuchać, co też się będzie mówić.

Panna Krystyna od tygodnia upominała go, że w zaistniałej sytuacji, chcąc zminimalizować straty, trzeba po prostu jak najszybciej wyjaśnić tę sprawę. Delikatne napomnienia miały swoją wagę. Znając starszą panią był pewien, że nie zostawi sprawy morderstwa ot tak. Nie... Panna Nowak z pewnością siedzi w saloniku z robótką na kolanach i przemyśliwuje wszelkie możliwe konfiguracje wydarzeń. Z pewnością stworzy kilka takich wersji rozwiązania, że nikomu do głowy nie przyszłoby doszukiwać się powiązań w punktach, które jej wydają się oczywiste. Prawdą było też, że panna Krystyna, pozując na miłą staruszkę, czasem wypadła z roli i spoglądała na rozmówcę z lekko kpiącym uśmiechem. Większość w tym momencie czuje się jak idioci. Jakub, jakimś sposobem, nie. Chętnie słuchał zawiłych wywodów, uwielbiał się z nią przekomarzać i przepadał za jej dżemem morelowym. I może właśnie w tym tkwił sekret. Jakub, w przeciwieństwie do większości mieszkańców Grodowa, po prostu szczerze lubił pannę Krystynę. Nie był święty..., o nie. A ona o tym wiedziała, znała go przecież z najgorszej strony, a mimo wszystko kilka lat temu pomogła i wyciągnęła go z więzienia. Od tej pory obdarzał ją bezgranicznym zaufaniem. I dlatego postanowił teraz stanąć za barem i cierpliwie wysłuchiwał zwierzeń gości. Nie miał na to ochoty, przemógł się jednak, odstawił na bok swój zły humor i, zgodnie z sugestią

starszej damy, postanowił skupić się na tym, co się dzieje.

Panowie, jakby chcąc przełamać zły czar ciążyący na poprzednim spotkaniu, zaczęli znów od wspominków. Po raz kolejny obgadywali nauczycieli, wspominali dawne sympatie i co ciekawsze wyskoki.

– A jak Szywalskiego zamknęli w szafie przed historią... – Robert Gawłowicz szarpał za rękaw Patryka Dziadkowca. – Pamiętasz? I jak Mastalski szafę otworzył, bo chciał wyjąć mapę...

– Myślałem, że stary Mastalski zejdzie na miejscu, tak poczerwieniał! – wpadł mu w słowo Marek.

– A jaka chryja później była, jak ściągnęli do szkoły rodziców Szywalskiego i na dywaniku u dyrektora kazali mu się przyznać, kto go w tej szafie zamknął.

– No przecież nie mógł powiedzieć, że Baśka z Beatą, bo by wyszedł na totalnego mięczaka! – zawył z uciechy Patryk.

Towarzystwo jeszcze przez jakiś czas ciągnęło temat, a następnie, jak to zwykle bywa, rozpadło się na mniejsze grupy. Panowie co jakiś czas wychodzili na zewnątrz na papierosa, zamawiali kolejne piwa i przegadywali się, kto ma lepsze auto. Tu, niezaprzeczalnie, prym wiedli Robert z Tomkiem jako właściciele zabytkowych samochodów.

– A wiesz ile trzeba dać za oryginalne części? – ekscytował się Tomek. – Ściągałem ostatnio z Niemiec świece. W głowie się nie mieści, ile sobie facet policzył! Ale i tak musiałem zapłacić, bo przecież nie włożę podróbki.

– Drogie hobby – pokiwał głową Paweł.

– Żebyś wiedział. Jak diabli. No, ale trzeba mieć w życiu jakąś przyjemność.

Jakub postawił przed nimi następną kolejkę.

– A co u ciebie, Bazyl? Po naszej poprzedniej imprezie to chyba niezbyt... – zagadnął Paweł.

– Niezbyt, ale liczę, że się odbiję.

– No..., niezły smród się zrobił. Kurcze, że też takie rzeczy się zdarzają.

Tomek Rajski, siedzący obok, wskazał na ustawione w oszklonej gablocie przy barze modele.

– Ty też niezłe hobby masz. Wszystkie sam sklejałeś?

Jakub zerknął na swą kolekcję parowozów.

– Większość sam. Przy dwóch ostatnich syn mi pomagał.

– No tak. – Tomek jakby teraz pokojarzył sobie fakty. – Ty masz przecież syna. Ile on już ma?

– Pięć lat.

– Cholera. Ale ten czas leci. A wydaje się, że zaledwie wczoraj człowiek odstawiał wygłupy w ogólniaku. – Rajski pokręcił głową z niedowierzaniem, po czym z kuflem piwa przeniósł się na drugi koniec baru, gdzie Jarek z Karolem omawiali kupno działki w górach.

– No przecież mówię jej, że w Bieszczadach taniej...

– Ale nie można budować tam, gdzie chcesz – upierał się Karol. – Oni tam mają jakiś program unijny, który niby ma chronić naturalne dziedzictwo krajobrazowe, czy coś w tym stylu. Efekt taki, że nie postawisz sobie domu..., co ja mówię, nawet domku letniskowego. Do dupy taka działka, no bo co? Będiesz miał łąkę i owce pasał?

– Ale jak kupisz z budynkiem, choćby i do remontu, to taniej niż u nas.

– Ale daleko...

Jakub zgarnął sprzed nich puste szklanki i przetaił blat. Dorzucił precelków do miski i polecił Mirkowi, by zajrzał na salę z tyłu i sprawdził, czy wszystko w porządku.

Wieczór ciągnął się leniwie, jak rzadko który. Nie pamiętał, kiedy ostatnio miał taką pustą sobotę. Chyba jak otwierał lokal... Przez pierwsze dwa miesiące szło kiepsko, dopiero jak jedna ze znajomych urządziła tu wieczór paniński, jakoś ruszyło. Wolno, bo wolno, ale do przodu... Cóż, kobiety lubią

kolorowe drinki, a jemu nieźle szło ich mieszanie. Teraz zostawiał to Krzyškowi i tylko co drugą sobotę sam stawał za barem. Inna sprawa, że niektóre z pań miały zapędy, by wskoczyć mu do łóżka i siadając na wysokich stołkach prezentowały głębokie dekolty. Zaglądał, a jakże, był przecież facetem. Tylko ta przewidywalność, to, że większość klientek mógł rozszyfrować i sklasyfikować po pierwszych dwóch zdaniach, była po prostu frustrująca. I cholernie nudna.

Miał kasę, przynajmniej do tej pory nieźle funkcjonujący lokal, i ciągnącą się za nim od lat opinię złego chłopca. Tak było w Grodowie, a wiadomo, z małomiasteczkową plotką nie wygrasz. Dawno już pogodził się z tym, że wciąż ocenia się go przez pryzmat jego wybryków z młodości. Czasem tylko jeszcze to uwierało, ale czasem pomagało robić interesy. Tak to już było.

A teraz jego głośne rozstanie z Julią lata temu stało się pożywką do snucia przypuszczeń, czy też przypadkiem to nie on ją zamordował. Masakra jakaś.

– A twoja żona nie przyjechała?

Marek Brodziński zaśmiał się w głos.

– No, zlituj się. Ty myślisz, że ona by mnie tak samego puściła?

– Robisz za pantoflarza? Ty? – Paweł Oterski z niedowierzaniem spojrzał na kumpla.

Ten tylko wzruszył ramionami.

– Żona Włoszka, to tak jest. Zresztą, nie jest źle.

– No. Jak modelka wygląda.

– Wygląda – zgodził się. – Bogu dzięki, że nią nie jest.

– To gdzieś ją schował?

– W Krakowie siedzi, u mojej kuzynki. Robią razem jakiś projekt, choć nie wiem po co. Bianca przecież ma wystarczająco dużo pracy w Rzymie, a tu jeszcze zgodziła się na robotę i pomaga Beci. Ale przynajmniej ja mam wychodne.

– No! I to się nazywa dobre podejście!

Paweł ze szczerego serca rąbnął Marka w ramię. Ten trącił wysoką szklankę i całe piwo polało się po blacie.

– A to ci cholera... – Paweł z zainteresowaniem przyglądał się kapiącej na podłogę cieczy. – A wiesz, że tak w zasadzie to piwo śmierdzi?

Marek zerknął na kolegę też niezbyt przytomnie.

– A ty wiesz, że masz rację...

Jakub rzucił na blat garść papierowych ręczników. Obszedł z rolką bar i wytarł ochlapany stołek. Obok pojawiła się jedna z dziewczyn i szybko przetrła mopem podłogę. Rozmawiający przy barze panowie nawet nie zwrócili uwagi na porządki wokół nich.

– A ten mówi, że nie można. No, to już przesada...

– Taaa... – Marek Brodziński podparł głowę. – Przesada.

Między rozmawiającą dwójkę wcisnął się Robert.

– Wy wiecie co... Mnie dalej nie daje spokoju, czemu te dziewczyny zamknęły w szafie Szywalskiego.

Mężczyźni zerknęli na niego.

– A co ty znowu z Szywalskim?

– Ale czemu go zamknęły?

Na chwilę zapanowała pełna skupienia cisza. Jakub widział, że w trójkę uparcie główkują nad postawionym pytaniem.

– Kurde. Jak to było? – Paweł wzniosł oczy ku górze, jakby tam szukając odpowiedzi. – On im czymś podpadł...

– No. Tylko czym? I czemu się dał?

Jakub zaśmiał się pod nosem, bo, o dziwo, tę historię znał akurat doskonale. Julka mu opowiedziała... Kiedyś, jak jeszcze byli razem.

– Umówił się z obiema na walentynki – podpowiedział.

Trzej mężczyźni na chwilę zastygli wpatrzeni w Jakuba.

– Kurcze. On ma rację. – Marek w końcu zaskoczył. – To rzeczywiście było przy walentynkach.

– I on się najpierw umówił z jedną, ale mu nie dała odpowiedzi. No to się umówił z drugą – dopowiedział Paweł.

– A potem pierwsza się zgodziła. I się szybko wydało, bo dziewczyny zdążyły wszystko obgadać na wuefie.

– A że następna była historia, to przed lekcją we dwie na niego naskoczyły z pazurami. I nikt jakoś nie kwapił się do obrony Szywalskiego.

– Aa... – Robert usatysfakcjonowany kiwał potakująco. – Więc to była zemsta zdradzonych kobiet.

– Czy zdradzonych, to nie wiem. – Marek wzruszył ramionami. – Ale na pewno wściekłych... A nie wiecie przypadkiem, co z Bartkiem i Izą...?

Jakub nie słyszał dalszego ciągu dyskusji. Nasunęło mu się podejrzenie, które, w miarę jak usiłował sobie przypomnieć i poskładać w całość wydarzenia z zeszłej soboty, nabierało coraz bardziej realnych i przekonujących kształtów. Skinieniem przywołał Mirka i kazał mu stanąć za barem. Sam wbiegł po schodach na górę do swojego gabinetu. Schylił się do dolnej szuflady i spod teczek z fakturami wyjął otrzymane anonimy.

Ten, który go interesował najbardziej, był poskładanym na czworo wydrukiem komputerowym w zwykłej, białej kopercie. Wysłano go z Krakowa dwa dni temu, ale to o niczym nie świadczyło. Ciekawa była sama treść. Prócz zwykłych w takich wypadkach posądzeń i gróźb, było też coś, co zupełnie nie pasowało do reszty.

„Dość już krzywd. Ile można beczynn timerzeć na zło wyrządzane przez jednego człowieka?”

W całym potoku zółci, którą nadesłany anonim aż kipiał, wśród rzucanych mu w twarz inwektyw, ten fragment wyglądał wyjątkowo łagodnie. Tak, jakby w ustalony z góry schemat listu, we frazesy typowe w takich sytuacjach, wdarły się autentyczne zdania. Jedyne napisane bezpośrednio przez nadawcę.

Wiadomo, że anonimy chętniej piszą kobiety. Skąd takie przekonanie? Chyba Michał o tym kiedyś wspominał. Ale zbrodnia z zimną krwią to raczej męska domena. Ta sprzeczność nie dawała mu spokoju. Jednak wśród zamieszania i nawałnicy mijającego tygodnia w końcu, po raz pierwszy, pojawiła się iskierka nadziei.

Jakub, spoglądając na trzymany w ręce list, uśmiechnął się nieznacznie. Może nie jest to jeszcze rozwiązanie, ale przynajmniej wskazuje jakąś drogę. Złożył starannie kartkę i schował ją do koperty. Teraz przynajmniej wie, że ma jakąś szansę.



Deszcz coraz głośniejsze uderzał w dach. Zuzza otworzyła oczy i z niechęcią pomyślała o wstaniu z łóżka. Z trudem przewróciła się na plecy i zapatrzona w skośny sufit zaczęła wyliczać powody dzisiejszego markotnego nastroju.

Po pierwsze: był poniedziałek. A to, jak wiadomo, samo w sobie było wystarczającym

demotywatorem. Przypomniała sobie jedno z haseł wiszących w studiu reklamowym, na które kiedyś codziennie spoglądała. „Jak nie lubisz poniedziałku – zacznij od wtorku”. No cóż, tekst był chwytliwy, ale w jej sytuacji zupełnie niezyciowy. Jedynym plusem pracy w redakcji było to, że zaczynała się z porannym poślizgiem – aż dziw, że już po pierwszym tygodniu była w stanie to docenić.

Drugą przeszkodą dzisiejszego dnia był ból mięśni. Spróbowała się przeciągnąć i aż jęknęła. Nie pomogły tabletki magnezu łykane wieczorem ani ciepła kąpiel. Było do przewidzenia, że po dłuższej przerwie taki całodzienny wypad w góry może mieć przykre konsekwencje. Starła się je zminimalizować, ale i tak się nie udało. Musiała przyznać, że dwa dni czekającego ją cierpienia to niewielka cena za wczorajszy dzień wypoczynku.

Przymknęła oczy...

Na wycieczkę zdecydowała się w sobotę wieczorem, gdy zamki w drzwiach były już wymienione, alarm założony, antresola po malowaniu ścian wywietrzona, a stół od Oli odnowiony. Zgodnie z sugestią pana Miecia, który zajadając domowe ciasto udzielał jej porad z serii „majsterkowanie dla średnio zaawansowanych”, przeniosła meble do małego pokoju przy salonie i tam zabrała się za ich czyszczenie i odnawianie. Przynajmniej pył nie rozniósł się po całym mieszkaniu, a i zapach lakieru można było szybko wywietrzyć. Zadowolona z efektów pracy postanowiła sprezentować sobie jeden dzień z dala od Grodowa i zaprzatających jej głowę problemów. I tym sposobem w niedzielę rano zarzuciła plecak na ramiona i ruszyła na szlak.

Wybrała łatwą trasę, żeby się nie przemęczyć, a mieć maksimum przyjemności. Dziesięć kilometrów do schroniska wydawało się odległością w sam raz. Jeśli będzie bardzo zmęczona, albo załame się pogoda, zawsze może wybrać szybkie zejście do najbliższej wsi i wrócić autobusem. Jeśli natomiast nic nie stanie na przeszkodzie, to powinna bez nadmiernego ciśnienia obejść te dwadzieścia kilometrów tam i z powrotem do Grodowa – i na wieczór stawić się na rodzinnej kolacji.

Dzień zapowiadał się słonecznie; po czystym, błękitnym niebie przemykały od czasu do czasu białe, pierzaste chmury, które stanowiły doskonały kontrast dla świeżej jeszcze zieleni lasów. Zuza co chwilę przystawała i pstrykała kolejne zdjęcia. Dawno nie miała aparatu w rękach. Bardzo dawno... A dokładnie od chwili, gdy wrócili z Mirkiem z konferencji w Łodzi i jej narzeczony obwieścił, że tak w zasadzie żenić się z nią nie zamierza. Teraz, przeglądając w aparacie zdjęcia z tamtego wyjazdu zdała sobie sprawę, że rozstanie z Mirkiem, jakkolwiek wyolbrzymiane czy bagatelizowane, pchnęło ją na zupełnie nowe tory. I to takie, których sama, z własnej woli, nigdy by nie wybrała. Początkowy opór i niechęć do zmian oraz późniejsze bezwolne pogodzenie się z losem w końcu zaczęły ustępować. Zamiłowanie do porządku i organizacji wygrały z bezradnością. Gdy szła pod górę i wdychała rześkie powietrze, czuła, jak jej myśli się oczyszczają i uspokajają. Może jeszcze nie widziała przed sobą wyraźnego celu, ale przynajmniej zyskiwała pewność, że nie siedzi już w tym czarnym bajorku nieszczęścia, taplając się we własnych smutkach.

Przemyśliwała całą sytuację nie wiadomo już który raz, jakby chcąc samą siebie utwierdzić we własnych przekonaniach... Umiejętność dzielenia włosa na czworo może i jest przydatna przy analizie projektu kampanii reklamowej, ale w życiu może być wyjątkowo wkurzająca, stwierdziła wreszcie, przysiadając na powalonym pniu jodły. Po raz setny wałkować to samo...? Po jaką cholere? Z plecaka wyjęła czekoladowy batonik i szybko go pochłonęła. Mirkowi krzyżyk na drogę i jego flamie też. Może nawet przyjdzie taki czas, że mu podziękuje...

Z tą myślą podniosła się i ruszyła dalej.

Po drodze spotykała coraz więcej turystów. Ładny dzień, wiadomo więc, że przy schronisku będzie tłumnie. Liczyła jednak, że jeśli wcześniej wyjdzie, uda jej się uniknąć niedzielnej spędu. Zalety schroniska na Starej Górze były równocześnie jego wadami. Bliskie położenie w stosunku do Krakowa



czyniło z niego idealny cel weekendowych wycieczek dla tych, którzy nie mieli czasu wystawać w korkach do Zakopanego. Każdy z czterech szlaków prowadzących na szczyt był ciekawy i – co najgorsze – można było dość wysoko podjechać samochodem. W efekcie zjawiało się tu pełno przypadkowych turystów, którzy chcieli podziwiać piękne widoki minimalnym kosztem własnego wysiłku.

Zuza zakładała, że natknie się na krakowiaków i grodowian, o różnym stopniu górskiego zaawansowania. Jednak zupełnie nie była przygotowana na widok Jakuba Bazyla.

Na to wspomnienie znów się skrzywiła. Nie wiedzieć czemu dawna antypatia do Bazyla przerodziła się w irytację, która narastała wraz z każdym kolejnym spotkaniem. W niedzielę z trudem opanowała grymas niezadowolenia. I do tego jeszcze ją zaskoczył...

Siedziała na ławce w słońcu, z przymkniętymi oczami, starając się ignorować otaczający ją hałas. Wiedziała, że to niemożliwe. Jediną opcją było wstać i przenieść się na oddaloną o kilometr polanę. Tuż przy ścianie lasu stała stara szopa, która kiedyś uratowała ją przed deszczem... Ale po prostu, tak najzwyczajniej w świecie – wstać jej się nie chciało. Nawet głośne rozmowy wokoło nie zmusiły jej do zmiany miejsca. Zamówiła kawę, choć wiedziała, że będzie okropna. Zawsze była. Pani w okienku lekko się zdziwiła, gdy do kawy poprosiła o żurek. Ten, zgodnie z oczekiwaniami, był wyśmienity. Choćby dla tego smaku warto było się fatygować. Zadowolona, że po tak długiej przerwie podołała wyzwaniu – odpoczywała w promieniach słońca.

Krzyk roześmianych dzieci wbiegających po schodach zmusił ją do otwarcia oczu. Uśmiechnęła się, widząc jak dwaj chłopcy ścigają się do drzwi. Ale gdy podniosła wzrok, miała ochotę rzucić jakimś przekleństwem. Na schodach stał Jakub Bazyl i przypatrywał jej się wyraźnie zaciekawiony. Skinął na powitanie, więc nie mogła udać, że go nie dostrzega. Pełna rezerwy powtórzyła jego gest. Dopiero jeden z chłopców, który go dopadł i zażądał wzięcia na ręce, przerwał to napięcie.

Zuza, przywołując widok Jakuba z synem na rękach, poczuła ukłucie zazdrości. Chłopiec mógł mieć tyle lat, co jej bratanica Oliwka. I był równie przymilny. Widziała, jak Bazyl coś mu mówi na ucho, jak dziecko zerka na niego z tym psotnym błyskiem w oku, wyswobadza się z objęć i biegnie do szczupłej, filigranowej brunetki. Pewnie to żona Jakuba. No tak, jedynie taka supermodelka mogłaby być jego żoną.

Gdy tylko towarzystwo weszło do środka, szybko poderwała się z miejsca. Odłożyła naczynia do bocznego okienka i chwyciła plecak. Myśl o polanie z widokiem na Grodów wydała jej się o wiele bardziej nęcąca niż kwadrans wcześniej.

Schodząc szlakiem w dół zastanawiała się nad tą reakcją. Jeśli chciała być szczerą sama ze sobą, musiała przyznać, że to nawet nie chodziło o syna Jakuba. Przecież tydzień wcześniej na spotkaniu klasowym koleżanki też chwaliły się dziećmi, ich talentami, osiągnięciami. Lubiła też bliźniaki Oli, chociaż w rozsądnej dawce. Za to swoją chrześnicę Oliwkę uwielbiała. Jednak dopiero widok Jakuba z dzieckiem na rękach wywołał jej żal. To było jak kropla, która przelała czarę.

Doszła do zniszczonej szopy na skraju polany, zrzuciła z ramion plecak i oparła się plecami o rozgrzane słońcem drewniane belki. Wcześniej nieraz płakała nad swoim odwołanym ślubem, związkiem, który okazał się wielką pomyłką, nad własną ślepotą. Oczy znów lekko jej się zaszkliły...

Zerknęła na Grodów rozłożony w dolinie poniżej. Z tej perspektywy wszystko wydawało się takie małe i nieistotne. Te kłótnie, plotki, zawiść i potrzeba udowodnienia na każdym kroku, że jest się lepszym od sąsiadów. Oczywiście z pełnym fałszywej skromności uśmiechem na ustach. To zabieganie o uznanie... Coraz lepiej zaczynała rozumieć pannę Krystynę, która – zdawało się – była poza tym całym przyziemnym rozgardiaszem. Przecież już Wołodyjowski mówił, że jak się nie będą ciebie bać, to się będą z ciebie śmiać. I może to właśnie był sposób na przetrwanie w tym mieście? Pod powłoką nienaganych obyczajów dysponować taką wiedzą, która innych utrzyma w szachu...

Ale przecież panna Krystyna nie robiła tego ani dla podkreślenia własnej pozycji, ani tym bardziej dla jakichś prywatnych czy towarzyskich korzyści. Ona to robiła z powodu głęboko zakorzonego poczucia sprawiedliwości. Ale czy ona, Zuza, też je ma?

Cóż... Na razie z pewnością nie chciała być grodowskim Prometeuszem... Może Temidą, boginią sprawiedliwości, lub wymierzającą słuszną zemstę Erynią.

Z pewnością nie zgodziłaby się z zarzutem, że w morderstwie przyjaciółki stara się znaleźć ucieczkę od własnych problemów... Nie. Ona po prostu odstawiła je chwilowo na boczny tor. Teraz to widziała. Potrzebowała czasu, by zyskać odpowiedni dystans. A żeby nie zwariować i znów nie zadrećcać się analizą dni spędzonych w związku z Mirkiem – musiała zająć myśli czymś innym. Czymś równie ważnym. Może to zrzączenie losu, że właśnie teraz wróciła do Grodowa?

Łatwo było powiedzieć, trudniej wykonać. Ciągle się miotła, próbując na nowo poukładać sobie życie. Plany dobrze wyglądały w terminarzu, trochę gorzej szło z ich realizacją...

– Nie wydziwiał... – mruknęła do siebie. – Jak na zaistniałe warunki radzisz sobie nieźle. Ogólny zarys najbliższych miesięcy jest. Jak okrzepiesz, będziesz mogła zabrać się za szczegóły. Na razie ciesz się widokiem...

Ten widok wciąż miała przed oczami, gdy wreszcie zdecydowała się wstać z łóżka by zrobić sobie kawę. W drodze na dół przypomniał jej się ostatni argument, dlaczego wcale nie miała ochoty wstawać.

Dziś był pogrzeb Julii.

Dowiedziała się o tym po powrocie. Najpierw zadzwoniła Ola, potem Agata Klemp z informacją, że będą kupować wieniec od klasy i czy się na to pisze. Popijając poranną kawę zastanawiała się czy lepiej iść w eleganckich spodniach i żakiecie, czy też zakładać spódnicę. I proszę, bez względu na ból po stracie, pogrzeb trzeba rozpatrywać w jak najbardziej praktycznych kategoriach. Całe życie sprowadzone do wymiarów drewnianej skrzyni, a ona się zastanawia nad stylizacją.

Dźwięk przychodzącego SMS-a kazał jej sięgnąć po telefon.

„Przejrzałaś wiersze? Podesłałam Ci nowe. Co Ty na to? Kinga Król”.

Co ona na to?! Energicznie odstawiła kubek i trochę kawy wylało się na blat. Kurcze! Rozzłoszczona, sięgnęła po papierowe ręczniki. Dziś pogrzeb Julki, a ta wariatka nic tylko truje o swej wienie, natchnieniu i muzie ze zwichniętym skrzydłem. Normalnie jakiś obłąd! – pomyślała jeszcze z irytacją.

Dzwonek telefonu przerwał jej wewnętrzny monolog.

– Zastanawiałam się, czy już z tych gór wróciłaś. – Głos panny Krystyny brzmiał dźwięcznie i czysto. Starsza dama, upewniwszy się, że Zuza wie, o której rusza kondukt, bez ogródek przeszła do sedna.

– Musisz mieć oczy dookoła głowy – rzekła kategorycznie. – Nie wierzę oczywiście w te brednie, że jak morderca zbliży się do ciała, to ono zaczyna krwawić. Zresztą trumna będzie zamknięta. Nie... To zupełne brednie... Ty lepiej nie podchodź za blisko ani do trumny, ani do grobu.

– Dlaczego? – szczerze się zdziwiła. – A jak złożę kondolencje Jakimowej?

– Kondolencje złożysz na końcu. Jak już nie będzie zamieszania. Ja nie mogę iść przez tę nieszczęsną nogę... Ale zależy mi, bardzo zależy – podkreśliła – abyś trzymała się gdzieś z tyłu. Zresztą jak idzie twoja przyjaciółka Ola, to przecież obie możecie sobie stanąć gdzieś z boku.

– I mam mieć wszystkich na oku... – wolno powtórzyła Zuza.

– Dokładnie. Bo wiesz, jeśli rzeczywiście zabił ktoś z waszej klasy, to jest całkiem prawdopodobne, że zjawi się na pogrzebie. Bacznie się więc wszystkiemu przypatruj i słuchaj, o czym mówią ludzie.

– I liczy pani, że coś się komuś przez przypadek wymysknie?

– Nie... Po tylu latach nie mam już wiary w szczęśliwe zbiegi okoliczności. To nie zabawa, tylko ciężka praca... Po prostu patrz i słuchaj. Wiadomo, że nie można być we wszystkich miejscach równocześnie, ale staraj się zwracać uwagę na niuanse. Nieścistości, nietypowe informacje, zachowania, miny... Bardzo

często nieświadomie wyłapujemy z otoczenia wszelkie odstępstwa od normy. A podczas tak skonwencjonalizowanego zdarzenia, jakim jest pogrzeb, nietrudno będzie je wychwycić. Zaufaj swojej intuicji – dodała na koniec. – A jak Rysiek Moskał nie będzie cię chciał puścić, albo każe napisać tekst...

– Tak, wiem – uśmiechnęła się do słuchawki. – Mam po prostu odwrócić się i wyjść.



Michał Konik zmiął zapisaną właśnie kartkę papieru i cisnął nią do kosza. Tak jak poprzednie, odbiła się od ściany i upadła na podłogę. Będzie trzeba w końcu podnieść się zza biurka i ogarnąć ten bajzel. Jednak na razie mruknął tylko zirytowany, wyrwał następną stronę z kratkowanego bloku i zaczął wszystko od nowa.

Już ponad tydzień minął od zabójstwa Julii Kurek i dwa od śmierci Adama Rzewuskiego, a oni dalej byli w ciemnym lesie. To nie były jego sprawy, zgoda, ale skoro ktoś zagraża rodzinie, zaczął traktować to osobiście. Bardzo osobiście. Inną sprawą pozostawało pytanie, czy Zuza przez własną głupotę nie ściągnęła na siebie niebezpieczeństwa... No bo jak to – kompletna amatorka i pcha się do rozwiązywania zagadki kryminalnej? Raczej miał ją za rozsądną osobę, choć po tym odwołanym ślubie nie dziwił się, że dziewczyna chce się oderwać i zająć czymkolwiek innym, by nie myśleć o własnej porażce. To rozumiał. Natomiast zupełnie nie mógł pojąć, czemu chwyciła się tej sprawy morderstw. Mogła sobie znaleźć jakieś mniej groźne zajęcie, a jeśli brakowało jej adrenaliny, to przecież sama praca u wujka Ryśka wystarcza, by człowieka na każdym kroku szlag trafiał.

Wrócił do bazgrołów. Wciąż próbował rozpisac sieć zależności między uczestnikami dramatu i nie mógł znaleźć żadnego wzoru. Albo inaczej – było ich aż nadto i każdy jak najbardziej usprawiedliwiony. Tak to już jest w tych małych miastach, Grodów w ogóle nie odbiegał od schematu. Niby wszyscy wszystko wiedzą i nic się nie uchowa w tajemnicy, a jak przychodzi co do czego, to wychodzą takie brudy, że człowiek nawet po latach wzdryga się na samą myśl. Większość mieszkańców tak naprawdę pojęcia nie ma, co się tu dzieje, a nawet jak ma, to trzymają wszystko w pierniczonym sekrecie. Istna paranoja.

Jeszcze raz... Julia pracowała dla Rzewuskiego. Nie było tam żadnego romansu, a przynajmniej wszyscy tak twierdzą. Mimo opinii, że Julia ciągle zmieniała facetów, akurat w tym wypadku był skłonny zgodzić się ze zdaniem większości. Nie mogła mieć romansu z własnym szefem, była zbyt cwana. Nie ryzykowałyby dobrej posady. Na pewno nie.

Zginęła, bo wiedziała, kto zabił Rzewuskiego. Chyba wszyscy w Grodowie też tak sądzą. No dobra. Czy był jeden zabójca? Też prawdopodobne. I tym sposobem zatoczyliśmy kolejne koło. Dziwna jakaś ta sprawa. Michał miał poczucie, że kręci się jak pies za swoim ogonem i nic z tego nie wynika.

Kolejna zmięta kartka poszybowała w kierunku kosza.

Może by tak podpytać Łacnego i Brendera...? A może raczej omijać ich szerokim łukiem... Wystarczy otworzyć usta i już się będą jeżyć, że z powodu kuzynki wcina im się w śledztwo. Zresztą sama Zuza dorzuciła swoje trzy grosze. Wszyscy już wiedzą, że spiskuje z panną Krystyną. Ale starszej damy każdy się obawia, nawet komendant, a Zuzanną nikt nie będzie się przejmował. Tu u nich, na komendzie, różnie nazywa się takich domorosłych detektywów. I żadne z tych określeń nie przeszłoby przez cenzurę.

W tym momencie Michał czuł się po prostu sfrustrowany. I trochę wkurzony. I nic na to nie mógł

poradzić. Nawet obgadanie sprawy z Bazylem i panną Krystyną nie na wiele się zdało. A jeśli nie złapią drania, to smród będzie się ciągnął po mieście jeszcze przez długie miesiące, a może nawet lata.

Podniósł się z miejsca, zgarnął śmieci do kosza i z braku lepszych pomysłów ruszył do sąsiedniego pokoju. Wsadził tylko głowę przez drzwi i zlustrował towarzystwo. Nie znalazłszy starszego aspiranta ruszył w górę po schodach. Było tylko jedno miejsce, gdzie spokojnie można było zapalić bez uruchamiania systemu przeciwpożarowego, a dla Antoniego Mruka godzina bez papierosa była nie lada torturą.

Z dachu komisariatu rozciągał się rozległy widok. Michał stanął w otwartych drzwiach i objął wzrokiem wschodnią część miasta. Jak na dłoni widać było budynek ogólniaka i szpital, trochę dalej skupisko jednorodzinnych domów i tereny przemysłowe za obwodnicą. Choć nie był esteta, to musiał przyznać, że panoramę mają naprawdę niezłą. Wystarczyło wyjść zza załomu muru i można było spojrzeć na kościół i kamienice na rynku.

– Siądziesz, czy zamierzasz się dalej gapić?

Antoni Mruk stanowił swe własne przeciwieństwo. Ani nie był tak pompatyczny, jak brzmiało jego imię, ani tym bardziej mrukliwy, jak mogłoby wskazywać nazwisko. Michał czasami się zastanawiał, jak Tosiek wytrzymał w szkole. Gdyby jego starym przyszło do głowy dawać imię po pradziadku, to jak Bozia na niebie, nie zdzierzyłby tego Hipolita. Przeżywaliby go nieustannie. I jak to skracać? Hipcio? Tosiek brzmi zdecydowanie lepiej, choć i tak nie zazdrościł koledze.

Michał jako tako wytarł mokrą ławkę, usiadł na niej ciężko i rozprostował nogi. Zerknął na paczkę leżącą obok i próbował zignorować targającą nim chęć sięgnięcia po papierosa. Na razie wytrzymał miesiąc, bez tabletek i innych cudów. Grunt to zająć myśli czymś innym.

– Nie daje ci to spokoju – rzucił Tosiek.

– Nie. Nie daje.

Nawet nie musiał precyzować. Przecież i tak od dwóch tygodni nie mówiło się tu o niczym innym.

– Czy jest coś, co mogło nam uciec? – zastanawiał się. – Przejrzałeś jeszcze raz zdjęcia?

– Ano... Jedno po drugim. Brender dostaje już drgawek, ale to bardziej przez starego, niż opinię publiczną. Dostał ultimatum i jeśli nie zamknie sprawy w tydzień, może pożegnać się wyjazdem na szkolenie do Kolonii. No i się chłopina poci.

Michał wzruszył tylko ramionami. Do Brendera osobiście nic nie miał, no, może poza tym, że był strasznym służbistą. A o tym szkoleniu też już słyszał. Komisariat był Grodowem w miniaturze: silne powiązania i podgryzania, a plotkami doprawiano każdy kęs.

Na dźwięk dzwonów podniósł głowę i zerknął w kierunku cmentarza, skąd dobiegał dźwięk.

– Pogrzeb już rusza.

– Kondukt – poprawił go Tosiek. – Pogrzeb zacznie się za pół godziny. Pewnie pół miasta będzie tam wypatrywać mordercy.

– A ktoś z naszych też się wybierał?

– Jakieś cztery osoby. Może pięć, jak stary zwolni Wojtczaka – Mruk jak zwykle był świetnie poinformowany. Czasem Michał zastanawiał się jakim sposobem facet wie dosłownie o wszystkim, co dzieje się na komisariacie i o większości spraw poza nim... A jeśli jakimś niepojętym sposobem coś mu umknęło – odbierał to jako osobistą zniewagę i ujmę na honorze. Inna sprawa, że w komórce miał numery do wszystkich ważnych osób w mieście i z wszystkimi chyba był na „ty”.

– A czy wiemy coś, o czym nie wiedzą tamci? – wskazał głową w kierunku cmentarza.

– Cóż... – Tosiek potarł podbródek. – W zasadzie tylko jedna rzecz jeszcze nie wypłynęła na miasto. Zabójca zadał dwa ciosy, jeśli cię to interesuje.

Przez chwilę Michał siedział w bezruchu wpatrzony w jakiś punkt na horyzoncie.

– Pierwszym trafił w tętnicę?

Mruk przytaknął.

– I zaczął wysuwać ostrze?

– Pewnie chciał zabrać narzędzie. Odciski palców i te bzdury. Jednak gdy zwolnił nacisk musiało nieźle siknąć krwią. Dlatego, automatycznie, wepchnął ostrze z powrotem. Tylko że za drugim razem weszło pod innym kątem.

– W łazience, gdzie znaleźli Kurek, nie było żadnych rozbryzgów, tylko to, co z rany spłynęło po bluzce – przypomniał sobie przeglądane zdjęcia i relację Bazyla.

– Ano nie było. Wniosek nasuwa się sam...

– Zabójca stał bardzo blisko. Tak blisko, że cały rozbryzg musiał wylądować na nim. W dowodach nie ma zakrwawionej odzieży. Więc musiał się przebrać i pozbyć się ubrania. Czyli nic pewnego. To mógł być każdy z obsługi...

– I mało prawdopodobne, że ktoś z gości – dodał Mruk.

– Niby czemu?

– A bierzesz ze sobą koszulę na przebranie, jak idziesz do knajpy na imprezę?

– No nie... Ale też nie biorę wtedy auta, skoro zamierzam pić. A na parkingu przed „Poczekalnią” było sześć aut gości.

– Pewnie zamierzali wracać taksówką, a rano odebrać samochody.

– No pewnie. Zresztą obsługa Bazyla miała na nich oko.

– Czyli co... – Tosiek sięgnął po następnego papierosa i mocno się zaciągnął. – Tylko morderca wie o dwóch ciosach i ma gdzieś schowane zakrwawione ubranie.

– Raczej się go już dawno pozbył – Michał starał się ignorować zapach tytoniu. – A tak w ogóle, były psy?

– Chyba żartujesz – Mruk roześmiał się niewyraźnie. – Żeby ściągnąć ekipę z Krakowa to... Zresztą, pies im mordy lizał. A nim doczekamy się własnego, stary szybciej pożycz swój wyżł. Zresztą wtedy od razu typowano jednego z imprezowiczów. Lub Bazyla, ale tylko dlatego, że facet miał kiedyś pecha i dalej jest na cenzurowanym. Zresztą ty się z nim przyjaźnisz, to wiesz.

– No...

Kondukt żałobników zbliżał się już do cmentarza, dźwięk dzwonów powoli ustawał i było teraz słychać zawodzenie organisty, który swym zachrypniętym głosem intonował pogrzebowe pieśni.

– Jeszcze dzień, a na mieście będą o tym mówić. O tych dwóch ciosach. Wiesz przecież, że tu nic się nie utrzyma. Taka globalno-lokalna wiocha – Mruk zgniół niedopałek i podniósł się z ławki. – I uważaj na kuzynkę. Zresztą, co ja ci będę mówił... Sam wiesz.

Michał patrzył za znikającym na schodach kolegą. Wiedział..., wiedział aż za dobrze, że jak Zuzka nie odpuści – a tego, znając ją, mógł być pewny – może z tego wynikać jakieś nieszczęście. Trzeba było posłuchać rodziców i iść na stomatologię. A jemu, cholera, zachciało się strugać bohatera. No to teraz ma.



Tak musiało być.

Oczywiście jest żal, jest rozpacz, wszystko to teraz widzi. Ale nie było innej drogi. Rachunek zysków i strat wypadł na jego korzyść – i tylko to się liczy.

W zasadzie współczuł Jakimowej. Straciła córkę, zięcia, a teraz wnuczkę... Nie, zdecydowanie współczuł tej starej kobiecie, która wsparta obiema dłońmi o łaskę pochylała się nad grobem Julii. Nie był przecież potworem.

Z drugiej jednak strony, sama sobie była winna. Nikt jej nie kazał wychowywać wnuczki na puszczałką numer jeden w mieście. Przecież wszyscy wiedzą, jaka była. Teraz, oczywiście, te stare babska chlipią i przykładają chusteczki do oczu, ale niech no tylko odejdą na kilka metrów...

Już on je znał, te..., te... Jego żona lepsza nie była. Taka jak Julia, puszczałska. A o nim to wygadywała. Wszystkie one takie są. Kłamiwe suki.

Teraz magiery zbijają się wokół Jakimowej. Każda chce pokazać, że w obliczu śmierci pełna jest współczucia i chrześcijańskiego miłosierdzia. Stado sępów, ot co. Skrzeczą jedna przez drugą, że jaka to strata, taka młoda, miła dziewczyna... A jeszcze dwa tygodnie temu, tuż po śmierci Rzewuskiego, słyszał na rynku, jak się wzajemnie nakręcały, że to pewnie ta Kurek zabiła biedaka w szale zazdrości, bo przecież na pewno miała z nim romans. Idiotki nawet nie wiedziały, jak się wówczas pomyliły. On to wiedział, niestety...

Ale nie ma co rozpamiętywać. Teraz tylko trzeba mieć oko na Zuzannę Krukowską. Oby ta wariatka z czymś nie wyskoczyła. Jak się przekonał, drobne „sugestie” poskutkowały. Na szczęście dla niej. Musiał co prawda trochę się przy tym natrudzić..., zwłaszcza przy włamaniu do mieszkania, ale efekt był zgodny z oczekiwaniami. Dziewczyna dostała stracha i przycichła. Wiadomo, z nimi tak to już jest, że tylko mocną ręką jest się w stanie coś zyskać. A jak taka rozpuszczona jedna z drugą wejdą na głowę, to nic tylko dzielić. Nie żeby był damskim bokserem, nie. Tylko czasem po prostu dochodził do wniosku, że z kobietami inaczej się nie da. Choćby ta sytuacja z Krukowską – jak nią mocno potrząsnął w parku, to od razu spotulniała.

Albo Julia. Ta to nawet z gróźb nic sobie nie robiła i się z niego tylko śmiała. Więc musiał to jakoś załatwić i sprawić, by przestała. A ona nawet wówczas, w łazience, drwiła z niego, wypominała mu, jaki z niego pantoflarz i jeleń.

Widzi jeszcze te jej wpółotwarte usta pociągnięte czerwoną szminką, gdy wyraz pogardy zaczyna ustępować zdziwieniu. Ułożyły się wówczas do krzyku, ale jedyne, co się z nich wydobyło, to ciche jak westchnienie „Ooo...”.

Tak, zdecydowanie. I Julka, i Jakimowa mają dokładnie to, na co sobie zasłużyły.



Na cmentarzu zebrał się spory tłum. Nic dziwnego – mieszkańcy Grodowa nie przegapiliby takiego spektaklu. Trzeba było pokazać się w żałobie, złożyć kondolencje Jakimowej i wymienić się najświeższymi plotkami. A że przy okazji można poobgadywać innych, snując podejrzenia na temat tożsamości zabójcy... Cóż, przecież trzeba czymś zająć myśli podczas przydługiego pogrzebowego kazania, wygłaszanego przez niezastąpionego księdza doktora Przemysława. Przyjęta przez niego intonacja i przerwy między poszczególnymi zdaniami budowały patetyczny ton, tak pożądany wedle homiletyki, a wiernym pozwalały zająć się własnymi sprawami bez uszczerbku dla logiki wypowiedzi.

Choć, między Bogiem a prawdą, zazwyczaj właśnie tej logiki brakowało w mowach księdza Przemysława, a o zwykłych, przyziemnych sprawach nie warto było nawet wspominać.

Zuzanna skryła się pod rozłożystym parasolem razem z Olą i próbowała przypomnieć sobie, czego dotyczyło kazanie. Memento mori i inne makaronizmy w połączeniu z grzmiącym tonem nawołującym do opamiętania w grzesznym życiu, bo nie znamy dnia ani godziny, wywoływały u większości grymas konsternacji. Czy odnosiły się bezpośrednio do Julki, której styl życia dla nikogo nie był tajemnicą, czy też do wszystkich zebranych – trudno orzec, gdyż ksiądz Przemysław na zmianę celował palcem wskazującym w sklepienie i w wiernych. Teraz, prowadząc kondukt na cmentarz, wspólnie z organistą zawadzili żałobną pieśń. I doprawdy nie było wiadomo co gorsze: wcześniejsze napomnienia, czy obecna kakofonia.

Pogoda też nie dopisała. Poranna mżawka nie przeszła, a chwilami nawet przybierała na sile, tak więc żałobnicy kryli się pod parasolami i wznosili modły nie tyle o duszę zmarłej, co o szybką mowę nad grobem. Zuza tylko mimochodem zwracała uwagę na wygłaszane przez księdza słowa. To, że za nim nie przepadała to jedno, to, że uważała go za bufona – to drugie. Przypomniało jej się, jak z Julką, Markiem i Pawłem wyklócali się kiedyś na lekcjach religii... Że też nikt o tym nie wspomniał na spotkaniu, ale przecież było tyle innych rzeczy do omówienia... Teraz natomiast, patrząc z profilu na kapłana, wspominała, jak to próbowali zanegować, że Bóg stworzył człowieka równocześnie na całej kuli ziemskiej. Przynieśli nawet... Co to było? „Świat Nauki”? „Wiedza i Życie”? Mniejsza z tym... Przynieśli jakiś artykuł z antropologii, który wskazywał Kenię jako kolebkę ludzkości. Ale nawet w obliczu twierdzeń naukowych ksiądz Przemysław był nieugięty. W efekcie przez cztery lata ogólniaka nie mieli wysokich ocen z religii, a to już samo w sobie było osiągnięciem.

Zgodnie z radą panny Krystyny trzymała się na uboczu i próbowała objąć wzrokiem całe to, jakby powiedział Herbert: „beczące stado dwunogów”. Zdecydowanie, obserwacja zgromadzonych żałobników wprawiała ją raczej w wisielczy humor.

Żal jej było pani Jakimowej, która stała wspierając się z trudem na lasce, ze wzrokiem wbitym w trumnę wnuczki. Pochylona, jakby zapadnięta w sobie, w ogóle nie dostrzegała tego, co działo się wokół. Prowadzona z jednej strony przez panią Alinę, którą poznały z Olą podczas wizyty, z drugiej przez pana Wiesia, wieloletniego sąsiada – dawała sobą kierować z całkowitą bezwolnością osoby pogrążonej w rozpacz.

Prócz czarnych sępów, stojących nad grobem w zwartym szeregu, byli jeszcze znajomi Julki. Tych z klasy Zuza wyłowiła bez trudu, gdyż stali w zwartej grupie. W centrum Tomek Rajski z wieńcem, obok, trzymając nad nim parasol, Agata Klemp. Wokół nich zebrali się uczestnicy feralnego zlotu absolwentów. I kto by pomyślał, że taki będzie finał tej imprezy...

Karol stał z obydwojma Pawłami. Coś tam od czasu do czasu sobie szeptali, ale wystarczyło groźne zmarszczenie brwi Klaudii rzucane przez ramię i milkli. Nawet Natalia stała w pełnym skupieniu i jakby zrezygnowała z roztaczania wokół siebie aury sukcesu. Oczywiście wysokie szpilki i krótka czarna spódnica przyciągały męskie spojrzenia, ale przecież właśnie taka była Klaudia i mężczyźni pożerali ją oczami, a kobiety z zazdrością i oburzeniem taksowały z góry na dół. Jednak teraz, nawet i ona zadumała się nad losem dziewczyny, która przez cztery lata ogólniaka była jej rywalką. Tak, wówczas zdawało się, że to sprawa życia i śmierci... A teraz? Śmierć zmieniała perspektywę w sposób radykalny.

Pod starą lipą, która obroniła się podczas radykalnej wycinki drzew na cmentarzu, stała Ula Kodoba. Fantazyjnie pozawijana w popielaty szal, co chwila dyskretnie zerkała na zegarek. Gdy dojrzała Zuzę – przewróciła tylko oczami. No tak, mowa księdza doktora przeciągała się niemiłosiernie, a nikt nie był w stanie przewidzieć ile jeszcze potrwa. Wyjście przed końcem byłoby nietaktem, który z pewnością zostałby odpowiednio skomentowany na mieście. Jednak każdy, bez względu na ostateczność śmierci,

miał swoje sprawy, do których się spieszył. Tymczasem ksiądz Przemysław rozkręcał się coraz bardziej. Teraz szatkował zdania na poszczególne wyrazy.

– Nie ma... w życiu doczesnym... takiej chwili..., by chrześcijanin... prawy chrześcijanin... mógł... z pełnym przekonaniem... zaświadczyć...

Zuza wzniosła oczy, szukając cierpliwości w rozpościerających się ponad nią drutach parasolki. Jeszcze chwila, a nie zdzierży... Odetchnęła głęboko i znów skupiła się na otaczających ją twarzach. Starając się ignorować głos kapłana tak, jak się ignoruje natrętną muchę, wyłapywała z tłumu żałobników kolejne postaci i próbowała ustalić ich wzajemne powiązania. Nie było to łatwe zadanie. Musiała sama przed sobą przyznać, że przerasta jej możliwości. Czego też oczekiwała od niej panna Krystyna? To przecież starsza dama była specjalistką od miejskich układów i koneksji. A ona, Zuza, pozostawała ślepą i coraz bardziej ją to wkurzało. Straciła kontakt z Grodowem na dobrych dziesięć lat i mimo wizyt u rodziny nie umiała dojrzeć tej sieci oplatającej miasto.

Trzeba będzie nad tym popracować, postanowiła wyłapując gdzieś z boku Łukasza Górkę, który popatrywał na zebranych starając się maskować ziewanie. Ciekawe, czy to znów chory pies, czy też coś innego... Polubiła go, już choćby za to, że miał zdrowe podejście do humorów wujka Ryśka. I zgodził się napisać teksty o śmierci Julii. I był życzliwy. I nawet jego czasem zbyt bezproblemowe podejście do spraw nie denerwowało tak bardzo, jak się tego z początku obawiała. Może też i ona sama trochę odpuściła. Jak się przekonała, wyrabianie stu dwudziestu procent normy i perfekcjonizm aż do bólu nie ustrzegą przed ciosami od życia.

Wśród zebranych widziała też twarze spotykane na mieście. Nie była w stanie przypisać im konkretnych nazwisk, ale umiała umiejscowić tych ludzi w konkretnych przestrzeniach i sytuacjach. A to już było coś. Ot, choćby ta pani w zielonych okularach. Miała przy rynku kwiaciarnię i lubiła słodycze, bo zawsze, ilekroć ktoś wchodził obejrzeć jakąś kompozycję, to już na wstępie był częstowany cukierkami ze stojącej na ladzie miseczki, przy czym właścicielka, dla towarzystwa, też do niej sięgała. Albo chłopak stojący przy kościelnym, który trzymał głośnik na wysięgniku. Kojarzyła go z knajpki pana Romana, gdzie sobie dorabiał. Kilka osób kojarzyła ze sklepów, kilka z urzędów, po których odbyła pielgrzymkę załatwiając formalności związane z mieszkaniem. To dopiero była gehenna. I dopóki nie przedstawiała się jako córka Konstantego Krukowskiego, to nie miała szans niczego załatwić. Panie siedzące za biurkami zazwyczaj nie były niczego pewne i tylko na nią fukały. Gdy okazywało się, że jej rodzina jest tutejsza, dalej niewiele można się było dowiedzieć, ale przynajmniej kończyły się grymasy i prychnania. Zuzanna zastanawiała się często, jak można tak niesympatyczne jednostki sadzać na stanowiskach, które wymagają kontaktu z ludźmi. I jedynym wyjaśnieniem, jakie przychodziło jej do głowy, były lokalne układy, bo krewnych i znajomych na dany wakat było zawsze w nadmiarze.

Teraz, widząc te same twarze na pogrzebie Julki, dochodziła do wniosku, że Grodów naprawdę nie jest taki duży.

Wśród osób zebranych na cmentarzu był też Jakub Bazyl. Nie od razu go dostrzegła – dopiero pod koniec pogrzebu, gdy wraz z innymi podszedł do Jakimowej, by złożyć kondolencje. Widziała, z jaką pogardą patrzą na niego grodowskie matrony. No tak, one nie miały w zwyczaju maskować swoich uczuć i teraz obrzucały Bazyla nienawistnymi spojrzeniami. Julka została zabita w jego lokalu, a przecież był z nią kiedyś związany i powszechnie było wiadomo, że ostatnio się pokłócili. Zdarzenie samo w sobie było smakowitym kąskiem i nikogo nawet nie interesował powód kłótni.

Stojąc pod parasolem i czekając, aż przewinie się tłum ciekawskich, zaczęła zastanawiać się, ile tak naprawdę wie o Bazyliszku. Chyba musi być dobrym ojcem – widziała jak ciepło zwracał się do syna. Wówczas nie było w nim tej ironii, z jaką zwykł spoglądać na nią, ilekroć przyszło im rozmawiać. Ciekawe, jaka jest jego żona... Czy jest przebojową, pewną siebie kobietą, czy też domatorką pochłoniętą



rodzinnymi obowiązkami? Nie umiała odpowiedzieć sobie na pytanie, jaki typ kobiety pasuje do Jakuba.

Widziała teraz, jak mężczyzna pochyła się nad Jakimową i coś do niej mówi. Ze swego miejsca mogła się tylko domyślać, że było to coś więcej niż konwencjonalne słowa żalu i współczucia, gdyż staruszka podniosła na niego zmęczony wzrok i kiwając głową delikatnie poklepała go po twarzy.

– To wymagało odwagi – szepnęła Ola.

– Wiem. Przyjść tu, gdy większość tych kobiet, nie wiedzieć czemu, wiesz na nim psy. Ale wyobraź sobie, co by było, gdyby nie przyszedł...

– Życ by mu nie dały. – Ola zwróciła się do niej marszcząc brwi. – Ty naprawdę nie wiesz?

– Czego?

– Dlaczego te harpie tak... no... łypią.

Zuza przecząco pokręciła głową. Jednak Ola nie zdążyła wyjaśnić, bo w tym momencie stanęły przed bolejącym obliczem pani Jakimowej.

Nie wiedziała, co powiedzieć, bo wszelkie słowa wydały jej się pustym frazesem. Stała tak przez chwilę w milczeniu, patrząc w pełne smutku oczy staruszki. A potem, dalej nie wiedząc, co powiedzieć, mocno ją przytuliła.



– I jak było? – W głosie panny Krystyny pobrzmiwała z trudem ukrywana ciekawość. Nie chciała tak zaraz od progu atakować przyjaciółki, ale od godziny wyczekiwała powrotu Honoraty i relacji z pogrzebu. – Długo cię nie było – rzuciła z lekkim wyrzutem.

– No tak...

Honorata zdjęła czarny kapelusz, poprawiła swe siwofioletowe loki i zadowolona z efektu zwróciła się w stronę stojącej w progu salonu gospodyni.

– Wiesz przecież, jak to jest. Na pogrzebach zawsze spotyka się mnóstwo znajomych, z którymi normalnie nie ma czasu porozmawiać... A w tej sytuacji, gdy śmierć brutalnie przypomina, że niewiele już czasu dano nam na tej ziemi...

– Mówisz zupełnie jak ksiądz Przemysław – przerwała lekko zirytowana panna Krystyna. – „Żywot doczesny”, „ziemski padół łez” i „nie znacie dnia ani godziny”...

– Właśnie! – Honorata ucieszona poszła za gospodynią. – Ksiądz Przemysław mówił dokładnie to samo!

– On zawsze mówi to samo – sarknęła panna Krystyna, sadowiąc się na fotelu i próbując ułożyć na podnóżku wciąż zagipsowaną nogę. – Dlatego omijam od jakiegoś czasu msze żałobne, bo jak się pochodzi na pogrzeby, to po pewnym czasie można samemu wygłaszać kazania. Ma pięć wersji, zależnie od wkładu nieboszczyka w życie miasta i parafii.

– Tak...? Nie zauważyłam. A często chodzę na pogrzeby – dodała. – Ale może to dlatego, że ja go tak do końca nie słucham – rzekła z na poły psotnym, na poły przeprasającym uśmiechem. – Wiesz przecież sama, że ciekawiej jest obserwować ludzi, a czasami coś do ucha wpadnie. A pani Barawska opowiadała mi o tym procesie, który właśnie przegrała Mirska.

– Będzie odwołanie...

– A tak. Bo na ugodę to chyba już za późno. Mirska poszła w zaparte i będzie się sądzić do upadłego.

Barawska mówiła też, że mocno ją to uderzyło po kieszeni. Ponoć wzięła pożyczkę pod zastaw tych gruntów leśnych, co to ma na stokach za Ostrówką.

Panna Krystyna cierpliwie słuchała historii procesu, choć doskonale знаła ją z pierwszej ręki, bo to przecież córka Ady Baran była protokolantką. Wystarczyło zaprosić Adę na ciasteczka domowej roboty i wszystko, co odbywało się w kularach gmachu sądowego, miała ładnie streszczone i opatrzone komentarzem osoby, która od lat siedziała w temacie jako żona wieloletniego ławnika, a teraz matka protokolantki. Tak to już w Grodowie było, że profesje, a nierzadko i stołki, przekazywano sobie z pokolenia na pokolenie.

– W efekcie to może się jeszcze z rok pociągnąć, a Mirska przecież młódką nie jest. Zresztą niepotrzebnie się wpakowała w ten spór, kosztowne to i małe ma szanse, by wygrać, tak przynajmniej twierdzi Barawska. A ty, jak sądzisz?

– Ma rację – przyznała panna Krystyna. – Ale proszę cię, zacznij po kolei...

Honorata, dokładnie wiedząc, o co idzie, bo takie rozmowy wielokrotnie już odbywały, upiła kilka łyków herbaty, poprawiła sobie poduszki pod łokciami i przymknęła oczy. To właśnie przyjaciółka, żądna każdego detalu, nauczyła ją technik relaksacyjnych i wizualizacji, które pozwalały odtwarzać wydarzenia i opisywać miejsca w najdrobniejszych szczegółach. Co prawda nawet po wielu latach praktyki Honorata nie mogła się pochwalić tak fenomenalną spostrzegawczością i pamięcią, jakimi dysponowała panna Krystyna, jednak i tak niejednego młodego mogła zakasować, jak mawiał ukochany wnuk Michał.

– No więc tak... Przyszłam do kaplicy prawie pół godziny przed mszą, bo wiesz, że muszę usiąść, a miejsc mało. Siadłam sobie z tyłu, w przedostatniej ławce po prawej, więc miałam dobry widok na boczne wejście i zakrystię. Trumna oczywiście już była, bo wcześniej różaniec mieli odmawiać. Jakimowa w pierwszej ławce z panem Wiesiem i jakąś młodszą od niej kobietą... Wiesz kto to?

– Pewnie jej krewna z Łodzi. Zuzanna wspominała.

– Pewnie tak. Przy trumnie było siedem wieńców, później, już na cmentarzu, sprawdziłam. Od Jakimowej, mieszkańców z bloku, kolegów z pracy i od klasy. Pozostałe nie wiem od kogo były, ale jak chcesz, to się jeszcze przejdę na cmentarz i zobaczę.

– Specjalnie to chyba nie... Idź dalej.

– Różaniec zaczął się punktualnie. Prowadziła pani Róża. Ta to zawsze musi się wprosić na każdy pogrzeb, a wiesz, że i na stypy chodzi? – dodała z oburzeniem.

Panna Krystyna nie skomentowała. Znała nastawienie przyjaciółki do Róży Orawskiej i jej zamiłowanie do pieśni żałobnych, ale prawda była taka, że niejednokrotnie z tego dość dziwnego hobby korzystała. Orawska jako emerytka, osoba samotna i do tego przewodnicząca kółka różańcowego – chadzała na wszystkie pogrzeby. Mawiała, że woli sobie dokładnie przećwiczyć cały ceremoniał i być przygotowana, gdy nadejdzie dzień wielkiej premiery. A panna Krystyna, którą cały obrządek funeralny śmiertelnie, nomen omen, nudził, wołała zostawić tę działkę osobie czerpiącej z tego przyjemność. Korzyść była więc dwustronna, bo podczas popogrzebowych spotkań przy kawie i cięście pani Róża była zadowolona, że ktoś chce wysłuchać jej relacji na temat żałobników, a panna Krystyna – że nie musiała fatygować się osobiście i znosić widoku przybieranych nieudolnie min współczucia.

– Zaraz koło mnie siadła Miziurska – kontynuowała Honorata. – Zdziwiło mnie trochę, że ma zielony kapelusz, a nie ten swój elegancki, czarny...

– Jej kotka zrobiła sobie w nim legowisko...

– Ach, tak... Miziurska obchodzi się z tym kotem jak ze złotym jajem. Ale apaszkę ładnie dobrała do kapelusza. Też zieloną, w takie fioletowe mazure... Przez cały różaniec nic się nie działo. Jakimowa trochę płakała, ludzie się schodzili. Ponieważ zmarła nie miała w zasadzie żadnej rodziny poza babcią, to ławki na początku stały puste, bo ludzie krępowali się je zajmować i stawali z tyłu. Ale tak pięć minut przed,

jak już było wiadomo, że wolne, no to siedli. Nie wiem dokładnie, ile osób było na mszy. Bo to wiesz, kaplica mała, niewiele się zmieści, zazwyczaj większość stoi na zewnątrz, ale przez ten deszcz... Nie wiem, ale słyszałam, że kilka osób przyszło dopiero po mszy, żeby właśnie nie stać na deszczu, a się pokazać. Wiesz...

– Wiem... Rewia.

– Właśnie. Wracając do tematu... – Honorata przegryzła ciasteczką. – Sama msza taka jak zwykle, nic szczególnego nie rzuciło się w oczy. Organista dalej pali, bo tak skrzeczy, że aż żal tego słuchać. Powinni pomyśleć o znalezieniu kogoś nowego... Ja naprawdę nie mogę... A jak zaczął *Anielski orszak*, musiałam sobie chusteczką zasłonić usta.

Panna Krystyna pokiwała ze zrozumieniem.

– Jak już wychodziłam z kościoła, zobaczyłam jeszcze Jakuba Bazyla...

– Dobrze, że przyszedł – stwierdziła gospodyni.

Honorata, słysząc to, zerknęła na przyjaciółkę.

– Ty mu poradziłaś?

– A co miałam zrobić, jak się chłopak pytał? – rzuciła obronnym tonem. – Zresztą sama pomyśl, co by było, jakby się na tym pogrzebie nie pojawił...

– No tak – Honorata dokładnie wiedziała. – Zjadłyby go żywcem. I tak się dziwię, że te dewotki nie wyciągnęły poprzedniej historii.

– Wyciągnęły. I dlatego Jakub dzwonił, by spytać, czy w ogóle powinien iść. Biedny chłopak. Z dobrej rodziny, a życie mu się tak poplątało... Ale idźmy dalej...

– Tak, tak... No więc, jak wychodziliśmy, przyłączyła się do mnie Jurczakowa i znów zaczęła namawiać, bym się zapisała do ich klubu. Wiesz jak się nazwały?

Panna Krystyna pokręciła głową.

– Klubem Starszych Sióstr! Co to w ogóle za nazwa? Siostrę jedną miałam, świeć Panie nad jej duszą. Inne „siostry” to kojarzą mi się z zakonnkami, a o wieku nie trzeba mi przypominać. Głupota – podsumowała. – W dodatku w drodze na cmentarz Jurczakowa opowiedziała jakąś absurdalną historię, jak to raz wszystkie wybrały się do kina. Był film z Karolem w tytule, to myślały, że o naszym Papieżu. Wiesz, było coś takiego... *Karol, człowiek, który został papieżem*. I one myślały, że to coś w temacie. A ponieważ żadna nie sprawdziła, to trafiły na idiotyczną komedię. Wiesz którą? *Och, Karol 2*. I musiały w połowie wyjść. Nie dziwota... I ja mam się zapisać do klubu, gdzie te baby nie umieją przeczytać sobie recenzji filmu?

Panna Krystyna zaśmiała się cicho, bo to było zupełnie w stylu Jurczakowej, która sama roztrzępana jak podłotek, gromadziła wokół siebie podobne damy. Wspólnie stanowiły zwarty front przeciwko lokalnej dewocji. Nie, żeby występowały przeciwko wierze i Kościołowi, o czymś takim w Grodowie nawet mowy być nie mogło. Jednak Jurczakowa mając już grubo ponad osiemdziesiątkę, wciąż się świetnie trzymała i zamierzała z tego korzystać.

– Na cmentarzu dalej padało... – Honorata sięgnęła po kolejne ciastko i tym razem dokładnie je obejrzała. – Kto je piekł? Chyba nie ty z tą nogą?

– Nie... Niestety. Dałam przepis Irence. Wiesz, że długo nie mogę stać. Siadłam na stołku i sprawdzałam, czy czegoś nie zmienia. Nawet dobrze jej wyszły, muszę przyznać. Ale moja kochana – zreflektowała się nagle gospodyni. – Ty mi miałaś mówić o pogrzebie, a nam tu wskakują jakieś dygresje. Skup się...

Honorata przytaknęła i znów zamknęła oczy.

– Ale mi też dasz ten przepis...? – rzuciła jakby mimochodem.

Panna Krystyna zmarszczyła się nieznacznie. Jej zielony zeszyt miał już pożółkłe kartki, ale

pieczołowicie przechowywany przetrwał bez plam i trwałych uszkodzeń ponad sześćdziesiąt lat. Założyła go jeszcze jej mama, gdy po wojnie przeniosła się z rodziną do Grodowa, tak więc był to największy skarb, jaki posiadała. A przepisów strzegła jak oka w głowie. To, że pozwoliła Irencie upiec ciastka, było sytuacją bezprecedensową. Zresztą nie pozwoliła gosposi zajrzeć do zeszytu i cały czas trzymała go na kolanach. Umyślnie pominęła dwa składniki, dzięki którym ciastka mamy były tak wyjątkowe. Ale przecież nie będzie zdradzać obcej, bądź co bądź, osobie rodzinnych sekretów...

– Dam... – westchnęła. I nawet stwierdziła w duchu, że Honoracie, jako przyjaciółce, podaruje pełną wersję przepisu. Tak..., to dobry pomysł. Będzie to prezent na najbliższą okazję.



Pogrzeb był tematem rozmowy również w innej części miasta. A raczej zabójstwo Julii Kurek. Zuzanna siedziała na wysokim stołku barowym w „Poczekalni” i przyglądała się, jak Jakub ustawia na blacie kolejne filiżanki z kawą. Miał w tym wprawę godną pozazdroszczenia, a ona, jako wielka miłośniczka wszystkiego, co kawą choćby pachniało, umiała docenić ten kunszt.

Wciąż niepewna, jak reagować na jawnie zły humor Bazyliszka, czekała na jego ruch.

Gdy kelnerka zabrała tacę, Jakub przetaił jeszcze szklanki, poprawił stojący przy ekspresie model lokomotywy i podszedł do Zuzy. Ciężko oparł się o blat.

– Słuchaj... Ja naprawdę nie wiem, czy to ma jakiś sens... – wrócił do przerwanej wątku. – Wiem, że panna Krystyna jest zwolenniczką wałkowania w kółko tych samych tematów, ale w tym wypadku to jakoś nie działa. Wierz mi, próbowałem...

Zuza powstrzymała się od komentarza. Bo co miała powiedzieć? U niej również zniechęcenie zaczęło brać górę, zwłaszcza jak na stypie dotarło do niej w końcu, że właśnie pochowała jedną ze swoich dwóch przyjaciółek. I w dodatku zawiodła, bo nie umiała znaleźć mordercy. Na początku wydawało się takie proste. Cóż... Życie nie jest proste, a ludzie dodatkowo je komplikują.

– Czy to nie jest tak, że wszystko, czego potrzeba do rozwiązania zagadki, już wiemy, tylko nie umiemy tego właściwie poukładać?

– Może – Jakub raczej był sceptyczny. – A może jest tak, że nigdy... I wtedy to będzie zupełnie przesrane.

Zuzannie przypomniały się słowa Oli na cmentarzu... Że te wszystkie zgromadzone harpie mają swój powód, by go nienawidzić. Wówczas nie skończyły rozmowy, a później, na stypie, też nie było okazji... Teraz zerknęła na jego obrączkę i przez chwilę zastanawiała się, czy po prostu nie spytać, o co chodzi. Ale jak miałyby to sformułować? „Przepraszam, ale czy wiesz dlaczego te stare czarownice najchętniej zjadłyby cię na przystawkę do domku z piernika?” Nie... Wszystkim sprawa była znana i gdyby wyskoczyła z takim pytaniem, wyszłaby na kompletną idiotkę. A w dodatku nie miała pewności, jak zareagowałby Jakub.

– Zastanawialiśmy się, kto miałby możliwość. Wyszło na to, że raczej wszyscy, którzy w tamtą sobotę byli na imprezie. Na upartego ktoś mógł się wślizgnąć i wyjść niezauważony... – przypomniała.

– Tak. Felerna kamera.

– Motyw? Jedyne, który pasuje, to ten, że Julka знаła zabójcę Rzewuskiego.

– I ten zabójca musiał się poczuć naprawdę mocno przyciśnięty do muru, skoro zdecydował się na

morderstwo w pełnym lokalu, gdzie każdy mógł coś zauważyć. Ryzykant czy desperat?

– Może i jedno, i drugie? Ale czym Julka go tak wkurzyła...? Przecież cały czas wszyscy byli razem. No, prawie razem, bo towarzystwo ciągle się kręciło. I przecież jakoś znalazła się w toalecie sam na sam z zabójcą. Nikt jej na siłę tam nie wciągał, bo ktoś pewnością by to zauważył. Więc poszła z własnej woli.

– Albo zabójca ją tam zaskoczył – wtrącił Jakub.

– Ale wtedy mogłaby krzyczeć...

– Jeśli poczułaby się zagrożona. Tylko że Julka miała taki tupet, że mogła żelazne drzwi wywazać. Być może zlekceważyła więc zagrożenie.

Zuzanna przygryzła wargi próbując wyobrazić sobie tę scenę. Tak..., Julka rzeczywiście mogła najzwyczajniej w świecie machnąć ręką na zabójcę, mogła mu się zaśmiać w twarz lub zacząć go kokietować. To było całkiem prawdopodobne...

Poprawiła się na krześle. Uwierało ją wrażenie, że zmierzają donikąd. I coraz bardziej ją to irytowało, bo trącało czułą strunę wyrzutów sumienia i porażki.

Upiła łyk z filiżanki i rzuciła okiem na salę. W porównaniu z zeszłym poniedziałkiem zaszły znaczące zmiany. Klienci znów obsiedli stoliki, może nie w nadmiarze, ale też nie były to te świecące pustki z minionego tygodnia. Widocznie mieszkańcy Grodowa już jakoś zaakceptowali sprawę trupa w toalecie i powoli wracali do swoich zwyczajów.

– A co na to twoja żona?

Dopiero gdy odwróciła się na krześle do baru i spojrzała na Jakuba – zdała sobie sprawę, że lepiej było nie zadawać tego pytania.

Stojący po drugiej stronie drewnianej lady mężczyzna pochylił się do przodu i roześmiał cicho. W jego spojrzeniu było jawne wyzwanie.

– Ty naprawdę powinnaś sobie darować tę gazetę. Jesteś tak naiwna, czy tylko niedoinformowana?

Zuza prychnęła.

– Wybierasz te informacje, które ci pasują, resztę ignorujesz – kontynuował Jakub patrząc jej prosto w oczy. – Interpretujesz wydarzenia tak, jak ci jest wygodniej, by nie zburzyć jakiegoś idealnego obrazu własnej osoby. Boże...! Wtedy w liceum robiłaś dokładnie to samo. Wszyscy wiedzieli, że Julia to puszczalska dziwka. Wszyscy poza tobą. Bo tobie łatwiej było oczerniać innych, niż przyznać się, że wybrałaś sobie na przyjaciółkę taką pannę spod latarni.

Zuza mocno uchwyciła kant lady, żeby nie trzasnąć w ten sarkastyczny uśmiech.

– Jeszcze jedno słowo... – wycedziła.

Jakub wyprostował się i spojrzał na nią z góry.

– Nic się nie zmieniło. Powinienem być pamiętać, że ludzie się nie zmieniają... To tylko pozory.

– Ty draniu... – powiedziała to na tyle cicho, by nie przyciągać uwagi gości. Ostatnią rzeczą, jakiej by sobie życzyła, było wszczynanie kłótni z Bazyliszkiem w jego lokalu. Ooo...! To by się od razu rozniosło. – Skoro jesteś taki moralista, to czemu w ogóle zależy ci na znalezieniu mordercy? Przecież, jak uważasz, dostała to, na co zasłużyła.

– Ty to naprawdę jesteś niedoinformowana. Gdybym nie był przekonany, że panna Krystyna ma zawsze rację, to posądziłbym ją o starczą demencję – cedził słowa. – I ona chciała z ciebie zrobić swą następczynię... Boże! Lata miną, zanim w ogóle załapiesz, co się w tym mieście dzieje!

Zuza czuła, jak na policzki wstępują jej rumieńce. Albo wybuchnie i trzaśnie go w łeb czymś ciężkim, albo... Szarpnęła torbę i zeskoczyła ze stołka.

– Goń się!

Wymaszerowała z „Poczekalni” czując, że jeszcze chwila i się rozplacze. Przeklinając czółenka na

wysokich obcasach skierowała się w stronę parku. Szła szybko, a głośny stukot odmierzał kolejne porcje jej wściekłości. Niczego wokoło nie widziała, ani bujnej zieleni drzew, ani dzieci bawiących się na placu zabaw, ani ich matek, które odprowadzały ją lekko zaniepokojonym wzrokiem. Szła energicznie i rzucała pod nosem obelgi. Starczyło ich na niecałe pięć minut. Doszła do ławki ukrytej za wysokimi tujami i opadła na nią.

Pochyliła się, ukryła twarz w dłoniach i czekała na wybuch.

Afera z Mirkiem i ślubem pozwoliła jej poznać własne systemy obronne. Etap wyparcia nigdy nie trwał długo, jeśli w ogóle się pojawiał. Teraz też, gdy dała już upust złości, zaczęła się zastanawiać... A przy okazji próbowała ignorować cieknące jej po policzkach łzy.

Czy Jakub miał rację nazywając ją naiwną, niedoinformowaną i stronnniczą?

Nie miała tego w opisie własnych cech charakteru. Uważała się raczej za osobę bystrą, zaradną... w miarę... i obiektywną. Jednak, chcąc nie chcąc musiała przyznać, że zabójstwo Julki raczej zepsuło ten autoportret. A Bazyl, z właściwą sobie precyzją, jej to po prostu wytknął. Bez owijania w bawełnę.

– Wredny drań... – mruknęła zerkając na wyświetlacz komórki. Ciekawe, czy chce jej jeszcze coś przywalić...

– Zostawiłaś terminarz na barze – obwieścił bez żadnych kurtuazji.

– To wpadnę po niego wieczorem – prychnęła i rozłączyła się, zanim chęć rzucenia do telefonu kilku przekleństw wzięła górę nad rozsądkiem. Zresztą..., co nierozsądnego jest w przeklinaniu? Zwłaszcza jeśli ktoś sobie zasłużył?

Przymknęła oczy i starała się uspokoić oddech.

Ciepłe majowe słońce przedzierało się przez konary drzew, tworząc fantazyjne plamy na trawniku. Słyszała śpiew ptaków i nawoływania matek z niedalekiego placu zabaw. I jeśli to pierwsze mogło mieć kojący wpływ, to nerwowe pokrzykiwania kobiet skutecznie go niwelowały. Jakaś paniczna, piskliwa nuta co jakiś czas wybijała się ponad pozostałe głosy i powodowała na jej twarzy mimowolny grymas.

Zuza na razie tej całej sprawie z Jakubem powiedziała szlus. Później spróbuje to jakoś poukładać, ale tylko ze względu na pannę Krystynę. Jeśli chce z nią pozostać w przyjaznych relacjach, a chce..., to niestety musi jakoś uporać się z Bazyliszkiem. I, niech to szlag, poradzi sobie jakoś z tym bucem!

Podjąwszy to postanowienie – jeszcze co prawda niepewne, jeśli chodzi o realizację – skupiła myśli na drugiej kwestii, która cały dzień kołatała jej natrętnie w głowie i nie pozwalała skoncentrować się na pracy.

Poranna kawa. Piła ją codziennie, a jakże. Bez niej nie funkcjonowała. Tylko że dzisiaj jej ulubiony rytuał niespodziewanie został zakłócony, a Zuza nie była jeszcze pewna, jakie może to przynieść konsekwencje.

Niejednokrotnie wcześniej zdarzało jej się doznawać olśnienia, gdy siedziała o poranku w kuchni i raczyła się upajającym aromatem. Ale do tej pory te genialne pomysły miały związek głównie z pracą. Gdy kładła się wieczorem z głową wypełnioną pytaniami i chaosem kolejnej kampanii reklamowej, rano, przy kubku kawy, skupiona na niespiesznym delektowaniu się hiszpańską mieszanką, otrzymywała odpowiedzi. Jej podświadomość przez noc przetrawiała problem i już po szóstej serwowała gotowe rozwiązanie.

I tym razem też doznała tej „iluminacji”. Eureka. Normalnie fiat lux.

Tylko co ona ma teraz z tym zrobić? Z podejrzeniem, bo dowodów oczywiście nie ma.

Na policję nie poleci. Nie powie przecież, że rozlana o poranku kawa natchnęła ją myślą o zabójcy Julki. Nie... Tego nawet Michał nie kupi. A panna Krystyna przestrzegwała, że z niebieskimi trzeba ostrożnie, bo jak raz uznają ją za wariatkę, to po sprawie. Nie może w takim razie wszczynać zamętu, opierając się wyłącznie na przecuciu. Dość mglistym, mówiąc szczerze.

Panna Krystyna? Ona szybciej uzna, że coś w tym może być, ale i tak pozostaną w sferze teoretyzowania. Starsza dama ma wprawdzie o niebo większe doświadczenie w postępowaniu z mordercami, ale w tej chwili jest uziemiona przez gips.

Co więc powinna teraz zrobić? Posiedzieć tu w ciszy..., no, dobra: względnej ciszy, uznała słysząc wrzask kłócących się dzieci, i zająć się rozwiązywaniem tego problemu? Już przecież widać było światło w tunelu... A może lepiej iść na umówione spotkanie...?

W telefonie znów odezwał się dzwonek. Zuza zaczerpnęła tchu gotowa ulżyć ciśnieniu i nawrzeszczeć na Jakuba. Jednak to nie on dzwonił.

– Bo wiesz... Obiecałaś, że się zajmiesz... – głos Kingi zaprawiony był szczyptą zniecierpliwienia, które starała się zamaskować przesadną życzliwością. – Ja wierzę, że to podniesie poziom gazety. Nie, żeby tego poziomu nie miała – zaśmiała się perliście. – Ale to zawsze taka dodatkowa strawa dla duszy. Wiesz..., wiersze to okna w nasz wewnętrzny świat, okna, które czasem trzeba otworzyć i przewietrzyć...

Zuza ściągnęła brwi. Przewietrzyć?

– Przesłałam ci jeszcze dwa teksty, które wczoraj napisałam. Takie bardziej liryczne, bo może sądziłaś, że te poprzednie to są zbyt przyziemne, ale wiesz, ironia też jest środkiem wyrazu poetyckiego...

– Dobrze – Zuza skorzystała z minimalnej przerwy w wywodzie. – Zerknę i dam wujkowi. Bo wiesz..., to on decyduje – dodała.

– A, tak..., tak... Więc pamiętaj, żeby je odpowiednio zapowiedzieć. Nie można tak z poezją wyskakiwać przy kaszance.

Zuza po raz drugi lekko się zawiesiła. Wolała jednak nie dopytywać się o szczegóły tej metafory, gdyż wcale nie była pewna, czy to rzeczywiście jest jakaś przenośnia.

– Dobrze – powtórzyła. – Dam znać, jak coś wyjdzie.

Rozłączyła się i trochę skołowana dobrą chwilę wpatrywała w trzymaną w rękach komórkę, czekając, czy jeszcze raz zadzwoni. W ogóle nie miała nastroju, by znów tłumaczyć tej nawiedzanej wariatce, że wiersze niekoniecznie pasują do ogólnej tematyki tygodnika. I to nie dlatego, że nie ma w nim miejsca na poezję, ale z bardziej brutalnej przyczyny. Twórczość Kingi Król była jak przetrawione ochłapy średniowiecznych ideałów. Przyprawiała o mdłości.



Półgodzinne wygrzewanie się na słonecznej ławce wyszło Zuzie na dobre. Pozwoliło się zdystansować i spojrzeć na spięcie z Bazyliszkiem już bez nadmiernej egzaltacji. Targająca nią z początku złość ustępowała stopniowo i teraz była skłonna rozważyć jego słowa. Nie bez oporów przyszło jej przyznanie Jakubowi racji. Oczywiście nie całkowicie, ale w jakimś drobnym stopniu. Tak więc gdy zegar na wieży ratuszowej wybił trzy kwadranse po trzeciej Zuzanna była skłonna przebaczyć Bazylowi jego gburowatość i uznać, że powinna odbyć sama z sobą szczerą rozmowę przy winie. Ale to plan na wieczór.

Wyjęła lusterko i sprawdziła stan makijażu. Chwilowe załamanie nie pozostawiło śladów na jej twarzy, no, może tylko oczy miała jeszcze trochę podpuchnięte, lecz nie było sensu wracać do mieszkania. Wciąż się wahała. W notesie przejrzała zapiski o planowanym pokazie starych aut i upewniwszy się, że wszystkie pytania ma wynotowane, uznała, że nie chce odwlekać tego spotkania i ruszyła w kierunku

nowej dzielnicy willowej.

Z chłopakami umówiona była na szesnastą. Tomek zaprosił ich do siebie – chciał, by przy okazji rzuciła okiem na piwniczkę z winami. Zuza podejrzewała, że gospodarz będzie próbował namówić ją na tekst o winnicach jako takich, a przy okazji o jego własnym interesie. Byłaby to niezła reklama, choć bardziej prawdopodobne, że Tomek Rajski chciał po prostu pochwalić się w mieście swoim sukcesem. Wciąż pokutowało w mentalności mieszkańców Grodowa przekonanie, że to, co ukazuje się w „Kurierze”, jest swego rodzaju nobilitacją. Dlatego też zabiegano o przyjazne lub choćby poprawne stosunki towarzyskie z wujkiem Ryśkiem, bo to co w prasie, to i na językach.

Zuza szła przez Zalesie i nie mogła się nadziwić zmianom, jakie tam zaszły. W przeciwieństwie do gwarne centrum miasta, wyznaczonego przez rynek i przylegające do niego ulice, wokół panowała prawie idealna cisza. Domy ukryte były za wysokimi murami lub szpalerem zieleni, które zapewniały prywatność mieszkańcom i chroniły od wścibskich spojrzeń sąsiadów. Jednak nawet te bariery nie były w stanie ukryć bogactwa właścicieli. Już sam fakt, że ktoś wybudował się na Zalesiu, był jednoznacznym wyznacznikiem statusu majątkowego. Oczywiście byli i tacy, którzy tutejsze działki dziedziczyli po dziadkach i pradziadkach, a gdy pola i ugory zamieniono na tereny budowlane – sprzedali część ze znacznym zyskiem, a na zachowanych kawałkach ziemi wystawili chawiery, będące krzyżówką włoskich willi i średniowiecznych zamków z basztami. Zuza zerknęła na te okazy architektoniczne i zastanawiała się, dlaczego jej pradziadkowie w międzywojniu woleli wyszaleć się, podróżując po Europie, zamiast zapewnić majątek potomnym i kupić choćby jeden hektar ówczesnych pól za lasem przy młynie. Teraz ten hektar mógłby zapewnić jej spokojne, bezstresowe życie. Lecz antenaci, mimo iż zaliczali się do tak zwanej inteligencji, zmysłu handlowego nie mieli za grosz. I teraz ona, choć jest rodowitą grodzianką, musi się szarpać z finansami i zastanawiać, jak udźwignie kredyt na mieszkanie. Sprawiedliwości nie ma, stwierdziła ponuro, i im wcześniej człowiek zda sobie z tego sprawę, tym szybciej zyska spokój. Jednak spoglądając na wystawne domostwa, z których kilka należało do jej klasowych znajomych, Zuza odczuwała lekkie ukłucie zazdrości. Tak to już jest, że własną osobę postrzega się przez pryzmat znajomych, a własne osiągnięcia mierzy ich miarą. I jest to jak najbardziej ludzkie zachowanie. W końcu jesteśmy zwierzętami stadnymi, i to stado wyznacza standardy. Niewielu decyduje się na utworzenie nowych, własnych reguł gry... Podporządkowujesz się albo giniesz.

Zaskoczona tokiem własnych myśli przystanąła na chwilę. Podporządkuj się albo giń. Cóż za atawistyczne podejście. Wygrzebała z torby notatnik i szybko nakreśliła uwagi, które kiełkowały jej w głowie. Będzie z tego dobry punkt wyjścia do felietonu. I myśl ta przełamała ponury nastrój.

Inna sprawa, że jej stan emocjonalny wciąż był rozchwiany. Zbyt łatwo popadała w przygnębienie, byle drobnostka mogła ją doprowadzić do złości, irytacji lub smutku. Denerwująca pozostałość porozstaniowej depresji. Już i tak o wiele szybciej podnosiła się z tych chwilowych dołów. A nawet nie były to doły, tylko potknięcia; na jakiś czas traciła równowagę, ale podierała się przeciw i szła dalej. Zadowolona z wniosków, poprawiła torbę na ramieniu i upewniwszy się, że dobrze trafiła, nacisnęła dzwonek domofonu.

Willa wyłaniająca się zza zielonych kęp krzewów miała ciepły, piaskowy kolor, który współgrał z kwitnącymi w terakotowych donicach kwiatami. Zuzanna wchłaniała spokój emanujący z tego miejsca. Wręcz czuła leniwie płynący czas, nastrój zadowolenia i odpoczynku. Wybrukowaną, lekko wijącą się ścieżką szła w kierunku zacienionego ganku, na którym, w otwartych drzwiach, czekał już Tomek.

– Wejdz! Wejdz! – zapraszał. – Żony nie ma, więc można będzie spokojnie porozmawiać. Stare auta wybitnie ją nudzą, mówi, że mógłbym zagadać tym tematem na śmierć. No..., może coś w tym jest. Ale wiesz, jak się człowiek czymś interesuje, to chce o tym mówić.

– Normalne.



– Normalne. Ja jej już od tylu lat opowiadam o tych autach, a ona, jak to kobieta, woli rozmawiać o torebkach czy kosmetyczce – zaśmiał się prowadząc ją do salonu. – Cóż. Jest jakaś prawda w stwierdzeniu, że męski i żeński to dwa odrębne gatunki.

Zuza tylko przytaknęła zajęta podziwianiem wnętrza.

– Żona urządziła. Lubi antyki – wyjaśnił, widząc jej szeroko otwarte oczy. – Rozejrzyj się spokojnie, a ja przyniosę coś do picia.

– To autentyk? – spytała podchodząc do obrazu wyeksponowanego nad niską komodą.

– Malczewski? Tak. Ale nie pytaj, ile kosztuje. To prezent na rocznicę od moich teściów. Mnie średnio się podoba, Beata go lubi – wzruszył ramionami i poszedł do kuchni.

Zuzanna obchodziła wolnym krokiem wnętrze. Salon składał się z dwóch oddzielnych pomieszczeń, połączonych rozsuwanymi drzwiami z secesyjnymi witrażami. W pierwszym, pomalowanym na jasny morelowy kolor, stały dwie, kusząco miękkie sofy. Zuza przeciągnęła dłonią po obiciach... Skóra, jak nic prawdziwa skóra. Centralne miejsce zajmował Malczewski. Stała przed płótnem nawet nie próbując zgadywać, ile mogło kosztować. Jeśli rodzina Beaty dysponuje taką kasą dzięki tym swoim banerom i gadzietom reklamowym, to interes ma się naprawdę nieźle. Ich firmę znali wszyscy w mieście, a jakże, ale Zuza nawet nie podejrzewała, że plasuje się o kilka klas wyżej, niż w jej skromnych przypuszczeniach. Rozejrzała się po wnętrzu. W kącie stała gablota, a w niej, podświetlone figurki z porcelany i, jeśli się nie myliła, z jaspisu. Czują się jak w muzeum, zbliżając twarz do szyby, by lepiej się przyjrzeć okazałej broszce w kształcie ważki.

– Żona kocha takie bibeloty – rzucił Tomek wyglądając z kuchni. – Wstawiłem dopiero ekspres, chwilę to zajmie... Ty nawet nie wiesz, ile my w ciągu roku objeżdżamy pchlich targów – wrócił do tematu. – Pełno tam badziewia, trzeba to przyznać. Raz nawet natknęliśmy się na szalonego staruszka. Miał na takim niskim, turystycznym stoliku rozłożony pasiasty koc, a na nim wszystko. Dosłownie wszystko. Wyglądało to tak, jakby wyciągnął kilka szuflad w piwnicy i wysypał ich zawartość. Klucze, kłódki, jakieś święte obrazki, stare monety, ołówki, spinacze do papieru, pusta butelka po atramencie i kilka po perfumach, jakieś nalepki ze słoików, kilka pożółkłych świeczek. Ach! I zardzewiałe narzędzia... Ale wiesz co? Miał też porcelanowe gałki do drzwi. Jak to Beata zobaczyła, to myślałem, że mi rękę wyrwie. Ona nie tylko zbiera te śmieci, ale też nimi handluje.

– Serio? To w Grodowie jest antykwariat? – zainteresowała się.

Tomek puknął się palcem w czoło.

– Zwariowałaś? A kto by tu kupował takie starocie, choćby i z dziewiętnastowieczną metryką? Nie ta mentalność. Sklep ma w Krakowie, na Kazimierzu.

– Racja, tam zdecydowanie łatwiej prowadzić taki interes. Turyści, zwłaszcza zagraniczni, robią swoje.

– Właśnie. Ale poczekaj, przyniosę kawę...

I zniknął za załomem.

Zuza dalej przeglądała kolekcję bibelotów. Kilka egzemplarzy przyciągało wzrok, całość jednak pozbawiona była tej pretensjonalnej przesady typowej dla nuworyszów. Cóż... W głębokiej komunie dziadkowie Beaty pracowali w jakimś warsztacie motoryzacyjnym i tam się zaprzyjaźnili. Potem jeden przeniósł się do wodociągów, coś gdzieś kiedyś słyszała... W tych wodociągach ponoć są niezłe przekręty, teraz nawet większe, niż za poprzedniego ustroju. A w późnych latach osiemdziesiątych obaj założyli spółkę – firmę, którą potem przejął ojciec Beaty.

Sięgnęła pamięcią do czasów licealnych. Tak... Beata Rostek należała do „elitarnego” klubu. Cóż... Bogate dzieciaki trzymały się razem, chadzały wspólnie na imprezy, odwiedzały się po domach; ona jeździła na wakacje do rodziny na wieś, oni spędzali je w Turcji czy Egipcie. Reszta spoglądała z lekkim

ukłuciem zazdrości na tych uprzywilejowanych i na każdym kroku starała się okazać szczerą, bądź nie, pogardę dla świata materialnego.

Po prostu: to była zupełnie inna liga.

Zuza pamiętała, jakim szokiem było wspólne pojawienie się na imprezie Julki z Bazylem. Dwa światy. Część śmiała się po kątach, część zazdrościła. Wszyscy wiedzą jak się sprawa skończyła. Zresztą było w Grodowie kilka mezaliansów, które wywoływały nie lada sensację i miasto miało czym żyć przez długie tygodnie.

– Dzwonił Robert...

Tomek wychylił się z kuchni niosąc filiżanki na tacy.

– Jakaś niespodziewana naprawa. Mówi, że to stały klient i nie może faceta odesłać z kwitkiem. Kazał przeprosić i powiedział, że się spóźni.

Postawił tacę na szklanym stoliku i gestem zaprosił, by usiadła.

– To może zrobimy tak... – zaczął, jednak dźwięk telefonu przerwał mu w pół zdania.

Zuza szybko sięgnęła do torby. Jeden rzut oka na wyświetlacz wystarczył, by bezgłośnie wyrzuciła z siebie przekleństwo.

– Słucham cię, Kinga...

Starała się, by w głosie nie pobrzmiwała roszadająca ją powoli irytacja.

– Tak... Ale nie sprawdzałam jeszcze poczty... Tak... Wiem...

Przewróciła teatralnie oczami, a Tomek zaczął odstawiać jakąś pantomimę zaaferowanej Kingi.

– Tak... – Zuza próbowała nie parsknąć śmiechem na widok prezentowanych przed nią załamywań rąk i trzepotania rzesami. – Obiecuję ci, że przeczytam i dam wujkowi Ryśkowi. Tak... Na pewno... Na pewno... – powtórzyła dobitnie kończąc rozmowę.

Jeśli Kinga jeszcze raz dziś zadzwoni, Zuza nie ręczy za siebie. A skoro chce porozmawiać z chłopakami i przygotować jakiś szkic artykułu, to potrzebuje trochę spokoju bez wtrętów telefonicznych. Definitywnie wyłączyła komórkę i wrzuciła ją do torby. Przepraszając za przerwę zwróciła się do gospodarza:

– Więc...?

– Kinga jest bezwzględna w swoim parciu na druk – orzekł. – A wracając do tematu... Z tą rozmową o zlocie aut poczekajmy na Roberta, bo on też ma coś do powiedzenia. A na razie to wypijmy kawę i zapraszam cię do piwnicy. Pokażę ci mój składzik z winami. Mam naprawdę niezłe egzemplarze. Kolekcjonerskie – dodał znacząco podnosząc się z kanapy.

Zuza, która dosłownie zdążyła upić jeden łyk, odstawiła filiżankę i ruszyła za gospodarzem.

Wino to też chwytliwy temat, pod warunkiem, że się go dobrze przedstawi. Powoli i uważnie schodziła po krętych schodach, przypominających jej wnętrze baszty.

– A zgodzisz się, tak przyszłościowo, na wywiad? Coś w stylu: oryginalne hobby mieszkańców Grodowa. Czy jakoś tak.

– Pewnie!

– Super. Zacznę od opisu, że te swoje wina trzymasz w lochu pod zamkiem...

Tomek roześmiał się głośno, a dźwięk odbił się w wąskim korytarzu.

– Muszę mieć odpowiednią wilgotność i temperaturę, żeby przechowywać. Ale to załatwia elektronika. A ta stylizacja ma budować odpowiedni nastrój, choć pajęczyn tu nie znajdziesz.

Otworzył hermetyczne drzwi i pierwszy wszedł do środka.

– Widzisz... Tu mam poukładane wina ze względu na kraj pochodzenia. Najwięcej oczywiście francuskich, włoskich i chilijskich. Po prostu je lubię. Mam też trochę butelek z Argentyny, Mołdawii i Japonii.

– A to? – wskazała na zamkniętą przeszkloną szafkę.

– A to są perełki w mojej kolekcji – pochwalił się, próbując przybrać skromną minę. Widać jednak było, że duma go rozpiera.

– Czyli?

– Mam kilka butelek kolekcjonerskich. Może nie są to jakieś wyjątkowe okazy, ale jeśli trochę się je przetrzyma, to zyskają odpowiednią cenę. Wiesz... Bukiet wina, choć niezaprzeczalnie ważny, ustępuje miejsca niezwykłym historiom związanym z konkretnymi egzemplarzami. Jak choćby to, że butelki przetrwały katastrofę morską i przez kilka dekad leżały pod wodą. Takie są naprawdę cenne i – niestety – takich nie mam. Ale jeśli za butelkę dam, powiedzmy, tysiąc pięćset, dwa tysiące, to za dziesięć lat jej wartość wzrośnie o kilkanaście procent. Lokata lepsza niż w banku.

– Z pewnością.

Tomek stanął na środku i objął swe królestwo spojrzeniem dumnego posiadacza.

– I jak ci się podoba?

– Niezmiernie – przyznała Zuza, którą porywał urok odległych, nagranych słońcem winnic. – I jeszcze Horacy na ścianie... In vino veritas.

– Ach, to – rozjaśnił się Tomek. – Tę tabliczkę zrobił dla mnie znajomy. Chyba jako rodzaj przyjacielskiego przytyku, bo stwierdził, że jak się uprę, to nic nie powiem, więc trzeba mnie spić do nieprzytomności, bo w winie prawda, jak napisał Horacy. A chodziło o cenę jednej z butelek, którą kupiłem na aukcji po bardzo okazyjnej cenie i zgodziłem się mu odsprzedać, ale oczywiście z odpowiednim zyskiem. Jeśli chcesz, możesz tę historię opisać, bo to taki anegdotyczny przerywnik.

– Serio? To świetnie. Bo zaczyna mi się układać niezły tekst.

– A służę uprzejmie. Skoro piszesz teraz w „Kurierze”, może w końcu będzie po co kupować tę gazetę. A jak jeszcze napiszesz coś o autach i winach, to masz we mnie wiernego czytelnika. No, a gdyby jeszcze do każdego egzemplarza dodawali butelkę...Zależy oczywiście, czym wypełnią – zaznaczył.

– Tak? A widzisz..., myślałam, że pusta wystarczy... Ty to musiałeś nieźle cierpieć w sobotę.

– Czemu niby? – Tomek, który pieczołowicie poprawiał butelki na stylizowanym regale, spojrzał na nią zdziwiony. Wysoko uniesione brwi i wyraz szczerego zainteresowania w spojrzeniu. Znow zaczęły dręczyć ją wątpliwości.

– No, jak to? – Zuza nerwowo zacisnęła pięści wbijając mocno paznokcie w dłoń. Wkraczała na grząski grunt. – Taki znawca win, a to, co zamówiła Agata chyba do przesadnie wykwintnych nie należało.

– Aa... No nie – przyznał. – Od razu poprosiłem o coś z wyższej półki. Bazyl też ma całkiem nieźle zaopatrzoną piwniczkę, tylko nie trzyma tego na wierzchu. Ale jak wiesz, co zamówić, to można wypić lampkę bez skrzywienia – stwierdził, ale zdawało się, że myślami był gdzieś daleko.

Zdjął z półki jedną z butelek. Zuza wołała nie pytać o cenę.

– Chodźmy może na górę. Póki Roberta jeszcze nie ma, otworzymy sobie klasyczne Chateau Saint-Estephe i pogadamy.

Gdy butelka została odkorkowana, korek powąchany, a wino rozlane do kieliszków – można było wrócić do rozmowy.

– To jak się w ogóle zaczęło? Ta fascynacja winami?

– Zaczynamy wywiad? – ucieszył się, widząc jak Zuza włącza dyktafon. – Dobra. Więc tak... – zamyślił się na chwilę. – Jak byliśmy z Beatą we Francji, ona wciąż biegała po tych zamkach. Lubi historię sztuki, zna się na tym, potrafi godzinami rozprawiać o stylach, malarzach i takich innych. Tak samo, jak ja o autach i, teraz, winach. Ale ona medytowała nad każdym żyrandolem, nad każdym herbem, sklepieniem, nóżką przy fikuśnym foteliku. Potrafiła w jednej sali stać pół godziny i czytać dokładnie wszystkie opisy,

bo miała przy sobie kilka przewodników zgranych na tablicie. Wytrzymałem trzy zamki. Wszędzie dokładnie to samo, wierz mi. Parkiety, zasłony, meble, obrazy i wazony z kwiatami. I te przeklęte żyrandole. Przy czwartym zamku stwierdziłem, że idzie sama, bo ja zwariuję, jeśli będę musiał znów stać jak ciółek, czekając aż ona wyczyta, kto układał posadzę w sali balowej. I poszła sama – stwierdził przelękając wino. – Dodam: Bogu dzięki, bo miałem wolnych kilka godzin. Pokręciłem się trochę samochodem po okolicy. Zupełnie przypadkowo trafiłem do winnicy, która – jak się potem okazało – była dość znana. Był środek tygodnia, popołudnie, słońce przyjemnie grzało. Jakiś kręcący się tam facet powiedział, że można swobodnie zwiedzać, a przy okazji zaliczyć degustację. I jeśli chcę, to sklep z winami jest na końcu drogi. A że on nie miał nic konkretnego do roboty, to zaproponował, że mnie oprowadzi. Słuchaj! Ponad trzy godziny chodziłem tam po winnicy i zabudowaniach, a facet opowiadał historię majątku tak, jakby pisał powieść sensacyjną! O przemytnikach, wojnie, wojskach niemieckich i ruchu oporu. Normalnie bajka. Próbowałem wina z różnych roczników, a przyznam ci się, że byłem zupełnym ignorantem. Dla mnie wino to był po prostu dobry alkohol do obiadu czy kolacji. I tyle. A tymczasem facet mówi o rodzaju gleby, nasłonecznieniu, szczepie drożdży, leżakowaniu... No, po prostu o wszystkim. Dopiero wówczas zrozumiałem, czemu niektóre wina kosztują majątek. Co najlepsze, na koniec okazało się, że to ktoś z rodziny właściciela. I pewnie siedziałbym dłużej, bo zapraszali mnie, bym został na kolacji, ale zadzwoniła Beata, wściekła, że mnie nie ma, a ona skończyła zwiedzanie i już czeka. No mówię ci... To była bajka, taka, że chce jej się w kółko słuchać. I dlatego, zaraz jak wróciliśmy zabrałem się za czytanie o winach, winnicach, produkcji. Zapoznałem się z polskimi winiarzami, z gośćmi z Krakowa, którzy wykładają na uczelniach. Ty wiedziałaś, że Uniwersytet Jagielloński ma własną winnicę? – ekscytował się. – I tak od jednej butelki do drugiej stałem się sommelierem i zacząłem komponować własną piwniczkę.

– Niesamowite – przyznała coraz bardziej wciągając się w temat. – Mieć taką pasję...

Sięgnęła po leżący na stole notes. Musi na gorąco zapisać choć kilka haseł, takich, które pozwolą jej później złożyć tekst. Wiadomo – pierwszy pomysł często jest najlepszy. Kolejne to już przekombinowanie sprawy.

Tomek okiem gospodarza ogarnął stolik.

– Doleję ci jeszcze. Albo lepiej: otworzę butelkę Jagiellońskiego zanim przyjdzie Robert. On spokojnie całą wysuszy, więc zanim się tu zjawi będziesz miała okazję skosztować.

Zuza przystała z uśmiechem na tę propozycję. Ale bynajmniej nie wino było jej w głowie. Myślała tylko o jednym: żeby Tomek poszedł sobie wreszcie do tej przeklętej piwniczki. Po prostu przeliczyła się z własnymi siłami. A trzeba było posłuchać panny Krystyny, która mówiła, że konieczne są doświadczenie i wycucie chwili. A jej, idiotce, się zdawało, że sobie poradzi. Nic z tego.

In vino veritas... No, niestety tak. Po trzech wypitych lampkach czuła, że już dłużej nie jest w stanie ciągnąć tej gry. Czy Tomek się zorientował? Licho go wie.

In vino veritas, powtórzyła w myślach. Dobry żart... Dopiero teraz dotarła do niej w pełni ironia tej sentencji. Jak niczego nie zrobi, to za tę „prawdę” zapłaci głową.



Coś ją dręczyło. Jakieś nieokreślone wrażenie, które pojawiło się zaraz po wyjściu Honoraty. Panna

Krystyna kuśtykała między kuchnią a salonem i coraz bardziej się niepokoiła. Irracjonalne odczucie, że stanie się coś złego, narastało w niej i wprawiało w stan coraz większej irytacji. Nie chodziło o to, że obawiała się o swoją osobę, nie... Zbyt długo bawiła się w te pościgi za złoczyńcami, aby nie umieć wskazać bezpośredniego zagrożenia i go zneutralizować. Nie... Tym razem chodziło o coś zupełnie innego.

Rozzłoszczona znów przekroczyła próg salonu. Zlustrowała wzrokiem pomieszczenie i odnotowała, że jedna z orchidei w końcu zdecydowała się otworzyć pąki. Na razie były to tylko drobne szpary w zwartej powłoce płatków, ale za dzień, dwa kwiat pięknie się rozwinie. Upewniwszy się, że ma odpowiednią wilgotność i tak dla zasady spryskawszy go mgiełką, panna Krystyna z westchnieniem usiadła w fotelu. Odruchowo sięgnęła po stojący obok koszyk z robótkami i zaczęła kolejną serwetkę. Praca tak monotonna, że można było wpaść w rytm i zająć się myśleniem. A to myślenie dalej ją uwierało. A raczej uwierał niepokój i poczucie, że czas ucieka i za chwilę może być za późno.

– Nie popadajmy w paranoję... – mruknęła.

Zaczęło się po wyjściu przyjaciółki. A więc musiało to być coś, co powiedziała. Jakiś detal, jak to zwykle bywa. Poza tym niepokój wzrósł, gdy pomyślała o Zuzannie na pogrzebie. Ale dlaczego? Jedyne logiczne wytłumaczenie, to że dziewczyna może właśnie jest w tarapatkach, a ona na razie nie wie jakich.

Panna Krystyna opuściła robótkę na kolana i przymknęła oczy. Po kolei... Przypominała sobie treść rozmowy z Honoratą. Zdawało się, że nie było w niej nic niezwykłego... Nic, czego by nie wiedziała wcześniej bądź czego się nie spodziewała. Zarówno cała uroczystość, jak i ludzie w niej uczestniczący, wszystko przebiegało według stałego i znanego schematu. Więc nie chodzi o sam pogrzeb... Jeszcze raz zaczęła przebiegać myślą przez toczące się na pogrzebie rozmowy. Koty, kapelusze, komentarze dotyczące zebranych, pogoda, spóźnialscy i klub starych wariatek, które wybrały się do kina na komedię... I to, jak opacznie można zinterpretować prostą informację.

Panna Krystyna drgnęła.

Opacznie zinterpretować zasłyszaną informację...

Przypomniało jej się, co Zuzanna opowiadała o klasowym spotkaniu.

– Do jasnej i ciężkiej Anielci!

Na ile było to możliwe poderwała się szybko z fotela i kuśtykając do sypialni, gdzie zostawiła telefon, przy każdym kroku rzucała kolejną „cholere” na złamaną nogę i własną ślepotę. Wreszcie chwyciła komórkę i wybrała numer Zuzanny. Jednak zamiast zwykłego sygnału odezwała się poczta głosowa.

– Cholera!

Panna Krystyna opadła na idealnie zasłane łóżko. Opuściła ramiona i zdawało się, że w tym momencie uszła z niej cała energia. Trwała tak kilka sekund, odmawiając szybką modlitwę do Tadeusza Judy, bo to przecież prawie beznadziejna sprawa. Wreszcie westchnęła głośno, już na wydechu przywołując pomocy Michała Archanioła, bo to zawsze warto uderzać do wyższych instancji...

– Ale draniowi nie pozwolę! – rzuciła otwierając oczy.

Wybrała kolejny numer i w pełnym napięciu oczekiwaniu przyłożyła komórkę do ucha.



Należało wyjść. I to szybko.

Zuzanna próbowała znaleźć jakąś wymówkę, w miarę sensowną, która pozwoliłaby ulotnić się z domu Tomka Rajskiego. Jednak nic nie przychodziło jej do głowy, w której coraz bardziej szumiało. Myśli skakały chaotycznie, pojawiały się przemieszane obrazy ze spotkania klasowego: twarze kolegów, strzępki rozmów, migawki sytuacji. I to, co później słyszała od panny Krystyny, przekonanie, że prawda zawsze jest widoczna, tylko my, patrząc na to, co chcemy – ignorujemy wszystko pozostałe. Cała zaś sztuka, by ujrzeć związki tam, gdzie nie widzą ich inni. Beładna płatanina jednak tylko z pozoru pozbawiona była logiki. Paradoks. Wszystkie te wyrzucane z pamięci sceny łączyły się ostatecznie w jedną spójną całość. Och, tak! Jak najbardziej spójną. Cholera!

Rozejrzała się wokół w poszukiwaniu torby. Jest! Zuza przechyliła się na drugi koniec kanapy, przyciągnęła torbę do siebie i zanurzyła dłoń w jej przepastnym wnętrzu. Znalazłszy komórkę, odetchnęła. A może darować sobie konwenanse i zniknąć bez pożegnania? Ta... To zdecydowanie bardziej bezpieczne niż próbować udawać uprzejmą.

– Wiesz... Naprawdę jest mi przykro – w korytarzu rozległ się głos gospodarza.

Może, póki jeszcze nie wróci do salonu, zdoła się jakoś wymknąć. Zuzanna, starając się uczynić to w miarę cicho, zaczęła podnosić się z kanapy.

– Nie radzę.

Zamarła w pół ruchu.

Spojrzała na stojącego w progu Tomka. W lewej ręce trzymał butelkę wina, a w prawej, luźno opuszczonej wzdłuż boku, pistolet.

– Jak się domyśliłaś?

Wyjęty z torby telefon szybko schowała za siebie i starała się przybrać zaskoczoną, lekko zdezorientowaną minę. Coś w stylu słodkiej idiotki. Widocznie niezbyt się to udało, bo Tomek tylko pokręcił z politowaniem głową i zaczął się powoli zbliżać. Kroki miał niespieszne, postawę wręcz nonszalancką. Zajął miejsce w fotelu naprzeciwko i z pełnym spokojem wycelował w nią broń.

– Wiesz... Należę też do koła myśliwskiego – podjął tonem uprzejmej pogawędki. – Nie lubię o tym wspominać, bo w każdym towarzystwie znajdzie się jakiś nawiedzony ekolog, który chętnie przywiązuje się łańcuchami do drzew i którego życiowym powołaniem jest obrona biednych lisów. Tacy są naprawdę niebezpieczni. Niby wiadomo, co mogą wywinąć, a jednak...

Zuza wcisnęła się w miękkie oparcie, by zwiększyć dystans. Nie spuszczała wzroku z twarzy Tomka. Beztroska, jaką starał się prezentować, była pozorna. Nie był zdenerwowany, bynajmniej; ręka trzymająca broń nawet nie drgała. Jednak spojrzenie, jakim ją taksował, miało w sobie przerażającą pustkę. Tak, jakby wydał już na nią ostateczny werdykt. I co najgorsze – jakby nie miał nic do stracenia.

– Wiesz. A ja wiem, że ty wiesz... A ty wiesz, że ja wiem, że ty wiesz... – zaśmiał się, jakby właśnie powiedział niezły żart. – Więc nie ma co udawać. Naprawdę, kiepska z ciebie aktorka, zawsze byłaś beznadziejna. W kółku dramatycznym zupełnie przeciw ci nie szło. Wcielenie prawdomówności i cnót, nie umiałaś ani grać, ani kłamać... Muszę przyznać, że była to niezła rozrywka: obserwować twoje poczynania i zawsze wyprzedzać cię o krok... Nie miałaś pojęcia, kto zabił Julkę. Miotłaś się to tu, to tam. Ostatecznie wydawało się, że jest to tak zagmatwane, że nie ma szans na znalezienie zabójcy... Jak się domyśliłaś? – powtórzył.

Dostrzegła w tym światelko nadziei.

Siedzący naprzeciwko niej mężczyzna wyglądał jak Tomek Rajski, miał jego głos i mimikę. Ale to nie był on. To nie był już ten radosny, uśmiechnięty chłopak, który wkładał całą energię i pasję w to, co go interesowało. To nie był już ten przyjazny kolega, który pomagał przy odpisywaniu zadań i w sytuacjach podbramkowych ścigał na siebie uwagę nauczycieli, by rzucić jakąś dygresję, żart i wciągnąć belfrów w całkowicie odbiegającą od tematu dyskusję. Nie... Choć przez ostatni tydzień wydawało się jej, że

dawni znajomi w ogóle się nie zmienili, to jednak była to tylko ułuda. Każdy na chwilę powrócił do swej roli sprzed lat i cieszył się odzyskaną beztróską. Było to chwilowe zapomnienie, odskocznia, ale potem musiał nastąpić powrót do prawdziwego życia. Jakże brutalny. Tomek chyba najdłużej wytrzymał tę konfrontację przeszłości z teraźniejszością. Właśnie dlatego, by nikt nie powiązał go z zabójstwem – usilnie trzymał się swej roli dobrego kumpla.

Zuza spoglądała na niego, jakby dopiero teraz naprawdę go widziała.

Zmęczony wzrok, lekko przygarbione plecy.

Człowiek rozczarowany życiem.

– No jak...?! – ponaglił, a ona drgnęła.

Wciągnij go w dyskusję... Zagadaj... Zmyśl coś, żeby zyskać na czasie...

Na wyczucie próbowała włączyć telefon.

– Kieliszek... – wskazała moką plamę. – Wtedy, w sobotę, też był przewrócony kieliszek.

– Ewelina, ta idiotka, wylała mi wino na spodnie – przyznał. – I co z tego?

– Powiedziałaś, że spodni akurat nie wzięłaś na przebranie... Czyli coś innego wzięłaś i już to się przydało. Zabrałaś koszulę, prawda? A gdy zabiłaś Julkę zamieniłaś koszulę, bo ubrudzona była krwią.

Tomek wpatrywał się w nią przez chwilę i już wydawało się, że nic nie powie, gdy jego wargi rozciągnęły się w ironicznym uśmiechu.

– Brawo. Nie sądziłem, że można pokoiarzyć w ten sposób. Ale tak. Masz rację. Skąd miałem wiedzieć, że gdy wyciągnę nóż to zacznie tryskać jak z hydrantu? Całą koszulę mi zapaprała, dziwka jedna.

– Dlaczego ją zabiłaś?

– Naprawdę nie wiesz? Naprawdę? – zaczął się śmiać.

Wyglądało na to, że coraz lepiej bawił się zaistniałą sytuacją.

– Bo wy zawsze musicie gadać. Gadać i gadać, i gadać. Beata taka jest, Julka taka była. Ty też, przyznaj się – rzucił jej oskarżycielskie spojrzenie. – Nie umiecie trzymać buzi na kłódkę. A wszystko mogłoby się dobrze ułożyć. Ale nie. Bo ona postanowiła ci powiedzieć! A w łazience myślała, że jej dam kolejną ratę. Szantażystka zasrana! Tak... Widzisz, musiałem szybko działać. Nic by się nie stało... – zaczynał mówić coraz bardziej chaotycznie. – Ale ona lubiła rozgłos. Kretynka. Ty też jesteś kretynką – dodał. – Trzeba było jej nie wciągać w swoje sprawy. A tak? Zabiłem ją przez ciebie!



Po wyjściu Zuzanny Jakub jeszcze przez jakiś czas chodził poirytowany. Denerwowała go jej ignorancja i zadufanie w sobie. Co ona sobie wyobraża? I kim ona, do cholery jest, aby uważać się za nieomylną?!

I to, jak wyskoczyła z pytaniem o żonę. Żonę? Boże... Gdyby Weronika zgodziła się wówczas go poślubić wszystko byłoby teraz o wiele prostsze. Bez tego całego cyrku i sądowych przepychanek.

Zdziwił się, gdy łaskawie odebrała telefon. Przekazał informację o pozostawionym notesie w miarę opanowanym głosem, ale najchętniej cisnąłby terminarzem do kosza i uznał sprawę za niebyłą. Tymczasem zszedł na dół i przekazał stojącej za barem dziewczynie z prośbą, by oddała go Zuzannie Krukowskiej, gdy ta się zjawi.

Wciąż podminowany wyszedł na zaplecze. Ta cała sprawa z zabójstwem zaczynała się już nadmiernie przeciągać. Nie dość, że znów nadszarpnęła jego reputację i przywołała dawne plotki, to jeszcze miał na głowie Zużę. Wtedy, gdy cztery lata temu stanął nad ciałem zabitej kobiety – nikt nie wierzył, że to nie on pociągnął za spust. Nikt z wyjątkiem panny Krystyny i Michała Konika. Więc teraz, chcąc nie chcąc, próbował się im jakoś odwdzięczyć: obdarzyć zaufaniem Zuzannę i jej poczynania. Niestety, nie było to proste zadanie.

– Tato! Tato! Dziadek zabierze mnie na ryby! – Maks wypadł zza rogu. – I mamy żywą przynętę!

– A gdzie dziadek?

– Poszedł do Ani.

Kuba zagarnął syna do środka. Istotnie, na wysokim stołku siedział jego ojciec i tłumaczył stojącej naprzeciwko barmance, dlaczego czysta arabika nie jest znów aż taka dobra. Stały numer. Dziewczyna, która znów wysłuchiwała tej samej opowieści, jak to staruszek był w Kolumbii, uśmiechała się tylko uprzejmie i potakiwała. Postanowił jej oszczędzić dłuższego wykładu.

– Co tam słyhać? – zagadnął. – Maks mówi, że jedzicie na ryby.

– A tak... Na stawy do Wolczaka. Co prawda to trochę dalej, ale ma lepsze widoki. Chcesz się przyłączyć?

– Nie... Mam robotę tutaj. Ale jak coś złowicie, to daj znać. Wpadnę na kolację na świeżą rybkę.

– Dobra, dobra... No, młody, zbieramy się – podniósł się i sięgnął po portfel. Widząc karcące spojrzenie Jakuba wzruszył tylko ramionami. – Wiesz jak to jest: kochajmy się jak bracia, liczymy się jak Żydzi. No to na razie synu.

Jakub odprowadził ich wzrokiem. Sam też chętnie by do nich dołączył i spędził popołudnie na stawach, jednak poczucie obowiązku zwyciężyło. Trzeba było przejrzeć faktury, uzupełnić zamówienia i zastanowić się, czy nie wysłać znów do okolicznych firm materiałów reklamowych lub ewentualnie zorganizować jakiś event. Musi nad tym pomyśleć, poszukać okazji do podniesienia obrotów i nadrobienia strat. Tylko co? Noc świętojańska? Z ogniskami... Będzie miał około miesiąca na przygotowanie i rozlokowanie plakatów. Trzeba to przemyśleć.

Wrócił do gabinetu i otworzył laptopa. Punkt pierwszy do załatwienia: faktury. Nie zdążył jeszcze skończyć czytać zestawienia, gdy zadzwonił telefon. Rzut oka na wyświetlacz wystarczył. To mu humoru z pewnością nie poprawi.

– Notatnik czeka w barze – zaczął darując sobie wstęp.

Czekał na jakąś ironiczną ripostę. Tak... Trzeba przyznać, że oboje byli w tym dobrzy. Jednak po drugiej stronie zaległa cisza.

– Zuza, czy ty mnie słyszysz?

Jakiś szum, szmery, odległe głosy. No tak... Pewnie ma komórkę w tej swojej przepastnej torbie i szukając czegoś na oślep wybrała połączenie.

Chciał się rozłączyć, gdy padło słowo, które go zastanowiło. Nie ulegało wątpliwości, że dziewczyna z kimś rozmawia. I nie jest to przyjemna rozmowa. Nie może być przyjemna, skoro ma przed sobą człowieka, który zabił Julkę. A przynajmniej, z tego co udało się usłyszeć, ona sama była przekonana, że znalazła mordercę. Z trudnością wyłapywał poszczególne słowa, ale te były powiedziane dosadnie i wyraźnie: „Zabiłeś ją”. Nie umiał podać szczegółów. Zuzannę słyszał lepiej; jej rozmówca, pewnie będący dalej, pozostawał tylko szumem o ton głośniejszym od tła.

– Cholera jasna! Gdzie ty jesteś? – mruknął włączając nagrywanie rozmowy.

Musi zadzwonić do Michała i powiadomić go, co się dzieje. Tylko jak znaleźć Zuzannę? Lokalizator? Teoretycznie da się ustalić położenie komórki, tylko może już być za późno.

Kalendarz! W barze na dole był jej terminarz. Jeśli jest tak skrupulatna w zapisywaniu spotkań, jak



w innych sprawach, to powinno być zaznaczone, gdzie się wybrała.

Wysłuchując się uważnie w rozmowę wybiegł z gabinetu. Mocno przyciskał telefon do ucha, nie chciał uronić ani słowa.

Głosy stawały się coraz wyraźniejsze, jakby kłótnia przybierała na sile. Słyszał krzyk i brzęk roztrzaskiwanego szkła. A potem – nastąpił strzał.

Połączenie zostało przerwane.



Zuzanna, trochę zdziwiona, wpatrywała się w lewe ramię. Nie czuła bólu. Widziała postrzępiony rękaw żakietu i wolno rozpełzającą się po materiale plamę krwi. Przypominało to szkarłatny atrament, który kiedyś, dawno, dawno temu rozlała na zajęciach plastyki. Nauczycielka najpierw dostała furii, a potem, przy całej klasie obwieściła, że z Zuzy to i tak nie będzie pożytku, skoro wszystko jej leci z rąk. Dziwne, ale dokładnie pamiętała to uczucie niesprawiedliwości, które ją w tamtej chwili przepełniało. To Piotrek ją popchnął i dlatego potrafiła buteleczkę z atramentem. To nie była jej wina, a słowa nagany zraniły dumę.

– W zasadzie mi ciebie szkoda – w głosie Tomka pobrzmiwał żal. – To przecież nie twoja wina, że się w to całe bagno wpackowałaś. Chociaż... Mogłaś przecież dać sobie spokój z tym całym śledztwem. Przecież i tak od początku nie miałaś szans, i nawet panna Krystyna nie na wiele się zdała. Przyznaję, przyznaję... – pokiwał głową waząc słowa. – Gdy Bazyl zaczął węszyć, przez chwilę zrobiło się nawet gorąco i wpadłem w lekką panikę. On ma nosa do takich spraw. Nie dziwota... Z taką przeszłością... Choć na tym zadupiu pewnie mało kto wie, do czego ten człowiek jest zdolny... No, może poza tą wścibską, kuśtykającą staruchą i Konikiem. Jak Bazyl zaczął się rozpytywać, dostało się twojej kuchni. To była niezła zabawa...

Zuza słuchając Rajskiego próbowała skupić się na jednym. Nie na jego słowach... W tej chwili było jej zupełnie obojętne, co mówi, byleby zajęty był tym samousprawiedliwieniem. Musiała znaleźć sposób, by się wykaraskać z tej paskudnej sytuacji.

– Robert zaraz przyjdzie... – spróbowała.

– Robert? – zdziwił się uprzejmie. – A niby po co ma tu przychodzić? Przecież coś ważnego ci wypadło i odwołałaś dzisiejsze spotkanie. Więc, jak widzisz, Robert cię nie uratuje. I nie ruszaj się, z łaski swojej, bo pobrudzisz krwią kanapę...

Absurd tego stwierdzenia dotarł do Zuzy dopiero po chwili. Niestety, coraz bardziej chciała po prostu się położyć, zamknąć oczy i spać.

Ale pierwszy szok mijał, do otępiałego mózgu powoli docierał ból. Rozdzierający i pulsujący, zdawał się rozsadzać jej ramię.

Wyczerpana zamrugła powiekami i spróbowała skoncentrować wzrok na rozmówcy.

– A to w parku...?

– No tak... Wiesz, nie trzeba było łązić do Bazyla. Mówiłem ci. On umie człowiekowi zaleźć za skórę, nawet się o to nie starając. Chciałem cię zniechęcić. Liczyłem, że... No wiesz... Żebyś myślała, że to on cię napadł. Wtedy trzymałabyś się z daleka od Bazyla i starej wariatki. Ale nie...

Tomek poderwał się z miejsca i zaklął szpetnie.

– Ale ty po prostu musiałaś dalej się bawić w detektywa. No i widzisz, do czego doprowadziłaś...? Widzisz?!

Wzdrygnęła się słysząc za sobą krzyk. Ocknęła się i wyprostowała. Musiała na chwilę odpłynąć, bo nie zauważyła, jak Tomek zaszedł ją od tyłu i nachylił się do ucha.

Trzeba było coś zrobić. Tyle wiedziała. Jednak coraz gorzej zapatrywała się na to „coś”. Zdawało jej się, że jeszcze chwila i po prostu osunie się z kanapy na podłogę. Przechyliła się na bok i podparła na łokciu.

– A dlaczego zabiłeś Rzewuskiego?

Ręka trzymająca broń na chwilę opadła. Tomek spojrzał na nią autentycznie zdziwiony.

– Nie domyślasz się?

Pokręciła przecząco głową, modląc się w duchu, by tym razem uwierzył w wersję słodkiej idiotki. Niech poczuje się ważny, niech myśli, że wszystkich wokoło oszukał... Zresztą – niech myśli, co chce, byleby zajął się rozmową.

– Nie...? A to dobre... Policja oczywiście lata jak jamnik za swoim ogonem, no..., ale oni w tym to akurat są świetni. Brender może i coś podejrzewa, w końcu dorobił się tego komisarza, ale jest z niego taki skrupulant, że woli po sto razy się upewnić, nim puści parę z ust. I dobrze... Dzięki temu plotki się nie rozchodzą. Ale tak na mnie patrzył na rynku... Tak... On może się domyślać. Ale dowodów nie ma... Wszystko dobrze zaplanowałem. I wszystko szło idealnie. Nikt by się nie połapał. Wiesz... – uśmiechnął się rozmarzony, a Zuza w tym jego grymasie dostrzegła przebłysk ujawniającego się szaleństwa. – Rzewuski był moim przyjacielem. Razem wódkę piliśmy. Tak łatwo było go podejść. Niczego się nie spodziewałem. A nawet jeśli... Przecież oni wszyscy są tacy sami. Zasłużyli sobie.

Zuzanna nie miała już siły dociekać, czy chodzi o zamordowanych, czy o tych, którzy zdradzają. Tomasz w swej wędrówce wokół kanapy znalazł się teraz po jej prawej stronie i chwilowo zapatrzony w widok za oknem nie zwracał uwagi na poczynania gościa. Pistolet wciąż trzymał w niedbale opuszczonej ręce.

I to była jej szansa.

Ucieczka nie wchodziła w grę. Nie dobiegłaby przecież do drzwi. Kulka w plecy i po sprawie. Co więc pozostawało?

Walczyć albo giąć. Alternatywy nie było.

Spięła się cała w sobie.

Gdy Tomek westchnął i zaczął palcami rozmasowywać skroń, jakby wracając myślami do rzeczywistości, wiedziała, że zarówno jego spowiedź, jak i jej czas – dobiegły końca.

Rzuciła się do przodu chcąc chwycić dłoń z pistoletem.

Mężczyzna był od niej cięższy i silniejszy. Boleśnie się o tym przekonała, gdy okręcił się i próbował przetrzucić ją przez bark. Jednak ona walczyła o życie. Wczepiona mocno w jego ramię, próbowała wytrącić mu pistolet. Na filmach wyglądało to o wiele prościej. Tu się niestety nie udało.

Zmieniła więc raptownie kierunek. Zamiast szarpać, zapała się i wbiła mu łokieć w brzuch. Rajski, zaskoczony, jęknął, ale nie zwolnił uchwytu. Stracił równowagę i upadł pociągając ją za sobą.

Zderzenie z podłogą wyrwało z jej gardła jęk bólu. Rana na ramieniu promieniowała na całe ciało. Jeszcze chwila i straci przytomność. A wówczas będzie po wszystkim. Wciąż trzymając kurczowo zaciśnięte dłonie na nadgarstku Tomka nie rezygnowała z prób wyrwania mu broni. Szamotali się tak przez chwilę, aż w końcu mocniejsze szarpnięcie i huk wystrzału zakończyły ten spektakl.

Zuzanna poczuła żelazo rozszarpujące grzbiet jej dłoni. I lepka, ciepła krew. Nie miała już siły. Pozwoliła opaść powiekom szukając ukojenia w ciemności.



– Myślałem, że jesteś na zwolnieniu lekarskim...

W progu redakcji stał Łukasz – i z mieszaniną zdziwienia i niepokoju wpatrywał się w siedzącą na czerwonej kanapie Zuzannę.

– Jestem, oczywiście że jestem... – przyznała, nie odrywając wzroku od trzymanego na kolanach laptopa. – Nie widać...? Ty wiesz, że o Grodowie są newsy chyba na wszystkich portalach informacyjnych.

– Tak, od czterech dni. Najwięcej było we wtorek...

– Tak? Musiałam to przeoczyć. Ale tak mnie nafaszerowali środkami przeciwbólowymi, że mogłabym przeoczyć nawet lądujące na rynku UFO.

– A co ty tu, tak właściwie, robisz?

– A gdzie miałabym być? – zdziwiła się. – Będąc na zwolnieniu najlepiej ukrywać się w pracy. Nie sądzisz? – dodała z błyskiem w oku. – Poza tym jest piątek, w redakcji spokój, pod warunkiem, że nie przygna tu wujka Ryśka. A ja właśnie potrzebuję spokoju. Ty wiesz jakie urwanie głowy zrobiła mi kochana rodzinka? Najpierw w szpitalu. Normalnie mieli przy mnie dyżury. A wczoraj myślałam, że jak wrócę do siebie to choć trochę odpocznę. Nie było szansy. Ciągłe ktoś zaglądał. Niby się martwią o moje zdrowie, ale tak naprawdę chcieli posłuchać wiadomości z pierwszej ręki. Mam już dość całego kuzynostwa, którego istnienia do tej pory nawet nie byłam świadoma. A ciotki i wujków mogłabym rzucić do otchłani piekielnych.

Łukasz zmarkotniał...

– Ty też chciałeś posłuchać – domyśliła się widząc jego minę.

– Noo... Napisałem tekst do „Kuriera”, ale to tylko suche fakty. A ja bym chciał jakiś soczysty kawałek ociekający krwią. No co? – obruszył się. – Lubię horrory.

Zuzanna przewróciła oczami.

– Poza tym widziałem tyle reportaży, że tracę w tym orientację. Berner i Łacny szczyrzyli się do kamer, a i stary też prezentował się w pełnym mundurze. Ten dopiero ma parcie na szkło... Twój wujek dostał piany na ustach. No bo wiesz... Taka afera, ogólnopolskie media w Grodowie, a my nic nie mamy. To chyba nim naprawdę tapnęło.

– To, że zawsze jest spóźniony? Zobaczymy na jak długo...

– Zważywszy na kaliber sprawy? Dwa tygodnie. Najwyżej. Wiesz, że on do reformowalnych raczej nie należy.

Zuza mruknęła tylko i spróbowała tak się oprzeć na poduszkach, by obandażowane ramię niczego nie dotykało.

– To jak...? Dasz się namówić.

W spojrzeniu siedzącego naprzeciw mężczyzny dostrzegła błagalny błysk. Ale gdzieś na dnie była też troska. I to ją ostatecznie przekonało.

– Dobra. Zrób mi kawę. Z mlekiem, dużą i bardzo słodką. Muszę uzupełnić kalorie.

Kiedy na stoliku stały już dwa kubki i talerzyk z ciastkami drożdżowymi, po które Łukasz szybko zbiegł do sklepu, przyszła pora na relację. Ale tym razem nie czuła takiej presji, jak przez poprzednie trzy dni. We wtorek dopadli ją policjanci i odbyło się przesłuchanie. Jak najbardziej niekomfortowe, bo w szpitalnej sali, bez makijażu i z podkrążonymi oczami. Ranę postrzałową na ramieniu zaszyto, zresztą

tak jak i grzbiet dłoni, którą rozerwał przesuwający się zamek pistoletu Rajskiego. Obandażowana i nafaszerowana głupim jasiem marzyła, by dali jej wreszcie święty spokój. Bez szans.

Gdy mundurowi w końcu się wynieśli – zadzwoniła panna Krystyna z wiadomością, że już wszystko wie od Michała Konika, nie zamierza jej zawracać głowy, porozmawiają, jak się lepiej poczuje i, ogólnie rzecz ujmując, to ona, panna Krystyna, jest z niej dumna. Noo... To podniosło ją na duchu, bo w tamtej chwili czuła się jak przeciśnięta przez wyżymaczkę, pozbawiona sił i jakiegokolwiek samooceny przewyższającej studzienkę ściekową na rynku.

A potem rodzinka zaczęła swoje.

Piotr i Renata, na zmianę, zaglądali do niej co dwie godziny. Do tego jeszcze matka, która najpierw na jej widok dostała chwilowych spazmów, a po krótkim wybuchu przeszła do robienia Zuzi wyrzutów: bo jak to mogła się ona, dorosła i rozsądna osoba, wpakować w takie... Takie... Tu matce zabrakło dosadnego określenia, które oddałoby jej oburzenie oraz powagę sytuacji, a jednocześnie nie byłoby przekleństwem. Zamilkła więc i poszła na korytarz szukać lekarza, przy którym mogłaby uzewnętrznić swe emocje. Na szczęście w całym tym cyrku ojciec zachował odpowiednią perspektywę. Zajrzał do niej z pytaniem, czy chce świeżą rybkę na kolację, bo jeśli tak, to on chętnie pójdzie z wędką na stawy. Zuzanna wyraziła chęć na pstrąga, bo, jak podejrzewała, ojciec w ten niewymyślny sposób szukał pretekstu do ulotnienia się z domu.

– Co chcesz wiedzieć? – Zuza poprawiła się na kanapie.

– Wszystko. Od początku.

– Zastrzegam, że to nie jest historia do rozpowszechniania.

Łukasz przytaknął na zgodę.

– Wiesz, że przez ten tydzień po zabójstwie Julki działy się różne rzeczy...

– Oberwałaś, bo to było widać na twojej twarzy. Choć muszę przyznać, że siniaki ukrywałaś bardzo umiejętnie. Większość osób by nie zauważyła.

– I na szczęście nie zauważyła. Nie lubię takich podszytych fałszywą troską pytań, co się stało.

– Noo... Żądza sensacji i karmienie się nieszczęściami innych. Typowe – skomentował.

– Poza tym ktoś włamał się do mieszkania i zdemolował mi kuchnię.

Łukasza zatkało.

– A tego to nie słyszałem.

– Bo raczej nie rozgłaszałam. Policja, z tego co widać, też nie.

– Były jeszcze jakieś atrakcje?

– Jeszcze tylko list z pogrózkami...

– A przypomnij mi... Ty się zabawą w detektywa jak długo zajmujesz?

Zuza fuknęła.

– Nie zabawą! Wypraszam sobie.

– W niecały tydzień zdążyłaś tak poruszyć lokalne bajoro zbrodni? – kontynuował nie zważając na jej protest. – Ale dobra, dobra... Leć dalej. Wiem, że panna Krystyna próbowała w poniedziałek postawić na nogi całą policję powiatową, a jak nie mogła się do ciebie dodzwonić, zabrała się za komendanta wojewódzkiego.

– To ona ma aż takie znajomości? – zdziwiła się Zuzanna, która najwidoczniej jeszcze nie do końca orientowała się w zakresie kompetencji starszej pani.

– Ma, jak się okazuje. Ale to tajemnica – dodał znacząco. – Wpadła na rozwiązanie gdy wybrałaś się w odwiedzinach do Rajskiego.

– Niezłe wycucie czasu... I tak później zmyła mi głowę, że nic jej wcześniej nie powiedziałam, tylko wpakowałam się prosto w paszczę lwa – westchnęła. – Fart nowicjusza.

– Chyba tak – przyznał. – Ale tym sposobem zużyłaś limit szczęścia. Następnym razem musisz bardziej uważać.

– Co ty?! Jakim następnym razem? Dwa trupy z bliska wystarczą mi do końca życia! Kolejnych takich atrakcji nie przewiduję.

Łukasz darował sobie uwagę, że znając jej usposobienie, a tym bardziej żądzę sprawiedliwości panny Krystyny, bez kolejnych incydentów raczej się nie obejdzie. Zuza zasługiwała na krótki urlop regeneracyjny.

– No dobra. A wracając do tematu? – podjął.

– W poniedziałek rano wylałam przez przypadek kawę... Ty wiesz, jak człowiek dziwnie kojarzy fakty. I w najmniej odpowiednich momentach. Przez ponad tydzień wszyscy się głowili, kto zabił Julkę, a ja wpadłam na to dzięki rozlanej kawie! Tylko że byłam zdenerwowana po scysji z Jakubem i nie do końca to do mnie dotarło. Musiałam chyba mieć jakieś zaćmienie umysłu. Bo wolałam, idiotka jedna, upewnić się, nim podniosę alarm. No więc poszłam na ten umówiony wywiad. U Tomka na początku zwykła gadka szmatka. Choć przyznam, że o winach umie niezłe opowiadać. Obejrzałam salon, obrazy, zbiór antyków. A potem piwniczkę z kolekcjonerskimi butelkami...

– Ale Tomek się zorientował.

– Właśnie. Nawet nie wiem kiedy...

– Julkę zabił, bo go szantażowała, to już wszyscy wiedzą. Ale dlaczego akurat na zjeździe absolwentów?

Zuza przypomniała sobie ten moment, gdy ujrzała leżące w toalecie zwłoki przyjaciółki. Znów poczuła metaliczny zapach krwi.

– Przeze mnie...

Łukasz zszokowany wpatrywał się w twarz siedzącej przed nim dziewczyny.

– Co ty mówisz?!

– Tak powiedział: że zabił ją przeze mnie. Dopiero panna Krystyna wyjaśniła, o co chodziło... Na zjeździe siedziałam z Julką przy barze i rozmawiałam o pracy w gazecie. Że nie wiem, jak wytrzymam z wujkiem, a ona się śmiała, że teraz będę tropić lokalne afery. I to musiał usłyszeć Tomek. Uznał, że Julka, która go szantażowała w związku z zabójstwem Rzewuskiego, chce mi sprzedać historię. Przeraził się, że teraz wszystko wyjdzie na jaw. I dlatego musiał szybko działać.

– A ona rzeczywiście chciała ci powiedzieć o Rzewuskim?

– Pojęcia nie mam. Ale chyba nie... Po prostu była to taka luźna rozmowa, a on usłyszał fragment i wyciągnął takie wnioski.

– Czyli tak w zasadzie był to nieszczęśliwy splot okoliczności... Jeśli zabójstwo uznać za takowy.

Trwali chwilę w ciszy, przerywanej tylko krzykami dzieci dochodzącymi zza okna.

– A z Rzewuskim? Jak było?

– Zaszedł go w gabinecie. Dał jakieś wzory umów, Rzewuski zajął się przeglądaniem papierów i nie zauważył, że ma łufę przy skroni. Szybko i sprawnie. Tylko że Julka się domyśliła. Chyba nie miała żadnych dowodów poza faktem, że Rzewuski ostatnio coś często bywał w krakowskim mieszkaniu kolegi. A, jak wiedziała, było to jego stałe miejsce schadzek. To tam ponoć umawiał się z Beatą Rajską na te swoje rendez-vous. A poza tym... Rajski zgodził się jej zapłacić. To tak, jakby przyznał się do winy. A Julka, niestety, była zbyt pewna siebie.

– Więc rzeczywiście chodziło o zdradę...

– Już mówią na mieście? Tak..., o zdradę. Wiesz... Nie zdawałam sobie sprawy, że człowiek może tak szybko kojarzyć fakty, gdy ma wycelowaną w siebie broń. Tomek mówił na zjeździe, że w weekend majowy nie odpoczął, bo miał jakiś wyjazd i konferencję. A w gabinecie Bazyla stoi fotografia

z wieczoru kawalerskiego, który się odbył właśnie w długi weekend.

– I co? Jest na niej Rajski?

– Właśnie cały problem polegał na tym, że wyglądało jakby był, ale tak w zasadzie to go tam nie było.

– Pogubiłem się – przyznał Łukasz popijając z kubka. – Jeszcze raz.

– Tomek był na wyjeździe biznesowym. A na fotografii jest na granicy kadru jego żona czule obejmująca jakiegoś faceta. I to nie mógł być Rajski...

– Bo w tym czasie był na konferencji. Aa...

– Właśnie. Beata Rajska miała romans z Rzewuskim. I było to coś poważnego, bo facet zaczynał przebąkiwać o zmianie stylu życia i ustatkowaniu się. Wyobrażasz sobie? Rzewuski jako głowa rodziny?

A z punktu Tomka: gdyby doszło do rozwodu, to poszedłby z torbami, bo cały majątek należy do rodziców Beaty. Wszyscy przecież mówili, że się wżenił, bo zrobił jej dziecko. Miał dużo do stracenia, w zasadzie wszystko. Więc zaryzykował...

– Jak nie wiadomo o co chodzi, to chodzi o pieniądze.

– Dokładnie...

– A jak ci się udało wywinąć spod kuli?

Zuza wzdrygnęła się. Wspomnienie wciąż było żywe i bardzo realne.

Szamotoanina z Rajskim nie trwała długo. Zresztą, gdyby się przeciągnęła, to nie miałyby szans, szybko traciła siły. Przestrzelone ramię krwawiło i pulsowało coraz bardziej. Czuła, jakby ktoś wetknął jej rozpalone żelazo w ranę i perfidnie nim obracał, sprawdzając, ile jeszcze wytrzyma. A wytrzymać musiała.

Przetaczali się po podłodze i zahaczyli o stół. Słyszała brzęk szkła, widocznie poszedł kolejny kieliszek – zarejestrowała absurdalny szczegół. Mocno trzymała Tomka za nadgarstek i starała się wytrącić mu broń z ręki. Wreszcie zdawało się, że Rajski poszedł po rozum do głowy i wykorzystał swój niewątpliwy atut: ciężar. Przygniótł ją do posadzki i próbował wyszarpać broń z jej uchwytu.

Drugi strzał złał się z kolejną falą bólu. Rozharatany grzbiet jej lewej dłoni zaczął wściekle palić.

Rajski zastygł w bezruchu, a jego twarz wykrzywił grymas niedowierzania. Stoczył się na bok i leżąc na plecach przyciskał dłonie do krwawej plamy rozpełzającej się pod mostkiem. Spojrzał na nią z wyrzutem.

– To wszystko twoja wina... – charknął.

Powieki ciążyły jej niemiłosiernie.

– Twoja wina... – usłyszała jeszcze.

Z wysiłkiem otworzyła oczy i spojrzała na człowieka, którego, wydawało się, dobrze znała. Z kącika ust ciekła mu wąska stróżka krwi, a wzrok, jeszcze przez chwilę pełen nienawiści, naraz stracił ostrość i zawisł zapatrzony gdzieś ponad jej ramieniem.

Zuzanna pamiętała to ogarniające ją wszechwładne uczucie ulgi. Ona też pozwoliła sobie na wytchnienie... Zasnąć... Spać...

Lekkie uderzenie w policzek było równie zaskakujące, jak kolejna porcja bólu rozsadzająca ramię, za które ktoś szarpał.

Nie miała siły się odgryźć. Nie miała nawet siły spojrzeć na intruza.

Ale kolejne uderzenie i ponaglący głos nie wróżyły szybkiego pozbycia się natręta.

– Zuziu...! Zuziu...!

Jęknęła.

– Otwórz oczy...!

Niechętnie posłuchała.

Nad sobą ujrzała zatroskane, zielone spojrzenie.

Co tu..., do ciężkiej Anielki..., robi Bazyl...?

Pamiętała swoje zaskoczenie i przekonanie, że coś jej się śni. I pragnienie, by wszyscy w końcu dali jej święty spokój. Bez względu czy na jawie, czy we śnie...

– Konik mówił, że przyjechał z policją zaraz po Jakubie – głos Łukasza wdarł się w jej wspomnienia.

– Tak... Ale wtedy to ja już zupełnie odpływałam.

– Ale jak to się stało, że zadzwoniłaś akurat do nienawidzonego Bazyla?

– Bez przesady... – obruszyła się. – Nienawidziłam go w ogólniaku. Teraz jesteśmy w poprawnych relacjach towarzyskich.

– Noo... A tę waszą scysję w poniedziałek to komentowali od razu po twoim wyjściu z „Poczekalni”.

– Kurde. Tu nic się nie uchowa?

– Nic a nic – wyszczerzył się. – Przywyknij. Jesteś przecież osobą publiczną...

– Zlituj się!

– Dobra, dobra – machnął ręką. – A Bazyl?

– Wybierałam na ślepo połączenie. Chodziło o to, by się do kogoś dodzwonić i zawiadomić, co się dzieje. A że Bazyl dzwonił jakiś czas wcześniej... Proste.

– Tak twierdzisz... – zagryzł ostatnim ciastkiem. – I jak widać: wszystko dobre, co się dobrze kończy.

– Dobre? – zdziwiła się.

– No. Zobacz: rozwiązałaś zagadkę, zyskałaś sławę i poważanie, przyczyniłaś się do ujęcia mordercy i uczyniłaś ten nasz mały świątek bardziej bezpiecznym. Masz protektorat panny Krystyny i w dodatku jesteś pełnokrwistą dziennikarką. Czego więcej chcesz od życia?

– Niech pomyślę... – zmarszczyła brwi rozglądając się po pokoju. – Nowego wystroju wewnątrz, bo te strony tytułowe sprzed dwóch dekad działają przygnębiająco. I redakcyjnego kota. Możemy załatwić jakiegoś ze schroniska?

– Zlituj się! – Łukasz powtórzył jej wcześniejszy okrzyk. – Szef dostanie apopleksji na widok zwierzaka.

– Ach! I chcę jeszcze współlokatorce, która będzie regularnie płacić czynsz.

– Serio? A nie wzięłabyś mojej siostry? Szuka lokum.

Zuza zerknęła na niego podejrzliwie.

– Tak? A wcześniej nie mogłeś mi tego powiedzieć?

– Chyba żartujesz. Nie wspomniałaś o współlokatorce i miałaś mordercę na karku. Nie narażałbym na takie przeżycia młodszej siostry. Teraz to co innego...

Zuzanna zdjęła z nóg zielone szpilki i wyciągnęła się na kanapie.

– No nie wiem... Ja się chyba chwilę zdrzemnę... Jakby coś, to mnie nie ma... Zresztą, kto by mnie tu szukał?

– Racja. Wypoczywaj. Jak ci się znudzi nic-nie-robienie, daj znać. Czekaj tekst o rewolucji śmieciowej w powiecie i o tym przetargu, co to niby się odbył.

– Jestem na zwolnieniu! – przypomniała.

– Dobra, dobra... Ja tylko rzucam hasło. Zresztą nigdy nie wiadomo, co z tego wyniknie. Musisz przyznać, że zwykłe tematy w twoim wykonaniu kończą się zupełnie nieoczekiwanie. Od złotu starych aut do mordercy. Ach... Jeszcze jedno. Dzwoniła Kinga Król z pretensjami. Kazała przekazać, że miałaś dać jej wiersze do dzisiejszego „Kuriera”, a ich nie ma. I stwierdziła, że jesteś egoistyczna i niekoleżeńska. Chyba się obraziła.

– Bogu dzięki! – mruknęła Zuza.

Łukasz zatrzymał się w progu i niedbale oparł o framugę.

– Jak widać, jest jakaś mądrość w ludowych przysłowiach... Nie ma tego złego...

Poduszka rzucona w Łukasza została zręcznie przez niego chwycona i oddana z głębokim ukłonem. Kolega puścił do niej oko i cicho zamknął za sobą drzwi.

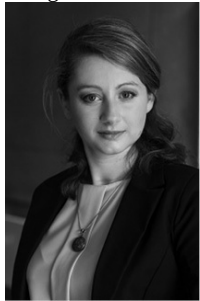
Zuza wyciągnęła się na kanapie i zmęczona przymknęła oczy.

Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło...?

Później sprawdzi, czy rzeczywiście.



Fot: Bogdan Żak.



## **KATARZYNA ŻAK**

Pisarka hobbystka. Nagradzana wielokrotnie w konkursach literackich, swobodnie oscyluje między SF, kryminałem i felietonem – w zależności od humoru.

Za papierowy debiut uznaje publikację opowiadania *Powrót ad fontes* w SFFiH (wcześniej nagrodzonego w konkursie „Horyzonty wyobraźni” w 2010 r.). Opublikowała także opowiadania: *Morderstwo na jedynekę* (w *Kryminalnych opowiadań tomie*, Wyd. TWINS, 2009), *Gdzie diabeł mówi dobranoc* (w numerze specjalnym internetowego czasopisma „QFant”, 2012) oraz *Wyspa A.1474* (w antologii *Teorie spisków*, Wyd. Craiis, 2013). W wolnym czasie wędruje po górach, fotografuje i podróżuje.



## NIE DO WIARY!

Eufrozyna Maliniak, dla przyjaciół Zoey, wrażliwa nauczycielka po trzydziestce, nie ma szczęścia w miłości. W przeszłości zraniona, nie potrafi zaufać, choć wciąż skrycie marzy o księciu z bajki. Za namową przyjaciółki Alicji w sylwestrową noc wykrzykuje światu swoje największe marzenie.

Od tej chwili w życiu Zoey zaczynają dziać się dziwne rzeczy. Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki na jej drodze jeden po drugim pojawiają się mężczyźni ze snów... Pytanie, czy są to tylko dobre sny? Czy marzenie Zoey się spełni? Czy uwolni się od przeszłości i pozwoli samej sobie zakochać się bez pamięci?

Skrząca się humorem, pełna barwnych postaci i nieoczekiwanych zwrotów akcji opowieść o poszukiwaniu szczęścia. Nie do wiary, jak życie potrafi zaskakiwać, szczególnie w miłości!



## NIKT SIĘ NIE SPODZIEWAŁ

Podwarszawskie miasteczko i nowo powstałe osiedle domów jednorodzinnych. Kiedy Iwona z mężem i dwójką synów przeprowadzili się na Brzozowy Zaulek z nadzieją na odnalezienie ciszy i spokoju, nie wiedzieli, jak bardzo zmieni się ich życie.

Iwona szybko zaprzyjaźnia się z nowymi sąsiadkami, poznaje szczegóły życia osiedla i zwyczaje rodem z amerykańskich seriali. Szybko okazuje się, że życiem rządzą zazdrość, romanse i zdrady, a przynajmniej plotki o nich. Dziewczyny wciąż pakują się w kłopoty, a barwne intrygi nie mają końca. Nikt nie dziwi się nawet, co w ogrodzie Iwony robi krowa. Do tego tajemnicza starsza pani Puchaczowa, która mieszka na końcu ulicy i... mroczne znalezisko.

Brzozowy Zaulek odkrywa coraz więcej tajemnic, przez które nic już nie będzie takie, jakie się wydaje...

# SPIS TREŚCI

[Strona tytułowa](#)

[Strona redakcyjna](#)

[\\* \\* \\*](#)

[Katarzyna Żak](#)

[Reklama 1](#)

[Reklama 2](#)